

RAFAŁ DĘBSKI
KRANIEC NADZIEI



RUBIEŻE

IMPERIUM



RAFAŁ DĘBSKI



SIEĆ POWIĄZAŃ

Z trudem uniknęli szerokiego strumienia skondensowanej mocy. Zwykły laser pochłonęłyby osłony siłowe, zgęstek plazmy, gdyby przedarł się przez tarcze, uległby rozproszeniu w zetknięciu z siatką rozciągniętą na panczerzu. Ale ta przeklęta broń mogła dosłownie rozłupać solidny niszczyciel. Aidan już widział okręty pękające niczym skorupka jajka, gdy znalazły się w polu rażenia działa hybrydowego. Jedyńm ratunkiem było odpowiednie dostrojenie drgań panczerza, tak aby pochłaniał energię i przekazywał ją natychmiast do kondensatorów, nie wpadając w interferencje, przy jednoczesnym włączeniu na pełną moc wszystkich osłon. Wówczas istniała szansa powstrzymania ataku. Ale jeśli już ktoś pozwolił podejść przeciwnikowi na tyle blisko, żeby ten mógł użyć śmiercionośnej, tak trudnej do zneutralizowania broni, a przy tym systemy obronne nie były w stu procentach sprawne, musiał sobie radzić inaczej. Tak naprawdę jedyny sposób stanowił błyskawiczny unik, a Bóg jeden wie, czym groziły te ewolucje każdemu członkowi załogi nieprzyjętemu w tej chwili do fotela. A przecież okręt został zaskoczony, na pewno nie wszyscy marynarze zdążyli zareagować na ogłoszony kilkanaście sekund wcześniej alarm. Kapitan z kolei nie miał czasu czekać, aż ludzie zdążą się zabezpieczyć i napłyną raporty o gotowości. Dowódca musiał działać i liczyć na łut szczęścia, na to, że straty będą minimalne. Ekipy naprawcze pracowały jeszcze po poprzedniej walce, przywracając sprawność uszkodzonym skanerom i generatorom tarcz na bakburcie, i to ich członkowie byli najbardziej narażeni na konsekwencje niespodziewanych manewrów. Podobnie obsługa dział, która wymieniała przepalone i nadwerżone bezpieczniki. Normalnie robiły to automaty, ale okręt dosłownie przed chwilą stał się obiektem skutecznego ataku elektronicznego wroga, który zakłócił działanie części obwodów, więc pracę trzeba było wykonać własnoręcznie. Artylerzyści, torpedyści i kadra pomocnicza krzżeli się, wymieniając uszkodzone części, wpisując koordynaty w awaryjne kalkulatory, ręcznie odłączając i załączając „na twardo” oszołomione komputery.

Tak właśnie – oszołomione. Już lepiej by było, gdyby zupełnie wysiadły, a nie szalały, podając niestworzone informacje, wprowadzające chaos w całym systemie. To też stanowiło konsekwencję zbyt bliskiego kontaktu z wrogiem. E-bomby były o wiele mniej skuteczne na dalszy dystans niż wtedy, gdy wspomagały je środki walki bezpośredniej. Ten, kto został zaatakowany zniemacka, miał co najmniej pięćdziesiąt procent mniejsze szanse na obronę niż ktoś przygotowany do starcia. Tymczasem podczas rutynowego lotu patrolowego trudno by było utrzymać wszystkie systemy w pełnej gotowości, gdyż pochłaniało to zbyt wiele energii. No i nikt nie mógł się spodziewać, że wróg pojawi się tak szybko i nieoczekiwanie.

Ten bandyta zbliżył się w ślepy polu, korzystając z faktu, że niszczyciel dowodzony przez Aidana właśnie odpalił silniki klasycznego napędu. Utworzył się stożek plazmy, niewielki wprawdzie, ale wystarczający, aby zakłócić obserwację. Swoją drogą, musiał ich obserwować od co najmniej kilkudziesięciu minut, ukryty szczelnie za ekranami, lecąc tylko siłą bezwładu. Każda aktywność napędu spowodowałaby przecież alarm na niszczycielu. A zatem wróg doskonale się orientował, jakim kursem będzie przebiegał patrol okrętu Jego Cesarskiej Wysokości. To akurat dziwić nie mogło. Gorzej, że wywiad cesarski nie był w stanie ustalić pozycji wrogiego krążownika. Ale i to nie budziło wielkiego zaskoczenia. Taki los, takie zadanie. Tyle że powinni mieć tutaj do czynienia z jednostką Republiki, a użycie działa hybrydowego świadczyło o tym, że niszczyciel nadział się na piratów. A to oznaczało, że nie ma co liczyć na przestrzeganie jakichkolwiek konwencji.

– Ster ostro w lewo! – rozkazał. – Potem kurs zero-siedem-trzydzieści, kął jeden-siedem!
– Ale to nas obróci o dwieście siedemdziesiąt stopni, panie kapitanie, i to w skosie! – zaprotestował sternik-nawigator.

– Wykonać, Martinez! – warknął Aidan. Nie było czasu na dyskusje.

Podporucznik natychmiast wprowadził nowe koordynaty. Ułamek sekundy później okrętem szarpnęło, przyspieszenie wcisnęło Aidana w fotel, pozbawiając go prawie tchu. Okropny manewr i kogoś nieprzywykłego do przeciążeń, szczególnie kątowych, mógłby doprowadzić do mdłości. Na szczęście załoga była doskonale wyszkolona, zresztą do służby tak na myśliwcach, jak i jednostkach klasy niszczyciel czy fregata nie przyjmowano żołnierzy o słabych żołądkach. Tacy mogli znaleźć miejsce na lotniskowcach lub okrętach liniowych, na których zapewniano przyzwoitą sztuczną grawitację, a nie jej marną namiastkę, jak na wszystkim należącym do klas poniżej krążownika. Generatory sztucznej grawitacji pochłaniały zbyt dużo cennej mocy, żeby montować je na jednostkach nieprzeznaczonych do bardzo dalekich samodzielnych rajdów. Pancernik, lotniskowiec czy krążownik mogły transportować mniejsze jednostki w specjalnych dokach zarówno podczas normalnej podróży w przestrzeni, jak i w przypadku skoków nadprzestrzennych czy rozwijania prędkości nadświatłowej. Rzecz jasna, każdy niszczyciel był w stanie posługiwać się napędem zawijającym czasoprzestrzeń, aczkolwiek tutaj znacznie ograniczał go dystans. To także była kwestia energii, jaką miał do dyspozycji, oraz stosunku generatorów grawitacyjnych do masy okrętu.

Kolejny snop śmiertelnych drgań ominął pancierz o włos, Aidan prawie fizycznie odczuł wibrację trafionych osłon pola siłowego, chociaż wiedział, że to niemożliwe. W próżni nie było ośrodka zdolnego je przewodzić. Lecz dowódca miał świadomość, jakim przeciążeniom zostały poddane agregaty układu obronnego.

– Jeszcze mikrofałe niech włączą i będzie komplet... – mruknął kapitan.

Zaklął. Jak na zamówienie, na wyświetlaczu pojawił się meldunek alarmowy z działu nasłuchu. Przeciwnik właśnie uruchomił działa maserowe. Za chwilę miała pójść kolejna mordercza salwa. Co robić? Na tym dystansie użycie głowic termojądrowych było praktycznie niemożliwe. Po pierwsze, nie zdążyłyby się uzbroić po opuszczeniu wyrzutni, a gdyby nawet skrócić czas odbezpieczenia do minimum, sam niszczyciel oberwałby promieniowaniem na tyle mocno, że przeniknęłoby przez osłony i zdziesiątkowało załogę.

To właśnie była sytuacja bez wyjścia. Lecz za chwilę miało być jeszcze gorzej.

– Drugi okręt nieprzyjaciela na dziewiątej, trzy poniżej ekliptyki! – nadszedł meldunek.

Ten zbliżył się równie niepostrzeżenie jak pierwszy. Ale w jaki sposób? Nie podchodził przecież w ślepych polu. Nowa technologia? W dodatku u piratów? Tego Aidan nie mógł wykluczyć. W czasie wojny nowinki technologiczne wprowadza się z dnia na dzień. A przecież skoro naukowcy Cesarstwa pilnie pracowali nad coraz to nowszymi systemami maskującymi, inni również musieli gorączkowo prowadzić analogiczne poszukiwania. Te dwa okręty prawdopodobnie wyposażono w najnowsze ekrany, bo starsze rozwiązania zostały już rozszyfrowane. A zatem zaskoczenie nie było efektem uruchomienia przez niego silników i powstania ślepego pola. Aidanowi nieco ulżyło na tę myśl, ale w żaden sposób nie poprawiało to jego położenia.

– Odchodzimy! – powiedział. Nie było innego wyjścia. W tej chwili ożył odbiornik splątaniowy, w który – w drodze wyjątku – wyposażono okręt specjalnie na tę misję.

– Baza do kapitana niszczyciela „Sirene”, kapitana Aidana Samuela, informacja o sytuacji taktycznej. Dwa okręty liniowe wroga wdarły się w ugrupowanie Alfa. Powtarzam, dwa okręty liniowe wroga wdarły się w ugrupowanie Alfa. „Ronin” oraz lotniskowiec „Valetta” prowadzą pojedynkę artyleryjski. Dyrektywy: zapewnić osłonę w strefie dwieście trzy. Powtarzam, zapewnić osłonę w strefie dwieście trzy.

Kapitan zaklął w duchu. To oznaczało dwie rzeczy – nie mógł w tej chwili uciec w

nadprzestrzeń, bo pozostawiłby tym bandytom wolną drogę do wyznaczonej strefy, ale też sam nie miał co liczyć na wsparcie. Jeśli dwa pancerniki dostały się w środek Alfę, musiało tam być mnóstwo innych jednostek osłonowych wroga, i z pewnością wszyscy byli zbyt zajęci, aby zajmować się losem pojedynczego patrolowego niszczyciela. Niszczyciela, który w dodatku otrzymał już konkretne zadanie.

„Niech to wszyscy diabli” – pomyślał. „Nie dość, że mamy do czynienia z siłami Republiki, to jeszcze ci cholerni piraci. Skąd się tutaj wzięli? Może zwietrzyli łatwy łup?”

No tak, przecież początkowo miała iść tędy cała karawana statków transportowych. W ostatniej chwili odwołano konwój. Ci bandyci pewnie na nie właśnie czekali, a skoro się nie pojawiły, zaatakowali pierwszą jednostkę, jaka im się nawinęła. I pewnie chętnie poleciliby zaraz po zlikwidowaniu niszczyciela w rejon bitwy, żeby namieszać, a potem zwiać.

– Jakie rozkazy, panie kapitanie? – spytał nawigator. – Odejście przygotowane.

– Słyszałeś chyba – syknął Aidan. – Zostajemy. Maksymalny ciąg w pionie przez trzy sekundy. – Krótkim ruchem kciuka uruchomił interkom ogólny. – Wszyscy na miejsca! Grupy naprawcze, jeśli jeszcze tego nie zrobiliście, to przerwać natychmiast pracę, dotrzeć do najbliższych zabezpieczonych stanowisk! Alarm piątego stopnia!

Dopiero teraz miało się zacząć prawdziwe piekło.

– Manewry skokowe! – rozkazał kapitan. – Rozkład osiem!

Oficer łączności jęknął, a nawigator wyszczerzył zęby w wilczym uśmiechu. To oznaczało diabelską karuzelę, a właściwie czyste szaleństwo. Jeśli to przetrwają, będą musieli zadokować w najbliższym porcie i dokonać niezbędnych napraw, bo łajba w tym stanie może nie wytrzymać podróży do bazy macierzystej.

– Wykonać, Martinez!

To, co zaczęło się dzieć po upływie niecałej sekundy, mogło się przyśnić w najkoszmarniejszym ze snów. „Chociaż nie – pomyślał Aidan – żaden sen tego nie odda”. Trzy sekundy przyspieszenia ku dołowi sprawiły, że jego żołądek znalazł się w okolicach gardła. Potem nastąpiło szarpnięcie w lewą stronę, trwające około półtorej sekundy. Kolejne w dół na skos w lewo.

Manewrami skokowymi nie zarządzał komputer, ani elektroniczny, ani kwantowy, ale prosty kalkulator nawigacyjny, w którym doprawdy nie miało się co psuć, do tego zdublowany przez inne, równie proste urządzenie. Służyły właśnie do takich manewrów i przydawały się także w razie skutecznego ataku elektronicznego do prowadzenia okrętu. Po udanym ataku e-bombami tylko takie maszyny dawały gwarancję zachowania elementarnej kontroli nad okrętem. Rzadko się zdarzało, żeby broń elektroniczna zadziałała w pełni, ale w ferworze bitwy jakiś pocisk mógł przejść przez osłony energetyczne i system obrony informatycznej. Podczas dzikich manewrów tylko prymitywne urządzenia nie zawodziły. We wszystkim innym trzaskały obwody. Wprawdzie centralna jednostka logiczna była skonstruowana tak, żeby znosić ekstremalne warunki, jednak to, co działo się podczas manewrów unikowych, wykraczało poza pojęcie ekstremum, nieraz bardzo znacznie, zakłócając funkcjonowanie programów. Na wielkich jednostkach takie skoki były wykluczone, ale też dysponowały one niepomniernie lepszym i bardziej odpornym opancerzeniem. Po prostu nie musiały stosować cyrkowych sztuczek. Nie mogły nawet – w tradycyjnej czasoprzestrzeni masa miała swoje prawa i ograniczenia.

– Uruchomić baterie A i C – głos Aidana brzmiał obco, trząsł się, bardziej przypominał krakanie niż ludzką mowę. Ale słowa zostały wypowiedziane bardzo wyraźnie. W końcu wyszkolenie bojowe obejmowało także podobne sytuacje. Musiał tylko uważać, żeby przy kolejnym manewrze nie przygryźć sobie języka.

– Baterie A i C gotowe – rozległ się dźwięczny głos w głębi ucha. Sygnał przyszedł przez igiełki urządzenia, tkwiące bezpośrednio w kości. Kapitan mimo woli podziwiał wyszkolenie

i opanowanie porucznika Shadera, dowodzącego artylerią. Zdawało się, że głos mu nawet nie drżał. Chociaż wszystko dookoła tak wibrowało, że dowódca mógł po prostu tego nie słyszeć.

– Ostrzał bez namierzania – rozkazał Aidan. – Za dwie sekundy.

– Jest ostrzał bez namierzania!

Kapitan wdusił przycisk alarmu.

Szczęście w nieszczęściu, że byli sami w tej strefie, nie musieli się martwić, że chaotyczny ogień porazi kogoś przypadkowego. Cóż, gdyby w pobliżu znajdowały się jakiegokolwiek jednostki floty cesarskiej, Aidan nigdy by się nie odważył wydać podobnego rozkazu. I tak istniało ryzyko, że promienie laserowe, które nie uwięzną w celach, podążą w przestrzeń nie wiadomo dokąd i mogą dokonać jakichś zniszczeń. Lecz nie pora się o to martwić. Jeśli nawet taki promień zagrozi okrętowi cesarskiemu lub jednostkom handlowym, będzie podążał z takiej odległości, że załogi zdążą go wykryć i uniknąć albo zneutralizować.

Na starych okrętach, pływających w dawnych czasach po wodach Ziemi, każdą salwę odczuwał cały okręt i wszyscy, od bocianiego gniazda po czeluście maszynowni, wiedzieli, że oto rozpoczęła się walka z użyciem najcięższych baterii. Działa laserowe pracowały bezgłośnie, a i próżnia nie sprzyjała spektakularnym efektom, same promienie też były niewidoczne. Nie chodziło wszak o widowisko, lecz o skuteczność. Jednak przeszłość odciskała piętno na zwyczajach panujących obecnie. Jeśli tylko czas na to pozwalał, na wielkich okrętach wciąż rozwijano w czasie walki flagi pojedynku artyleryjskiego, imitujące te sprzed wieków – były wykonane z włókna węglowego i tak ukształtowane, aby wyglądały, jakby szarpały nimi powiewy wiatru. W marynarce zmieniało się wiele, właściwie wszystko, lecz pewne tradycje pozostawały świętością.

Jednak niszczyciel wykonujący schematy unikowe, wirujący jak bąk i podskakujący niczym spłoszony świerszcz, z taką flagą wyglądałby co najwyżej śmiesznie.

Aidan spróbował skupić wzrok na przyrządach. Dopiero po dłuższej chwili udało mu się znaleźć ikonę oznaczającą podjęcie pracy przez generatory zasilania laserów. Ciemniała i rozjaśniała się na przemian, w rytm pracy dział. Cztery pulsacyjne i cztery operujące długimi salwami. Gdyby w przestrzeni kosmicznej można było obserwować ich działanie, otoczenie „Sirene” mieniłoby się wszelkimi odcieniami tęczy.

– Przygotować działa kinetyczne – stęknął Aidan.

Tym razem porucznik Shader nie zachował się tak powściągliwie jak przed chwilą.

– To samobójstwo! – zaprotestował. – Jeśli pociski zerwą się z prowadnic...

– Powiedziałem „przygotować”, więc przygotuj! – przerwał mu kapitan. – Wykonać!

– Tak jest!

Aidan zacisnął zęby. Doskonale rozumiał wzburzenie podwładnego, jednak to jego mianowano dowódcą niszczyciela, to on ponosił odpowiedzialność za losy jednostki.

„Za losy okrętu tak – nadleciała natychmiast niechciana myśl – ale przecież one wiążą się nierozzerwalnie z losami całej załogi”. Ryzykował życie tych ludzi w sposób wykraczający poza wymogi służby i zdrowy rozsądek.

Natychmiast odsunął na bok wątpliwości. Admirał Gonzaga powiedziałby, że to skrupuły cywila. W wojsku nie było miejsca na takie przemyślenia. A na pewno nie podczas akcji, w samym środku huraganu.

– Martinez – znów wywołał nawigatora, tkwiącego przy konsoli manewrowej.

– Tak jest – odezwał się natychmiast drżący od wibracji całego pokładu głos.

– Dokonaj obliczeń. Przez pięć sekund jednostajny ruch wirowy pod kątem minus trzydziestu stopni. Po pięciu sekundach ciąg przeciwny, z odwrotnym wektorem kąta, aż do zatrzymania okrętu. Oblicz siłę i czas potrzebne do wykonania manewru oraz najbardziej prawdopodobną pozycję po nim. Wyniki podaj natychmiast na mój taktyczny.

– Tak jest!

– Słyszałeś, Shader? – spytał Aidan.
– Słyszałem, kapitanie.
– Jesteś w stanie...
– Jestem – przerwał mu porucznik. Złapał w lot ideę swojego dowódcy. Samuels skinął głową, jakby oficer mógł to widzieć.
– Strzały według twojego uznania – powiedział kapitan.
– Strzały według uznania – powtórzył Shader. Aidan mógłby przysiąc, że słyszy w jego głosie satysfakcję. – O ile ta pierdolona krypa nie rozpieprzy się podczas takiego manewru – dodał zaraz absolutnie nieregulaminowo, za to zgodnie ze stanem faktycznym.
– Albo nas wcześniej nie trafią – odpowiedział Aidan, puszczać mimo uszu wiązaną porucznika.

– Podaję wyniki – przerwał im sternik-nawigator. – Za dwadzieścia pięć sekund wchodzimy w ruch wirowy na pięć sekund. Ciąg przeciwny przez siedem i pół sekundy do zatrzymania okrętu. Przypuszczalna pozycja dziewięć-zero-trzy, kąt minus osiem-zero-siedem.

– Prawdopodobieństwo?
– Dziewięćdziesiąt osiem procent.
– Wykonać! Manewr za... – szybko spojrzął na stoper włączony przez sternika – jedenaście sekund. Robert, wystarczy ci czasu na obliczenia? – spytał Shadera.
– Już kończę – mruknął. – Niech Bóg ma nas w opiece.

Sześć sekund później skaczący okręt nagle zaczął się obracać z zawrotną prędkością, opadając jednocześnie skosem w dół. Lasery i masery przeciwnika straciły go na krótką chwilę z celowników. Kiedy już odzyskały cel, „Sirene” nagle odwróciła ciąg, co musiało spowodować prawdziwą burzę w przekazach skanerów i wszystkich innych urządzeń namierzających, ale też wprawiło okręt w rotację. Zaraz potem niszczyciel zaczął się wznosić, wirując, coraz wolniej, aż wreszcie zatrzymał się.

Aidan z zaskoczeniem, ale i zadowoleniem usłyszał, że Shader wydał rozkaz otwarcia ognia, zanim jeszcze wirówka się skończyła. Jak według uznania, to według uznania. Pewnie wiedział, co robi.

Pociski dział kinetycznych, przyspieszające do pięciuset g w ułamku sekundy, uderzyły w krążownik całą serią. Tego nie były w stanie wytrzymać systemy obronne zaskoczonego wroga. Wystarczyły dwa celne ładunki, żeby wybić solidne dziury w pancerzu i rozłupać trzy piętra dolnego pokładu.

Jednak drugi okręt, widząc dziwaczne manewry „Sirene”, a może nawet przewidując podstęp, wzniosł się wyżej, po przeciwnym skosie niż niszczyciel, otwierając jednocześnie ogień ze wszystkich dział.

Skoncentrowana salwa laserowa o włos minęła „Sirene”, ale strumień energii z maserów trafił w sam środek okrętu, przechodząc bez trudu przez osłabione tarcze. Tymczasem pociski z drugiego dział kinetycznego niszczyciela przefrunęły daleko od celu.

– O kurwa.

Tylko tyle zdążył powiedzieć Aidan, zanim wszystko dookoła pociemniało.

*

– Tak właśnie mogą się zakończyć ryzykowne manewry – oznajmił analityk taktyczny, odpinając pasy, którymi kapitan był przypięty do fotela. – Śmierć okrętu i całej załogi. Przez jeden niewielki błąd.

Aidan otarł usta dłonią. Na palcach zobaczył krew. Przygryzł sobie język, zapewne wypowiadając ostatnie słowo.

– Ten manewr w rzeczywistości akurat się udał – odparł opryskliwie. – Inaczej pokazywałbyś go jakiemuś idiotcie, demonstrując, jak to inny idiota beztrudnie rozpieprzył

cesarski niszczyciel.

– W rzeczywistości, owszem, daliście sobie radę. Ale tylko dlatego, że tamci zupełnie zgłupieli. Gdyby nie to, że nie umieli przewidzieć waszego idiotycznego zamysłu, fruwalibyście sobie dzisiaj gdzieś tam, razem ze szczątkami „Sirene”.

– Ale i tak załatwiliśmy teraz jeden, mimo twoich starań.

Analityk uśmiechnął się krzywo.

– To była tylko mała premia. W zasadzie powinienem go skierować synchronicznie z tamtym w przeciwnym kierunku. Wtedy nie miałyby pan nawet czasu na powiedzenie swojego „o kurwa”.

Aidan spojrział z obrzydzeniem na komorę symulatora, w której przed chwilą spoczywał. Przypominała lśniący biały sarkofag. Obok Martinez i Shader wychodzili z podobnych urządzeń.

– Następnym razem, zamiast wprowadzać okręt w dzikie harce – powiedział analityk – powinien pan zarządzić pozorowany odwrót, kapitanie.

– Tak – prychnął Aidan. – A oni by się na to na pewno nabrali. W dodatku wiedząc, że to ja dowodzę „Sirene”. Od razu by uznali, że to podstęp.

– A skąd mieliby wiedzieć, że to pan i właśnie „Sirene”, przecież jednostka nie była oznaczona...

– Nie pieprz – syknął Shader, prostując się z grymasem bólu. – Wiedzieli równie dobrze jak my, kto gdzie się znajduje. I skąd tam nagle piraci? Musieli im nas nadać republikańscy wywiadowcy. Mają przynajmniej tylu szpiegów w sztabie cesarskim, co my u nich. A przypuszczam, że więcej, bo nasi kochani grandowie są zbyt dumni, aby brudzić sobie ręce konkretną robotą agenturalną. Za to rewelacyjnie nadstawiają piersi pod ordery.

– Sieje pan defetyzm, poruczniku – napomniał go analityk. – W obecnej sytuacji...

– Mam to w dupie – Shader znów mu przerwał. – Jeśli się nie podobam sztabowi cesarskiemu, w każdej chwili admirał Gonzaga może rozwiązać mój kontrakt. Płakać nie będę, pracy dla dobrego najemnika jest dość gdzie indziej, choćby u piratów. Kogo jak kogo, ale mnie tu nic nie trzyma!

– Za takie słowa...

Analityk miał tego dnia złą passę, jeśli chodziło o wypowiedanie opinii.

– Przymknij twarz – uciał kapitan. – Robert dobrze mówi. A te wasze analizy – uczynił ruch dłonią, obejmując sterylne wnętrze laboratorium – można sobie w buty wsadzić. Wojna to nie rozmyślanie o konsekwencjach, tylko działanie. Przynajmniej w czasie bitwy. Mędrkować sobie możecie w sztabie, a najlepiej popisywać się w obliczu Jego Cesarskiej Wysokości.

– Z kasy cesarskiej wydano na ten ośrodek badawczo-treningowy ciężkie miliony. Jego Wysokość w swojej mądrości uznał, że jest konieczny, aby ograniczyć straty. Najnowsze zdobycze techniki...

– Och, zamknij się już – Shader powiedział to prawie błagalnie.

Aidana zastanowiło z kolei coś innego. Analityk mówił tak, jakby zwracał się nie do nich, ale wygłaszał swoje mądrości na użytek kogoś, kto ich obserwował.

– Inkwizytorze Lerma, zapraszamy do nas – zawołał kapitan. – Nie musi się pan kryć i stresować tego biedaka.

Analityk poczerwieniał, a potem zbladł, otworzył usta, jakby chciał zaprotestować, nic jednak nie powiedział.

– Sam Sebastian Lerma zaszczyił nas swoją niewidzialną obecnością? – spytał Shader. – Zapraǳnął popatrzeć na symulację? Na cudowne urządzenia najnowszej generacji?

Mimo ironii w głosie porucznika dał się słyszeć także niechętny, mimowolny podziw dla tej technologii. Rzeczywiście, wyposażenie laboratorium było imponujące. Maszyny myślące doprowadziły do perfekcji urządzenia symulacyjne. Uczyniły je doskonałymi do tego stopnia,

że ludzie poddani seansowi, który poziomem ingerencji w umysł daleko przekraczał najdoskonalszą hipnozę, podczas badania nie tylko czuli pełną realność sytuacji, ale często zapominali nawet, że to wszystko już się zdarzyło. To była okoliczność sprzyjająca, bo mogli modyfikować swoje postępowanie. Kapitan także doceniał rozwój techniki, ale tak, jak dał już temu wyraz, uważał cały ten cyrk za zupełnie zbędny.

Inkwizytor wszedł do sali, popatrzył władczo na analityka, który skurczył się, jakby chciał stać się niewidoczny. Podobnie wyniosłym spojrzeniem Lerma obdarzył Aidana, Shadera i milczącego, zszokowanego nawigatora. Kapitan i dowódca artylerii nie przejęli się zupełnie wzrokiem dostojnika, ale Martinez od razu wyprężył się jak struna.

– *Capitán de Navío*^[1] Aidan Samuels, porucznik Robert Shader i podporucznik Diego Martinez. Witam panów oficerów. – Lerma skłonił się lekko, a właściwie tylko poruszył głową w imitacji ukłonu.

[1] W Polskiej Marynarce Wojennej stopień ten odpowiada komandorowi, w brytyjskiej kapitanowi.

Jedynie w odniesieniu do kapitana, choć rozmawiali wspólnym, użył hiszpańskiego odpowiednika jego stopnia, doskonale wiedząc, jak to drażni Aidana.

– Co sprawiło, że sam wielki inkwizytor zechciał się do nas pofatygować? – spytał Samuels.

– A pan skąd wiedział, że to właśnie ja was obserwuję? – odpowiedział pytaniem na pytanie Lerma.

– Bo sprawy związane z szeroko pojętą nauką to pańska jurysdykcja.

– Mogłem przysłać jakiegoś młodszego inkwizytora.

– Nie do nas – zaśmiał się Aidan. – Nie pan i nie do nas. Don Sebastian znany jest przecież z tego, że lubi wiedzieć, co się dzieje w jego gospodarstwie. A żaden pełnomocny, choćby był najlepszym nawet urzędnikiem, nie jest w stanie ocenić tego, co zobaczy, tak precyzyjnie jak Wasza Ekscelencja we własnej osobie.

„Wasza Ekscelencja” powiedział takim tonem, że analityka przeszły ciarki z przerażenia. Rzucił szybkie spojrzenie na inkwizytora.

Jednak Lerma nie wydawał się urażony czy choćby poruszony. Usiadł na jedynym fotelu w pomieszczeniu, zresztą należącym do analityka. Założył nogę na nogę, oplótł kolano rękami. Wyglądał w tej pozycji jak posąg myśliciela z dawnych czasów. Szczupły, o ciemnych, przetykanych siwizną włosach i czarnych oczach, sprawiał wrażenie równie nieprzystępnego jak sam boski majestat, Jego Cesarska Wysokość. Jednak na Aidanie i jego oficerach nie robiło to większego wrażenia. Martinez otrząsnął się już, z powrotem usiadł na krawędzi sarkofagu.

– Racja. Chciałem na własne oczy zobaczyć, jak walczy sławny kapitan Samuels.

– Warto było porzucać w tym celu inne, z pewnością niezmiernie ważne obowiązki? – spytał z przekąsem Aidan.

– Myślę, że było warto. – Inkwizytor skinął poważnie głową. – Miałem okazję zaobserwować, jak nie powinno się tego robić. A właściwie w jaki sposób w ciągu dosłownie pięciu minut złamać co najmniej pięćdziesiąt punktów Regulaminu Służby Floty Kosmicznej Jego Cesarskiej Wysokości.

– Czyżby admirał Gonzaga postanowił się jednak ze mną rozstać? – Samuels zmrużył oczy. – Nie przypuszczałem, że zapragnie wyświadczyć mi tę łaskę właśnie teraz, kiedy wspomniana już niepokonana Flota Kosmiczna Jego Cesarskiej Wysokości bierze takie baty jak bodaj nigdy dotąd w swojej niezmiernie sławnej historii.

– Zbędny sarkazm, kapitanie – powiedział spokojnie inkwizytor. – Podobnie jak bezpodstawne są pańskie obawy. To tylko przyjacielska wizyta, nic więcej.

Aidan spojrział na Lermę spod oka.

– Z tego, co wiem – mruknął – i o czym zdążyłem się już nieraz przekonać na własnej skórze, urzędnicy cesarscy w randze inkwizytorów nie zwykli składać przyjacielskich wizyt.

Nawet tym, których nazywają szumnie przyjaciółmi, a ja się do nich wszak nie zaliczam. Inkwizytor powinien zawsze mieć na uwadze o wiele więcej niż zwykli ludzie.

– A także więcej widzieć i więcej słyszeć – uzupełnił Lerma.

– Właśnie. – Kapitan spojrzał na Martineza i Shadera. Zmarszczył brwi, widząc, że zaczynają szczerzyć zęby w przewidywaniu tego, co powie zaraz dowódca. – Przez to, że muszą tyle widzieć i słyszeć, nadzwyczaj często widzą i słyszą także rzeczy, których nie ma, albo...

– Niech pan nie kończy, kapitanie – ostrzegł inkwizytor. – Jak powiada stare przysłowie, słowo wyleci wróblem, a wróci wołem.

– Wróblem? – mruknął Martinez pod nosem.

Aidan usłyszał to.

– Wróbel to mały ptaszek, dawniej bardzo pospolity na Ziemi – wyjaśnił.

Martinez, który wychował się na dalekiej stacji kosmicznej, nadzorującej kolonię, niewiele wiedział o starym świecie. Nawet jeśli w szkole uczono podstawowych rzeczy, z pewnością żaden chłopak przy zdrowych zmysłach nie zapamiętywał tego wszystkiego. Są ciekawsze sprawy w życiu, nawet na ciemnych rubieżach świata.

Diego podziękował skinieniem głowy. Za to Shader nie zamierzał milczeć.

– Jego Dostojność czy jak tam zwać inkwizytora – szczerknął – skory jest do grożenia. Pewnie, mając za sobą potęgę i majestat Cesarstwa, łatwo zastraszać maluczkich. A wszak w Biblii napisano: „Cokolwiek uczyniliście jednemu z tych najmniejszych moich braci, mnieście uczynili”.

– Ewangelia świętego Mateusza, rozdział dwudziesty piąty, werset czterdziesty – przytaknął inkwizytor. – Tak dobrze zna pan Pismo Święte, poruczniku?

– Niekoniecznie. – Robert pokręcił głową. – Ale ten cytat po prostu zapamiętałem.

– Typowe. – Inkwizytor ukazał w uśmiechu śnieżnobiałe zęby. – Każdy czerpie z Biblii tylko to, co mu odpowiada, nie zważając na treści, które powinny dać zastanowienie.

Samuels wydał wargi. Może Lermie płacili za wygłaszanie takich komunałów, ale jemu na pewno nie dadzą premii za wysłuchiwanie tych mądrości.

– O co chodzi, inkwizytorze? – Machnął niecierpliwie ręką, uciszając zbierającego się do kąśliwej odpowiedzi Shadera. – Tylko krótko. Pobyt w tym symulatorze zabiera człowiekowi prawie tyle samo energii, co prawdziwa walka, więc jesteśmy zmęczeni i raczej nie mamy nastroju na jałowe pogawędki.

– O nic nie chodzi, panie kapitanie. Jak powiedziałem, zjawiłem się wiedziony ciekawością i życzliwością. Nie mam zamiaru sprawdzać waszej lojalności ani, Boże broń, kompetencji.

– Znakomicie – powiedział chłodno Aidan. – Bałem się już, że dostanę ojcowską reprimendę od Waszej Ekszelencji.

Lerma westchnął ciężko. Widać było, że rozmowa nie sprawia mu przyjemności. Kapitan zastanawiał się, dlaczego wszechwładny inkwizytor znosi ich niewybredne docinki. Coś musiało być na rzeczy.

– Nie wiem, dlaczego uważa pan, kapitanie, że koniecznie muszę zjawiać się gdzieś tylko po to, aby wypełnić jakieś obowiązki. Byłem ciekaw tej walki. W całej flocie cesarskiej krążą już o niej legendy. Ten manewr zapobiegł zniszczeniu pańskiego okrętu, a jednocześnie pozwolił uzyskać pozycję, z której uszkodził pan krążownik na tyle, żeby musiał się wycofać z walki, a dowódca pirackiego niszczyciela wolał nie podejmować pojedynku. Republikanie rzeczywiście wystawili pański patrol piratom, uznali, że to najsłabszy punkt, a samotny niszczyciel nie powinien sprawić kłopotów tym bandytom.

– Po to między innymi wysyła się patrole, żeby zapobiec zasadzkom. – Aidan wzruszył ramionami. – Ale w tym przypadku rzeczywiście, zamiast stanowić tylko element systemu ostrzegania, musieliśmy się bić. Nie było czasu na wyrefinowaną taktykę i rozważania. Czysta

improwizacja.

Lerma uśmiechnął się. Aidan obserwował go uważnie. Takie typy, nawet jeśli śmiały się całą gębą, miały zawsze zimne, nieruchome spojrzenie. Lecz w tym przypadku z zaskoczeniem stwierdził, że oczy inkwizytora zmieniły wyraz. Straciły chłodną, profesjonalną czujność, jakby męczyzna pozwolił sobie na małe odprężenie. Jednak już po chwili wszystko wróciło do normy, źrenice Lermy przewierciły kapitana.

– Jeśli to była improwizacja – powiedział urzędnik cesarski – to szkoda, że nie jest pan wirtuozem fortepianu. To taki starożytny instrument klawiszowy, działający bez dopływu energii elektrycznej – wyjaśnił Martinezowi.

– Wiem. – Podporucznik zgrzytnął ze złości zębami. – Aż taki niedouczonej nie jestem.

– Nigdy nic nie wiadomo – rzucił lekceważąco inkwizytor. – Nie wiem nawet, czy w takiej kolonii jak ta, na której się wychowałeś, mówi się w ogóle we wspólnym, czy tylko bełkocze w jakimś półpirackim narzeczu.

Aidan popatrzył zdziwiony na Lerme. Znali się od paru lat, może trudno byłoby ich wzajemne stosunki określić jako dobre, ale Sebastian zawsze zachowywał nienaganne maniere. Coś musiało go gryźć, skoro wyładował frustrację na niewinnym Diegu. Zapewne nie miał wielu powodów, aby lubić kolonistę i byłego pirata, ale też i Martinez od dawna piratem nie był, pozostając w służbie Jego Cesarskiej Wysokości.

– Mówi się – odparł ze złością podporucznik. – Może nawet lepiej niż w pewnych kręgach w pałacu cesarza. Słyszałem, że więcej tam niegramotnych, niedomytych szlachciców niż ludzi prawdziwie oświeconych.

Teraz Aidan przeniósł równie zdziwione spojrzenie na Martineza. Chłopak rzadko bywał pyskаты w stosunku do obcych, trzeba mu było mocno nadepnąć na odcisk, żeby wywołać złość, a w dodatku bał się inkwizytorów jak ognia. Nic dziwnego: widział na własne oczy, co potrafią wyczyniać urzędnicy Jego Wysokości ze schwytanymi piratami. Sam o mały włos byłby padł ich ofiarą.

– Dość tego dobrego! – uciął wreszcie kapitan.

Spojrzał na analityka. Naukowiec słuchał rozmowy z otwartymi ustami. Samuels postawiłby roczny żołd na to, że biedak miał poczucie, jakby obudził się w innym świecie. Z pewnością nigdy nie słyszał, aby ktokolwiek w ten sposób odnosił się do dostojnika na tak wysokim stanowisku jak Lerma.

– Don Sebastianie, jeśli rzeczywiście przybył pan do nas bez żadnej misji, zadania i tym podobnych rzeczy, proszę pozwolić się pożegnać. Musimy odpocząć, bo potem przyjdzie czas na pisanie raportów.

Skrzywił się na samą myśl. Nienawidził papierkowej roboty, a po każdej wyprawie, po każdym patrolu trzeba było wypełniać stosy dokumentów. Wojna wymagała ofiar nie tylko z życia, ale i prywatnego czasu marynarzy i żołnierzy. A na pewno oficerów. Były chwile, w których zazdrościł piratom. Wprawdzie żyli w poczuciu zagrożenia, zwalczani przez obie strony konfliktu, wykorzystywani przez nie przy każdej sposobności, ale przynajmniej kiedy rozwalili albo zajęli jakąś jednostkę, nie musieli ślęczeć przez pół nocy, aby to opisywać i motywować decyzje.

– Oczywiście, kapitanie, oczywiście. – Lerma powrócił do zwykłej uprzejmości. – Nie zatrzymuję w takim razie, tym bardziej że chciałbym zadać jeszcze kilka pytań naszemu przyjacielowi.

Wskazał niedbałym gestem analityka, który zbladł i na chwilę przestał oddychać.

Aidan kiwnął głową na pożegnanie, Shader byle jak zasalutował, a Martinez udawał, że inkwizytor stał się powietrzem.

– Kurwa, kurwa, kurwa – bluzgał Martinez, kiedy szli korytarzem. – Co za świnią! Co za pierdolona świnią!

– Świnią to zwierzę hodowlane, słynące z upodobania do tarzania się w błocie, panie kapitanie – Shader z kamienną miną zwrócił się do Aidana.

– Ty, kurwa, też?! – zapienił się Diego. – Uwzięliście się na mnie?

– Nie klnij już tak – upomniał go Aidan. – Panuj nad sobą. Lerma zamierzał cię sprowokować i udało mu się znakomicie, jak widać. Najpierw myślałem, że to jemu nerwy puściły, ale uważam, że chciał cię wyprowadzić z równowagi.

– Ale po co?

– Diabli wiedzą. Ale tacy jak on nic nie robią bez powodu. Może chciał zobaczyć twoje reakcje? O ile wiem, z wykształcenia jest psychologiem.

– Ale to, co powiedział teraz Robert, to już było z czystej złośliwości!

Samuels westchnął. Martinez był świetnym nawigatorem, miał matematyczny, logiczny, arcylogiczny wręcz umysł, ale wciąż pozostawał prostaczkim z dalekiej prowincji. I nie rozumiał konwencji niektórych żartów.

– Shader nie zakpił w tej chwili z ciebie, lecz raczej z inkwizytora. Nie łapiesz?

Martinez nadął się.

– Tylko szyper może się ze mnie nabijać – oznajmił. – Nikt więcej!

Uparcie nazywał Aidana szyprem, tak jak swojego dowódcę na okręcie piratów. Kapitanowi to nie przeszkadzało, pod warunkiem że nie zdarzało się w sytuacjach oficjalnych.

– Nie histeryzuj już, młody – mruknął Shader. – Mnie bardziej ciekawi, po jaką cholere ten kutas się przyczółgał.

– Albo ma coś do nas, albo do tego nieszczęsnego analityka – odparł Aidan. – Facet był tak błąd, że prawie zsiniał.

– Albo jedno i drugie – dodał Shader.

– Albo jedno i drugie – zgodził się Aidan. – Niech mnie diabli zresztą, jeśli to był zwykły analityk taktyczny, bo doprawdy niewiele miał do powiedzenia na temat samego przebiegu akcji. Ale teraz nie będziemy o tym myśleć. Chodźmy się zabawić, a potem spać. To znaczy wy spać, a ja pisać cholerny raport.

*

– Co powiesz, doktorze? – spytał Lerma.

Analityk przełknął ślinę tak głośno, że zabrzmiało to, jakby mu zaburczało w brzuchu.

– A co chciałby pan wiedzieć, Ekscelencjo?

– Chciałbym poznać twoją opinię na temat kapitana i jego towarzyszy.

– To znakomici żołnierze, Wasza Ekscelencjo.

Inkwizytor pokręcił głową jakby w wyrazie rezygnacji, a potem nagle oczy groźnie mu rozbłyły.

– To wiem bez ciebie, doktorze – wycodził. – Wszyscy, cała Flota Kosmiczna Jego Cesarskiej Wysokości, wiedzą doskonale, że Samuels, Shader i Martinez to doskonały zespół, wart pięciu albo i dziesięciu innych takich grup. Wszyscy wiedzą też, że każdy z nich również indywidualnie jest wart więcej, niż waży w złocie albo i platynie. Nie o to pytam i dobrze o tym wiesz. Słucham.

Analityk odetchnął głębiej, skupił się. Niełatwo rozmawiać z kimś, kto jednym słowem bez trudu może wynieść człowieka do wielkich godności, a jeszcze łatwiej strącić go w otchłań beznadziei, wepchnąć w objęcia śmierci lub znacznie od niej gorszej hańby.

– Gdybym miał ich określić jednym słowem – zaczął – powiedziałbym, że to szaleńcy.

– Bardzo naukowe określenie – zauważył z przekąsem Lerma.

– Lepsze nie przychodzi mi do głowy – odpowiedział naukowiec. – I z tego, co wiem,

wszyscy, którzy ich poprzednio diagnozowali, używali podobnych określeń.

– Nie interesuje mnie, co mówili twoi poprzednicy – uciał ostro inkwizytor. – Chcę poznać twoją niezależną opinię.

Analitik skłonił się lekko. Powinien się czuć wyróżniony, że sam don Sebastian pragnie się z nim konsultować, ale jakoś nie potrafił wykrzesać z siebie entuzjazmu. Każde spotkanie z inkwizytorem mogło się zakończyć tragicznie. Cesarские psy. Tak o nich mówiono. Dawniej, bardzo dawno temu, kiedy Hiszpania była ziemskim mocarstwem, kazali się określać jako boże psy. Lecz wówczas władca nawet jeśli mienił się cesarzem, następcą Boga na Ziemi, to nie koronował się na głowę całego Kościoła. I nie był panem ponad trzech czwartych poznanego wszechświata. A poza tym istniała wtedy jakaś tam Hiszpania, jakaś tam Anglia, Ameryka, Meksyk, Brazylia... Teraz liczyła się tylko przynależność do Cesarstwa lub Republiki.

– Jak powiedziałem, są szaleni. A raczej wydają się tacy. Bo to nie jest szaleństwo z gatunku choroby psychicznej, lecz pewien rys osobowości. Rzekłbym, że wszyscy trzej posiadają patologicznie wysoką odporność na stres. A przy tym charakteryzuje ich niesamowicie rozwinięty instynkt samozachowawczy, wola przetrwania.

– Rozumiem. – Lerma kiwnął głową. – Szaleni, ale nie głupi.

– W żadnym wypadku! – zapewnił gorliwie analitik. – Kapitan Samuels ma inteligencję na poziomie bliskim stu pięćdziesięciu jednostkom w teście Goldmanna, a Shader osiąga jeszcze więcej, bo sto sześćdziesiąt pięć. Nawet wynik Martineza plasuje się w okolicach stu trzydziestu, chociaż ma spore braki w pewnych skalach z racji kiepskiego wykształcenia.

– Inteligencja jeszcze o niczym nie świadczy – powiedział don Sebastian. – Opowiedz mi o innych ich zdolnościach, przymiotach i wadach. O wszystkim, co zaobserwowałeś podczas symulacji, co wyczytałeś z zapisów komputera kontrolnego niszczyciela. Mam nadzieję, że uwierzyli, iż jesteś tylko zwykłym analitikiem taktycznym, a nie specjalistą od osobowości?

– Nie mieli powodu wątpić, Wasza Ekscelencjo. Potraktowali mnie dokładnie tak, jak traktują każdego mędrka przysłanego przez sztab... – Analitik zreflektował się. – Przepraszam...

– Nie ma powodu do przeprosin. Sam uważam tych durniów od analizy taktycznej za zwykłych trutki i darmożądów. Jednak generałowie Jego Wysokości upierają się, że zbierane przez nich informacje są niesłychanie cenne dla prowadzenia działań wojennych. Chociaż, jak to barwnie określił nasz przyjaciel kapitan Samuels, Flota Kosmiczna Jego Cesarskiej Wysokości bierze takie wciry jak nigdy dotąd, pomimo dogłębnych analiz taktycznych.

– A może to właśnie przez takie analizy? – Doktor nabrał nieco odwagi.

– Niewykluczone – głos Lermy stał się lodowaty. – Jednak nie oczekuję od ciebie, mój panie, opinii na temat kondycji sztabu, ale ciekawi mnie twój pogląd na tych trzech oficerów.

– Tak jest, Wasza Ekscelencjo. – Doktor znów wycofał się, skulił w sobie. Postanowił więcej nie wychylać nosa poza swoją działkę. – Mają skłonności do brawury, jednak potrafią kontrolować emocje nawet w ekstremalnych sytuacjach. Dotyczy to szczególnie kapitana Samuela i porucznika Shadera. Podporucznik Martinez ma większą skłonność do wybuchowości, lecz autorytet dowódcy tonuje jego impulsywność.

– A jakieś wady? – spytał z nutką niecierpliwości inkwizytor. – Bo na razie wymieniasz mi same plusy.

– Wady mają ścisły związek z mocnymi stronami tych ludzi. Brawura niezwykle często prowadzi do kłopotów, nawet śmierci. Najsłabszym ogniwem wydaje się, jak już zasygnalizowałem, Diego Martinez, który posiada najmniejsze doświadczenie i, jak już podkreślałem, jest najgorzej wykształcony. Wciąż jeszcze, mimo upływu lat, odzywają się w nim nawyki, jakich nabył, służąc na okrętach piratów.

– Przekłęte kolonie – głos Lermy był w tej chwili zaskakująco łagodny, zupełnie jakby nie

mówił o wrzodzie naciele imperium, ale jakiejś zupełnie obojętnej sprawie. – Wylęgarnia bandytów. Ale za to dzielnych i wojowniczych bandytów, muszę przyznać – dodał. – Gdyby zasilili nasze szeregi, wojna z Republiką byłaby o wiele łatwiejsza.

Analitik pomyślał, że gdyby z kolei dołączyli do republikanów, cesarska flota dopiero miałaby twardy orzech do zgryzienia.

– Tak, doktorze – powiedział cicho don Sebastian – gdyby przeszli na stronę wroga, mielibyśmy naprawdę poważny problem.

Naukowiec wytrzeszczył oczy. Inkwizytorami zostawali najlepsi z najlepszych, najinteligentniejsi z inteligentnych, ale, u Boga Ojca, nigdy nie słyszał, żeby werbowano ich spośród telepatów czy innych ekstrasensów! Co więcej, właśnie dla ludzi wyposażonych w tak zwane zdolności paranormalne kariera w inkwizycji była zamknięta. Im pozostawała służba w innych agendach.

– Nie wytrzeszczaj tak na mnie oczu, doktorze. – Lerma zaśmiał się krótko, widząc minę rozmówcy. – Nie umiem czytać w myślach, nie obawiaj się. Jednak jestem na tyle inteligentny i sprytny, aby się domyślić, co ci chodzi po głowie. I nie tylko tobie. – Spowaźniał. – Nie masz pojęcia, ile trudu kosztuje nas utrzymanie piratów z dala od wpływów Republiki. Wszak skoro nie możemy ich przyjąć pod nasze skrzydła, tym bardziej nie wolno pozwolić, aby opowiedzieli się po stronie wroga. A ci przekłęci republikanie z wielką chęcią posłużyliby się piratami. Ślą tam emisariuszy bez ustanku. No cóż. – Uśmiechnął się lekko. – My także.

Analitik odetchnął z ulgą. Inkwizytor telepata byłby kimś absolutnie koszmarnym. A może raczej czymś koszmarnym. Nie tylko dla takich ludzi, jak przesłuchiwany naukowiec, ale dla wszystkich dookoła. Pewnie właśnie dlatego nie brali ekstrasensów do tej służby. I dlatego jeszcze, że ludzie wyposażeni przez naturę w podobne zdolności nader często bywali niestabilni psychicznie.

Co do piratów, krążyły różne plotki. Byli nawet tacy, którzy utrzymywali, że bandytów ze zbuntowanych kolonii od samego początku tak naprawdę opłacały obie strony konfliktu. Jeszcze przed rozpadem Hegemonii Ziemi musiał istnieć jakiś pretekst dla utrzymywania silnej floty wojennej. Sam majestat władzy i autorytet ówczesnego prezydenta nie wystarczyłyby jako argument przy ustalaniu budżetów przez parlament. I tak to poszło. Kiedy chodziło o pieniądze, ludzie mający wpływ na władzę okazywali o wiele więcej zdrowego rozsądku niż w innych przypadkach. Na wyprawy badawcze, które mogły przynosić wymierne zyski, nie żalowali środków, ale utrzymywanie armii, która w związku z istnieniem wszechpotężnej Hegemonii wydawała się zbędna, bardzo prędko zaczęło ciążyć. Parlament stał się widownią nie tylko ostrych wymian poglądów, ale nawet rękoczynów. Doszło do tego, że podczas jednego z posiedzeń gwardia musiała interweniować, aby zapobiec przelewowi krwi. Zarówno Izba Niższa, jak i Rada Najwyższa zaczęły skłaniać się ku cięciom na wojsko, a na pozornie nieugiętej, granitowej postawie prezydenta pojawiły się pierwsze rysy wątplenia.

Po rozbiciu Hegemonii na Cesarstwo i Republikę sprawy z miejsca się unormowały, piraci zaś stali się czynnikiem niepożądanym, a jednocześnie niezbędnym w ustalaniu chwiejnej równowagi politycznowojskowej. Rzecz, jak zawsze, szła o finanse i różnorakie subwencje oraz kontrakty. Z początku – mimo schizmy i ostrej wymiany not oraz ultimatów – panował spokój. Znowu rozległy się głosy o ograniczeniu środków na wojsko.

Wtedy właśnie, jak na zawołanie, odbył się pierwszy rajd piratów na stacje kosmiczne położone w najbliższych okolicach kolonii, zarówno cesarskich, jak i republikańskich. Wybuchła panika, bo na początku nie było wiadomo, kto właściwie dokonał napaści. W mediach pojawiły się spekulacje na temat obcej rasy, charakteryzującej się niepokonaną agresją. Informacyjny zamęt trwał prawie dwa lata, a przez ten czas nie tylko wycofano wszelkie projekty ograniczenia wydatków na wojsko, ale na potęgę budowano krążowniki, pancerniki i lotniskowce, nie wspominając o całym mrowiu mniejszych jednostek. Stocznie

wojenne przeżywały rozkwit. A kiedy okazało się ostatecznie, że domniemana inwazja obcych zrodziła się w sprytnych umysłach sztabów, że wielka flota imperium ma przeciwko sobie tylko kilkadziesiąt niezbyt wielkich, choć groźnych okrętów pirackich, było za późno, żeby cokolwiek zmienić. Po drugiej stronie wyglądało to bardzo podobnie.

Ale skoro już pojawiły się jednostki wojenne, trzeba było uzasadnić ich istnienie. Nic dziwnego więc, że niedługo potem rewizjoniści republikańscy, sprowokowani zresztą śmiałym rajdem okrętów imperium, wszczęli wojnę z Cesarstwem pod sztandarami walki o wolność dla uciśnionych poddanych cesarza. Dzięki temu okręty zyskały szansę wykazania swojej przydatności. W samą porę, bo parlamentarzyści, uspieni spokojem, znów zaczęli debatować nad sensownością utrzymywania takiej liczby jednostek bojowych. Na zlecenie przewodniczącego Izby Niższej Rady Cesarskiej grupa inżynierów przygotowała już nawet plany przekształcenia głównego okrętu flagowego, lotniskowca „Generał Cortez”, w jednostkę badawczą dalekiego zasięgu.

– Pozwoli się pan pożegnać, doktorze. – Inkwizytor skierował się ku drzwiom. – Dziękuję za poświęcony mi czas i pomoc.

– Ależ nie ma za co – odparł kurtuazyjnie analityk.

Don Sebastian odwrócił się z dłonią zawieszoną nad płytką mechanizmu otwierania.

– Rzeczywiście, nie ma za co – powiedział, mrużąc oczy. – Niewiele mi pan pomógł. Gdybym się kierował pana wnioskami, powinienem natychmiast pozbyć się kapitana Samuela i jego oficerów. Tymczasem po tym, co zobaczyłem podczas symulacji, jestem jeszcze bardziej niż przedtem przekonany o ich przydatności. To nie są wariaci. Nie wiem, czy pan zauważył, jak Samuels kalkulował ryzyko. Zapewne nie, bo nigdy nie był pan w ogniu walki. Niemniej dziękuję.

Analityk bez słowa przełknął gorzką pigułkę, poczerwieniał tylko.

– Oczywiście wszystko, co zostało tu powiedziane, pozostaje między nami – dodał Lerma.

– Oczywiście – przytaknął gorliwie naukowiec. O mały włos byłby dodał: „Przecież tak naprawdę nic wielkiego powiedziane nie zostało”, ale ugryzł się w język. Kto tam może wiedzieć, co drzemie w głowie takiego inkwizytora i co jest dla niego ważne.

NIC OSOBISTEGO

Aidan dyszał ciężko jak po bardzo długim biegu. Ależ dostał wycisk! Żaden trening w wojskach desantowych, od których zaczynał swoją karierę, żaden forsowny czterdziestoośmiogodzinny marsz nie wyssał z niego sił aż tak dalece. Nawet szkolenie myśliwskie było chyba łatwiejsze. Opadł na plecy, cały mokry, pragnąc już tylko jednego – zasnąć.

– Dobrze ci było, misiaczku? – rozległ się zmysłowy, leniwy głos.

Nie cierpiał, kiedy go nazywała misiaczkiem, ale nie zaprotestował. Mówiła tak pewnie do wszystkich klientów. Nie zapamiętywała imion, chociaż mogła, bo też do niczego nie było jej to potrzebne.

– Niesamowicie – odpowiedział zgodnie z prawdą. – Gdybym mógł, zabierałbym cię ze sobą na wyprawę.

– I pieprzyłobyśmy się w kosmosie? – spytała z ożywieniem. – Opowiedz mi o tym.

– Nie teraz – mruknął. Po spełnieniu nie miał ochoty na erotyczne wynurzenia i pikantne rozmowy.

– Dobrze, misiaczku. – Potargała jego krótko przystrzyżone włosy. – Następnym razem, tak?

Podniosła się z okrągłego łóżka. Pasowało do niej, a właściwie pasowało skojarzenie, jakie przyszło Aidanowi do głowy. Bo ta suczka mogła się rznąć na okrągło. Od tego w końcu była, do tego służyła. Po takim seansie, jaki mu urządziła nie dalej jak pięć minut wcześniej, wyglądała, jakby w ogóle nic nie zaszło, byłaby gotowa na ciąg dalszy, gdyby pojawiła się taka potrzeba. Przeleciało mu przez głowę, że gdyby faktycznie mógł ją zabrać na pokład okrętu, skończyłby z nadmiaru seksu najdalej w ciągu tygodnia. Nie mówiąc o tym, że Cornelia z pewnością zdołałaby zamęczyć przy okazji całą załogę niszczyciela. Więcej, przypuszczał, że poradziłaby sobie z obsługiem flagowego lotniskowca cesarza, rznąć wszystkich – od kapitana począwszy, na ostatnim kuchcie skończywszy. I nie byłoby to jej ostatnie słowo. Tak, ale jako się rzekło, od tego była, do tego właśnie została stworzona.

Aż się wzdrygnął na myśl, ilu mężczyzn już ją posiadało. Kiedy wchodził do jej królestwa, nie zastanawiał się nad tym. Po dwumiesięcznym rejsie organizm domagał się swego, nie do rozmyślań mu było. Ale teraz Aidan zapragnął nagle wyjść stąd jak najszybciej, wrócić do swojej kwatery, wziąć długi, gorący prysznic, splukać z siebie plugastwo burdelu. Senność odeszła, zastąpił ją niesmak. Za każdym razem to samo. Zazdrościł marynarzom, którzy mieli żony. Tak – tęsknili, było im trudno, rozwodzili się, ale przynajmniej przez jakiś czas mieli do kogo wracać. I wiedzieli, że ktoś za nimi tęskni. Na niego nikt nie czekał.

– Posmutniałeś – zauważyła Cornelia. – Dopadły cię objawy *post coitum*?

– Co powiedziałaś? – Otrząsnął się. – Wybacz, ale nie dosłyszałem.

– *Post coitum omne animals triste est, sive gallus et mulier.*

– Jezu, dziewczyno – jęknął – myślisz, że znam łacinę?

– To znaczy, że po stosunku wszystkie zwierzęta są smutne, wyjąwszy koguta i kobietę. Stare przysłowie, przypisywane Galenowi.

Aidan aż zazgrzytał zębami. Cornelię poza skrajną rozwiązłością charakteryzowała również przerażająca elokwencja oraz koszmarnie rozległa wiedza.

– A ten Galen to kto znowu? – mruknął i zaraz tego pożałował.

– Zamiast tych bzdur o taktyce – powiedziała – mogliby was uczyć trochę więcej o historii i filozofii. To się bardziej przydaje.

– I ucza – odparł. – Tylko widzisz, to się właściwie wcale nie przydaje.

– Tak – prychnęła pogardliwie.

Podeszła do nanolustra, przeciągnęła się. Jej absolutnie doskonałe ciało powtórzyło ruch na taflę po około sekundzie. Cornelia obserwowała się, a kapitanowi wydawało się, że sprawia jej to wielką przyjemność. Ale to było niemożliwe. Nie mogła przecież odczuwać ani komfortu, ani dyskomfortu.

– Uczą was dziejów wojskowości i paru innych nieważnych bzdur. A Galen, mój smutny ogierze, to starożytny lekarz i mędrzec. Rzymski lekarz greckiego pochodzenia. Duchowy spadkobierca Hipokratesa, największego z medyków Grecji.

Kapitan patrzył na kobietę i nagle ze zdziwieniem zauważył, że jej protekcyjny ton go niespodziewanie mocno podnieca. Czy właśnie coś takiego miała w programie i ofercie? Możliwe.

– Ciekawe, czy współcześni Grecy wiedzą, że mieli takiego przodka.

– Współcześni Grecy nie mają nic wspólnego ze starożytnymi – znów przemawiała pouczającym tonem. – Tak samo jak w większości Anglicy, Hiszpanie i inni tacy z dawnymi mieszkańcami krajów, z których niby pochodzą. Dobrze o tym wiesz. Po dawnych kulturach zostały tylko określenia i nazwiska, chociaż i one często są porzucane w zupełnie przypadkowy sposób.

– To prawda i nieprawda – odparł. – Miałem w załodze Murzyna nazwiskiem Campbell i Duńczyka o imieniu Mwebe. Podobno w dawnych czasach rzecz nie do pomyślenia. Ale z drugiej strony wielu z moich ludzi wciąż kultuwyje zwyczaje ziemskich przodków. Indianin Navajo opowiada o Wielkim Duchu, co nie znaczy, że w niego wierzy. Ale tradycja pozostała, to wyjątkowo twarda suka. Ja mam celtyckich przodków i jakoś bardziej do mnie trafia muzyka MacMardocha niż chociażby Rudo Hiacinto. Gdzieś w genach to zostaje. Czas nie jest w stanie zatrzeć pewnych różnic.

– Nie jest w stanie zatrzeć... – Zamyśliła się, znieruchomiła. Lustro powtórzyło jej ostatni ruch, odbicie także zastygło. – Co to w ogóle znaczy? Czas dla człowieka jest jak płynąca woda, ale dla natury...

– Daj już spokój – zniecierpliwził się. – I chodź tu do mnie!

Spojrzała nieco zaskoczona.

– Masz jeszcze ochotę? – spytała.

Nie do końca chodziło mu o powtórkę upojnego seksu. Chciał, żeby przestała się już wymądrzać, bo zaczynała go powoli drażnić, a nie podniecać. Ale też zapragnął znów się przytulić do ciepłego kobiecego ciała.

A potem zastanowił się, wsłuchał w siebie.

– Mam ochotę – odpowiedział zdecydowanie. – Zróbmy to jeszcze raz!

Gdyby Cornelia potrafiła być szczęśliwa, to za objaw owego szczęścia brałby właśnie taki uśmiech, jakim go teraz obdarzyła. Lecz ona przecież nie mogła poznać tego uczucia. Była tylko dziwką. Dziwką z najwyższej półki, tworem doskonałym, lecz zawsze tylko zwykłą dziwką.

Dziwki nie mają prawa do uczuć. Co więcej, dziwki absolutnie nie mają uczuć. To wiedział z całą pewnością, na mgnienie oka znów poczuł do siebie odrazę, jakby cudzymi oczami zobaczył z boku fałsz całej sytuacji.

– Ale tym razem zaczniemy od tego – oznajmiła, klękając przed nim i odsłaniając ukryte za zwiewnym szalem łono. – Połóż się wygodnie...

Poczuł jej zapach, oszałamiającą mieszankę drogich perfum i rozgrzanego ciała. Zakreśliło mu się od tego w głowie, posłusznie legł na łóżku i z przymkniętymi oczami czekał, aż Cornelia zacznie. Pochyliła się, położyła mu dłonie na piersiach.

Czekał cierpliwie.

Lecz nic się nie działo. Zupełnie nic. Czuł tylko jej ciężar, ale nie zmieniała pozycji.

Otworzył oczy. Cornelia klęczała, zupełnie nieruchoma, z twarzą tuż poniżej linii jego wzroku. Co się stało?

W tej chwili kobieta rozchyliła usta, a pomiędzy pysznych warg rozległ się mdły, aksamitny głos. Męski głos.

– Kapitanowie wszystkich jednostek handlowych i wojennych proszeni są o stawienie się w centrum odpraw. Powtarzam, kapitanowie wszystkich jednostek handlowych i wojennych proszeni są o stawienie się w centrum odpraw. Obowiązują mundury wyjściowe.

Poderwał się, zrzucając z siebie skamieniałą dziwkę.

– Szlag by to trafił – warczał, wbijając się w uniform. – Chwili spokoju nie ma.

Cornelia przetoczyła się na bok, a potem powoli na plecy. Przypominała żuka, który udaje martwego, jeśli go ktoś dotknie. Szklane oczy wbite były w sufit, pierś nie poruszała się.

– Kurwa mać – zaklął Aidan. – Musieli to zrobić właśnie teraz i w taki sposób?

*

W centrum odpraw klębił się kilkudziesięcioosobowy tłumek. Dowódcy jednostek kosmicznych spoglądali na siebie pytająco, niektórzy próbowali dopytywać, o co chodzi, jednak nikt nie wiedział, skąd ten alarm. Na pewno powodem nie było zagrożenie ze strony Republiki – w układzie znajdującym się w samym środku imperium urlopowani marynarze byli bezpieczni jak w uchu, tutaj nikt nie mógł się wedrzeć. Przynajmniej na razie.

– Zapraszam panów. – Na głównej ścianie, która była zarazem monitorem, pojawiła się smągła twarz wiceadmirała Corrana. – Dowódcy jednostek wojennych proszeni są do auli B, dowódcy floty handlowej do auli F.

Aidan skierował się wraz z innymi do drzwi, nad którymi rozświetliła się wielka, opalizująca litera. Shader z Martinezem już wrócili na „Sirene”, większość załogi też powinna znajdować się na pokładzie.

Kapitan westchnął ciężko. Liczył na zasłużony odpoczynek, a już trzeciego dnia urlopu ogłoszono alarm. Wolałby w tej chwili być na patrolu. Człowiek jest wtedy przygotowany na dwie skrajne rzeczy: na niespodzianki lub śmiertelną nudę. Wracając do bazy, liczył także na dwie rzeczy i też dość skrajne: święty spokój oraz rozrywkę. Ale na pewno nie życzył sobie, aby tą rozrywką była nagła mobilizacja. Wciąż jeszcze czuł ciarki na plecach, kiedy przypomniał sobie znieruchomiałą dziwkę, a przede wszystkim męski głos wydobywający się z jej ust.

„Nigdy więcej!” – obiecał sobie.

Następnym razem poderwie jakąś panienkę w barze albo pójdzie do normalnego burdelu, gdzie nie oferują usług fembotów, choćby nie wiadomo jak wyspecjalizowanych. Lepiej już zaryzykować jakąś „wesołą” chorobę, niż czuć się na koniec, jakby człowiek wydymał kawałek plastiku.

Ale wiedział, że po długim rejsie znów w jakimś lupanarze odnajdzie fembota typu Cornelia. To był jego fetysz i jego słabość. Rysa na charakterze dzielnego i nieugiętego dowódcy. Rysa, o której nie wiedział nikt, nawet Shader, choć służyli razem od piętnastu lat, a znali się jeszcze dłużej.

– Uważaj! – syknął ktoś za jego plecami.

Odwrócił głowę.

– Witaj, Amando – powiedział z krzywym uśmiechem.

– Jeśli nie umiesz nosić rapiera, to przypinaj kordzik! – upomniała go kobieta.

Zdawał sobie doskonale sprawę, że tylko się czepia, powiedziała to, żeby się odezwać. Na idiotyczny ceremoniał nakazujący noszenie białej broni bocznej klęli wszyscy bardzo zgodnie. Tak naprawdę nikt poza dworskimi przydupasami nie umiał sobie z tym sprzętem należycie

radzić. Inna rzecz, że owe pieśni pokojowe z kolei zupełnie nie miały pojęcia, jak się broni używa w walce. W każdym razie takie panowało powszechne mniemanie.

Aidan spojrział głęboko w oczy kobiety i dostrzegł w nich niepokój. Czyżby Amanda wiedziała coś, o czym on sam nie miał pojęcia?

– Wiesz, kochana – odparł, podtrzymując pozornie lekki ton rozmowy – jakoś nie mogę przywyknąć do tego różna. Z dwojga złego wolę już szablę.

Ona także miała broń boczną – krótką szpadę, o której rozmiarach trudno było powiedzieć, że mieści się w ramach regulaminów floty cesarskiej. Pani kapitan jednak wiele rzeczy wybaczano.

– To dlaczego jej nie nosisz?

Doskonale wiedziała dlaczego. Jego Wysokość cesarz Maksymilian Szesnasty nie cierpiał tej broni. Oczywiście na okrętach oficerowie mogli posiadać szable i prezentować się z nimi podczas mniej ważnych uroczystości, ale przy okazji jakichkolwiek spotkań oficjalnych, związanych z działaniami samego cesarza lub jego sztabu, do wyjściowego munduru musieli nosić rapiery bądź solidne szpady, ostatecznie krótkie, ozdobne miecze. Aidan, i nie tylko on zresztą, uważał, że broń istnieje tylko po to, aby jej używać, a nie, żeby się z nią obnosić. Nikt jakoś nie zabierał przecież na takie okazje rusznic abordażowych. Nie noszono nawet zwykłych pistoletów strzałkowych. Ale służąc we Flocie Kosmicznej Jego Cesarskiej Wysokości, każdy musiał się podporządkowywać ceremoniałowi.

– Co u ciebie słyszać, pani kapitan? – spytał, zamiast silić się na kolejną dowcipną odpowiedź. – Wciąż w służbie najjaśniejszego pana, jak widzę.

– Podobnie jak i ty – odparła.

– Ja nie mam wyjścia, jak wiesz.

– Wiem. Ja mam, ale ciągle tkwię w mundurze. Chociaż coraz częściej mam ochotę rzucić mundur w ką, wyjść za mąż i rodzić dzieci – powiedziała to bez cienia uśmiechu.

On również się nie uśmiechnął. Amanda od zawsze powtarzała ten sam tekst, ale po bitwie w Układzie Vargas przestało to kogokolwiek bawić. Wszyscy wiedzieli, że jej fregata uległa tak mocnemu napromieniowaniu, że nikt z ocalałych nie mógł już myśleć o posiadaniu potomstwa. Z przeszło stu dwudziestu ludzi załogi przeżyło zaledwie czterech marynarzy, bosman, pierwszy oficer i ona, to znaczy wszyscy, którzy znaleźli się w nieco lepiej ekranowanych miejscach. Shader, który brał udział w akcji ratunkowej, ponoć kiedy wylazł z szalupy, wyglądał, jakby miał zwymiotować. Nie odezwał się do nikogo słowem, poszedł do swojej kajuty i spił się do nieprzytomności, wykorzystując bodaj wszystkie nielegalne zapasy, jakie udało mu się zgromadzić przez poprzednie dwa lata. Dopiero kiedy wytrzeźwiał, opowiedział, jaki widok zastał na fregacie. Licznik Beaumonta zupełnie oszalał, wskazania wyskoczyły znacznie poza skalę. Musieli przekalibrować urządzenie, żeby określić chociaż w przybliżeniu, jakie dawki otrzymali ci, których jeszcze można było uratować. Najgorzej z ocalałych oberwała właśnie Amanda. Medycy nie potrafili powiedzieć, jak to się stało, że w ogóle przeżyła, ani określić sensownie, jaki wpływ na jej dalsze funkcjonowanie będzie miał ten wypadek.

Kobieta musiała się poddać półrocznej kuracji i przeszła szereg zabiegów. Aidan nie wiedział dokładnie, co jej wymieniono w organizmie, ale też wolał nie pytać. Na jej miejscu nie miałby chyba ochoty rozmawiać na ten temat. To, że wróciła do służby, świadczyło o wielkiej determinacji. A może raczej o tym, że nie miała co ze sobą zrobić. Całe życie poświęciła przecież służbie wojskowej, znajdowała się w identycznej sytuacji jak on sam i wielu innych oficerów cesarskich i najemników. A w wypadku Aidana bardziej niewolników niż najemników, biorąc pod uwagę jego obecny status.

Weszli do sali. Kapitan zajął miejsce na samym końcu, podobnie jak Amanda i paru innych dowódców. Naprzód pchały się lizusy tuż po akademii i tacy, którzy liczyli, że dostrzeże ich

łaskawe oko admirała Gonzagi. Zupełnie jakby ten pozłacany bałwan wykazywał coś chociaż mgliście pokrewnego łaskawości.

– Ale syf – burknął siedzący po lewej ręce Aidana kapitan. Miał grzywę siwych włosów, nadających mu wygląd starego, doświadczonego lwa, i zmęczone, lecz zawsze czujne oczy. – Przerwali mi zabawę w najlepszym momencie.

Graziano Panini był hazardzistą, więc każdą wolną chwilę spędzał w kasynie, a jeśli takowego nie znalazł na jakiejś stacji, niezawodnie przesiadywał przy automatach do gry. Dla niego nie istniał dobry moment, żeby przerwać ulubioną rozrywkę. „Chociaż czy uzależnienie można nazwać rozrywką?” – zastanowił się Aidan. „To tak, jakby priapizm łączyć z satysfakcją seksualną. To coś, co człowieka zżera, a nie podbudowuje”.

– Ażebyś wiedział, że syf – zgodził się, żeby coś odpowiedzieć. – Obawiam się jednak, że o prawdziwym gównie dowiemy się dopiero za chwilę – dodał.

– Szlag by to... – zaczęła Amanda, ale przerwało jej wejście admirała.

Gonzaga był niewysokim mężczyzną o szerokich ramionach i chmurnym spojrzeniu. Łysa głowa lśniła w blasku reflektora skierowanego na jego sylwetkę. Skrzywił się i machnięciem ręki kazał zgasić rażące światło.

Podszedł do mównicy, spojrzał po zebranych.

– Witam wszystkich obecnych – powiedział chrapliwym głosem. Nałogowo palił papierosy, i to skręcane własnoręcznie z najmocniejszych gatunków roślin tytoniowych, sprowadzanych z kolonii, co było właśnie słychać. – Bardzo mi przykro, ale urlopowanym muszę przerwać odpoczynek, a okrętom zmienić przydziały. Na panelach przed państwem zaraz wyświetlimy listę zadań. Proszę się zalogować do systemu.

Poręcz fotela drgnęła, Aidan cofnął rękę. Otworzyła się skrytka, wyjechał z niej niewielki ekran dotykowy. Żaden tam hologram, ale uczciwy kawałek plastiku wypchanego elektroniką. W dole ekranu rozjarzył się owalny kształt. Kapitan przyłożył kciuk, pochylił się nieco, aby skaner zdjął obraz jego siatkówki. Po jakichś dwóch sekundach zapaliło się zielone światełko na obudowie, sygnalizując, że logowanie przebiegło pomyślnie. Aidan czekał, aż oprogramowanie się załaduje. W ekskluzywnej sali posiedzeń można by się spodziewać najnowszej technologii, ale widać ktoś uznał, że taka asceza zupełnie wystarczy. Pewnie jak zwykle chodziło o fundusze, a raczej jakąś defraudację. Samuels nie wierzył, żeby agenda rządowa zlecająca wykonanie centrum nie umieściła w wydatkach kosztów nowoczesnych komputerów. Na pewno za to nie uwzględniła chciwości paru decydentów po drodze. Jakiś hidalgo zbudował sobie nowy pałac albo powiększył już istniejącą rezydencję. Jakiś dyrektor wykonawczy korporacji nabył nowy wahadłowiec, albo nawet mały kosmolot. I tak dalej. Zapewne gdyby pogrzebać, okazałoby się, że ściany zostały wykonane nie z najlepszej plastali, ale z o wiele tańszych zamienników, że okablowanie podstawowe spotkał podobny los, że tu i ówdzie zamontowano starodawne światłowody zamiast nowoczesnych przewodników krystalicznych i tak dalej. W imperium to były rzeczy wręcz normalne, nikt się nie oburzał na malwersacje. Po prostu od czasu do czasu napuszczano na nieuczciwych Wydział Czwarty inkwizycji, wytaczano odpowiednio nagłośnione procesy, a potem spadały głowy, tyle że nie rekinów, lecz płotek. Aidan zastanawiał się czasem, jak z takimi sprawami jest w Republice, ale ponieważ strony konfliktu pozostawały od siebie odcięte, nie miał najmniejszego pojęcia. Stawiał jednak na to, że mogło się tam dziać podobnie. Kiedy w grę wchodzi pieniądze, ludzie o najróżniejszych światopoglądach stają się zadziwiająco zgodni i poczynają sobie w bardzo podobny sposób. Różnice wynikają tylko z kwestii bieżących uwarunkowań.

Po kilkunastu sekundach oczekiwania pojawił się wreszcie przekaz. Pod nazwą niszczyciela rozwinęły się punkty rozkazów oraz podpunkty poleceń szczegółowych. Było tego sporo, ale Aidan i inni doświadczeni dowódcy wiedzieli, że wszystkiego zrealizować się nie da, więc w

tej chwili się w to nie wczytywali. Admiralicja zawsze przydzielała zadania z dużym nadatkiem, żeby zmotywować podwładnych do bardziej wyteżonej pracy. Działo to może na nieopierzonych kapitanów, ale dla starych wyjadaczy nie znaczyło zupełnie nic. Należało po prostu logicznie wywnioskować, co tym razem jest najważniejsze dla sztabu. I niekiedy były to sprawy wymienione na pierwszych miejscach.

Lot w pobliżu Układu Sierny. Pod informacją widniał spis jednostek zaangażowanych w tę misję.

– Lecimy razem – mruknął Samuels do Amandy. – Jako osłona lotniskowców i pancerników. Nie cierpię takiej roboty.

– Pewnie szykuje się tam rajd republikanów – odparła równie cicho. – Do piratów nie wołaliby tyłu jednostek.

– No chyba że to my się wybierzemy na łupieżczą wyprawę przeciwko nim.

– Cholera ich wie, mędrków sztabowych. – Wzruszyła ramionami. – Sierna to świetny punkt wypadowy. Ale skoro przerwali nam urlopy, to chyba wynikła jakaś nagła sytuacja.

– Niekoniecznie. Wyżsi oficerowie mają pomysły...

Zamilkł, bo admirał zaczął popatrywać w ich stronę. Dowódcy siedzący w pierwszych rzędach trwali w skupieniu nad ekranami, za to tył sali szumiał coraz głośniej. Rozmawiali nie tylko on i Amanda, inni kapitanowie też wymieniali uwagi.

– Patrz – szepnęła Amanda. – Wlecemy ze sobą dziesięć dużych cywilnych jednostek zaopatrzenia. Co my mamy tam robić? Nową kolonię zakładać?

Aidan tylko pokręcił głową. Nie miał, rzecz jasna, bladego pojęcia, ale nauczył się już, że ze strategami cesarskimi nigdy nic nie wiadomo. Nauczył się także obawiać ich pomysłów.

– Cholera by ich. – Amanda jakby czytała mu w myślach. – Zawsze coś wykombinują, a gównu spada potem na nas.

– Może tym razem to nic głupiego? – odpowiedział po chwili.

– Miejmy nadzieję – w jej głosie próżno jednak było tej nadziei szukać.

Kapitan musiał uczciwie przyznać, że sztabowi generalnemu zdarzały się momenty olśnienia. Poza tym w trakcie wielkich operacji poszczególni dowódcy nie mieli możliwości ogarnąć całego teatru działań i niektóre rozkazy mogły się wydawać co najmniej kontrowersyjne, choć układały się w jakąś logiczną całość. Jednak równie uczciwie, a nawet o wiele chętniej Aidan podkreślał, że wszelkie genialne posunięcia są przeplatane gęsto kompletnymi idiotyzmami. Żeby daleko nie szukać – ostatnia decyzja, żeby patrolowy niszczyciel zabezpieczał całą flotę, powstrzymując w efekcie potężne, znakomicie wyposażone jednostki. Bez wsparcia. Pewnie – chodziło tylko o ich opóźnienie, niekiedy zniszczenie, ale na okrętach dowodzenia zagłada niszczyciela zostałaaby zakwalifikowana jako „strata dopuszczalna”. Tyle że dla Samuela i jego załogi kwestia dopuszczalności tej straty była mocno dyskusyjna.

I znów wróciły wątpliwości, które pojawiły się podczas analizowania przebiegu ostatniej walki. Dlaczego krążowniki podeszły niezauważone tak blisko? I skąd tak precyzyjnie znały pozycję „Sirene”? Wciąż pozostawała wątpliwość, czy piraci sami namierzeli niszczyciel, czy to była kolejna udana prowokacja Republiki. W obu przypadkach sprawa mocno kompromitowała kontrwywiad Jego Cesarskiej Wysokości.

– Ocknij się! – Amanda szturchnęła go mocno pod żebra.

– Co się stało?

– Nic się nie stało – odpowiedziała poirytowana. – Koniec odprawy. Swoją drogą, nie rozumiem, po cholere nas tutaj zwołali. Mogliśmy dostać rozkazy i koordynaty prosto na panele dowodzenia.

– Cesarstwo karmi się blichтром i splendorem – rozległ się za nimi aksamitny głos. – Witajcie, kapitanowie.

Aidan skrzywił się z niechęcią. Akurat na towarzystwo Sultana miał w tej chwili najmniejszą ochotę.

– Witaj – burknęła Amanda. – Mówił ci ktoś, że masz denerwujący zwyczaj wyjaśniać otoczeniu rzeczy oczywiste?

– Niejednokrotnie! – zawołał Sultán z promiennym uśmiechem. – Ludzie stale mi to powtarzają, a ja zachodzę w głowę, gdzie jest pies pogrzebany?

Amanda wzruszyła ramionami. Ona też najwyraźniej nie była w nastroju do wysłuchiwania błazeństw Sultana.

– Kiedyś cię nagram i będziesz wiedział, gdzie ten pies leży – rzekł Aidan. – Obawiam się tylko, czy wytrzymasz chociaż minutę własnego spektaklu.

Sultán spoważniał. Aidan spojrział zdziwiony. Czyżby niewinna uszczypliwość dopiekła wesołkowi? Przecież nie zwykł się obrażać nawet za poważniejsze złośliwości. Jednak nie o to chodziło.

– Jesteśmy w tej samej grupie – powiedział. – Wasze łupinki, cztery fregaty, a poza tym korwety i kutry mają osłaniać również skrzydła. Razem z „Costą” i „Pedringerem” stanowimy z kolei eskortę sześciu transportowców. Wiecie, co to znaczy?

– Wiemy, wiemy. – Amanda machnęła lekceważąco ręką. – Jeśli republikanie dowiedzą się o tym transporcie, zaczną się niezły taniec.

– A dowiedzą się na pewno, prędzej czy później – uzupełnił Samuels. Jeśli już dokładnie wszystkiego nie wiedzą albo w ogóle nie dostali pełnej informacji parę godzin przed tą poronioną odprawą.

Sultán pokiwał głową, zgadzając się z Aidanem, zwykły uśmieszek powrócił na jego wąskie wargi.

– Tak czy inaczej, do zobaczenia – powiedział i odszedł.

– Coś jest nie tak – zauważyła Amanda, patrząc na plecy dowódcy pancernika. – On ma chyba jakieś informacje, do których nam nie dano dostępu.

– Możliwe. – Aidan rozłożył ręce. – Wiesz doskonale, że dowódcy krążowników i innych wielkich jednostek bywają z reguły lepiej poinformowani. To głupie, bo najbrudniejsza robota i tak zawsze spada na nas, więc prędzej czy później muszą nam wszystko wyjawić.

Popatrzył na pustoszejącą salę. Poprawił pas z rapierem.

– Chodźmy – rzekł. – Z rozkoszą odepnę to cholerstwo.

Amanda spojrzała mu prosto w oczy.

– A może dasz się zaprosić na drinka? – spytała. – Nie wiadomo, kiedy następnym razem nadarzy się okazja. Oczywiście – dodała zaraz, nadając głosowi złośliwe brzmienie – jeśli jakaś kusząca Cornelia nie wyczerpała cię tak bardzo, żebyś stracił ochotę na wszystko.

– Chętnie się napiję – odparł, ignorując zaczepkę. Przez chwilę zrobiło mu się gorąco, ale zaraz zdał sobie sprawę, że Amanda żartuje. Przecież nikt nie wiedział... Nikt... – Przyjdę, jak tylko pozbędę się tego rożna. – Klepnął dłonią w kosz broni.

– Daj spokój – prychnęła kobieta. – Zostawisz to gównu barmanowi do przechowania. Szkoda czasu.

Nie protestował.

WĄTPLIWOŚCI

Odrzucili bąbel zwiniętej czasoprzestrzeni w pobliżu układu podwójnego, złożonego z umierającej gwiazdy i niewielkiej czarnej dziury. Aidan spodziewał się wspaniałego widowiska, gdyż tego typu pary zawsze były efektowne, ale to, co zobaczył, przeszło jego najśmielsze oczekiwania. Owinięta ciasno materią czarna dziura świeciła o wiele jaśniej niż oddający jej własne ciało czerwony karzeł. A raczej to, co z czerwonego karła jeszcze pozostało. Mglista smuga ciągnęła się od rozszarpywanej gwiazdy ku grawitacyjnej tygrysicy, otaczając ją woalem barwnego gazu. Gołym okiem było oczywiście widać tylko jasne lśnienie, ale już przy użyciu nawet zwykłych przyrządów optycznych na zbliżeniu ukazywał się obraz imponujący, a zarazem przejmujący grozą.

Jednak kapitan nie miał teraz zbyt wiele czasu na obserwowanie spektakularnego zjawiska. Musiał przełożyć przyjemność na później. „Sirene”, przyklepiona do zewnętrznego pokładu lotniskowca „Medina-Sidonia”, rozpoczynała właśnie manewr odejścia. Obsługa wielkiej jednostki wyłączyła pole siłowe, sprawiające, że okręty osłony rzeczywiście były jakby przyspawane do nosiciela. Teraz trzymały się tylko za sprawą wiązań magnetycznych, możliwych do zerwania zarówno przez niszczyciel, jak i lotniskowiec. Manewr odejścia musiał zostać przeprowadzony precyzyjnie, idealnie zgodnie z procedurą. Nawet w warunkach bojowych, kiedy jednostki eskorty wchodziły bezpośrednio do walki, kolejność działań musiała być przestrzegana, inaczej istniało ogromne ryzyko kolizji z innymi okrętami, na dodatek w pobliżu olbrzyma, który w tym momencie musiał wyłączyć częściowo tarcze siłowe.

– Odeszła „Marina”, w trakcie jest „Hornet”, my rozpoczynamy za sześć sekund – zameldował Martinez. – Proszę o zezwolenie na wyłączenie ssawek.

– Zezwalam – odpowiedział Aidan.

Ssawkami nazywano właśnie wiązania magnetyczne. Ten termin stanowił pamiątkę po czasach, kiedy do takiego mocowania stosowano na morskich jednostkach metodę próżniową. Cóż, naddźwiękowe pancerniki morskie doby wojen ziemskich nieco przypominały te, które wysyłano obecnie w kosmos. Oczywiście przy zachowaniu wszelkich proporcji. Bo małe przy cielsku lotniskowca „Sirene” mogłaby pomieścić we wnętrzu cztery dawne liniowce.

– Odejdzie – rozległ się głos sternika.

Na ekranie dowódcy pokazał się schemat połączeń. Wszystkie zielone punkty w jednej sekundzie zmieniły kolor na intensywną czerwień, a po chwili pociemniały. Aidan przełączył widok. Kamera zewnętrzna ukazywała szarą płaszczyznę, dopiero po kilkunastu sekundach w rogu pojawiło się światło. Potem następne, wreszcie cały rząd. Lampy sygnalizacyjne lądowiska. Oddalali się od lotniskowca na silnikach manewrowych z przyspieszeniem półtora g, wciąż widząc tylko fragment ogromnej burty. Cały lotniskowiec miał zmieścić się w kadrze dopiero za trochę ponad minutę.

„Kolos” – przeleciało przez głowę Aidanowi. „Zadziwiające, że coś takiego w ogóle potrzebuje osłony mniejszych jednostek”.

Ale „coś takiego” potrzebowało jej bezwzględnie. Pancernik mógł się poruszać samodzielnie, chociaż rzadko do tego dopuszczano, ale lotniskowiec bez eskorty, wykonujący właściwe zadania operacyjne, był praktycznie bezbronny. Dopóki tkwił w szczelnym kokonie pól siłowych, niewiele mu zagrażało. Oczywiście intensywny ostrzał mógł naruszyć ten niewidzialny pancerz, ale trzeba było do tego ogromnej mocy. Jednak pole siłowe działało w

obie strony, uniemożliwiając start myśliwcom i bombowcom, gdyż nie opracowano jeszcze w pełni skutecznych siłowych błon półprzepuszczalnych. Te, które do tej pory powstały w laboratoriach przemysłowych Jego Cesarskiej Wysokości, działały od dwóch do pięciu razy słabiej od rozwiązań klasycznych. A przecież zadaniem lotniskowca było wypuszczanie do walki i przyjmowanie mniejszych jednostek, głównie myśliwców i bombowców, ale zdarzało się, że podczas szczególnie zażartych bitew przylatywały uzupełniać zapasy także torpedowce, kutry, korwety, a nawet fregaty i niszczyciele.

– Nawigator okrętu Jego Cesarskiej Wysokości „Medina-Sidonia” do kapitana „Sirene”. – Na ekranie ukazała się przystojna twarz podporucznika.

– Kapitan Aidan Samuels, kapitan niszczyciela „Sirene”, słucham zameldował się przepisowo.

– Pozycja w szyku zgodnie z wcześniejszymi ustaleniami – poinformował nawigator.

– Zrozumiałem.

Twarz podporucznika zniknęła. W tej chwili na pewno łączył się z kolejną jednostką eskorty, aby przekazać tę samą wiadomość.

– Nawigator, słyszałeś? – spytał kapitan.

– Tak jest, kapitanie.

– Wykonać. Bez odbioru.

Rozparł się wygodnie w fotelu. Przez najbliższe kilkadziesiąt minut nie miał nic do roboty. Oczywiście jeśli nie stanie się nic nieprzewidzianego, a na to się nie zanosilo. Przynajmniej na razie. Do Układu Sierny został jeszcze jeden skok i dopiero tam powinni zachować czujność. Powinni, chociaż zgodnie z oficjalnie przekazanymi informacjami, wokół układu nie stwierdzono obecności jednostek wroga. Co więcej, w ogóle nie przewidywano możliwości ich przybycia.

Odezwał się sygnał. Na prywatnym kanale zgłaszał się Shader.

– Co się dzieje? – spytał Aidan.

– A co się ma dziać? – Kapitan widział oczami duszy, jak porucznik wzrusza ramionami. – Nuda. Sprzęt gotowy, jak kazałeś, ale nie widzę możliwości, żeby był tutaj potrzebny.

– Jak się nudzisz, włącz sobie jakąś grę albo pikantne holo – warknął kapitan. – Na pogaduszki ci się zebrało?

– Daj spokój – prychnął Shader. – Znam cię. Siedzisz teraz i zastanawiasz się, po co ten cały cyrk. Po co nasza wspaniała armada wysłała tyle jednostek w rejon, w którym oficjalnie nic się nie dzieje.

– Tak, zastanawiam się, ale wielce zdziwiony nie jestem. Miewali nawet głupsze pomysły. Pamiętasz wyprawę na deltę Collony?

Robert roześmiał się na to wspomnienie. Aidan także się uśmiechnął. Admirał Gonzaga wysłał wtedy cztery lotniskowce, dwa pancerniki, dwa krążowniki i chmurę mniejszych jednostek w celu przechwycenia dużego tajnego konwoju Republiki. Uczestnicy wyprawy przygotowywali się na krwawą łaźnię, bo konwój, zgodnie z danymi wywiadu, transportował podzespoły do generatorów tarcz dla wielkich jednostek oraz części do budowy nowego portalu nadprzestrzennego, więc powinien być należycie chroniony. Przejęcie lub przynajmniej zniszczenie takiego ładunku byłoby dla wroga bolesnym ciosem. A dla admirała oznaczałoby kolejny order i być może nawet nowy tytuł książęcy. Gonzaga był bardzo łasy na zaszczyty, chociaż patentami szlacheckimi i świadectwami nadań odziedziczonymi po przodkach mógłby wyłożyć ściany największej sali balowej w swojej siedzibie rodowej. Najwyraźniej marzyło mu się jednak, żeby wytapetować nimi całą posiadłość.

Tak czy inaczej, wyłonili się po skoku w przestrzeni delty Collony w trzech rzutach, od razu w trybie alarmowym, procedura odejścia została skrócona do minimum, choć oznaczało to ryzyko kolizji. Udało się nawet wyprowadzić jednostki wojenne z nadprzestrzeni w jakim

takim szyku, wypadł z niego tylko jeden krążownik i jeden lotniskowiec, chociaż i one pojawiły się w odległości nie więcej niż pół jednostki astronomicznej od reszty. Było to w przypadku użycia portalu skokowego spore osiągnięcie, bo przy tej technice podróży wiele zależało od delikatnych fluktuacji pompowanej w portal energii. Obsługa musiała się bardzo postarać, skoro wszystkie trzy fale okrętów zostały przeniesione tak precyzyjnie. A może była to bardziej kwestia ślepego trafu? Tego tak naprawdę nikt nie umiał powiedzieć z całą pewnością.

Rzeczywiście, poszukiwany konwój przemierzał przestrzeń, przecinając ekliptykę układu pod kątem trzydziestu trzech stopni. Okręty cesarskie rzuciły się natychmiast do ataku, z lotniskowców wyroiły się myśliwce. Eskorta konwoju w obliczu takiej przewagi prysła, oddając zaledwie kilkadziesiąt strzałów. Na ten widok Aidan kazał swojej załodze poniechać ataku. Wiedział, że ludzie nie będą z tego zadowoleni, gdyż Gonzaga obiecał sowitą nagrodę tym, którzy pierwsi dokonają abordażu – dodatkową premię przyzu, wynoszącą dziesięć procent wartości ładunku zajmowanego statku. Jednak coś się w tym wszystkim Samuelowi bardzo nie podobało. Jeśli cargo było tak cenne, eskorta powinna stawiać o wiele silniejszy opór, a nie uciekać, zanim w ogóle zaczęła się bitwa. No i powinna być niepomernie liczniejsza. Cokolwiek propaganda miała do powiedzenia na temat republikanów, nie można było odmówić im odwagi i determinacji.

A okręty cesarskie ściagały się, aby przejąć transportowce. Gdyby Aidan miał cokolwiek do powiedzenia w sztabie, kazałby się natychmiast wszystkim wycofać. Jeśli bowiem na jednostkach zostały założone ładunki jądrowe...

Lecz jego obawy były bezpodstawne. Rzeczywistość okazała się bodaj jeszcze gorsza. A może nie tyle gorsza, co bardziej gorzka i wręcz upokarzająca. Kosztująca miliony peset ekspedycja zdobyła bowiem transport bezwartościowego złomu. Dosłownie złomu. Trudno się dziwić, że eskorta porzuciła ten „skarb” bez walki. W ładowniach zdobytych transportowców znajdowały się zdezelowane w różnym stopniu maszyny rolnicze, trochę przestarzałej broni, głównie karabinów plazmowych drugiej i trzeciej generacji, przeznaczonych zapewne rzeczywiście dla kolonistów Republiki, ale mających służyć do obrony przed drapieżnikami i do polowań, a nie do działań ofensywnych przeciwko Cesarstwu. Poza tym znaleziono przeterminowane nawozy sztuczne i wymagające napraw syntetyzery wody. Widocznie kolonia, do której zmierzał transport, nie miała jeszcze własnych zakładów przemysłowych i chemicznych. Albo w ogóle cargo nie było przeznaczone dla nikogo konkretnie. Już wtedy Aidanowi zaświtała myśl, że konwój miał za zadanie odciągnąć znaczne siły floty cesarskiej od czegoś zupełnie innego. A ten cały ładunek był tylko po to, żeby statki nie szły pustym kursem, a w razie niepowodzenia tego manewru był z podstępem jakikolwiek pożytek. Może gdzieś tam faktycznie istniała kolonia, która czekała na podobny transport, ale z pewnością nie wyglądała go jak kania dżdżu. Ot, po prostu jedna z mniej ważnych dostaw.

Jego Ekszelencja admirał Julio Álvaro Eugenio de Camarria Gonzaga y Marraja, rzecz jasna, przedstawił całą tę hecę jako wielkie zwycięstwo. Owszem, nie zdołano przechwycić dokładnie tego, na co liczyli sztabowcy, ale przecież pozbawiono jakąś wrogą kolonię środków zapewniających przetrwanie! Raport utytułowanego cymbała brzmiał tak, jakby Republice wyrwano kły razem ze szczęką. Jakby już nigdy więcej nie mieli możliwości ani śmiałości gryźć twardej, lecz sprawiedliwej dłoni cesarza. A Jego Wysokość Maksymilian, co było do przewidzenia, przyjął ten stek bzdur za dobrą monetę. Czy miał zresztą inne wyjście? Przecież właśnie z jego osobistego rozkazu odbyła się ta wycieczka po niezwykle cenne pługi, traktory i kombajny pamiętające lepsze czasy.

Jego Ekszelencja admirał Gonzaga otrzymał od władcy szumnie brzmiący tytuł hrabiego delty Collony, a od wdzięcznych podwładnych, zawiedzionych łupami, nieco mniej

nobilitujący dla tak wspaniałego szlachcica przydomek „Rolnik”. Robert Shader, kiedy się o tym przywileju dowiedział, rechotał ładny kwadrans i stwierdził, że Gonzaga powinien się cieszyć, iż na żadnym z transportowców nie znaleziono sprzętu do inseminacji, bo wtedy zyskałby o wiele barwniejszą ksywkę.

– No dobra – powiedział Shader. – Przy Collonie miało się dziać nie wiadomo co, a nie działo się nic, więc teraz może być odwrotnie.

– Wiem – zgodził się Aidan. – Dlatego musimy postępować tak, jakbyśmy w każdej chwili mieli się dostać pod zmasowany ogień.

Porucznik westchnął ciężko.

– Nuda – powtórzył.

– Na tym polega służba we flocie kosmicznej. Większość czasu się nudzimy. Jak chcesz większej dawki emocji, zaciągnij się do piratów.

– Czasem mnie kusi – mruknął Shader.

Kapitan roześmiał się.

– Cóż, skoro aż tak ci doskwiera bezczynność, zrób przegląd okrętu. Potem zarządzisz zbiórkę i zdasz mi z inspekcji formalny raport przed frontem załogi.

– Matko jedyna – jęknął Robert. – Ale ty masz pomysły...

– I tak trzeba to zrobić, żeby się po powrocie gryziپیóry nie czepiały.

Miałem się tym zająć osobiście, ale skoro tak się nudzisz...

– Szlag jasny – rzekł z goryczą Shader. – Już więcej nic ci w życiu nie powiem!

– Oczywiście, że powiesz, bo jęzor cię za bardzo śwędzi. A teraz do roboty. Uwiniesz się w trzy godziny, a ja w tym czasie trochę odpocznę...

– Leń – orzekł Shader.

– Lenistwo to wielki luksus i przywilej dowódcy. A teraz do roboty. – Aidan spoważniał. – Okręt ma być w stanie pełnej gotowości bojowej, wszystkie systemy sprawdzone i sprawne, wszelkie usterki usunięte, zanim znów zadokujemy do „Mediny”. Czekam na raport, poruczniku.

– Tak jest!

Shader doskonale wiedział, kiedy przekomarzanie się z dowódcą przestaje być bezpieczne. Nawet dla niego.

*

Aidan miał wreszcie trochę czasu, żeby obserwować fascynujący podwójny układ. Z perspektywy, w jakiej znajdował się okręt, bliżej było do demolowanego czerwonego karła. Czarna dziura skojarzyła się w tej chwili kapitanowi z żadną uczuc kobietą, przyodzianą w lśniący szal i wymagającą bezwzględnie podziwu ze strony wybranka. Nagość spowita w samo światło... Tak, to dobre określenie tej pustki pochłaniającej każdą formę materii i energii – obleczona światłem nagość wszechświata. Mimo rozwoju nauki wciąż nikt nie potrafił powiedzieć z całą pewnością, czym jest to niesamowite zjawisko. Przez stulecia powstały i upadły najróżniejsze koncepcje, niektóre tak fantastyczne, że z nauką nie miały właściwie nic wspólnego. Tylko jedno wiadomo było na pewno: że bez tych przerażających tworów wszechświat nie mógłby istnieć w obecnym kształcie. Czarne dziury nie tylko niszczyły, ale przede wszystkim przyczyniały się do tworzenia.

Aidanowi przypomniawszy się wykład pewnej jego przyjaciółki z dawnych lat, która zajmowała się stawianiem tarota. Była tak tym zafascynowana, że opowiadała mu szczegółowo o każdej z kart. Ponieważ najczęściej zbierało jej się na takie monologi zaraz po seksie, Samuels z reguły zasypiał. Zapamiętał tylko, że są jakieś arkana małe i arkana wielkie, że w małych są różne tam pałki, miecze i jakieś kielichy, a wielkie to pojedyncze symbole. Raz tylko słuchał z prawdziwym zainteresowaniem, kiedy kobieta opowiadała mu o karcie z wizerunkiem wieży.

Zapamiętał też grafikę tej karty – płonąca, czy też raczej eksplodująca za sprawą pioruna budowla, z której głowami w dół spadają ludzie wraz z kamieniami. Słowem – ruina.

– To najgroźniejsza z kart tarota – mówiła Dolores. – Nie Śmierć, nie Diabeł nawet, ale właśnie Wieża. Przez nią każdy układ, w którym znajdziesz choćby najbardziej pozytywne wzory, staje się swoim przeciwieństwem. To oczywiście także rzecz samego układu i jego interpretacji, ale Wieży nikt nie lubi. Budzi strach. Jednak tak naprawdę to nie jest zło wcielone. Bez takiej karty cały tarot nie miałby sensu. Bo pod tą symboliką kryje się coś więcej. Wieża to nie tylko symbol rozpadu, ale też tworzenia. To karta artystów i wielkich wojowników.

– Tych, którzy muszą łączyć kreację z destrukcją? – spytał. – To nawet ciekawe.

Spojrzała zdziwiona. Po raz pierwszy okazał jakąkolwiek żywszą reakcję podczas opowieści o symbolach talii.

– Tak, trafnie to ująłeś. Karta zniszczenia i odbudowy. Sama jest własnym przeciwieństwem, może dlatego określa się ją jako najbardziej energetyczną.

– Jakby materia ścierała się w niej z antymateria. Trudno o bardziej energetyczny związek – dodał.

Dolores pokiwała głową.

– Tak, też mi to przyszło do głowy. Materia i antymateria... I tak naprawdę nie wiadomo, która z nich jest odpowiedzialna za niszczenie, a która za tworzenie. Być może są dla siebie po prostu nieodzowne, mogą wprowadzić bez siebie istnieć, ale nie stanowią wówczas prawdziwej, pełnej wartości.

Teraz on spojrzał na kochankę zaskoczony. Nie przypuszczał do tej pory, że stać ją na tak błyskotliwe uwagi. Nie doceniał jej.

– Jest jeszcze jedno zjawisko w kosmosie, które przypomina tę kartę powiedział.

– Masz na myśli czarne dziury? – spytała natychmiast.

Znów go zaskoczyła.

– Tak – odparł. – Niszczą wszystko, co znajdzie się w zasięgu ich oddziaływania, ale jednocześnie bez ich aktywności nie byłoby możliwe tworzenie się gwiazd i galaktyk. A przynajmniej wyglądałoby to inaczej, na pewno mniej dynamicznie. Bez czarnych dziur wszechświat byłby potwornie nudny.

– Podobnie jak tarot bez Wieży. – Roześmiała się i przytuliła do niego mocniej.

Była chyba szczęśliwa, że znaleźli wspólny temat w dziedzinie, która tak ją pochłaniała.

– Wiesz – dodała po dłuższej chwili. – Z daty urodzenia można wyliczyć kartę tarota, którą nazywa się kartą życia. Ma ona określać podstawowe cechy osobowości i to, jak człowiek zazwyczaj reaguje, szczególnie w trudnych sytuacjach.

Westchnął w duchu. Znów zaczęła te swoje czary, które go irytowały. I wiedział już, co partnerka powie za chwilę.

– Mogę ją wyliczyć też dla ciebie – szepnęła.

– Nie, dziękuję. – Zesztywniał, a ona nie naciskała, czując jego niechęć.

Rozstali się niedługo potem. Nie mógł znieść jej zamiłowania do okultyzmu. Tarot był tylko jednym z wyrazów jej fascynacji, o czym przekonał się na własnej skórze. Kiedy pewnego dnia wpadł do niej bez ostrzeżenia, zobaczył leżącą na stole lalkę z jakiejś masy, a wokół zapalone świece. Miał dość.

– Myślałem, że ludzie wyrosli już z takich bzdur! – warknął. – Co to ma być?

– To nie to, co myślisz. – Dolores uśmiechnęła się łagodnie. – To nie żadne starożytne rytuały z wbijaniem szpilek, ale bardzo pozytywna biała magia. Magia miłości...

Próbowała zasłonić sobą lalkę, stanęła przed nim, zarzuciła mu ramiona na szyję, lecz Aidan odsunął dziewczynę stanowczym gestem i podszedł do stolika.

Tak, dobrze mu się wydawało – figurka została odziana w granatowe ubranko. Nie

przypominało wprawdzie krojem munduru, ale złote lampasy i niezdarnie wykonana czapka z daszkiem nie mogły budzić wątpliwości.

– Rzucasz na mnie uroki? – Odwrócił się, spojrzawszy Dolores prosto w piękne orzechowe oczy. – To jest bardziej niż głupie, kobieto!

– Pragnę twojej miłości – szepnęła.

Znów próbowała otoczyć go ramionami i znów ją odepchnął.

– Jestem dowódcą okrętu wojennego – wycodził. – Jestem głęboko przekonany, że nie wolno mi się wiązać z nikim na dłużej, a już na pewno nie mam prawa wchodzić w poważne związki. Miłość jest dla cywilów.

– Tak! – wybuchła. – Miłość jest dla słabych, dla przeklętej cywilbandy! Marynarze są twardzi i mogą kochać tylko swój okręt, a ich gwiazdą przewodnią jest regulamin!

– Można tak to w skrócie ująć – odpowiedział z zimnym spokojem.

– Nienawidzę cię! – krzyknęła tak głośno, że zadzwoniło mu w uszach. – Nienawidzę! Wynos się i nie wracaj więcej!

Skinął głową, odwrócił się i wyszedł. Tylko w drzwiach spojrzawszy jeszcze na nią, wskazał ruchem brody stolik z figurką i rzucił kąśliwie:

– Jak widzisz, magia nie działa.

– Precz!

Później żałował, że tak się to skończyło. Dolores była znakomitą kochanką, oddaną i gotową spełniać najróżniejsze jego zachcianki oraz szalone fantazje. Zupełnie jak Cornelia, z tą jednak różnicą, że większą przyjemność sprawiało mu, kiedy robił te wszystkie rzeczy z kimś posiadającym uczucia i wolę, mogącym odmówić lub zaangażować się bardziej, a nie z posłusznym mechanizmem, choćby najdoskonalszym.

Jakiś czas później sprawdził w Sieci Informacyjnej, w jaki sposób liczy się „kartę życia” w tarocie, i wykonał podane w instrukcji proste działanie matematyczne. Nie był wcale zdziwiony, kiedy jego wynikiem okazała się liczba szesnaście, czyli numer karty Wieża. Na dodatek opis rzeczywiście pasował do jego charakteru. Nie zmieniło to jego stosunku do praktyk okultystycznych, ale przy okazji poczytał o pochodzeniu tarota i pomyślał, że starożytni przodkowie wiedzieli o świecie o wiele więcej, niż mogłoby się wydawać współczesnym, światłym i zarozumiałym ludziom.

A teraz patrzył na czarną dziurę niszczącą coraz mniejszą i mniejszą gwiazdkę i zastanawiał się, czy gdzieś tam daleko w przestrzeni, albo może nawet w innym wszechświecie, powstaje z tego materiału jakieś nowe ciało niebieskie. A może nie? Może tylko o niszczenie tutaj chodzi? O to samo, co w okrutnej totalnej wojnie, po której pozostają zgliszcza, albo nawet zupełna pustka? Pustka, którą trzeba wypełnić i żyć dalej?

Oczywiście nie umiał odpowiedzieć na te pytania, ale krążyły mu w głowie z natarczywością roju os.

Otrząsnął się.

– Czarna dziura – powiedział półgłosem, jakby smakując te słowa, a potem dodał: – Wieża...

Może właśnie dlatego tak uwielbiał te kosmiczne drapieżniki, że przypominały jego „kartę życia”? Może dlatego czuł z nimi instynktowną łączność.

Bzdura.

Roześmiał się z samego siebie. Gdyby załoga wiedziała, o czym rozmyśla kapitan, natychmiast utraciłby co najmniej połowę poważania u większości marynarzy. Może tylko Shader by go rozumiał, a Martinez i tak by się nad tym w ogóle nie zastanawiał. Dla niego Aidan był kimś na podobieństwo boga, a bogów się przecież nie osądza.

Spojrzawszy na zegar. Zdążył się jeszcze zdrzemnąć przed odprawą.

Ludzie zgromadzili się w mesie. Dwieście osób wypełniło całkowicie stosunkowo niewielkie pomieszczenie. Aidan pomyślał przelotnie, że na pancernikach takich jak „Calliope” czy „Numancia” cały jego niszczyciel zmieściłby się w sali odpraw i jeszcze by zostało sporo miejsca.

Samuels rozejrzał się po dobrze znanych twarzach. W tym miał przewagę nad dowódcami wielkich jednostek – znał każdego człowieka na wylot, a jeśli nawet trafił się ktoś nowy, nie musiał się nim przejmować, bo inni, wypróbowani marynarze mieli na niego oko. Niebezpieczna służba sprawia, że ludzie sami pozbywają się niepożądanych elementów. Nieraz już się zdarzało, że ktoś odchodził po pierwszym rejsie, albo nawet jeszcze przed wyruszeniem, nie mogąc się przystosować do warunków i obyczajów panujących na stosunkowo ciasnym niszczycielu.

– Witam wszystkich – powiedział kapitan.

Załoga nie odpowiedziała. Zgodnie zresztą z tym, czego wymagał. Rażny chóralny respons w stylu „meldujemy się na rozkaz” wydawał mu się tak idiotyczny, że dostawał gęsiej skórki, a z kolei jakieś tam odmrukiwanie byłoby najzupełniej sprzeczne z regulaminem, którego przynajmniej do pewnego stopnia musieli przestrzegać. Wolał zatem nieuregulowaną przepisami ciszę.

Skinął dłonią na Shadera.

– Spocznij! – zakomenderował porucznik.

Ludzie usiedli. W szczątkowej grawitacji panującej w tej chwili na okręcie w paru przypadkach wyglądało to dość kuriozalnie. Nie wszyscy w tym samym tempie przyzwyczajali się do niskiego ciężenia, odwykli od warunków kosmicznych nawet po niezbyt długim pobycie na stacji i po podróży w warunkach sztucznej grawitacji lotniskowca. Potężne moduły obrotowe giganta zapewniały marynarzom wartość prawie pełnego g.

– Po pierwsze – rzekł Aidan – chciałbym podziękować całej załodze za wzorowe przygotowanie jednostki do podróży. Porucznik Shader poinformował mnie, że w zasadzie nie miał się do czego przyczepić. A to wiele znaczy, bo znam tylko jednego faceta, który lubi się bardziej od niego czepiać. I jest to zresztą pewien inkwizytor.

Rozległo się kilka śmiechów, a na twarzach ludzi pojawiło się zadowolenie. Wiedzieli, że to nie były czcze słowa, zwykła uprzejmość dowódcy. Załogi miały tendencje do popadania w rutynę, robienia pewnych rzeczy po łebkach, skracania nudnych procedur. Z drugiej strony „w zasadzie” oznaczało, że Robert jednak coś znalazł. W przedziale torpedowym panował jego zdaniem pewien nieporządek. Porucznik nie przyjmował do wiadomości, że zastał torpedystów sprzątających po pracach konserwacyjnych, więc nie mogło być sterylnie czysto. Był zresztą tak wściekły z powodu nałożonego na niego obowiązku, że przyczepiłby się nawet do samego Pana Boga i wszystkich świętych o drobny pyłek na szacie ostatniego anioła w siedemset siedemdziesiątym siódmym chórze.

– Ale tę odprawę zarządziłem nie po to, żebyście się dowiedzieli, jaką to mam cudowną załogę. To sami wiecie najlepiej i nieźle się potraficie tym pochwalić... – Znowu odpowiedziały mu śmiechy. – W zasadzie powinienem wreszcie poinformować was, gdzie i w jakim celu się udajemy.

– No, zdałoby się – rozległ się głos z lewej strony.

Aidan bardzo powoli odwrócił głowę. Zapadła zupełna cisza. Ludzie nie patrzyli dowódcy w oczy. A on wbił wzrok w marynarza siedzącego obok chiefa. Młody chłopak, ale nie aż tak młody, żeby to był jego pierwszy rejs. Na pewno nie. Kapitan poszperał w pamięci. W każdej chwili mógł przywołać dossier tego człowieka na panel umieszczony na lewym rękawie kombinezonu, ale wolał polegać w tej chwili na tym, co udało mu się zapamiętać. To robiło na ludziach o wiele większe wrażenie.

– Starszy marynarz Floty Kosmicznej Jego Cesarskiej Wysokości Andreas Welling –

powiedział.

Chłopak nie wiedział jeszcze, o co chodzi, ale wstał, patrząc z trudem w przejmujące zimnem źrenice kapitana.

– Posłuchajcie, marynarzu – wycedził Aidan – jesteście tu nowi, być może koledzy nie przekazali wam jeszcze dość komunikatywnie, jak należy zachowywać się w obecności dowódcy.

– Ja... – Andreas zająknął się. – Ja nie chciałem, nie pomyślałem...

– I teoretycznie słusznie zrobiłeś, że nie pomyślałeś, gdyż myślenie w wojsku jest kompletnie nieprzydatne, przynajmniej tak można wywnioskować z regulaminów Wielkiej Armady – przerwał mu Aidan. – Osobiście głęboko się z tym nie zgadzam. Myśleć należy zawsze i wszędzie – dodał tonem swobodnej konwersacji. Jego uprzejmość zupełnie nie przystawała do lodowatego spojrzenia. – A wyście, marynarzu, zupełnie nie pomyśleli. Gdybyście włączyli chociaż dwa neurony, załapałibyście, że nikt nie śmiał się odezwać, nawet ci oficerowie, którzy prywatnie są ze mną na ty!

– Przepraszam, sir... to znaczy señor...

– Krótkie „sir” w zupełności mi wystarczy – powiedział łaskawie Aidan. Nie jestem imperialnym szlachcicem, tylko najemnym niewolnikiem. Jak wielu z nas. I nie ma we mnie kropli uświęconej hiszpańskiej krwi, więc nie przysługuje mi tytuł zarezerwowany dla lepiej urodzonych.

Patrzył na chłopaka, unosząc coraz wyżej brwi. Andreas z kolei wpatrywał się w dowódcę nic nierozumiejącym spojrzeniem. Wreszcie chief trącił go i coś szepnął.

– Najmocniej przepraszam, sir! – zawołał chłopak. – To już się nie powtórzy!

– No, myślę. – Aidan pozwolił sobie na lekki uśmiech. – Ale żebyś nie zapomniał, dostajesz dwie służby poza kolejnością. Koledzy z sekcji się ucieszą. Albert – zwrócił się do chiefa – to twój podwładny, pozostawiam więc czas i sposób wykonania kary w twojej gestii.

– Tak jest! – powiedział szef przedziału maszynowego, lekko unosząc się z miejsca.

Chłopak wyraźnie odetchnął z ulgą, a Samuels spojrział na niego ze zmarszczonymi brwiami. Ten gość był naprawdę przerażony, zupełnie jakby spodziewał się, że czeka go kara w rodzaju starożytnego przeciągania pod kilem.

– Wydawało ci się, chłopcze, że trafiłeś na łajbę, na której panuje zupełny luz? – spytał i ciągnął, nie czekając na odpowiedź: – Pamiętaj, że luz nie oznacza rozprężenia i braku dyscypliny. Gdzie przedtem służyłeś? Przypomnij mi.

– U kapitana Kendorfa – odpowiedział marynarz.

– Rozumiem.

Welling nie musiał mówić nic więcej. To stąd brało się jego przerażenie.

Basil Kendorf był okropnym zamordystą, ale nie miał charyzmy nawet tyle, co brudu za paznokciem. Zmuszał załogę do dyscypliny terrorem, ale nie na wiele mu się to zdało. Jego ludzie chodzili jak chcieli, tylko w obecności dowódcy udawali, że poddają się rygorowi. A ledwie się odwrócił, maksymalnie rozluźniali półdupki. Niektórzy po prostu nie powinni zostawać kapitanami nawet najgorszej, rozsypującej się krypy. Wiadomo jednak było, że jeśli już Krwawy Basil weźmie się do jakiegoś marynarza, pójdą z niego wióry. Widać chłopak uznał, że Aidan ma podobne obyczaje, a pozornie liberalne stosunki z podwładnymi są tylko pułapką na naiwnych.

– Koniec – powiedział, widząc, że Andreas zbiera się, żeby powiedzieć coś jeszcze. – Wróćmy do tematu. Zapewne jesteście ciekawi, po jaką nagłą cholere pchamy się do Układu Sierny, który jest znany głównie z tego, że kompletnie nic tam nie ma. Dobrze mówię, panie Callahan? – zwrócił się do szefa zespołu naprawczego.

– No pewnie, szefie, że jestem ciekaw i chcę się dowiedzieć. – Rodrigo wyszczerzył zęby. – O niczym innym nie marzę od chwili opuszczenia stacji.

– Otóż śpieszę wam uroczycie donieść, droga załogo – oznajmił Aidan że jestem w takiej samej ciemnej dupie jak wy. Nikt nas nie raczył powiadomić, po co w istocie rzeczy tam lecimy i czego mamy się spodziewać na miejscu. Podobno niczego, ale... Słucham, panie Callahan – powiedział, widząc podniesioną rękę podporucznika. Podchwycił przy tym zdziwione spojrzenie Andreasa. Chłopak jeszcze nie rozumiał, o co w tym wszystkim chodzi i dlaczego ten sam oficer, który przed chwilą tak poufale zwrócił się do dowódcy, nie odzywa się teraz bezceremonialnie, ale prosi o głos.

– Uważa pan, kapitanie, że wysłali nas w pustkę goście, którzy mają próżnię w głowie?

– Za takie słowa – odparł poważnie Aidan – można stanąć przed doraźnym trybunałem Marynarki Wojennej.

– Za takie bezsensowne misje – odparł Rodrigo – powinno się ładować solidny kół w dupsko pomysłodawcy. Nieoheblowany.

– Dziękuję za cenną opinię – rzekł chłodno kapitan. – Niewątpliwie przekażę ją członkom sztabu generalnego, a oni z pewnością wezmą to pod uwagę podczas najbliższej narady. Ma pan może do powiedzenia coś konstruktywnego?

– W tej sytuacji raczej nie.

– A zatem proszę nie podnosić ręki i nie zabierać głosu, skoro nie ma to sensu większego niż ta wyprawa. Dodawanie jednej głupoty do drugiej nie uczyni z nich mądrości. Nie zawsze dwa minusy obok siebie dają plus.

Spostponowany podporucznik uśmiechnął się, wychylił nieco, spojrzał na wciąż jeszcze osłupiałego Andreasa i mrugnął do chłopaka.

– Ale nie byłbym sobą, gdybym nie starał się mimo wszystko czegoś dowiedzieć – ciągnął Aidan. – Popytałem tu i tam i... – zawiesił głos, aby uczynić na słuchaczach większe wrażenie. – I nic, proszę państwa. Niczego konkretnego się nie dowiedziałem.

Popatrzył po zgromadzonych.

– Zastanawiacie się w tej chwili, dlaczego wasz stary pierdziel kazał wam się tutaj zgromadzić. Otóż mam w tym swój cel. Pragnę wam uświadomić, dzielni marynarze Jego Cesarskiej Wysokości, że skoro nie wiemy, jakie niespodzianki tam na nas czekają, musimy być tym bardziej czujni i przygotowani na wszystko. Jeśli komuś przychodzi do głowy, że można sobie odpuścić, bo jakiś jaśnie urodzony pajac znów wymyślił coś niedorzecznego, niech natychmiast stuknie się w pusty czerep. Możecie sobie myśleć o admiralicji cesarskiej, co chcecie, ale jednak nie siedzą tam wyłącznie sami debile. Powiem więcej, siedzi tam tylko paru idiotów, ale to wystarczy aż nadto, żeby wszystko rozpieprzać, bo właśnie oni nadają ton. Nie, bosman Collins, nie zamierzam ich teraz wymieniać z nazwiska. Dziwi się pani, że wiem, o co chciała pani zapytać? Nie? To znakomicie.

Zamilkł na chwilę, popatrzył z dumą na podwładnych. Wykuwali się w ogniu walki, zgrywali ze sobą podczas koszmarne niebezpiecznych zmagania. Zerknął na Andreasa. Marynarz najpierw jakby się skulił, ale zaraz wyprostował ramiona, spojrzał śmiało, lecz nie zaczepnie. Może będą jeszcze z niego ludzie. Może...

– A zatem na stanowiska. Po wyjściu z nadprzestrzeni w Układzie Sierny pełna gotowość bojowa.

HURAGAN

Informacje wywiadu cesarskiego z reguły pozostawiały wiele do życzenia, przynajmniej te, które docierały do dowództwa floty. Aidan nie miał pojęcia, dlaczego tak się działo. Czy to była kwestia naprawdę marnych służb i niepewnej agentury, czy też po prostu grandowie stojący na czele wywiadu zupełnie nie umieli sobie radzić. W zasadzie nie miało to znaczenia, bo liczył się ostateczny wynik, a niekompetencja – nieważne, jakie były jej przyczyny odbijała się na zwykłych oficerach, a przede wszystkim szeregowych żołnierzach i marynarzach.

Jeśli Służba Wywiadu Jego Cesarskiej Wysokości powiadamiała, że wroga nie ma, zasadniczo należało oczekiwać, że ten wróg będzie. Tyle że niekoniecznie właśnie tam, gdzie się go spodziewano. Najprawdopodobniej pojawi się z zupełnie zaskakującej strony. To było gorsze niż jakaś choroba zakaźna. Wydawało się schorzeniem wręcz nieuleczalnym. Tyle że choroba terminalna kończy się po prostu zgonem, a tutaj sytuacja trwała bez zmian od dziesięcioleci i zarażony organizm trzymał się naprawdę nieźle. Przynajmniej oficjalnie, bo jak to wyglądało w istocie rzeczy, Aidan nie miał pojęcia. Cesarstwo potrafiło maskować przed poddanymi poważniejsze problemy. Nieraz zresztą przychodziło kapitanowi do głowy, że w tym wszystkim nie chodzi wcale o stan faktyczny, ale o to, jak cały świat odbiera kondycję państwa, a przede wszystkim co o nim wiedzą wrogowie. Nieraz powtarzał, że od myślenia o polityce zaczyna go boleć zarówno głowa, jak i przeciwna część ciała, i nie był to tak do końca żart. W każdym razie w Cesarstwie od co najmniej pół wieku, a nawet dłużej wszystko wyglądało, jakby się miało zawalić, a jednak imperium uparcie trwało, zupełnie wbrew zdrowemu rozsądkowi. Nie tylko trwało, ale zdobywało też coraz nowe obszary przestrzeni. I to mimo tego, że dostawało naprawdę nieźle cięgi od zdeterminowanej Republiki. Kiedyś podczas jakiejś popijawy Shader podsumował to dość treściwie i być może słusznie: „Pierdolnie, mówię ci, Aidan. To wszystko w końcu prędzej czy później pierdolnie. Cesarz chapnie taki kawał pieczeni, że zacznie się dusić przy przełykaniu, ale i tak będzie chciał więcej i więcej, aż w końcu zadławi się na śmierć. Nieważne, który cesarz, ten albo następny czy jeszcze kolejny. Któryś w końcu tak robi. A wtedy przyjdą republikanie i niech Bóg ma nas wówczas w swojej opiece”.

Coś w tym było. Ileż Cesarstwo mogło się rozrastać? W polityce imperialnej wielkość najwyraźniej od dawna miała o wiele większe znaczenie niż jakość.

Teraz jednak bardziej niż o przyszłość imperium martwił się o ich własną. Wyłonili się w Układzie Sierny o piętnastej czasu pokładowego, po długim, potwornie nudnym locie. Podczas podróży w nadprzestrzeni kapitan skontaktował się z Amandą za pomocą łączności przewodowej. Wszelkie inne metody nie działały w tych warunkach, tylko najstarsza technologia. Aidan cieszył się, że jego „Sirene” oraz jej „Greese” znalazły się na pokładzie tego samego liniowca. Nie było to przypadkowe: zauważył, że praktycznie wszystkie małe i średnie jednostki dowodzone przez najbardziej doświadczonych kapitanów zostały zaokrętowane właśnie na „Medinie-Sidonii”.

– Musimy być przygotowani na wszystko, jak sama dobrze wiesz powiedział.

– Tam nic nigdy nie było, nie ma i nie będzie – odparła, wruszając ramionami. – To punkt wypadowy na terytorium Republiki z naszej strony i na obszar Cesarstwa z tamtej.

– Po cholere więc zabierają tam takie siły? Lotniskowce, pancerniki, krążowniki i mnóstwo pomniejszego złomu?

– A kto za nimi trafi? – prychnęła. – Gadasz, jakbyś nie znał tych dupków z dowództwa.

– Wiesz, że ta transmisja jest monitorowana? – spytał Aidan. – Pozostajemy podłączeni do obwodów lotniskowca.

– Mam to gdzieś – syknęła. – A ty od kiedy jesteś taki ostrożny?

– Od chwili, kiedy dotarło do mnie, że admirał Gonzaga kazał nas wszystkich, mam na myśli żelazną starą gwardię, zgrupować na tej krypie. Coś jest na rzeczy.

– Obawiasz się, że mamy być wzmocnieniem w razie niebezpieczeństwa albo stanowić mięso armatnie, jeśli zajdzie potrzeba? – Znow wzdrygnęła ramionami. – Przecież zawsze tak nas traktują.

Aidan milczał przez chwilę, zanim odpowiedział:

– Coś mi się tu nie podoba, Amando. Coś jest nie tak.

– Mówisz to na podstawie logicznych przesłanek czy przeczuć?

– Jedno i drugie odgrywa swoją rolę. Przeczucia bywają w takich sytuacjach cenniejsze od logiki.

– Pieprzysz. Doskonale wiesz, że przy Siernie nic nie będzie. Co najwyżej dowiemy się, że mamy lecieć jeszcze gdzie indziej.

– Może i pieprzę – zgodził się. – Bardzo bym chciał, żeby tak właśnie było. Ale na wypadek gdybym jednak miał chociaż trochę racji, chciałbym coś zaproponować...

*

A teraz Aidan patrzył na odczyty ekranów, na których roilo się od jednostek wroga. Zielone ikony pancerników, czerwone krążowników, pomarańczowe niszczycieli... Było tak gęsto, że przełączył widok z ekranu taktycznego na centralny. Przed jego oczami wyrosła kula o średnicy metra, teraz zagęszczenie spadło, wydawało się nieco łatwiejsze do ogarnięcia. Znalazł pulsującą srebrem ikonkę własnego okrętu, a potem rzucił okiem na ekrany umieszczone w okręgu na ścianach mostka.

– Osłony pełna moc! – rozkazał. – Rozpocząć manewrowanie bojowe!

– Kurwa, musiałeś mieć rację?! – rozległ się głos Amandy. – Pilnuj mi dupska, odchodzę!

Na ekranie przed nim niewielka figurka niszczyciela oderwała się od doku lotniskowca.

– Shader!

– Tak jest!

– Ubezpieczaj „Greese”.

– Robi się.

Na wyświetlaczu stanu uzbrojenia natychmiast rozjarzyły się sygnatury wszystkich broni.

– Cztery torpedy z sektora siedem-piętnaście – zabrzmiał głos bosman Collins. – Kurs kolizyjny. Dwie na nas, dwie na „Pawanę”.

Korweta „Pawana” odeszła kilka sekund przed „Sirene” i podobnie jak niszczyciel krążyła w pobliżu lotniskowca, aby osłaniać opuszczające lądowiska okręty.

– Odstrzelić te torpedy – rozkazał Aidan. – Rozpocznij zwalczanie zagrożeń bez rozkazu. Same meldunki.

– Tak jest!

Po chwili zobaczył na monitorze taktycznym nadlatujące pociski. Potężne torpedy, w jakie wyposażano wielkie jednostki. A zatem wróg był na tyle silny, żeby krążownik mógł zajmować się średnim tonażem przeciwnika. Cholera ciężka!

– Odpalenie antyrakiet – oznajmiła Collins.

– Potwierdzam – odpowiedział Shader.

Pociski poszły. Aidan zmniejszył skalę sfery przed sobą, dzięki czemu mógł widzieć dokładniej sytuację panującą w najbliższym obszarze. Małe przecinki rakiet obrony mknęły z przyspieszeniem rzędu trzydziestu tysięcy g w stronę torped. Te z kolei rozpoczęły manewrowanie, żeby zmylić antyrakiety i dotrzeć do celu.

– Amanda! Co się tak grzebiesz? – Samuels wywołał kapitan „Greese”. Miałaś już odejść!
– „Medina” oberwał – odpowiedziała. – Chyba rąbnęły w niego te pociski, które szły przedtem na „Pawanę”. Włączają awaryjne systemy. Priorytet mają teraz myśliwce!

Samuels natychmiast zerknął na wyświetlacz taktyczny. Rzeczywiście, lotniskowiec został trafiony torpedami i pociskiem kinetycznym. Zredukowane na czas odejścia przewożonych jednostek tarcze nie zdołały powstrzymać potężnego uderzenia. Zgodnie z danymi głowice uszkodziły poważnie generatory tarcz, a ciężki walec ze zubożonego uranu wdarł się aż do środkowych ładowni, zawadzając po drodze agregaty główne i powodując spadek mocy na całym okręcie.

– Odchodź, do cholery! – krzyknął. – Na procedurze awaryjnej!

Tymczasem antyrakiety zlikwidowały torpedy lecące w kierunku „Sirene”, ale to oczywiście jeszcze nie był koniec kłopotów.

– Następne lecą kursem kolizyjnym! – Shader podświetlił kapitanowi ikony pocisków zmierzających w stronę niszczyciela.

– Berger, wypierdalaj stamtąd! – Aidan prawie zawył. – Olej procedury i spadaj! Zaraz oberwę, nie damy rady stracić wszystkiego, co w nas pakują!

Pierwsza torpeda została zawadzona przez antyrakietę. Wybuch nie nastąpił, ale pocisk zmienił kurs, wpadł w niekontrolowany korkociąg. Drugi eksplodował, ale następne cztery już szły równo w stronę „Sirene”.

– Słyszysz, Amanda?

– Nie mogę – wycodziła kapitan przytłumionym głosem. – Odpaliłam ssawy, ale trzymają mnie wiązaniami w polu grawitacyjnym! Musisz jakoś zdjąć to gównno!

„I właśnie cały piękny plan poszedł w diabły!” – pomyślał Aidan.

Mieli się wzajemnie osłaniać, jeśli wpadną w pułapkę i okaże się, że trzeba natychmiast podjąć walkę. Nie wzięli jednak pod uwagę, że lotniskowiec od razu oberwie i wszystko się skomplikuje.

– Shader! – Nie czekając, aż Robert się zamelduje, rozkazał: – Wal w te cholerne torpedy ze wszystkiego, co mamy. Najwyżej osmalisz jakimś promieniem cenną powłokę „Mediny-Sidonii”!

„Nie dam się usmażyć. Niech was wszystkich szlag trafi!”

– Kapitanie – rozległ się głos Martineza, siedzącego przy swojej konsoli w przedniej części mostka – mam dziwną wiadomość.

– Czego chcesz, nawigatorze? Co znowu?!

– Mamy chyba niezły pasztet.

– Wyduś to wreszcie z siebie! Może być jeszcze gorzej?

– Może, kapitanie – padła chłodna odpowiedź. Wiadomość musiała być naprawdę paskudna, skoro skłonny do rzucania mięsem chłopak mówił tak spokojnie. To znaczyło, że jest co najmniej wstrząśnięty.

– Mów wreszcie! Mamy tu cholerną bitwę, jeśli jeszcze nie zauważyłeś!

– Kapitanie, to nie jest Układ Sierny!

– Co?! – Aidan zamarł, wytrzeszczył oczy i dopiero teraz spojrzał na zatroskaną twarz Diega.

– To nie jest Układ Sierny! Przetransportowali nas zupełnie gdzie indziej! Nic tu do niczego nie pasuje.

– Gdzie jesteśmy, do jasnej cholery?!

– Właśnie próbuję to ustalić. Ale mamy bitwę, nie mogę się skupić tylko na tym.

– Dobra, później się dowiemy, co to za syf. A teraz do roboty!

– Jeszcze jedno – dodał Martinez.

– Mów, tylko szybciej! – Aidan z ulgą zobaczył, że „Greese” zaczyna się powoli odrywać

od lotniskowca. Jednocześnie z korytarzy prowadzących do lądowisk wewnętrznych wyroiły się myśliwce typu Bumerang. Będą mieli przynajmniej wsparcie tych zjadliwych os.

– Obawiam się, kapitanie – powiedział nawigator – że wyszliśmy tutaj tylko z częścią okrętów grupy bojowej.

– Co?!

*

Dowódca pancernika „Numancia” uaktywnił osłony, odcinając swoją część mostka od stanowisk. Ludzie nie powinni być świadkami tego, co zaraz powie.

– No i co pan najlepszego narobił?! – Spojrzał wściekle na hologram inkwizytora.

A tamten tylko uśmiechał się łagodnie. A dokładniej, uśmiechnął się po około trzech sekundach – opóźnienie w komunikacji między okrętami robiło swoje. Wiceadmirał Romero zauważył, że pozornie miły uśmiech dostojnika nie obejmuje jego oczu. Jak zwykle zresztą.

– A cóż takiego narobiłem? – zdziwił się inkwizytor.

– Wpieprzył nas pan prosto w pułapkę, don Sebastianie! Prosto w gardło wroga!

Na zewnątrz wrzała walka. Przestrzeń wokół samotnej, wielkiej gwiazdy wypełniła się pociskami, przecinały ją promienie laserów, widoczne wprawdzie na ekranach, ale niewidzialne w próżni.

– Niech pan spojrzy na to z innej strony – zaproponował Lerma. – Wróg jest zupełnie zaskoczony...

– Podobnie jak załogi transportowanych przez nas średnich i małych okrętów! Dlaczego ich kapitanowie nie zostali powiadomieni o prawdziwym celu podróży tej części grupy? I dlaczego nawet mnie nie powiadomił pan, że będzie tu oczekiwać na nas tak poważna siła?

– Doskonale pan wie, admirale, że agenci Republiki nie zasypiają gruszek w popiele. Im mniej wiadomo...

– No, to już chyba zbyt daleko posunięta ostrożność! – warknął Romero. Ludzie są całkowicie dezorientowani.

– Poradzą sobie, admirale – odparł lekkim tonem inkwizytor. – To najlepsi i najbardziej cwani szyprowie w całej flocie cesarskiej. Sam dobieierałem skład naszego zespołu.

Wiceadmirał zgrzytnął zębami. Dobrze, że rozmowa odbywała się z opóźnieniem, gdyż miał czas chociaż odrobinę ochłonać. Inaczej bluznąłby stekiem wyzwisk, zanimby się zorientował.

– Nienawidzę tracić ludzi na darmo! – Mimo wszystko nie mógł się powstrzymać od podniesienia głosu.

– Wiem. – Inkwizytor skinął głową. – I tym się pan różni od większości swoich kolegów. Dlatego chciałem, aby właśnie pana wyznaczono na dowódcę grupy. Musiałem stoczyć prawdziwą batalię z admirałem Gonzagą. Bardzo sobie pana ceni i chciał zatrzymać pana przy sobie.

– Chyba tylko po to, żeby mi patrzeć na ręce – mruknął pod nosem Romero.

– Nie dosłyszałem – powiedział Lerma.

– Nic ważnego i nic przeznaczonego dla pańskich uszu.

Pokład pod nogami dowódcy drgnął lekko. Wiceadmirał od razu poznał efekt odpalenia serii pocisków z dział kinetycznych. Bitwa siłą rzeczy rozgrywała się na razie poza możliwościami sprawnego dowodzenia większą formacją. Szyki okrętów uległy zbyt wielkiemu wymieszaniu, a duże jednostki nie pozbyły się jeszcze wszystkich transportowanych okrętów niższych klas.

Na razie zdołał wydać tylko jeden sensowny rozkaz ogólny: „Każdy walczy na własną rękę lub w małych zespołach, rejon koncentracji siedemdziesiąt-osiemset dziesięć-piętnaście”.

I musiał beczynn timer obserwować, jak radzą sobie jednostki jego zespołu bojowego.

– Panie admirale – odezwał się Lerma.

– Nie teraz! – Romero machnął niecierpliwie ręką. Chaos widoczny na sferycznym ekranie taktycznym i na unoszących się wokół monitorach zaczął przybierać nieco bardziej uporządkowane formy.

– Meldować straty! – zażądał.

W jednym cholerny przedstawiciel kościelnego wywiadu miał rację przeciwnik był zupełnie zaskoczony. O wiele bardziej niż kapitanowie floty cesarskiej, bo tutaj przynajmniej dowódcy wielkich okrętów wiedzieli, gdzie się udają i co ich może czekać. Romero współczuł za to szefom wszystkich jednostek od niszczyciela w dół.

– Lotniskowiec „Medina-Sidonia” trafiony – popłynęły pierwsze raporty. – Rozległe uszkodzenia na dolnych pokładach lewoburtowych.

– Jak są poważne?

– Zespoły naprawcze pracują, komandor Lossa przewiduje, że zajmie to około trzech godzin.

– Zdolność bojowa?

– Tarcze osiągają sześćdziesiąt procent mocy, lotniskowiec potrzebuje stałej osłony własnych myśliwców.

– A zatem praktycznie wypadł z walki – zauważył Romero. – Dalej.

– Krążownik „Libertad” stracił osłony na sterburcie, ale może kontynuować walkę. Pancernik „Vincent” bez znaczących uszkodzeń. Straciliśmy natomiast krążownik „Cosmas”.

Wiceadmiral skrzywił się. Był przeciwny wyznaczaniu do tego zadania wysłużonych jednostek typu Hercules. Republikanie, z tego, co wiedział, już parę lat wcześniej pozbyli się ostatnich okrętów starego typu o podobnych parametrach, w których modernizacje były już właściwie nieopłacalne, a ich efekty okazywały się nad wyraz mizerne.

– Załoga?

– Według obecnych danych uratowało się w szalupach około czterdziestu procent stanu osobowego – meldował oficer operacyjny. – Reszta albo nie żyje, albo pozostaje na pokładzie w grodziach przetrwania.

– Dalej. Co z drugim lotniskowcem?

– „Maria Teresa” wyłoniła się z nadprzestrzeni zbyt daleko, aby wziąć udział w tej fazie bitwy. Zmierza ku nam pełną mocą, ale dotrze najwcześniej za czterdzieści minut.

Wiceadmiral stłumił przekleństwo. Liczył na to, że idące w parze lotniskowce pojawią się mniej więcej w tym samym rejonie teatru działań.

Znow poczuł drżenie pokładu, ale tym razem to nie była salwa. Przeciwnie pancernik właśnie otrzymał bezpośrednie trafienie.

– Nasze tarcze wytrzymały? – spytał z niepokojem.

– Tak jest, panie admirale. Ekspłodował jeden z generatorów dziobowych, ale nie ma niebezpieczeństwa utraty tarcz.

– Dalej straty.

Mógł oczywiście zapoznać się z raportem na wyświetlaczu, ale wolał ustne meldunki, bardziej do niego trafiały.

– Od chwili rozpoczęcia walki zniszczono nam dwie fregaty oraz trzy niszczyciele. Trzydzieści procent średnich i mniejszych jednostek odniosło uszkodzenia, w tym cztery zostały wykluczone z walki. Stan myśliwców...

– Wystarczy – przerwał wiceadmiral. Popatrzył na Lermę. – Zadowolony pan, inkwizytorze? – wyszczał. – Jak na kwadrans walki, całkiem pokaźne straty, nieprawdaż?

– Nieprawdaż – odparł spokojnie don Sebastian. – Spodziewałem się, szczerze mówiąc, o wiele poważniejszych.

Wiceadmiral zbliżył się do hologramu inkwizytora, stanął o pół kroku od niego.

– Ma panszcześnie, Ekscelencjo – wycedził – że przebywa pan tutaj tylko w formie

fantomu, bo inaczej...

– Niech pan nie kończy. – Lerma uniósł ostrzegawczo dłoń. – Wszystko, co mówimy, jest nagrywane.

– Obaj przecież wiemy, co chciałem powiedzieć. – Romero wzruszył ramionami. – A na mostku „Vincenta” ma pan w dodatku świadków...

– Koniec – uciał inkwizytor. – Mam świadków czy nie mam, to nie powód, żeby się pan dalej kompromitował. Proszę zamilknąć, zanim odwołam pana z funkcji dowódcy!

Romero odwrócił się tyłem do Lermy, podszedł do głównego pulpitu i zerwał połączenie. Hologram za jego plecami zafalował, rozmazał się, a po sekundzie znikł. Wiceadmirał otworzył ogólne łącze.

– Do wszystkich! – powiedział. – Zarządzam przegrupowanie. Zmiana rejonu koncentracji. Wycofać się do sektora siedemdziesiąt jeden-pięćset dwa-cztery! Natychmiast! Wszystkie sprawne jednostki, oderwać się od przeciwnika i przystąpić do przegrupowania.

W kącie projektora holograficznego zamigotała postać Lermy. Wiceadmirał patrzył, jak fantom otwiera usta, a potem z satysfakcją przycisnął pole odmowy połączenia.

– To jest czas dla wojskowych, a nie skurwieli z wywiadu – powiedział głośno, mając świadomość, że mikrofony rejestrują każde jego słowo. Później będzie się tym martwił. O ile dożyje chwili, kiedy w ogóle będzie się musiał martwić konsekwencjami obecnych poczynań.

A potem zlikwidował osłony, rozejrzał się po pięcioosobowej obsadzie mostka i zabrał do pracy.

*

– Łatwo mu powiedzieć, oderwać się od przeciwnika – warczał Aidan, obserwując ekrany i odczyty stanu okrętu.

Musieli zapłacić swoją cenę za osłanianie „Greese”. Ograniczenie manewrowania bojowego do niezbędnego minimum ułatwiło wrogowi zadanie. Salwa z laserów rentgenowskich posłała w niebyt całą sekcję generatorów pola siłowego na bakburcie, więc musieli się poruszać tak, aby nie ustawiać się do przeciwnika lewą stroną. W dodatku pocisk z kutra torpedowego wbił się w tym rejonie w pancierz, ale na szczęście nie eksplodował. Nie byli w stanie nic z tym zrobić.

Połączył się z „Greese”.

– Amanda, słyszałaś rozkazy? – spytał, kiedy na ekranie pojawiła się jej twarz.

– Słyszałam! Każdy słyszał, poszły na ogólnym kanale. Co proponujesz?

– Rozmawiałaś z Sułtanem? Nie mogę się z nim połączyć, a mieliśmy go osłaniać.

– Mieliśmy. Ale wyobrażasz sobie teraz dotrzeć do „Vincenta”? Bo ja nie. Na moje wezwania też nie odpowiada.

– Dobra. Wycofujemy się w szyku trójkowym. Poczekaj.

Połączył się z dowódcą fregaty „Santorino”.

– Gaspar, przyłączasz się do nas?

– Do ciebie zawsze, mój pieprzony przyjacielu – odezwał się młodzieńczy, radosny wręcz głos. – Rozumiem, że piękna Amanda z nami?

– Z nami, z nami.

Aidan ogarnął wzrokiem wyświetlacz taktyczny.

– Ale burdel! – jęknął. – Zmieniamy modus operandi – rzucił, włączając komunikator. – Zgarniamy po drodze każdego, kogo się da. Najpierw szyk trójkowy, a potem rozszerzamy go stopniowo na sferyczny. Musimy improwizować. Łączcie się, z kim tylko można!

– Atakują nas cerbery! – zameldował Shader.

– To je zdejmij! – odparł Samuels. – Potrzebujesz mojego błogosławieństwa?

– Jest ich osiem – poinformował spokojnym tonem porucznik. – Nie wiem, jak sobie

wyobrażasz walkę z tyłoma szerszeniami. Za nimi widzę jeszcze wielozadaniowe daggery.

– Cholera jasna! Martinez, słyszałeś? No to zacznij tańczyć, chłopie! Załoga, wszyscy natychmiast na miejsca i zapiąć pasy! Zaraz zacznie się beczka śmiechu.

Myśliwce zbliżały się w zabójczym tempie, prędkością przewyższającą w tej chwili nawet torpedy. Przypominały nieco maszyny floty cesarskiej typu Bumerang14, choć posiadały nieco inne krzywizny. Za nimi rzeczywiście podążały myśliwce Dagger23, wielozadaniowe, zgodnie z nazwą przypominające puginał – wyglądały, jakby długie, wąskie ostrze zostało osadzone na nieco szerszej rękojeści. W warunkach atmosfery planety rozkładały krótkie skrzydła i całkiem nieźle potrafiły manewrować. Znacznie różniły się od wielozadaniowych myśliwców Cesarstwa, Flambergów19, które zarówno w kosmosie, jak i atmosferze wyglądały podobnie – niczym skruszony tuż za łamaczem dwuręczny miecz, jedynie ich powierzchnie nośne nieco się powiększały przy lotach atmosferycznych. Aidan wyżej cenił konstrukcję opracowaną w zakładach Jego Cesarskiej Wysokości. Daggery były na pewno technologicznie bardziej zaawansowane, nie przekładało to się jednak ani na osiągi, ani na skuteczność, szczególnie w walkach nad powierzchnią planety. Za to cerbery stawiał na równi z bumerangami i jako dowódca niszczyciela wołał się z nimi nie spotykać, jeśli działały w większej grupie. Oczywiście, gdyby nie konieczność pozostawiania w bitwie, w warunkach otwartej przestrzeni, mógłby im umknąć, ale o tym nie było mowy.

Nie miał wyjścia, musiał podjąć walkę.

– Diego, gotowość! – zawołał. – Robert, cele do twojego uznania. Strzały pół sekundy po zatrzymaniu. Martinez, zatrzymanie na mój rozkaz.

– Tak jest! – głosy obu oficerów zlały się w jedno.

– Farlan – zwrócił się do zajętego przyjmowaniem wiadomości ze wszystkich stron oficera łączności.

– Tak jest. – Tamten podniósł głowę znad konsoli.

– Łącz mnie natychmiast bez rozkazu z każdym, kto znajdzie się w pobliżu naszej formacji.

– Zrozumiałem, sir.

– Chief!

– Słucham – odezwał się natychmiast głos porucznika Naalnisha.

– Maszyny muszą dać z siebie wszystko. Zapieprzają w naszą stronę myśliwce.

– Słyszałem – w głosie chiefa próżno by szukać śladów emocji. – Zrobię, co się da.

– Doskonale. Robert, wygarnij teraz do bandytów, a Martinez od razu po salwie do manewrów.

– Strzał! – padł rozkaz Shadera, a potem się zaczęło.

„Sirene” szarpnęła się w bok i w górę, potem poleciała krótko skosem.

Ewolucje nie były tak szalone jak podczas walki odtwarzanej w symulatorze, ale też dawały nieźle w kość zarówno załodze, jak i okrętowi.

Samuels patrzył na stoper. Trzy sekundy.

– Stop!

Martinez natychmiast wyłączył napęd, okręt podążał swobodnym kursem, zgodnym z ostatnim wektorem.

– Strzał! – zameldował Shader.

– Unik! – zakomenderował Aidan.

Znów zaczęły się dzikie harce. Myśliwce, z racji ograniczonych rozmiarów, nie posiadały bardzo mocnych silników manewrowych, zasadniczo leciały do przodu, wykorzystując do zmian kursu główne maszyny. Dla nich dziki taniec niszczyciela był nieosiągalny, lecz z kolei mniejsza masa pozwalała na dość ciasne skręty. Jednak tutaj cel podczas ewolucji przemieszczał się na tyle szybko, żeby utrudniać precyzyjne namierzanie zarówno przyrządom pokładowym, jak i wystrzelonym już raketom. Unikni uniemożliwiały natomiast praktycznie

zupełnie użycie pocisków niekierowanych oraz działek. Oczywiście myśliwce mogły stosować salwy wachlarzowe lub półsferyczne, ale w każdej chwili przeciwnik mógł się znaleźć zupełnie gdzie indziej, a pociski wówczas zagroziłyby własnym jednostkom. Lecz teraz „Sirene” musiała trzymać się z grubsza ustalonego szyku trójkowego, w dodatku w towarzystwie okrętów również wykonujących uniki, co zwiększało możliwość przewidywania manewrów. Ale też w szyku siła ognia oraz moc obrony rosły. Dlatego do niepełnej eskadry, czyli ośmiu myśliwców, dołączyła jeszcze jedna, również niekompletna, tworząc półsferę złożoną z czternastu maszyn. Fakt, że na samym początku zmagania stany myśliwskich ugrupowań były już tak uszczuplone, dawał pewien pogląd na to, jak krótkie życie miewali ci straceńcy, jeśli musieli działać w takim piekielnym chaosie. Pozbawieni zostali możliwości wykonywania swobodnych manewrów i odwrotu, a to przecież stanowiło o sile walki myśliwskiej.

– Stop! – krzyknął kapitan po upływie czterech sekund. Wydawały się wręcz wiecznością przy tych dzikich harcach, kiedy żołądek podchodził do gardła.

Procedura powtórzyła się, z tą różnicą, że kiedy nawigator wznowił gwałtowne ruchy, Shader zameldował:

– Dwa trafione. Jeden my, drugi „Santorino”.

Aidan nie skomentował tej wiadomości. I tak zostało jeszcze dwanaście myśliwców, a okręty miały rejon koncentracji za plecami, w odległości około półtorej minuty lotu z pełną dostępną w tych warunkach prędkością.

Do przeciążeń dołączyło się szarpnięcie.

„Oberwaliśmy” – pomyślał natychmiast kapitan i spojrzał na raport stanu jednostki. Rozjarzył się czerwienią tuż przy bakburcie. Kolejne generatory pola siłowego padły.

– Diego! Staraj się trzymać nas sterburtą w stronę ostrzału! – kapitan głos miał głuchy, jakby przyduszony.

– Tak jest! – wykrztusił nawigator z trudem.

– Stop!

– Jeden uszkodzony przez „Santorino”, drugi zniszczony przez „Greese”!

Szarpnięcie w górę i w bok jednocześnie. Aidan uznał po raz kolejny w swojej karierze, że „beczka śmiechu” jest eufemizmem stulecia na określenie tego, co działo się z okrętem podczas podobnych manewrów.

– Dołączają do nas następni – ostrzegł Norman Farlan.

– Widzę, chorąży – odparł kapitan. – Diego, modyfikacja pozycji do szyku stożkowego otwartego.

W większej grupie okręty jeszcze bardziej traciły możliwości wykonywania indywidualnych manewrów, ale siła ognia wynagradzała to z okładem. Myśliwce, mimo że nadciągnęły do nich posiłki, musiały postępować o wiele ostrożniej.

– Trzy niszczyciele, pięć fregat i dwie korwety w szyku – zameldował Farlan.

Dziki manewry ustały, obserwacja sytuacji stawała się nieco łatwiejsza.

– Dziesięć okrętów – powiedział Aidan. – Jeszcze dwa i będziemy tworzyć klasyczny szyk. Modyfikacja do szyku sferycznego otwartego.

– Zbliży się do nas dość mocno uszkodzony torpedowiec – poinformował Farlan, a potem dodał: – Raport medyczny, kapitanie. Mamy dwóch lekko rannych i jednego poważniej. Tych trzech to stłuczenia, a jeden ma w dodatku rozciętą głowę i prawdopodobnie wstrząśnienie mózgu.

„Nie przypięli się jak trzeba, idioci” – pomyślał Aidan, a głośno spytał:

– Ktoś z nich potrzebuje natychmiastowej pomocy?

– Nie, sir. Mogą poczekać.

– Doskonale. Po wszystkim staną do raportu. Przyjąć torpedowiec do szyku, ubezpieczać

go, szczególnie od strony największych uszkodzeń. Przekaż to na pozostałe okręty.

– Tak jest!

Odczekał pięć sekund, umożliwiając chorążemu pracę, a potem kazał dać wszystkie jednostki na wspólne łącze.

– Wzywam wszystkich dowódców grupy bojowej – powiedział. – Jako kapitan największej jednostki w szyku przejmuję dowodzenie.

Po krótkiej chwili napłynęły potwierdzenia. Tylko Amanda pozwoliła sobie wygłosić kwaśną uwagę na temat rzekomej różnicy w tonażu ich okrętów. Ale oczywiście nie zamierzała się sprzeciwiać. Ktoś musiał dowodzić grupą, a Samuels i ona mieli bez wątpienia największe doświadczenie. I tylko oni posiadali stopień określany w marynarce cesarskiej jako *Capitán de Navío*. Pozostali wprawdzie też byli nazywani kapitanami, ale formalnie ich szarże były niższe, jak *Capitán de Fragata*, *Capitán de Corbeta* czy też *Teniente de Navío*. Tak czy inaczej, największą rolę grało tu obycie w walce, a tego na pewno Samuelsonowi nikt odmówić nie mógł.

– No dobrze.

Wziął głęboki oddech, spojrzał na odczyty i ekran taktyczny. Oprócz myśliwców nadciągających ze sterburty, nieco już przetrzebionych, zmierzały ku nim jeszcze trzy ugrupowania maszyn, a z dołu pędził ciężki krążownik. Z wielką jednostką nawet jako zespół bojowy szanse mieli niewielkie. Jedna salwa pocisków kinetycznych i torped z jednostki typu Shepherd miała większą masę niż wszystkie okręty grupy razem wzięte.

Za rufą znajdował się rejon przestrzeni, do którego powinni się wycofać na przegrupowanie. Aidan obawiał się jednak, że nie oderwą się od wroga, jeśli po prostu zawrócą i pomkną w tamtym kierunku. Mieli do czynienia z bojowo nastawionym przeciwnikiem. A poza tym, skoro już tu był, nie mógł zostawić lotniskowca na los szczęścia. Odciągnięcie chociaż części sił wroga pozwoli kolosowi swobodniej działać i wycofać się bez dalszych strat.

Na trójwymiarowym ekranie operacyjnym, w który przetworzył się hologram sytuacyjny, szybkimi ruchami palców rozmieścił podlegające mu teraz jednostki. Przesłał obraz do kapitanów.

– Zrealizować.

– Zamierzasz atakować? – spytał natychmiast Moreno.

– Jak widać. Masz coś przeciwko temu?

– Skąd – zaśmiał się dowódca „Santorino”. – Ja, kurwa, zawsze jestem za tym, żeby atakować, przecież wiesz.

– Dlatego idziesz razem ze mną w pierwszej linii.

– I doskonale, jak kastetem w mordę.

Wyświetlacz taktyczny ukazał zmiany szyku. Najbardziej poszkodowane jednostki zajęły miejsca z tyłu, a górę, środek i dół stanowiły najmocniejsze okręty zgrupowania. Potrzaskany torpedowiec znalazł się w środku. Aidan połączył się z jego dowódcą. A właściwie zastępcą dowódcy, bo kapitan jednostki został ciężko ranny.

– Jak wyrzutnie? – Spojrzał na identyfikator i dodał: – Poruczniku Schmitz?

– Dwie uszkodzone, osiem sprawnych.

– W takim razie wesprzesz nas ogniem. Tylko się nie wychylaj. Z tego, co widzę, osłony masz praktycznie zrujnowane. Będziemy przechwytywać pociski wymierzone w ciebie. Z laserami sobie poradzisz?

– Z większością. Dostrajanie częstotliwości pancerza działa. Ale jak mnie rąbną z rentgena...

– Nie myśl o tym.

Wiedział, co tamten sobie mruknął teraz pod nosem. „Łatwo ci mówić »nie myśl o tym«, jak

masz sprawne tarcze”. A może porucznik Jorge Schmitz nic nie mruknął? Aidan nie znał przecież tego oficera, widział go może dwa razy w życiu na odprawach. Raczej milczący, spokojny gość. Kapitan miał nadzieję, że taki też okaże się podczas czekającej ich wspólnej walki.

– Do dzieła, moi państwo – rzucił. – Każdy już chyba wie, jak ma działać.

*

– Co oni chcą zrobić? – zdziwił się oficer łączności, patrząc na hologram sytuacyjny. – Wydał pan rozkaz przegrupowania w sektor siedemdziesiąt jeden-pięćset dwa-cztery, a ta formacja przesuwa się w zupełnie inną stronę.

– Daj obraz na mój ekran – zażądał wiceadmirał Romero.

Zbyt wiele się działo, żeby mógł ogarnąć każdy szczegół sytuacji. Poza tym miał na karku dwa wrogie krążowniki, usiłujące przebić osłony pancernika. Z pewną nostalgią wspominał czas, kiedy dowodził fregatą i nie był zdany tylko na generatory pól siłowych i osłony pancerza, mógł radzić sobie za pomocą uników. Chociaż kiedy sobie przypominał skutki tej techniki walki defensywnej...

Spojrzał na przesłany materiał. Jedenaście okrętów klasy niszczyciela i niższych utworzyło szyk bojowy, wysuwając na czoło najsilniejsze jednostki.

– Kto tam dowodzi? – spytał. – Aidan?

– Tak, kapitan Aidan Samuels – odpowiedział po krótkiej chwili oficer łączności.

– Daj mi go na holo.

Prawie w tym samym momencie pojawił się obraz. Wiceadmirał krótko skinął głową, zadowolony. Łącznościowiec spodziewał się takiego polecenia, zaczął realizować transmisję, zanim padł rozkaz.

– Witam, kapitanie – powiedział Romero.

Odpowiedź nadeszła po dwóch sekundach.

– Melduję grupę bojową gotową do akcji. – Samuels poświęcił dowódcy krótkie spojrzenie, a potem wrócił do śledzenia innych ekranów, jego palce śmigały po zawieszzonej w powietrzu klawiaturze.

– Widzę, że zamiast wycofywać się, zamierza pan zaatakować – zauważył wiceadmirał.

– Zamierzam wykonać pański rozkaz – warknął Aidan. – Ale zrobię to po swojemu. Jakoś nie mam ochoty uciekać z podkulonym ogonem, zostawiając swoich. Oczywiście, jeśli pan pozwoli – dodał sztywno.

– Spodziewa się pan teraz, że na pana nawrzeszczę, zabronię filozofować i każę niezwłocznie zabierać dupę w wyznaczony sektor – to było ze strony Romera bardziej stwierdzenie niż pytanie.

– Nie mam czasu na takie rozmyślania, señor! I na dyskusje z tym cholernym opóźnieniem! A chce pan tak zrobić?

Wiceadmirał uśmiechnął się krzywo.

– Niech pan robi swoje, kapitanie. Postaram się panu pomóc w miarę możliwości. Ale sam mam teraz na głowie pojedynek artyleryjski.

– Tak, właśnie widzę – mruknął Aidan. – Powodzenia, panie admirale.

Romero ocenił sytuację, przelatując wzrokiem po ekranach. Kiedy lata temu po raz pierwszy znalazł się na mostku dowodzenia fregatą, miał wrażenie, że dostanie oczopląsu od tego całego wizualnego zamieszania. A miał wtedy do obsługi tylko kilka ekranów. Teraz było ich przeszło pięćdziesiąt. Jednak lata praktyki sprawiły, że umysł nauczył się oddzielać ziarno od plew, ignorować te informacje, które w danej chwili nie wnosiły nic istotnego do rozwoju wydarzeń.

– Dobrze chłopak kombinuje – powiedział głośno. – Sam bym tak zrobił na jego miejscu.

Ratuje tyłek sobie, ale przy okazji paru innym, a przede wszystkim ułatwia życie „Medinie”.

Oficer łączności spojrział zdziwiony, ale nie odezwał się ani słowem.

– Jak te krążowniki? – spytał Romero. – Pokaż.

Na hologramie zobaczył „Numancię”, atakowaną przez rój myśliwców oraz dwie duże jednostki typu Shepherd. Piloci myśliwców zachowywali się tak, jak tego od nich oczekiwano – przeprowadzali szalone, wariackie wręcz ataki, ryzykując życie. Romero potrafił sobie wyobrazić, co się czuje, siedząc w kokpicie takiej łupinki w samym środku bitewnego zamętu. Na samym początku kariery w marynarce kilka razy miał okazję zasiąść za sterami małej maszyny. Wprawdzie tylko podczas ćwiczeń, ale zawsze to było jakieś doświadczenie.

Natomiast krążowniki zachowywały daleko idącą ostrożność. Pancernik typu Taurus był groźnym przeciwnikiem. W dodatku najcięższe choćby uszkodzenia nie wyłączały go z walki, składał się bowiem z wielu modułów, nawet po naruszeniu integralności okrętu zdolnych do samodzielnego działania i nadal stanowiących wartościowe jednostki bojowe. Każdy z tych modułów posiadał własną wyszkoloną załogę i wyznaczonych dowódców. Ich działania mogły być również koordynowane przez główne centrum dowodzenia lub centra zastępcze, rozmieszczone w poszczególnych modułach.

To wszystko sprawiało, że walka z pancernikiem jako całością była ryzykowna, nawet gdy istniały duże szanse, iż zakończy się powodzeniem.

Zresztą republikanie posiadali podobne jednostki w tej klasie okrętów, typu H. Pancernik wroga różnił się znacznie kształtem od konstrukcji stosowanej we flocie cesarskiej, ale zasada podziału na moduły funkcjonowała podobnie. O ile imperialny typ T przypominał w rzucie bocznym właśnie tę literę, to typ H również kojarzył się z alfabetem. Od góry z kolei taurusy wyglądały jak kanciaste wrzeciono, a helicony miały wokół centralnego rdzenia umocowane sześciokątne w przekroju ramiona.

Tylko raz w życiu Romero miał okazję zobaczyć, jak działa taki pancernik H po mocnym trafieniu, dezintegrującym jego systemy główne, i nie było to wspomnienie zbyt przyjemne. Miał nawet wrażenie, że podzielony na części przeciwnik stał się jeszcze groźniejszy. To było oczywiście tylko wrażenie, ale mogło zaowocować niewłaściwą oceną sytuacji i tendencją do podejmowania nietrafionych decyzji.

Otrząsnął się z napływających wbrew woli wspomnień.

– Sergio – powiedział do oficera łączności – wyświetl mi holo pokazujące akcję kapitana Samuela obok monitora głównego.

– Tak jest!

Na pozostałych ekranach okręty posłusznie wykonywały rozkaz przegrupowania się do wyznaczonego sektora. Ruszył się również „Medina-Sidonia”, który po wypuszczeniu myśliwców i pozbyciu się transportowanych okrętów niższych klas mógł wreszcie postawić na maksimum nieuszkodzone tarcze.

– Naprawdę potrafi myśleć ten kapitan – mruknął do siebie Romero.

– Mówił pan coś, admirale? – spytał natychmiast łącznościowiec.

– Nie, chłopcze. Żałuję tylko, że nie mamy we flocie więcej takich dowódców jak ten Samuels. Patrz i ucz się, jak dostosowywać sposób działania do zmieniającej się sytuacji.

Rozmyślał przez chwilę, rozważając to, co się zdarzyło w ostatnim czasie. Coś mu w tym wszystkim zgrzytało. Szczególnie w jednym aspekcie.

– Jeszcze jedno – powiedział do łącznościowca. – Sprawdź mi opóźnienia w przekazie informacji z pancernikiem „Vincent”. Do stutysięcznych części sekundy.

NA CELOWNIKU

Aidan sprawdził po raz ostatni ustawienie szyku. Myśliwce wciąż próbowały ich ugryźć, lecz systemy obrony zostały teraz częściowo zintegrowane, komputery prowadziły działania osłonowe zarówno indywidualnie, jak i zespołowo. Dzięki temu oficerowie uzbrojenia mogli się zająć tym, co najważniejsze – planowaniem wspólnej akcji. A poza tym część sił przeciwnika była zaabsorbowana walką z myśliwcami wypuszczonymi z „Mediny-Sidonii”.

Walka w przestrzeni miała to do siebie, że konkretne starcie mogło przebiegać błyskawicznie, wręcz poza zasięgiem ludzkiej percepcji, lecz mogła też ciągnąć się do znudzenia. Teraz czas wprawdzie nagiął, lecz ważniejsze było opracowanie ramowego chociażby planu współpracy. Podczas ćwiczeń na poligonach umiejscowionych poza granicami Układu Słonecznego szkolono się w podobnych manewrach. Oczywiście było to przydatne, jednak podczas bitwy sprawy zazwyczaj mocno się komplikowały. Chociażby z tego względu, że w klasycznym szyku dwunastkowym powinny brać udział po trzy jednostki różnych typów, a tutaj dowódca miał do dyspozycji zupełny miszmasz, w dodatku okrętów było jedenaście, co sprawiało, że tworzyła się dziura w formacji. No i uszkodzenia. Aidan musiał brać pod uwagę ich skalę oraz obszary, kiedy wyznaczał pozycje. Wedle wszelkich zasad torpedowców – jeśli wchodził w skład grupy – powinien iść albo na czele, albo w ariergardzie, aby mieć swobodne pole do wachlarzowego lub półsferycznego ostrzału. Tutaj Aidan miał go w środku, musiał więc zapewnić mu możliwość walki bez narażania własnych jednostek, a przy tym dbać o pozbawiony osłon okręt.

No cóż, nic lepszego w tej chwili nie zdoła już wymyślić.

– Wszyscy gotowi? – zapytał przez wspólne łącze.

Na wyświetlaczu zapaliły się na zielono znaczki obok ikon wszystkich jednostek grupy.

– Atak!

Okręty ruszyły w zwartym szyku, odległości między nimi wynosiły zaledwie kilkaset metrów. Grupa przypominała zaciśniętą pięść. Popędzili w stronę silnego zgrupowania myśliwców, z lewej strony i w dole w stosunku do wycofującego się „Mediny-Sidonii”.

Zgrupowanie myśliwców na widok atakujących rozproszyło się, jednak mimo tego manewru pierwsze maszyny już padały ofiarą zmasowanego ognia dział laserowych, a po chwili także rakiet i pocisków z wyrzutni kinetycznych. Przyspieszenie pięciuset g nie było może imponujące, jak na możliwości napędu wspomaganego w tej chwili przez generatory grawitacyjne, ale przy odległościach tego konkretnego pola bitwy okazało się bardziej niż wystarczające.

Krażownik zmierzający ku grupie Aidana również przyspieszył, zamierzając przechwycić śmiałków. Kapitan spodziewał się tego, dlatego zakazał torpedowcowi brać udział w walce bieżącej, za to polecił skupić się na wielkiej jednostce. Poza tym chciał, aby wróg doszedł do wniosku, że uszkodzony okręt w centrum formacji w ogóle jest niezdolny do walki. Rzecz jasna, trudno było liczyć na jakiegokolwiek zaskoczenie systemów obronnych wroga, ale uspienie czujności kierujących nimi ludzi niezwykle często okazywało się przydatne.

To zresztą od zawsze była ulubiona taktyka kapitana Samuela – uspienie czujności przeciwnika. Stosował ją także podczas walki wręcz. Nie odbywał wielu pojedynków, tak modnych wśród oficerów, zarówno cesarskich, jak i republikańskich. Prawdę mówiąc, w ogóle nie odbywał pojedynków z jednym wyjątkiem przed laty. Nie znaczyło to, że nie potrafił posługiwać się bronią białą. Przeciwnie, trenował bardzo chętnie fechtunek szablą i nieco

mniej chętnie szpadą czy rapierem. Takie umiejętności przydawały się podczas abordażu, kiedy w pewnych sytuacjach należało unikać używania broni palnej, a już z całą pewnością rusznic laserowych. Ale kilkanaście lat temu, jako młody podporucznik, został wyzwany na ubite pole przez innego podporucznika. Chociaż termin „ubite pole” w odniesieniu do plastalowo-ceramicznego pokładu stacji kosmicznej wydawał mu się zbyt skrajnym anachronizmem. Nie pamiętał, czym się naraził przeciwnikowi. Podobno poszło o honor damy, ale tak naprawdę nie miał pojęcia, czym mógł tę damę urazić. Chyba jedynie tym, że w ogóle nie zwrócił na nią uwagi i do dziś nie miał pojęcia, o kogo chodziło. Musiała dysponować wyjątkowo nienarzucającym się typem urody.

Jakkolwiek było, doszło do pojedynku, na który wyrazili zgodę sędzia pokoju i wiceinkwizytor stacji. Aidan zdawał sobie sprawę, że ma do czynienia z doskonałym rębajłą, słynnym z tego, iż nie przegrał ani jednej walki. Sekundanci ustalili, że potyczka będzie trwała do pierwszej krwi. Ponieważ jako wyzwanemu to Samuelsonowi przysługiwał wybór broni, zdecydował się na szablę. Nie spał całą noc, denerwując się i wyrzucając sobie, że nie postarał się załatwić sprawy polubownie. Co by szkodziło przeprosić tego bałwana, nawet jeśli nie czuł się winny? Ale musiał też przyznać, że przeprosiny na pewno nie przeszłyby mu przez gardło. A był przecież czas, kiedy pojedynków zakazywano, podobno w drugiej połowie dwudziestego wieku w ogóle wyszły z mody, a powróciły prawie trzysta lat później, podczas wojen saturańskich, kiedy nastąpił ostateczny podział na Cesarstwo i Republikę.

Mając przed sobą tak doświadczonego przeciwnika, Aidan postanowił uciec się do podstępów. Mianowicie zaczął wymachiwać klingą tak, jakby nie wiedział, z której strony trzyma się szablę. Do dziś pamiętał błysk triumfu w oczach tamtego. Po kilku złożeniach przeciwnik uznał, że wystarczy mocniej nacisnąć, żeby złamać opór i doprowadzić do zwycięstwa. No i się szpetnie naciął. Chcąc wyprowadzić bardzo efektowny cios, żeby zakończyć rzecz z przytupem, odsłonił się na chwilę, co wystarczyło Aidanowi. Chlasnął nieuważnego szermierza końcem szabli w policzek, rozcinając skórę tak mocno, że ukazały się zęby. Tydzień później tamten wariat zażądał rewanzu, ale Samuelson otrzymał właśnie promocję na porucznika, a pokonany pozostał przy poprzednim stopniu. Regulamin surowo zabraniał pojedynków oficerów różnych szarż, zezwalano na nie tylko w wyjątkowych sytuacjach, a ta absolutnie wyjątkowa nie była, więc tym razem ani sędzia pokoju, ani wiceinkwizytor nie mogli się przychylić do żądania upokorzonego awanturnika.

Potem wielokrotnie stosował podobną taktykę w walce. Ważniejsze jest nie to, co przeciwnik widzi, lecz to, czego nie może dostrzec, a kiedy się sparzy na niespodziankę, obawia się nieznanego znacznie bardziej, niż powinien, biorąc pod uwagę układ sił.

Przyszło mu coś do głowy. Połączył się z torpedowcem.

– Czekaj do ostatniej chwili. Możesz lecieć tak, żeby wyglądało, jakbyś się ledwie trzymał w szyku?

– Jasne – odpowiedział Jorge Schmitz. – Bez wysiłku.

– Wszystko, co masz, wyślesz na mój rozkaz w stronę tego shepherd.

– Tak jest.

Dowódca torpedowca nie pytał już o nic więcej, co bardzo się spodobało Aidanowi. Facet naprawdę wiedział, o co chodzi w tej grze.

Atak rozwijał się zgodnie z planem. Zgrupowanie myśliwców pierzchło i zaczęło się zbierać za rufami okrętów cesarskich. Nimi Aidan się nie martwił. Pojedynczo nie miały wielkich szans na udany atak, a zanim zorganizują konkretną akcję, upłynie kilkadziesiąt sekund.

– Trzy niszczyciele na styczonym kursie – zameldował Martinez.

– Shader, słyszałeś – powiedział Aidan i połączył się z dowódcami grupy. Ostrzał kinetyczny i laserowy. Nie musimy ich koniecznie teraz zniszczyć. Muszą tylko iść w rozsypkę.

Ale przeciwnik nawet nie próbował szykiem trójkowym zatrzymać grupy uderzeniowej. Przewaga ognia jednostek imperialnych byłaby zbyt wielka. Aidan pomyślał w tej chwili, że musieli faktycznie zaskoczyć siły Republiki, skoro okręty jeszcze nie zdołały się skupić w porządne formacje. Albo mieli do czynienia z zupełnie niewyszkolonym przeciwnikiem, co wydawało się praktycznie wykluczone.

Na hologramie sytuacyjnym torpedowiec przesuwiał się właśnie do tyłu, żeby po chwili przyśpieszyć. Leciał przez kilka sekund równo z formacją, a potem znów zaczął się opóźniać. Z punktu widzenia wroga musiało to wyglądać, jakby był niezdolny do działania. Świetnie.

Od sterburty zbliżał się nieubłagane krążownik.

– Kapitanie, straciliśmy korwetę „Mullino” – zameldował łącznościowiec.

– Tak, już widzę.

Podążająca w drugiej linii jednostka zapłonęła na pomarańczowo, a potem rozjarzyła się purpurą.

„Żegnajcie” – pomyślał.

– Modyfikacja szyku – oznajmił, przesuając jednostki na nowe pozycje.

Torpedowiec nadal znajdował się w środku, trzy krążowniki i fregata na czele, z trzeciej linii na miejsce zniszczonego okrętu weszła inna korweta.

Torpedowiec zostawał z tyłu. Wyglądało to tak, jakby rzeczywiście szwankował mu napęd. Jednak Aidan nie miał teraz czasu się z nim łączyć. Zbyt wiele się działo.

– Ogień zaporowy na kierunku siedem-szesnaście-trzydzieści trzy! zawołał, widząc zmierzającą ku nim formację dwudziestu daggerów. Cerbery zapewne skierowano przeciwko ciężkim okrętom. – Przyśpieszenie trzysta g!

Okręty wyrwały do przodu. Torpedowiec przez sekundę pozostał z tyłu, ale zaraz dołączył z wysiłkiem do grupy, zajął swoje miejsce.

„Świetnie mu wychodzi udawanie kulawego zająca” – przeleciało przez głowę kapitanowi.

„Ciekawe, czy okaże się również groźnym wilkiem”.

– Pozycja „Mediny-Sidonii”! – zażądał informacji.

– Zmierza do rejonu koncentracji.

– Co z pozostałymi?

– „Numancia” osłania lotniskowiec i prowadzi pojedynek artyleryjski, „Vincent” wszedł do bezpośredniej akcji, właśnie zniszczył korwetę typu Neher. „Maria Teresa” omija bitwę i leci do strefy zbiórki.

– Łącz mnie z dowódcą „Vincenta”. Głosowo, nie mam czasu gapić się na jego gębę.

Po chwili odezwał się aksamitny głos Sułtana:

– Czego chcesz, Samuels? Mam tu niezły burdel, musisz się streszczać.

– Jak wygląda sytuacja? Nie mam pełnego przeglądu.

– Zależy, o co pytasz.

– O to, czy mogę już spieprzać! „Medinę” mam za plecami, ale przydzielili mnie i Amandę do ciebie! Żeby potem nie było, że zostałeś bez eskorty!

– Zjeżdżaj, Aidan – padła opryskliwa odpowiedź. – Nie powinieneś w ogóle wdawać się w bijatykę!

– Powiedz to tym, którym osłaniamy dupy!

– Dobra, nie udawaj berserka, tylko spieprzaj. Masz krążownik na kursie.

– Wiem.

Aidan ocenił sytuację. Połączył się z torpedowcem.

– Teraz – powiedział. – Robimy zwrot, będziesz miał okazję do czystego strzału. Włóżcie w to serce, inaczej ten smok nieźle nas poharata.

– Rozumiem, wykonuję.

– Do wszystkich. Sprawdzić łączność kompów.

Po chwili nadeszły odpowiedzi potwierdzające sprawne łącza.

– Jednocześnie zwrot według schematu dwadzieścia cztery przez bakburtę.

– Przez sterburtę mielibyśmy krótszą drogę do strefy koncentracji zaprotestowała Amanda. – Byłoby szybciej i bezpieczniej.

– Milczeć, kapitan Berger! – warknął. – Później podyskutujemy o moich decyzjach.

Nie odezwała się. To była jego wizja działań. Na pewno zdawała sobie sprawę tak samo jak on, że gdyby wykonali ściśle rozkaz i podążali teraz do wyznaczonego sektora, mieliby na ogonie o wiele mniej wrogich jednostek. Wprawdzie wiązałoby się to z mniejszą możliwością manewru, ograniczoną pozycjami własnych okrętów, ale czas w tym wypadku grał na ich korzyść. Aidan, podejmując taki, a nie inny manewr, starał się odciągnąć jak najwięcej republikanów od jednostek samotnie zdążających w rejon koncentracji, w tym od uszkodzonego lotniskowca. No cóż, byli jednostkami eskortowymi.

Torpedowiec niespodziewanie został zupełnie z tyłu, wysunął się z szyku. Tego Aidan na pewno od niego nie wymagał. Wywołał go.

– Nie ryzykuj bez sensu! – rozkazał. – Z głębi formacji masz wystarczające pole ostrzału!

– Wybacz, kapitanie – powiedział dowódca torpedowca. – Tego manewru nie damy rady wykonać razem z wami.

– Co się dzieje?

– Mam uszkodzone silniki. Coraz mniej mocy z każdą minutą.

– Tego nie mówiłeś!

– Nie pytałeś – padła krótka odpowiedź. – Zresztą to bez znaczenia, i tak byś nic nie poradził. Dawaliśmy jeszcze radę, ale teraz wszystko ostatecznie zdycha. Zostaję.

– W takim razie poddaj się temu krążownikowi – rozkazał Aidan.

– Zrobię, co do mnie należy – zaprotestował dowódca torpedowca. Oślonię was.

– Damy sobie radę. Poddaj się.

– Nie pieprz, kapitanie. Powodzenia. Nikomu nie będziemy się poddawać.

„Cholerny bohater” – pomyślał Aidan, zaciskając zęby w bezsilnej złości.

– Masz się poddać, zrozumiałeś? – wrzasnął. – Bez dyskusji! Twoja śmierć na nic się nie przyda! To rozkaz!

– Tak jest! Zaraz nadam sygnał.

Aidan nie miał czasu rozmyślać o losie uszkodzonej jednostki. Po zwrocie zobaczył przed sobą gęstwę okrętów swoich i wroga. Grupa zadaniowa floty cesarskiej cofała się, ścigana wściekle przez okręty Republiki. Musiał się przebić przez ten bałagan. W ich kierunku gnały myśliwce i sześć fregat w luźnym szyku. Krążownik mieli teraz z tyłu.

– Kapitanie – powiedział Farlan – ten krążownik zmienił kurs. Idzie w stronę „Medyny-Sidonii”!

Aidan zacisnął zęby. Właściwie powinien się tego spodziewać. Duża jednostka uznała, że lotniskowiec będzie łatwiejszym łupem niż zwrotna formacja średnich okrętów.

– Co z „Mediną”?

– Ma osłonę myśliwców. Chce pan zawrócić?

Aidan już otworzył usta, żeby wydać rozkaz, kiedy rozległ się głos bosman Collins:

– O kurwa!

– Bez bluzgów – warknął.

– Niech pan sam popatrzy, sir – odparła kobieta. – Nie na taktyczny. Na ogólny. Tam wrzucam powtórkę.

Posłusznie spojrział na ekran, na który wypłynęła sylwetka torpedowca. Został już kilkaset kilometrów z tyłu, bezradny, mały punkcik na drodze między grupą Aidana a wielkim krążownikiem. Nadawał sygnał poddania, zgodnie z rozkazem. Ale kiedy tylko krążownik Republiki zmienił kurs, przerwał transmisję. Status okrętu na holo taktycznym, które Aidan

obserwował równolegle, zmienił się z łagodnie seledynowego, oznaczającego wypadnięcie z akcji, na pomarańczowy.

– Cholera ciężka – wyszeptał Samuels.

Z tej odległości nie było widać oczywiście potężnych walców, ale system zaznaczył wystrzelone przez okręt torpedy. Pierwsza salwa – osiem. Druga znów osiem... Po kilku sekundach trzecia.

– Miał się poddać, do cholery!

– I zrobił to przecież, kapitanie – powiedziała Collins. – Ale zmienił zdanie.

Raptem uszkodzony okręt zamienił się w ognistą kulę i wyparował, zupełnie jakby go nigdy nie było.

– Laser molekularny – mruknął Aidan. – Bez poprawki...

Wystrzelone pociski leciały w dwóch półsferach. Kapitan zniszczonej jednostki był starym wygą, dlatego torpedy miały różne trajektorie, aby maksymalnie utrudnić namierzenie i obronę, a przez to spowolnić inne działania systemów wrogiego okrętu. Poświęcając życie, odciągnął chociaż na kilkanaście sekund uwagę i siły krążownika atakującego lotniskowiec.

– Wygarnij do bydlaka z głównego lasera, Shad! – rozkazał Aidan.

– Musielibyśmy zrobić zwrot.

– Zrobimy zatem! Przywał mu, ile mamy mocy! Będzie miał kutas dwa problemy naraz! Reszta grupy zostaje na obecnym kursie!

Wiedział, że to działanie pozbawione sensu, bo krążownik się obroni, podobnie jak przed ostrzałem zniszczonego okrętu. Nie musiał rozpruwać bezbronnego.

– Nawigator, przygotuj się do zwrotu za dziesięć sekund!

Okręt zadrżał, kiedy osłony zawadził promień z działa laserowego krążownika. Wielka jednostka zrobiła zwrot, widząc, że „Medina-Sidonia” wykorzystał czas podarowany przez torpedowiec i znalazł się już w szczelnej osłonie ogniowej obu pancerników imperium.

– Jesteś pewien, że chcesz się wdawać w pojedynek artyleryjski z tym gościem? – spytał Shader. – Sami nie mamy szans.

Porucznik miał całkowitą rację. Nawet gdyby zarządził wspólną akcję całej grupy i zdołali doskonale zgrać uderzenie, mieliby problem z przebiciem osłon krążownika. W walce z takim kolosem niezwykle ważny był element zaskoczenia, a w tej sytuacji byłoby o to bardzo trudno. Może zdołaliby coś tam uszkodzić, ale nic więcej. A poza tym musieli się wciąż liczyć z atakiem myśliwców.

– Odpadł „Ruiz”! – zameldował Farlan. – Bezpośrednie trafienie wiązką lasera rentgenowskiego w siłownię.

Aidan spojrział na ekran sytuacyjny. Ikona fregaty rozjarzyła się krwistą czerwienią i zgasła. Na monitorze przekazującym obraz z kamer rozmieszczonych wzdłuż kadłuba zobaczył koziółkujący kadłub „Ruiza”. Po chwili drugi wybuch rozerwał na strzępy bezbronną jednostkę. Wyglądało to na skutek działania torpedy lub pocisku kinetycznego.

– Cholera jasna!

Ich szanse na skuteczną akcję jeszcze bardziej się zmniejszyły. W tej chwili jedynym ratunkiem dla całej formacji było schronienie się pod skrzydła większych jednostek.

– Okręt gotów do zwrotu – zameldował Martinez.

– Zmiana rozkazu. Do wszystkich! Prujemy ile mocy w stronę sektora. Niszczyciele „Sirene”, „Greese” i „Alvarez” czyszczą drogę, reszta wykonuje działania osłonowe!

„Kiedy się zbliżymy do tej gęstwy kryp przed nami, nie będzie mógł użyć bezpiecznie dział kinetycznych i torped, żeby nie razić swoich”.

W tej chwili największym zagrożeniem było dział rentgenowskie, ale Aidan zdawał sobie sprawę, że po ostatnich salwach jego naładowanie zajmie co najmniej trzy minuty. Laserów innych częstotliwości nie obawiał się, powinny sobie z nimi poradzić osłony, a jeśli nie one,

to systemy ochrony pancerza, które wprawiały płyty pancerne w drgania, będące w stanie rozproszyć energię promieni i znacznie zniwelować ich działanie. Oczywiście przeciwnik mógł strzelać kilkoma rodzajami promieniowania spolaryzowanego jednocześnie, ale w ferworze bitwy rzadko się zdarzało, żeby koncentrował wszystkie środki na jednym celu. Zresztą jeśli pola siłowe były w pełni sprawne, i z takim problemem można było sobie poradzić.

Jednak przed bezpośrednim trafieniem z lasera rentgenowskiego dużej mocy nie istniała skuteczna ochrona w przypadku mniejszych jednostek. Jediną wadą tego urządzenia była ogromna żarłoczność, co sprawiało, że ładowanie trwało od kilku do nawet kilkunastu minut, to zależało od bieżących możliwości siłowni okrętów. W czasie działań bojowych oczywiście czas się wydłużał, gdyż pracowało mnóstwo innych systemów, wymagających wzmożonego zasilania. Tylko ostatnia generacja monitorów mogła prowadzić gęsty ostrzał rentgenowski, ładowanie na nich trwało do dwudziestu sekund, ale one składały się praktycznie tylko z siłowni i dział oraz zredukowanych do minimum silników. Dlatego służyły niemal wyłącznie do działań defensywnych w rejonach poszczególnych układów, a i to jedynie tych najważniejszych strategicznie, gdyż utrzymanie monitora było porównywalne z nakładami koniecznymi do funkcjonowania najcięższego pancernika.

– Cała naprzód! – wydał komendę. – Utrzymać szyk!

Przyspieszenie rzędu dziesięciu tysięcy g sprawiło, że nadlatujący po skosie krążownik przesunął się w tył i w bok. Zaraz jednak przestał się oddalać, również zwiększając prędkość.

– Uwaga wszyscy – powiedział Aidan. – Lecimy tym kursem przez półtorej minuty. Kiedy przedrzemy się do rejonu koncentracji, każdy zajmuje przydzielone mu na odprawie miejsce. Zrozumiano?

Zaświeciły się zielone kontrolki przyjęcia rozkazu. Tylko dowódca korwety „Marina” zgłosił się osobno na kanale głosowym.

– Miałem lecieć w eskorcie razem z krążownikiem „Saluto”, ale jego tu w ogóle nie ma.

– W takim razie zapraszam ze mną – odparł Aidan. – Do eskorty pancernika „Vincent”. Jego dowódca bez wątplenia nie będzie miał nic przeciwko dodatkowej jednostce. Tym bardziej że na pewno ktoś odpadł w czasie tej szamotaniny.

„Co za burdel” – pomyślał. „Nie potrafią nawet zgrać logistyki. Ciekawe, swoją drogą...”

– Diego! – powiedział.

– Tak? – Martinez podniósł głowę znad konsoli nawigacyjnej i spojrzał na Samuela.

– Gdzie my, do kurwy nędzy, jesteśmy? Ustaliłeś?

– Jeszcze nie, nie było czasu. Ale prosiłem Normana, żeby wysłał pytanie do „Numancii”.

– I nie odpowiedzieli? – Aidan zwrócił się do Farlana.

– Jeszcze nie.

Kapitan machnął ręką. W zgiełku bitwy ich aktualna pozycja w Galaktyce nie miała większego znaczenia. Co nie zmieniało faktu, że wolałby jednak wiedzieć.

*

Wiceadmirał Rodrigo Pedro Romero w skupieniu śledził sytuację taktyczną. Dziewięćdziesiąt procent jednostek, które przetrwały chaotyczną bitwę, znajdowało się już w wyznaczonym sektorze lub w pobliżu. Pozostały jeszcze pojedyncze okręty, przedzierające się przez szyki wroga, i zespół kapitana Samuela, zmierzający do rejonu koncentracji z maksymalną możliwą w tych warunkach prędkością.

Romero wywołał „Vincenta”.

– Sułtanie, możesz poprosić inkwizytora Lermę? Chciałbym go o coś zapytać.

– Nie mogę – odpowiedział dowódca pancernika.

– Ucierpiał w czasie walki? – spytał z nadzieją Romero.

– On by ucierpiał – prychnął Sułtan. – Nie mam go na pokładzie, i tyle.
– Jak go zdołałeś ewakuować? – zdumiał się wiceadmirał. – W tym całym bajzlu?
– Nie ewakuowałem go. – Kapitan „Vincenta” wzruszył ramionami. – W ogóle nie brałem inkwizytora na burzę.
Romero potrząsał głową. Czegoś tu nie rozumiał.
– Przecież łączył się ze mną z twojego okrętu, Gutierrez!
– To się zgadza. – Sułtan skinął głową. – Łączył się, ale nie z mojego kundelka fizycznie, tylko przez system komunikacji.
Wiceadmirał wziął głęboki oddech i policzył do dziesięciu, żeby się opanować.
– No dobrze – powiedział powoli. – Wyłumacz mi to, zanim mnie tutaj szlag trafi i będziesz musiał przejąć dowodzenie nad tym całym burdelem.
Sułtan roześmiał się, ale natychmiast spoważniał.
– Słuchaj, Rodrigo – westchnął ciężko – Lerma podobno załadował w mój komputer centralny jakiś program. Coś jakby sztuczną inteligencję w mocno okrojonej wersji. Mówię „podobno”, bo nie mam dostępu do części zasobów.
– Chcesz powiedzieć, że rozmawiałem nie tylko z fantomem, ale w dodatku z fantomem fantomu?!
– Na to wygląda. Oczywiście dostałem zakaz informowania cię o tym, ale teraz to chyba już bez znaczenia.
– Przecież rozmawiał ze mną tak, jakby brał udział w wydarzeniach! Żadna sztuczna inteligencja nie jest w stanie tego wygenerować!
– To inkwizytor. – Sułtan znów wzruszył ramionami. – Po nich można się wszystkiego spodziewać.
– Musiałby być pieprzonym jasnowidzem!
– To inkwizytor – powtórzył kapitan „Vincenta”. – Widziałem już dziwniejsze rzeczy...
– Pogadamy później! – przerwał mu wiceadmirał. – Za chwilę dotrą tu ostatnie jednostki. Wtedy rozwijamy ścisły parasol ochronny. Wykonać!
– Tak jest! – Sułtan rozłączył się z wyraźną ulgą.
– Kanalie – mruknął wiceadmirał. – Co wyście, skurwiele, wykombinowali?
Był pewien, że dowódca „Vincenta” brał udział w tej hucpie i coś jeszcze było tu nie tak, ale teraz nie miał czasu na rozmyślenia i analizy, a tym bardziej zadawanie pytań.
Połączył się z dowódcą „Sirene”.
– Kapitanie Samuels, za pół minuty znajdzie się pan w przemieszanych formacjach naszych i wroga. Co pan zamierza?
– Przebić się, señor. Grupę rozwiążę dopiero w rejonie koncentracji.
– Bardzo dobrze – sapnął z zadowoleniem Romero. – Przynajmniej jeden, który myśli.
– Nie dosłyszałem, panie admirale. – Aidan, zajęty śledzeniem odczytów i wydawaniem poleceń, nawet nie patrzył w okno komunikatora. – Może pan powtórzyć?
– Nic ważnego, kapitanie. Niech pan robi swoje.
– Tak jest, panie admirale. Czy jeszcze coś? – Dopiero teraz Aidan poświęcił spojrzenie dowódcy.
– Postaram się zapewnić panu maksymalną możliwą osłonę. Ale to będzie trudne z uwagi na chaos w przestrzeni bitwy.
– Dziękuję, señor. Odmeldowuję się.
– Powodzenia.

*

Na mostku panowała cisza, jeśli nie liczyć szumu monitorów i pojedynczych uwag rzucanych przez Martineza i Farlana. Aidan w skupieniu obserwował sytuację wokół

zgrupowania. Przedzierali się od piętnastu sekund przez linie wroga. Przeciwno nim skierowano zaledwie dwie eskadry myśliwskie i dwie fregaty typu Victoria. Rzecz jasna, było to „zaledwie” z punktu widzenia przeciwnika, ale dla potrzaskanych już jednostek dowodzonych przez Samuela wydawało się aż za wiele.

– Ogień zaporowy! – rozkazał Aidan. – Koncentrycznie, od środka na zewnątrz!

Musieli uważać, żeby nie zawadzić własnych jednostek, ściganych przez republikanów. Aidan wciąż zachodził w głowę, co tu się właściwie działo i o co mogło chodzić w tym bałaganie. Po jaką nagłą cholere wyłonili się z nadprzestrzeni w obszarze zajęтым przez okręty wroga? Teraz czekała ich zapewne regularna bitwa manewrowa, gdyż siły obu stron były porównywalne. To trzeba wreszcie wyjaśnić.

– Farlan, masz w końcu jakąś odpowiedź, gdzie jesteśmy?

– Nie.

– Ja coś już wiem – oznajmił nawigator.

– To dawaj.

– Komputer podał wreszcie koordynaty na podstawie układu gwiazd. Trochę to zajęło, bo wie pan, jak to jest. W każdym zakątku Galaktyki trzeba znaleźć jakiś punkt odniesienia...

– Wiem, do cholery! Gdzie jesteśmy, gadaj!

– To okolice Regora, inaczej gamma Velorum. Jesteśmy ponad tysiąc sto trzydzieści lat świetlnych od Układu Słonecznego.

– Niech to wszyscy diabli!

Niewiele mu to mówiło poza tym, że gamma Velorum należała do gwiazdozbioru Żagla, widocznego z południowej półkuli Ziemi.

– Przecież to gwiazda sześciokrotna, nic tu, do ciężkiej cholery, nie ma! Może jakieś błądzące planety się trafią gdzieś w głębi przestrzeni, ale nawet jednej kolonii nie założono ze względu na warunki! Skąd tutaj nagle Republika i my jednocześnie?!

Martinez nie próbował nawet odpowiadać. W takich chwilach szyper mówił do siebie, nie oczekując reakcji podwładnych. Więcej, każda odpowiedź mogła go rozdrażnić.

– Diego, Norman. Jak tylko znajdziemy się w spokojniejszym otoczeniu, chcę dostać dokładne skany całej przestrzeni w rejonie gwiazdy!

– Tak jest!

– O coś w tym wszystkim chodzi, do ciężkiej cholery! I muszę się dowiedzieć, o co! Nie mam ochoty nadstawiać tyłka w jakiejś cholerniej rozgrywce w ciemno!

Klął przez chwilę, po czym odetchnął głęboko.

– Lepiej ci? – spytał kąśliwie Shader, a Aidan zdał sobie sprawę, że wszystko, co mówił, szło przez pokładowy system łączności.

Zdarzyło się to nie pierwszy i pewnie nie ostatni raz. Co tam, niech ludzie wiedzą, co myśli, nawet jeśli ten i ów potem doniesie na niego władzom i zjawią się wizytatorzy, aby przejrzeć zapisy w czarnych skrzynkach. Też zresztą nie pierwszy i nie ostatni raz.

– Nie, Robercie drogi, wcale nie lepiej. Najchętniej dałbym komuś po mordzie. I nawet wiem komu.

Na wyświetlaczach formacje myśliwców wroga rozproszyły się. Widocznie dostały rozkaz, aby nie ponosić niepotrzebnych strat, a bojowa formacja, wspierana teraz ogniem z „Numancii”, okazała się dla nich zbyt mocna. Fregaty również cofnęły się po oddaniu zaledwie kilku salw, zneutralizowanych przez systemy obronne.

To nie była ciężka walka. Dynamiczna tak, ale na pewno nie ciężka. Być może prawdziwa, krwawa rozprawa miała się dopiero zacząć po przegrupowaniu obu stron. Bo republikanie też potrzebowali ogarnąć swoje okręty, wyjść chociaż na krótki czas z zamętu.

– Koniec ostrzału – zameldował Farlan. – Zawieszenie broni. Zresztą i tak zaraz znaleźlibyśmy się w sprężonej strefie ochronnej pancerników.

Aidan odetchnął z ulgą.

– Uwaga, dowódcy zgrupowania – powiedział. – Rozwiązujemy formację, wszyscy na przydzielone miejsca. Kapitanie Fabrizzi – zwrócił się do dowódcy korwety „Marina” – pan leci ze mną.

– Tak jest – odpowiedział wywołany. – Czy pozostaję nadal pod pańskim dowództwem?

– Do chwili aż znajdziemy się przy „Vincencie”. Tam przejdzie pan pod bezpośrednie rozkazy kapitana Gutiereza.

– Sułtana? – zdziwił się Fabrizzi. – Został dowódcą pancernika?

– Już jakiś czas temu – odpowiedział Aidan. – Zna go pan?

– Czy znam? Bardzo dobrze. Chyba nawet zbyt dobrze.

– Ciekawe, że wszyscy, którzy go znają, mówią to samo – mruknął Samuels.

– Zapracował sobie na opinię jak mało kto. – Kapitan „Mariny” dosłyszał jego słowa. – Zawsze wiedział, jak to się dawniej mawiało, gdzie stoją konfitury, i umiał po nie sięgnąć. Ale żeby się dochrapał takiej funkcji...

– Widocznie zasłużył – powiedział Aidan. – Za nic przecież nie przydzielają odpowiedzialnych stanowisk. Nie pod rządami Jego Cesarskiej Wysokości.

Fabrizzi milczał przez kilka sekund, zanim się upewnił:

– Kpi pan oczywiście, kapitanie, prawda?

Aidan uśmiechnął się krzywo jednym kącikiem ust.

– Odpowiem w ten sposób: także znam Sułtana. I mogę równie stanowczo jak pan stwierdzić, że znam go chyba zbyt dobrze. Witam w klubie.

– Być z panem w jednym klubie, kapitanie, to prawdziwy zaszczyt. Nie ma przypadkiem możliwości, żebym podlegał jednak bezpośrednio panu? W końcu nie zostałem formalnie przydzielony do eskorty pancernika.

– Wątpię, żeby Guido na to poszedł, a ja muszę się podporządkować jego decyzjom.

– Pan też – westchnął Fabrizzi. – Ale warto było spróbować.

– Przykro mi – odpowiedział Aidan. – Bez odbioru.

Usiadł wygodniej w fotelu. Dopiero teraz poczuł ból w dłoniach. Przez cały czas, kiedy nie korzystał z klawiatury, musiał z całej siły zaciskać palce na końcówkach poręczy. Na komunikatorze zapaliła się ikona przychodzącego połączenia. To jeszcze raz Fabrizzi. Odebrał.

– Tak mi tylko przyszło do głowy, kapitanie – odezwał się dowódca „Mariny”. – O ile wiem, „Sirene” przybyła tutaj na pokładzie „Mediny-Sidonii”. Dlaczego nie zadokował pana „Vincent”, jeśli to jego osłonę miał pan stanowiąc? To samo dotyczy kapitan Berger. Rozumiem to podczas rutynowego przelotu, bo lotniskowiec jest lepiej przystosowany do transportu nawet dość sporych jednostek. Ale przy przelocie bojowym.. Nie powinni was przeokrętować?

– Też się nad tym zastanawiałem. I myślę, że znam odpowiedź.

– Uważa pan, że chodziło o zachowanie tajemnicy? Że niby lecimy rzeczywiście w bezpieczną strefę i wszyscy w to wierzą, a gdyby was przenieśli, wzbudziłoby to podejrzenia.

– Trafił pan w dziesiątkę, kapitanie Fabrizzi – powiedział Aidan. – Też tak sędzę. Tyle że wydaje mi się, iż w tak zwanym międzyczasie zaszło coś, co zmieniło pierwotne plany dowództwa. I to coś wiąże się bezpośrednio z naszą obecnością tutaj.

– Jasne. Też tak sędzę. Już nie zawracam głowy. Skontaktujemy się przy pancerniku. Bez odbioru.

Samuels spojrzął na wyświetlacz taktyczny.

– Żebym tylko wiedział, co jest grane – wymruczał sam do siebie. – Ale wietrzę tutaj jakieś większe łotrostwo.

– Mówiłeś coś do mnie, szyper? – Martinez odwrócił się, żeby na niego spojrzeć.

– Gadam do siebie, Diego. A tego, co mam sobie do powiedzenia, słuchać nie warto. I może nawet niebezpiecznie...

SPOKÓJ W OKU CYKLONU

Zajęli miejsca wokół „Vincenta”. Przestrzeń sektora wypełniła się okrętami. Dwa pancerniki, dwa lotniskowce i cztery krążowniki oraz ich eskorta, w sumie ponad dziewięćdziesiąt jednostek osłonowych najróżniejszych klas. Powinno być ich, zgodnie z regulaminem, sto pięć do stu dziesięciu, ale część już została wyeliminowana w początkowej fazie bitwy.

– Jak idą naprawy? – Aidan wywołał Callahana.

– Dajemy radę. – Odpowiedź dotarła przez szum i trzaski. Ludzie z ekipy podporucznika uwijali się jak w ukropie. Od ich pracy zależała sprawność okrętu, a zatem los całej załogi. – Za jakieś pół godziny postawimy generatory pola na bakburcie.

– Co z tym pociskiem w panczerzu?

– Niewybuch, ale na szczęście jest swobodny dostęp do głowicy. Jimmy już się tym zajął. Moment, kapitanie. – Aidan słyszał, jak Callahan konsultuje się z podwładnym. Bosmanmat James Ellis był nie tylko doskonałym mechanikiem, ale również świetnym saperem. – Już rozbroił to gówno – w głosie podporucznika zabrzmiała ulga. – Zaraz wskoczę w skafander i dołączę do Jimmy'ego. Rozmontowanie reszty zajmie do godziny. Ile potrwa cisza?

– Cholera wie, Rodrigo. Na razie wygląda na to, że postoiemy sobie z Republiką na pozycjach i będziemy szczerzyć kły.

– Oby jak najdłużej. Na kompletne naprawy potrzebujemy przynajmniej sześciu godzin.

– Zobaczymy. Melduj, gdy tylko będziecie gotowi z tą torpedą.

Przejrzał listę uszkodzeń. Sześć godzin uznał za bardzo optymistyczny termin. Na jego oko pełne naprawy powinny zająć najmniej dwa razy tyle. Ale Callahan naprawdę potrafił pracować i należycie zmotywować swoich ludzi. Kto wie, może upora się z tym w przewidzianym czasie.

– Gdzie są nasi ranni bohaterowie? – kapitan zwrócił się do Farlana. – Już w ambulatorium?

– Tak, sir. Wezwać ich do raportu?

– Daj spokój, Norman. Sam się do nich pofatyguję.

Założył na ucho bazkom, czyli bojowy zestaw operacyjno-komunikacyjny, i skrzywił się, czując, jak drobne igielki urządzenia wgrzają się w skórę, docierając do kości tuż za małżowiną. Wprawdzie to nie bolało, w każdym razie nie bardziej niż drobne uszczyplenie, ale też i nie należało do przyjemności.

Podczas przedostatniego pobytu w siedzibie sztabu generalnego zaproponowano mu zamontowanie w kościach czaszki stałego systemu integrującego z dowolną siecią komunikacyjną, w tym systemami okrętu. To była najnowsza technologia, wdrażana przez dowództwo. Spora grupa szefów jednostek pozwoliła sobie przeryć łby, ale byli to głównie młodszy wiekiem, obejmujący dopiero odpowiedzialne stanowiska oficerowie. Aidan wyraził zgodę na założenie zestawu próbnego tego wspaniałego urządzenia. Rzeczywiście, uzyskał stały dostęp do zasobów informatycznych zarówno swojego okrętu, jak i zewnętrznych systemów, oczywiście tych, do których był w stanie się zalogować. Jednak natłok informacji przyprawiał o ciężki ból głowy. To nie był wynalazek dla niego. Co z tego, że w każdej chwili wiedział wszystko o stanie swojego okrętu i w razie uszkodzeń nie musiałby ani przeglądać napływających na ekrany danych, ani pytać załogi o ich rozmiar i lokalizację? Z doświadczenia wiedział, że czasem lepiej nie mieć pełnego pojęcia o skali zniszczeń, bo

mogło to demotywować. Niejednokrotnie zasada stosowana w miłości „czego oczy nie widzą, tego sercu nie żal” sprawdzała się również podczas działań wojennych.

– Za stary już na to jestem – oznajmił admirałowi odpowiedzialnemu za pion badawczy we flocie cesarskiej po wypróbowaniu nowinki.

– Nie pan jeden tak mówi, kapitanie – westchnął tamten. – Młodzi są bardziej chętni do stosowania wynalazków.

– Jeśli uda wam się wynaleźć nowy napęd, który pozwoli mojemu niszczycielowi podróżować na takie same odległości jak pancernik, z miejsca go zechcę zastosować. Więcej, na kolana przed panem padnę, żeby to dostać. Albo generatory grawitacyjne, zdolne amortyzować nie tylko liniowe przyspieszenia dodatnie i ujemne, ale zdatne do tłumienia przeciążeń podczas procedur unikowych.

– Grawitacja to niełaskawa pani – odparł admirał. – Jak sam pan wie, sprawny napęd grawitacyjny to stosunkowo młody wynalazek. Jeszcze niecałe pół wieku temu byliśmy skazani na silniki zimnofuzyjne, a do podróży międzygwiazdnych musieliśmy wykorzystywać tylko i wyłącznie portale skokowe. Ekspansja była bardzo utrudniona. Najlepsze nawet jednostki miały wówczas zasięg o wiele mniejszy niż współczesna korweta czy fregata. Przecież lwia część transportu cywilnego nadal opiera się na starych zasadach, gdyż mamy wciąż zbyt mało antymaterii, aby zapewnić pełny rozwój we wszystkich gałęziach transportu.

Admirał najwyraźniej był gadułą, a w osobie Aidana znalazł sobie słuchacza. Kapitana nie interesowały wprawdzie szczegóły techniczne, ale nie przerywał wyższemu stopniem oficerowi. Wiedział o budowie generatorów grawitacyjnych tyle, ile wiedzieć powinien. Sama zasada ich działania była dziecinnie prosta. Połączenie cząstek materii i antymaterii wyzwalało energię na tyle potężną, żeby napędzić systemy odpowiedzialne za zakrzywienie czasoprzestrzeni. Ponieważ obejmowało ono cały okręt, można było osnowę czasoprzestrzenną przed okrętem skracać, jakby marszczyć, a za nim wydłużać, rozprostowywać. Wówczas przyspieszenia nawet rzędu kilkudziesięciu tysięcy g nie były dla załogi śmiertelne, przeciwnie okazywały się wręcz nieodczuwalne. No i pozwalało to na osiąganie prędkości nadświatlnych bez naruszania praw Einsteina. Z drugiej strony nie istniała możliwość, aby po osiągnięciu prędkości przelotowej skierować energię do wewnątrz jednostki, tak by zapewnić załodze komfortowe ciążenie. To nie była nawet kwestia ekonomii, lecz technologii. Czym innym jest zakrzywianie czasoprzestrzeni, a czym innym generowanie stałego pola grawitacyjnego na określonym obszarze, w dodatku przy ruchu postępowym lub opóźnionym. Jako rozwiązanie pozostawał tylko ruch obrotowy modułów mieszkalnych, a ten na małych okrętach nie dawał zbyt wielkiego efektu. Co innego na okrętach klasy pancernika czy krążownika. Tam moduły nie tylko mieszkalne, ale też gospodarcze obracały się z prędkościami zapewniającymi w miarę normalne ciążenie.

Mostek i stanowiska bojowe załogi znajdowały się w nieruchomym rdzeniu okrętu, więc panowała w nich stale zerowa grawitacja. A podczas akcji i tak zatrzymywano ruch obrotowy habitatów.

– Napęd grawitacyjny – głądził admirał – jest na szczęście uniwersalny. Pozwala na podróżowanie tak w przestrzeni konwencjonalnej, jak i w pęcherzu czasoprzestrzennym, to znaczy w tym, co pan i pana koledzy potocznie i błędnie nazywacie nadprzestrzenią. A przecież żadnej nadprzestrzeni nie ma! Nie ma także prędkości nadświatlnych, chociaż tę nazwę też stosujecie. Dzięki zamknięciu w pęcherzu czasoprzestrzennym nie łamiecie praw fizyki obowiązujących w naszym wszechświecie.

– Może i nie ma ani nadprzestrzeni, ani prędkości nadświatlnych – zgodził się Aidan. – Ale ludzie tak o tym mówią. Trudno, panie admirale, żebyśmy wszyscy byli naukowcami.

– Ale przydałoby się chociaż minimum edukacji.

– A to już należałoby powiedzieć tym baranom od szkolenia – burknął Samuels i od razu

przeklął się za swój parszywy długi jęzor.

Ale admirał nie oburzył się, nie postawił go do pionu.

– Słusznie. – Skinął głową. – Uczą was mnóstwa rzeczy, ale prawdziwa nauka leży odłogiem.

„Żadna armia nie potrzebuje filozofów, tylko żołnierzy” – pomyślał Aidan, ale tym razem zostawił uwagę dla siebie. „Po co więc wtlaczać wojakom wiedzę o funkcjonowaniu świata? Oni mają ten świat tylko podbijać”.

– W każdym razie proszę mi wierzyć, kapitanie – podsumował admirał – że w przewidywalnym czasie nie uda nam się opracować generatorów ciężenia dla załóg. I, jak się pan sam domyśla, nie chodzi tutaj tylko o możliwości.

– Domyślam się. – Aidan pokiwał głową. – To już kwestia opłacalności. Lepiej włożyć pieniądze w technologie wojenne, niż martwić się komfortem załogi.

– To też. Ale proszę także pamiętać o dostępności, a przede wszystkim cenie antimaterii. Jeśli uda się znaleźć sensowniejsze źródło energii, z pewnością ruszą prace nad takimi drobiazgami jak sztuczne ciężenie. Wówczas będzie można zredukować rozmiary okrętów, bo podział na habitaty i całą resztę przestanie mieć sens. Ale na to się nie zapowiada. Musi się więc pan zadowolić tym, co jest. Nawet to szczątkowe ciężenie, które ma pan na swoim niszczycielu, zapobiega w pewnym stopniu niekorzystnym zmianom w organizmie. Pełna nieważkość, to by dopiero był problem.

Admirał gadał i gadał, a kapitan był coraz bardziej znudzony. Jednak rozmowa przyniosła pewne efekty. Aidan zaczął się interesować technologią lotów nadprzestrzennych i mocno się w to wciągnął. Fizyka jako hobby okazała się o wiele bardziej interesująca niż jako obowiązek wieku szkolnego, a potem wyższych stopni edukacji. Stwierdził, że faktycznie uczono ich niekoniecznie tego, co powinni wiedzieć. Program wyglądał tak, jakby luminarze nauki starali się zniechęcić młodych ludzi do zdobywania wiedzy.

Na początku zapoznawania się z materiałami trafił na koncepcję napędu Alcubierre'a. Naukowiec żyjący na przełomie dwudziestego i dwudziestego pierwszego wieku twierdził, że prawa fizyki nie nakładają ograniczenia na prędkość deformowania czasoprzestrzeni. Kapitanowi wydawało się, że właśnie na tej zasadzie opiera się działanie silników grawitacyjnych. Jednak nie do końca. Do zastosowania klasycznego napędu Alcubierre'a potrzebna była materia egzotyczna. A zatem nie antimateria wcale, bo materia egzotyczna posiada masę ujemną, zaś antimateria jednak dodatnią, wbrew temu, co podpowiada ludzka intuicja. Poza tym w koncepcji genialnego fizyka podróż między punktami A i B miałyby polegać na tym, że przed statkiem zamkniętym w bąblu czasoprzestrzeni przestrzeń się kurczy, a za nim rozszerza, natomiast w środku bąbla pozostaje płaska, co zapewnia załodze zerową grawitację. Ten bąbel mógłby się poruszać z nieograniczoną prędkością, co skutkowałoby możliwością osiągnięcia dowolnego miejsca we wszechświecie w czasie tak krótkim, że praktycznie niepoliczalnym. Tymczasem doświadczenie Aidana wskazywało, że podróże trwają. Tydzień, dwa, w dalsze rejony nawet miesiące. Do tego, żeby dotrzeć naprawdę daleko, konieczne są portale skokowe, rozmieszczone w całej dostępnej dla człowieka przestrzeni. A w takim bąblu każda, nawet najmniejsza jednostka mogłaby podróżować w dowolne miejsce. Zatem to, czego używano w chwili obecnej, tylko naśladowało napęd Alcubierre'a, a poza tym było bardzo uzależnione od czynników związanych z produkcją energii.

We współczesnych silnikach grawitacyjnych wciąż wykorzystywano antimaterię, a nie materię egzotyczną. Istnienie tej drugiej zostało wprawdzie potwierdzone przez naukowców, jednak pozyskiwanie jej wciąż jeszcze było niemożliwe. Zakrzywienie czasoprzestrzeni, używane we współczesnych napędach, wydawało się kompromisem między właściwym napędem Alcubierre'a i konwencjonalnymi sposobami podróży w klasycznej przestrzeni.

Właśnie dlatego zajmowało to konkretny czas, a nie ułamek sekundy. Z kolei napęd skokowy, wykorzystywany w portalach, ograniczał pobór mocy. Teoretycznie skok mógł się odbyć na dowolną odległość, jednak w praktyce istniały bardzo poważne limity.

Inna rzecz, że jeszcze niedawno floty gwiazdne poruszały się w ślimaczych prędkościach podświetlnych, dobrych do walki manewrowej, a nie do podróży dalekiego zasięgu. Wówczas droga do najbliższych gwiazd zajmowała lata. Wprawdzie już wtedy ludzkość umiała wykorzystywać lokalne zaburzenia czasoprzestrzeni, by przenosić się na odległości rzędu setek lat świetlnych, jednak wymagało to budowania kosztownych urządzeń, czyli właśnie portali, umożliwiających przerzucanie statków przez „szczeliny” czasoprzestrzenne. Z kolei liczba punktów nadających się do wykorzystania była ograniczona w danej przestrzeni, w związku z czym należało tworzyć kolejne portale w konkretnych miejscach, zaś do pozostałych obszarów przestrzeni nadal podróżować z prędkościami podświetlnymi, z całym bagażem konsekwencji temu towarzyszących.

Żałował później, że w czasie rozmowy z admirałem nie miał tej wiedzy, bo może naukowiec ze złotymi galonami zdołałby mu sensownie wyjaśnić, na czym polega fenomen hybrydowego napędu grawitacyjnego. Wyglądało to tak, jakby koncepcja Alcubierre'a została wciśnięta na siłę w ramy obecnych możliwości technologicznych. Ale jak dokładnie tego dokonano, kapitan nie wiedział. Domyślał się tylko, że generatory zakrzywiające przestrzeń, a wykorzystujące niewyobrażalną energię pochodzącą z anihilacji powstałej podczas zderzenia materii z antymaterią, stanowią pewien kompromis. Wiedział też jednak tyle, że jeśli kiedyś uda się ujarzmić materię egzotyczną, wszystkie te maszynownie i siłownie przestaną być potrzebne, a zastąpi je o wiele prostsze konstrukcyjnie urządzenie główne, bez wątpienia obudowane tysiącami innych mechanizmów, umożliwiających kontrolowanie procesów przebiegających w niewyobrażalnych w tej chwili warunkach fizykochemicznych.

Aidan całkiem lubił brak ciężenia. Teraz, zmierzając w stronę ambulatorium, wciąż czując na lewym uchu wgryzający się w jego ciało mechanizm, przypominał sobie tamtą rozmowę z admirałem. Jak jednak daleko uciekł ze skojarzeniami od nowoczesnych systemów komunikacji do zagadnień dotyczących funkcjonowania napędu jego okrętu... Tak właśnie działa ludzki umysł – nie jest w stanie utrzymać się w granicach tylko jednego tematu, ledwie popuścić mu cugli, z miejsca zaczyna szukać kolejnych ścieżek, punktów zaczepienia.

Kapitan odpychał się od poręczy umieszczonych wzdłuż ścian korytarza. Umownych obecnie ścian, bo ta część okrętu podlegała ciężeniu tylko w czasie, kiedy „Sirene” była transportowana przez większą jednostkę, na której panowało sztuczne ciężenie, albo dokowała na stacji kosmicznej.

Ambulatorium znajdowało się z tyłu, niedaleko generatorów mocy i pancernego pomieszczenia z reaktorem antymaterii, do którego nikt poza pracownikami wyspecjalizowanych stocznii nie miał wstępu. Grube plastalowo-ceramitowe, owalne drzwi były opieczętowane, a w dodatku strzegł ich zamek cyfrowy. W razie zagrożenia cała ta siłownia miała zostać odrzucona w przestrzeń i z daleka od okrętu ulec samozniszczeniu. Aidan wiedział doskonale, że nie chodzi przy tym do końca o bezpieczeństwo załogi. Raczej o to, by eksplozja nie spowodowała większej katastrofy, gdyby jej skutki dotknęły innych jednostek, ale przede wszystkim wróg nie miał prawa przejąć ładunku antymaterii, o wiele cenniejszego niż cały niszczyciel z pełnym wyposażeniem. Gram antymaterii kosztował trudne do wyobrażenia sobie przez zwykłego zjadacza chleba pieniądze. Może było to obecnie nieco mniej niż jeszcze sto lat wcześniej, ale wciąż dość, by dbać o każdy atom jak o dobro najwyższe.

*

Aidan skinął uprzejmie głową matowi Henricksenowi, pełniącemu poza służbą w ekipie

naprawczej obowiązki pokładowego łapiducha.

– Zostawisz nas samych, Ron? – spytał.

– Jasne, panie kapitanie. Nie potrzebują szczególnej opieki. Jeśli pan pozwoli, zamelduję się porucznikowi Callahanowi. Bardziej przydam się w ekipie.

– Zezwalam. Przekaż Rodrigowi, żeby się śpieszył, bo w każdej chwili mogą nas wysłać na akcję.

– Tak jest, sir.

Kapitan zaczął, aż Henricksen wypłynię na zewnątrz, po czym przyjrzał się kontuzjowanym. Siedzieli na specjalnych fotelach, w każdej chwili mogących się przekształcić w wąskie łóżka. Miny mieli ponure, a kiedy drzwi rozsunęły się i wpłynął kapitan, wszyscy zgodnie próbowali przyjąć pozycję zasadniczą. Pasy jednak im to uniemożliwiły.

– Tutaj nie ma ciężenia, więc sobie darujcie – powiedział surowo Aidan. Sami powiecie, jak doszło do obrażeń, czy mam obejrzeć zapisy?

Wszyscy trzej byli nowicjuszami, zaledwie od czterech czy pięciu miesięcy w załodze. Brali wprawdzie udział tylko w jednej akcji bojowej, ale właśnie ta akcja powinna ich nauczyć, czym pachnie manewrowanie unikowe.

– Nie przypięliśmy się jak należy – burknął ten z rozbitą głową, a widząc uniesione wysoko brwi dowódcy, dodał pośpiesznie: – Sir.

– I mówisz o tym tak lekko, synu? – Brwi kapitana powędrowały jeszcze wyżej. – Co wam się zdawało? Że to będzie mniejsze piekło niż ostatnim razem? – Patrzył na nich uważnie, ale teraz żaden nie odważył się odpowiedzieć. – Tak, teraz było mniejsze, nie rzucało jak wtedy, ale jak sami widzicie, wystarczyło, żeby was nieźle sponiewierać.

Spojrzał na wyświetlacz medmatu.

– Ty masz rozwalony głupi łeb – zaczął wyliczać – i stłuczoną kość ogonową. Ty zwichnięty lewy bark i złamaną kość strzałkową. A ty, chłopcze, ogólne stłuczenia i... ja pieprzę! Rozumiem wszystko, ale jak się nabawiłeś spuchniętych jąder?!

Zapytany skrzywił się boleśnie, otworzył usta, ale zaraz je zamknął. Najwyraźniej mówienie było dla niego jeszcze zbyt trudne.

– Na pewno dziesięć razy słyszałeś, że trzeba pasy zacisnąć w kroku tak mocno, żeby oczy na wierzch wylazły!

– Brak nawyku – wyrzęził nieszczęsny marynarz. – Zdawało mi się, że jest dobrze.

– Gdzie przedtem służyłeś?

Aidan połączył się z systemem informatycznym okrętu. Potrzęsnał głową, kiedy urządzenie przekazało mu obraz prosto do mózgu, zupełnie tak, jakby dane wyświetliły się tuż przed oczami. Nie cierpiał tego. Mógł przełączyć wprawdzie urządzenie na tryb, w którym widziałby przed sobą klasyczny ekran holo, ale jakoś zapominał o modyfikacji ustawień. Zbyt rzadko używał tego cholerstwa poza mostkiem, a tam i tak wszędzie znajdowały się ekrany, bazkom na nie przekazywał informacje.

– Ach, no tak, to ciebie zesłali z krążownika. Tam się nie wykonuje takich dzikich harców. A nawet jak załogę pakuje się przymusowo w fotele, pasy zapinają się automatycznie. Przywykłeś do komfortu, przyjacielu. A my tutaj nie jadamy jak przy pańskim stole, zgoła plebejskie niewamy obyczaje, że zacytuję słowa klasyka.

Milczał kilkanaście sekund, przyglądając się twarzom marynarzy.

– Kiedy wydobrejecie, zgłosicie się do szefów swojej sekcji i poprosicie o przydzielenie dodatkowych obowiązków. Gdybyście zostali ranni w innych okolicznościach, wysłałbym was pewnie na „Vincenta”, w o wiele lepsze warunki, ale za głupotę trzeba płacić. Zrozumiano?

– Tak jest, sir.

– Żeby nie było wątpliwości. To nie jest kara za to, że sami się wyeliminowaliście z walki.

Wystarczy sam pobyt w tym miłym miejscu, pozbawionym jakichkolwiek rozrywek. Nuda was zje. Nuda i strach, bo podczas walki nie będziecie wiedzieli, co się dzieje. Moja kara wiąże się z czymś innym. Otóż, synkowie, ta głupota przysparza pracywaszym towarzyszom z zespołów. Ktoś będzie musiał przejąć wasze obowiązki, być może przez to cała sekcja nie zyska stuprocentowej sprawności. Ta potyczka nie powinna spowodować zupełnie żadnych strat osobowych, rozumiecie? Nie wiem, co wam się wydawało, ale to był naprawdę drobny spacerek w porównaniu z tym, co nas czeka, jeśli się zaczną regularne działania. A coś czuję, że mogą się zacząć w każdej chwili. Podsumuję krótko, bo się za bardzo rozgadałem. To nie jest zemsta ani osobisty rewanz. Kara ma was czegoś nauczyć, inaczej nie miałyby sensu. Rozumiecie?

Kiwali głowami, nawet ten ze świeżo zszytym czerepem. Aidan szukał na ich twarzach czegoś w rodzaju poczucia winy, lecz na próżno. No cóż, muszą się z tym przespać, będą mieli czas przemyśleć jego słowa. Jeśli w ogóle zechcą. Nawet gdyby ta przemowa miała być daremna, powinien ją wygłosić. Marynarz, choćby najgłupszy, ma prawo dostać szansę na zrozumienie i naprawienie błędów.

Puścił drążek, dzięki któremu zachowywał pozycję pionową, odepchnął się w stronę drzwi.

– Zdrowia życzę. Mam nadzieję, że to pierwszy i ostatni raz.

Drzwi rozsunęły się, wpłynął w nie. Wtedy zatrzymał go głos z tyłu:

– Sir...

Odwrócił się, blokując ciałem zamykające się płyty.

– Słucham.

– Przepraszamy... – powiedział połamany. – Ja i koledzy...

Pozostali potwierdzili jego słowa, kiwając głowami.

Odpowiedział podobnym gestem, zachowując pełną powagę. Kiedy znalazł się na korytarzu, na jego ustach zagościł uśmiech zadowolenia. Nie cierpiał, kiedy podwładni odbierali karę jako krzywdę. Kolejną krzywdę w twardym, bezwzględny systemie stosunków panujących we flocie. Jak ten nieszczęśnik z odbitymi jądrami, którego zesłano tutaj z porządnego krążownika. I to za co? Za to, że sprzeciwił się bosmanowi, który kazał mu wykonywać upodlającą pracę przy latrynach. Takie zadania wypełniały roboty, a ludzie tylko w wyjątkowych przypadkach. W warunkach postoju w porcie taki wyjątkowy przypadek na pewno nie mógł mieć miejsca.

„Tutaj może masz przerąbane, chłopcze, bo na niszczycielu służba jest podła – myślał, płynąc korytarzem z powrotem na mostek – ale przynajmniej żaden tępy trep nie każe ci opróżniać własnoręcznie sracza, nawet w ramach efektywnego wychowywania narybku”.

Na mostku z ulgą zdjął z ucha uwierające go urządzenie. Uwieranie było tylko sugestią, bo w rzeczywistości zestaw dopasowywał się doskonale do kształtu ucha i czaszki. Aidan nie był po prostu stworzony do tych nowoczesnych rozwiązań.

– Jak wygląda sytuacja? – zwrócił się do Farlana. – Masz o czym w ogóle meldować?

– Na razie cisza, sir. Kazali czekać na rozkazy. Ale z tego, co widzę, obie strony zajęły pozycje i wygląda, jakby na coś czekały.

– Sułtan się nie odzywał? To znaczy kapitan Gutierrez?

– Nie, panie kapitanie. Ale widzę, że prowadzi intensywną komunikację z „Numancją” i lotniskowcami.

– Połącz mnie z Amandą. Ale nie teraz. Za dwadzieścia minut na prywatny kanał do kajuty. Potrzebuję odrobiny samotności. – Z ciężkim westchnieniem założył zestaw operacyjno-komunikacyjny na ucho. – W razie czego wiecie, co robić, nie gorzej ode mnie. Słyszałeś, Martinez?

– Tak jest!

– Shader? – wywołał dowódcę artylerii.

– Tak?
– Jak uzbrojenie?
– Możesz spać spokojnie. Wymieniamy przepalone kości i bezpieczniki. Słyszałem, że chcesz odpocząć. Idź, poradzimy sobie bez twojego boskiego nadzoru.
Aidan chciał odpowiedzieć jakąś błyskotliwą złośliwością, ale ponieważ nie znalazł odpowiednich słów, zmilczał ostatnią zjadliwą uwagę przyjaciela.

*

Wiceadmirał Romero zgrzytnął zębami, kiedy przeczytał dane uzyskane przez oficera łączności.

– Dawaj mi tutaj Sułtana – warknął.

Po kilku sekundach łącznościowiec poinformował:

– Zgłosi się, kiedy tylko zakończy przegląd jednostki.

Romero przymknął oczy, zmuszając się do zachowania spokoju.

– Powiedz oficerowi na „Vincencie”, że czekam pół minuty na odpowiedź kapitan Gutiereza. Po tym czasie, korzystając z uprawnień głównodowodzącego, odwołam go ze stanowiska i postawię przed sądem polowym! I ma się zameldować nie na kanale bojowym, tylko na holo!

Sułtan zgłosił się po dziesięciu sekundach.

– Przepraszam, panie admirale, ale musiałem zrobić przegląd jednostki po działaniach bojowych, dlatego...

– Przeszaj pieprzyć, Guido – warknął Romero. – Praktycznie nie brałeś udziału w bezpośrednich działaniach, nie masz więc czego sprawdzać.

– Jednak regulamin... – próbował jeszcze tłumaczyć dowódca „Vincenta”.

– Nie pieprz, mówię! – Wiceadmirała nie interesowały wykręty Sułtana. Całe życie miał regulamin w dupie, nie przypuszczam, żeby to uległo znaczącej zmianie w ciągu ostatnich pięciu minut.

– Słucham, panie admirale – westchnął ciężko Sułtan. – O czym chce pan rozmawiać?

Dowódca grupy zadaniowej głęboko odetchnął, opanowując rozdrażnienie. Niewiele mu to dało.

– Nie masz w systemie żadnego programu od inkwizytora – powiedział, cedząc słowa. – Nic ci nie załadował, nawet śladu sztucznej inteligencji.

– Skąd takie wnioski, señor?

Hologram Sułtana patrzył rozmówcy prosto w oczy z absolutnie szczerym zdumieniem, ale Romero doskonale wiedział, że ten łgarz właśnie dlatego jest tak groźnym przeciwnikiem podczas rozgrywek pokera, że nie można nic wyczytać z jego twarzy. A nawet jeśli się coś wyczyta, nie można tego traktować jako wskazówki. Doskonały gracz. Doskonały i bezwzględny. Musiał taki być, skoro w stosunkowo młodym wieku doszedł do stanowiska dowódcy pancernika, choć nie pochodził ze szlacheckiego rodu, a w dodatku nie urodził się na Ziemi, lecz w odległej kolonii. Romero wcale nie był pewien, czy rodzice Gutiereza nie byli niewolnikami, bo hiszpańsko brzmiące nazwisko przyjął, już służąc we flocie.

– Skąd takie wnioski? – wiceadmirał powtórzył pytanie Sułtana. – A stąd, że biorąc pod uwagę dzielącą nas wówczas odległość, opóźnienie w przekazie holograficznym okazało się nieco zbyt duże. Gdyby inkwizytor przebywał na twoim okręcie albo gadało ze mną oprogramowanie, opóźnienie powinno wynosić jedną i cztery dziesiąte sekundy. Wynosiło zaś od dwóch i pół do dwóch i siedmiu dziesiątych. A to oznacza, że urządzenia komunikacyjne „Vincenta” stanowiły tylko przekaźnik. Lerma przebywa na innym okręcie, całkiem sporo oddalonym, i w dodatku manewrującym podczas rozmowy. A ty mi teraz powiesz, na którym.

– Zapewniam, panie admirale... – zaczął Sułtan, ale Romero znów nie dał mu dojść do

słowa.

– Och, zamknij się już, człowieku! Nie rób ze mnie idioty, bo idiotą na pewno nie jestem! Naprawdę myślałeś, że się nie domyślę?

– Wykonywałem polecenia inkwizytora Lermy – odparł sztywno Gutierrez.

– To dla mnie oczywiste. Chcę się dowiedzieć, na której jednostce przebywa Jego Ekscelencja. Bo że nie u ciebie, kapitanie, to już wiem!

Sułtan wpatrywał się w wiceadmirała przez parę sekund, zanim odpowiedział:

– Tak jak powiedziałem, Jego Ekscelencja przekazał do oprogramowania głównego okrętu wzorzec swojej inteligencji. Większe niż spodziewane opóźnienie to zapewne skutek funkcjonowania tego oprogramowania, które musiało dostosowywać algorytmy i heurystyki do aktualnej sytuacji.

– Obaj wiemy, że to bzdura, kapitanie Gutierrez – warknął Romero. Większe opóźnienie można by stwierdzić, jeśli prowadziłbym rozmowę z żywym człowiekiem. Gadaj, gdzie jest Lerma!

– Podtrzymuję to, co powiedziałem, admirale.

To przekomarżanie się naprawdę było bez sensu. Romero doskonale wiedział, że Sułtan, mając do wyboru lojalność wobec bezpośredniego przedstawiciela cesarza i własnego dowódcy, wybierze pierwszego z nich. Tak szkolono całą kadrę wojskową, nie tylko oficerską.

– Zdaje pan sobie sprawę, że przy najbliższej nadarzającej się okazji wyciągnę wobec pana konsekwencje?

Sułtan skinął głową z ponurą miną.

– Nie moja wina, że mi pan nie wierzy, admirale. Jestem gotów ponieść każdą karę. Oczywiście jeśli mi pan udowodni, że w jakimkolwiek stopniu sprzeniewierzyłem się obowiązkom. – Oczy kapitana zalśniły lodowatym blaskiem.

– Udowodnię, jeśli tylko zechcę, proszę się nie obawiać – odparł zimno Romero, po czym zerwał połączenie.

Żałował w tej chwili wypowiedzianej groźby. Stracił panowanie nad sobą i wygłupił się. Zdawał sobie doskonale sprawę, że Gutierrez bez trudu wybroniłby się przed komisją śledczą. Przecież działał na zlecenie władz centralnych. Gdyby ktokolwiek miał tutaj w ogóle za coś odpowiadać, to właśnie admirał. Swoje jednak wiedział. Ta długa pauza, zanim Sułtan wszystkiemu zaprzeczył, była bardzo znacząca. Dopiero teraz uświadomił sobie, że kapitan mógł zwlekać z odpowiedzią nie dlatego, że zaskoczyła go domyślność dowódcy, ale żeby dać mu coś do zrozumienia. Skoro nie mógł powiedzieć prawdy...

– Nawigator! – zawołał przez mostek, nie używając podręcznego komunikatora. – Zaczniј wyznaczać teoretyczne trajektorie kursów bojowych, biorąc pod uwagę obecne pozycje nasze i wroga.

– Tak jest, señor.

Wywołał zespół badawczy.

– Komandorze, proszę o wykonanie dokładnego skanu przestrzeni.

– Czego mamy szukać, panie admirale?

– Sam nie wiem. – Romero wzruszył ramionami, choć rozmówca nie mógł tego widzieć. – W jakimś celu tu jednak przylecieliśmy. My i republikanie. A zatem musi się tu znajdować coś, co interesuje obie strony. Szukajcie.

– Na jakim zasięgu, señor?

– Na maksymalnym możliwym. Jeśli coś znajdziesz, nawet jeśli uznasz to za mało istotne, natychmiast melduj.

– Tak jest!

Wiceadmirał potrząsnął głową. Zyskał już zupełną pewność, że hologram Lermy nie był

nadawany wprost z okrętu Sułtana, że stacja komunikacyjna „Vincenta” posłużyła tylko jako pośrednicząca. Nadal jednak nie wiedział, po co została skonstruowana ta koronkowa akcja ani czy rozmawiał z żywym inkwizytorem, czy też rzeczywiście z programem, tyle że umieszczonym gdzie indziej, niż się początkowo wydawało. Od kiedy skonstruowano komputery kwantowe, mające dostateczną pojemność i moc obliczeniową, aby w miarę sprawnie imitować pracę ludzkiego mózgu, próbowano stworzyć możliwość kopiowania osobowości konkretnych ludzi na matrycę elektroniczną. Rezultaty na początku były mizerne, lecz naukowcy nie ustawiali w wysiłkach. Pomógł znacznie w osiągnięciu pierwszych sukcesów rozwój innej dziedziny informatyki – komputerów opartych na kwasach nukleinowych. Niektórzy entuzjaści w ogóle doszli do wniosku, że dzięki wykorzystaniu zapisu organicznego da się odtworzyć pracę żywego mózgu, jednak okazało się to niemożliwe. Dopiero połączenie wysiłków informatyków obu dziedzin zaczęło przynosić konkretne rezultaty, chociaż dalekie od stworzenia prawdziwej osobowości.

Romero nie miał oczywiście najbledszego pojęcia, w jaki sposób to wszystko działało, wiedział tylko, że matryca kwantowa wspierała mocą obliczeniową blok biologiczny. Na początku zapanowała euforia, ludzie uznali, że sztuczne osobowości będzie można ładować do okrętów wojennych, aby zastąpić nimi zawsze nieprzewidywalny czynnik ludzki. Komputer przecież nie potrzebował snu, nie odczuwał zmęczenia, podejmował jedynie racjonalne działania. Jednak pozbawione realnej osobowości maszyny nie były w stanie modyfikować algorytmów na ludzki sposób i choć znakomicie wspierały załogi i bez nich loty kosmiczne byłyby niemożliwe, to samodzielne misje dotyczyły tylko spraw ściśle naukowych, jak pobieranie próbek czy nawet poważniejsze badania, ale niewymagające prawdziwej ludzkiej inwencji. W działaniach militarnych wykorzystywano także automatyczne sondy, drony i superdrony do zadań bojowych i obserwacyjnych. Ich skuteczność mimo zaawansowania technologicznego była jednak zawsze ograniczona brakiem tej odrobiny szaleństwa i skłonności do improwizacji, charakterystycznych dla człowieka. Z pewnością maszyny zawierające konkretną osobowość wraz z wyraźnymi cechami temperamentalnymi danego osobnika stanowiłyby znakomite rozwiązanie, jednak na takie rozwiązanie ludzkość musiała jeszcze poczekać.

Szybko okazało się, że kwantowo-nukleinowe matryce osobowości nie sprawdzają się w sytuacjach brzegowych. Mimo całego podobieństwa ich funkcjonowania do ludzkiego systemu myślenia nie były w stanie sprostać trudnym zadaniom, wymagającym podejmowania ryzykownych i pozornie sprzecznych decyzji. Psychologowie zajmujący się osobowością maszyn opracowywali programy mające na celu poprawienie funkcjonowania decyzyjnego „podopiecznych”, jednak pewnej granicy nie dawało się przekroczyć. Niektórzy zrzucali to na karb tego, iż komputery nie mają duszy. To znaczy tego pierwiastka, który czyni istotą ludzką człowiekiem właśnie. A jeśli kiedyś uda się zyskać jego surogat, sytuacja ulegnie zmianie. Romero zżymał się nieco na taką argumentację. Wiedział doskonale, jak funkcjonuje człowiek na stanowisku bojowym. Tutaj instynkt samozachowawczy był regularnie gwałcony przez poczucie obowiązku i lojalności względem innych ludzi, towarzyszy broni, nawet jeśli nie wszystkim darzyło się sympatią. Do tego dochodziła zjadłość i nienawiść do wroga. Wiceadmirał nie miał pojęcia, czy najdoskonalsze komputery zawierające sztuczną inteligencję byłyby w stanie odczuwać cokolwiek albo czy chociaż można zaprogramować im odpowiednie algorytmy i wspomagające je procesy heurystyczne.

Jemu wystarczyło, że sprawdzały się doskonale w normalnych warunkach, ale w sytuacjach skrajnych po prostu nie można było na nie liczyć.

No i istniała jeszcze kwestia trwałości. Biologicznokwantowe maszyny bardzo źle znosiły trudne warunki, takie jak gwałtowne przeciążenia i promieniowanie. Poza tym tam, gdzie człowiek wciąż podejmował działania, chociażby samą siłą woli, sztuczna inteligencja już

dawno przestawała funkcjonować. Z tego też względu mniejszych jednostek, zdolnych do ekstremalnych manewrów unikowych, nigdy nie próbowano nawet adaptować do użycia „osobowości pokładowych”, jak roboczo nazwano sztuczne inteligencje mające zastąpić w pracy poszczególnych członków załogi. Tutaj wchodziły w grę również sprawy finansowe, bo chociaż przy odpowiednich nakładach można było opracować systemy pozwalające na zabezpieczanie superkomputerów przed trudnymi warunkami, to – na razie przynajmniej takie przedsięwzięcie plasowało się daleko poza granicami opłacalności, jeśli wziąć pod uwagę zarówno cenę zaawansowanej sztucznej inteligencji, jak i infrastruktury koniecznej do utrzymania jej w dobrej kondycji.

A zatem wciąż jeszcze wysyłano na wyprawy kosmiczne ludzi i nie zapowiadało się na zmiany. Z kolei na Ziemi i w bogatszych koloniach używano „osobowości pokładowych” do prowadzenia pojazdów w ruchu lądowym, powietrznym i wodnym oraz tym podobnych zadań. Co jednak ważniejsze, ładowano kopie umysłów ważnych osób w matryce, aby służyły konsultacjami i radami w ramach zaprogramowanych im kompetencji, jeśli dany człowiek nie mógł gdzieś znaleźć się osobiście. Taki Lerma mógł przebywać w dowolnym zakątku wszechświata, a jego głos mimo wszystko liczył się podczas posiedzeń Rady Cesarskiej, oczywiście tylko do pewnego stopnia i w ściśle określonym zakresie uprawnień. Ta technologia znajdowała się wprawdzie w powijakach, ale Romero wiedział, że bywa z powodzeniem stosowana.

Wiceadmirał przypuszczał, że wraz z rozwojem nauki „osobowości pokładowe” rzeczywiście zyskają możliwość pełnej obsługi okrętów, ale na razie było do tego doprawdy jeszcze bardzo daleko.

Jednak możliwość opracowywania i wykorzystania bardzo okrojonych sztucznych inteligencji do konkretnych zadań wydawała się całkiem sensowna. Oczywiście dopiero w momencie, kiedy nakłady na podobne urządzenia przestaną przyporządkowywać księgowych kwatermistrzostwa marynarki o zawrót głowy. Obsługa takiego oprogramowania mieściła się jak najbardziej w granicach możliwości głównego komputera pokładowego dużej jednostki. Do pewnego momentu tego typu okrojona osobowość byłaby zdolna do całkiem efektywnego funkcjonowania nawet na współczesnych jednostkach. Chociażby w roli psa łańcuchowego.

Dlatego wiceadmirał bez trudu uwierzył na początku w bajkę o awatarze grającym rolę inkwizytora.

*

Regulamin surowo zakazywał dowódcy opuszczania mostka w trakcie trwającego alarmu bojowego drugiego stopnia, jeśli nie występowały wyjątkowe okoliczności. Okoliczności wprawdzie niezmiernie trudno by było uznać za wyjątkowe, ale Aidan – jak zwykle zresztą – nie zamierzał się tym przejmować.

Chciał znaleźć się sam w zaciszu własnej kajuty. Mimo że na mostku panowała cisza, obecność innych ludzi przeszkadzała. Poza tym chciał porozmawiać z Amandą bez świadków.

Gdyby panowało normalne ciążenie, z westchnieniem zwałiłby się na łóżko i założył ręce za głowę. Jednak w tej chwili nie uruchamiano nawet sztucznej namiastki grawitacji w pomieszczeniach mieszkalnych. Okręt musiał być w każdej chwili gotowy do walki, cała moc generatorów powinna być dostępna dla urządzeń koniecznych podczas boju, a ruch obrotowy habitatów to zawsze wydatek energii, może niezbyt wielki, ale taki, który mógłby się okazać jęczyzkiem u wagi na szalach życia i śmierci.

Usiadł więc na fotelu, przypiął się pasem, żeby przy każdym gwałtowniejszym ruchu nie wzlatywał w powietrze, a potem przywołał na roboczy ekran obraz niszczyciela dowodzonego przez Amandę. „Greese” był identyczną jednostką jak „Sirene”, a nazwę nadała mu sama Amanda na cześć ulubionego bohatera z jakiejś powieści, której Aidan nie znał i nie

zamierzał poznawać. Nie cierpiał romansów, za to kapitan Berger za nimi przepadała.

Patrzył na groźną sylwetkę okrętu. Nazwa całej klasy – niszczyciel wyjątkowo pasowała do wyglądu. W nomenklaturze floty cesarskiej ten typ nosił nazwę Maza, która zarówno w języku wspólnym, zwanym *lingua universalis*, jak i ojczystej mowie przodków kapitana oznaczała „buzdygan” lub „maczugę”. Aidanowi bardziej pasowało to pierwsze znaczenie, gdyż okręt przypominał właśnie starożytną broń rycerską. Wokół trzonu, zawierającego najważniejsze działy – maszynownię, mostek, stanowiska kierowania artylerią – umieszczono habitaty, magazyny, laboratorium, lazaret, kuchnię, mesę i różne inne pomieszczenia gospodarcze w formie takiej, że przypominały trapezowate pióra przytwierdzone do trzonu buzdyganu. Wprawdzie proporcje były tu nieco inne, gdyż w broni rycerskiej ów trzon był stosunkowo o wiele dłuższy niż kadłub główny niszczyciela, przez co okręt wyglądał mniej „elegancko” i smukło niż prawdziwy buzdygan, ale wrażenie wzorowania się na starym orężu pozostawało. Aidan oczywiście wiedział doskonale, że taką, a nie inną konstrukcję wymuszały wymagania techniczne i uwarunkowania pola walki, ale zastanawiało go zawsze, że niszczyciele, używane najczęściej do rozbijania wrogich formacji i niespodziewanych ataków na mocno opancerzone jednostki, tak bardzo przypominały coś, co służyło między innymi do rozbijania hełmu przeciwnika. W obu przypadkach cios musiał być błyskawiczny i morderczy zarazem, w obu dość trudno używało się oręża w czymś, co można określić mianem fechtunku – regularnej wymianie ciosów. Niszczyciel mógł oczywiście prowadzić długotrwałą walkę, był w niej jednak skazany na gwałtowne manewry unikowe, utrudniające skuteczne użycie środków bojowych. No i nieodzowne były sprawne osłony siłowe. Z buzdyganem sprawa wyglądała podobnie: wojownik musiał być wyposażony w tarczę i wykazywać się szybkością reakcji. Może nie skakał z koniem jak pchła na wszystkie strony, ale musiał też unikać przyjmowania bezpośrednich ciosów na broń mieczem lub toporem, polegał na szybkości oraz wyszkoleniu.

Z tego, co Aidan przeczytał na temat dawnych metod walki, buzdyganu używało się albo w ścisłym bitewnym, gdyż dawał większą możliwość zadawania ciosów, albo w sytuacji, kiedy rycerz utracił inną broń o większym zasięgu. Zdarzało się też podczas pojedynków, że wojownicy używali tego oręża w charakterze lewaka, i w tej roli znakomicie się sprawdzał, prowadzony doświadczoną ręką. Niszczyciele także pełniły w formacjach często właśnie taką rolę – bądź dodatkowej siły uderzeniowej, bądź czynnika mogącego utrudnić przeciwnikowi zadawanie skutecznych ciosów. Mogły stanowić spore zagrożenie, pod warunkiem że głównodowodzący dysponował należytymi zdolnościami, a kapitanowie mieli olej w głowie i dość odwagi.

Jeszcze jedna rzecz łączyła średniowieczny buzdygan i współczesny niszczyciel. Kwestie finansowe. W obu przypadkach koszt wykonania skutecznej, a w odpowiednich warunkach śmiertelnie groźnej broni był stosunkowo niewielki.

– Kapitan Amanda Berger na linii za dwie minuty – głos Farlana przerwał Samuelowi rozmyślenia.

– Łącz, kiedy tylko się zgłosi.

Po chwili na wyświetlaczu pojawiła się ikona oczekiwania obok nieruchomego na razie hologramu zmęczonej twarzy pani kapitan. Aidana znów uderzyło to, co zawsze, kiedy na nią patrzył – mogłaby być naprawdę piękną kobietą, gdyby o siebie bardziej zadbała. Regularne rysy, duże, ciemne oczy, naturalnie zmysłowy wykrój warg... Ale nigdy nie widział, żeby stosowała jakikolwiek makijaż, żeby starała się złagodzić jakimiś kobiecymi sposobami kanciastość sylwetki, którą nadawał jej mundur. W dodatku zawsze chodziła w uniformach męskiego kroju, choć regulamin floty cesarskiej przewidywał ich damską wersję.

Nie, zaraz, przecież widywał ją czasem w innym stroju, innej oprawie, ale to było przed tamtą katastrofą, a dla niej z pewnością w innym życiu. Zastanawiał się czasem, czy na jej miejscu nie zachowywałby się podobnie. Ale na szczęście nie miał pojęcia, jak to jest być na

jej miejscu. Niektórzy oficerowie pozwalali sobie na żarty, że jeszcze dzisiaj, gdyby postawić Amandę obok licznika promieniowania, ten trzeszczałby i popiskiwał radośnie. To znaczy pozwalali sobie pod warunkiem, że w pobliżu nie było Samuela, Shadera albo Martineza. Bo za taki żarcik ci trzejmieli zwyczaj łać bez litości gęby wypowiadające nieopatrzone słowa. Nie uchronił się przed konsekwencjami nawet gubernator stacji kosmicznej Minerve, choć jego stanowisko w strukturze cywilnej można by porównać do stopnia wiceadmirała. Tego oprowił osobiście Aidan, co przypłacił wyrokiem roku więzienia oraz degradacją do stopnia podporucznika. I pewnie by odsiedział całą karę, gdyby wojna z Republiką nie nasiliła się i doświadczenie nie stało się cenniejsze niż urażona godność dostojnika. Aidan otrzymał z powrotem utracony stopień i wrócił na „Sirene”. Jednak wyrok sprawił, że status najemnika zmieniono mu na niewolnika. Zupełnie jakby był jakimś czyszcicielem szamb w odległej kolonii. Ale taka praktyka bywała stosowana we Flocie Kosmicznej Jego Cesarskiej Wysokości. Dla przełożonych Aidana to było nawet wygodniejsze, bo przez czas zawieszenia kary nie mógł zrezygnować z kontraktu. A zawieszono ją na dziesięć lat. I przez ten okres miał otrzymywać gażę porucznika, mimo iż powierzono mu o wiele bardziej odpowiedzialne stanowisko.

A przecież niedługo przed incydem sam wiceadmirał Corrado wspomniał w oficjalnym raporcie, że kapitana „Sirene” należałoby wreszcie naturalizować i awansować na kontradmirała. Co więcej, mimo całej niechęci admirała Gonzagi do Aidana istniały szanse, że najwyższe władze przychyliły się do tego wniosku. Jedno mordobicie zrujnowało mu karierę i drogę do wyższych stanowisk, a jego ewentualnym dzieciom do godności szlacheckich. I to nie mordobicie nawet, lecz marne – choć zadane z serca – dwa ciosy w szczękę mięczaka, który z miejsca poleciał do przełożonych Samuela. Amanda doskonale wiedziała o zajściu, jednak nigdy słowem o nim nie wspominała, a on także nie zamierzał poruszać tego tematu. Wiedział jedno – że jeśli jeszcze kiedyś usłyszy, jak ktoś robi sobie żarty z przyjaciółki, znów dojdzie do awantury. Potrafił znieść naprawę bardzo wiele, nawet bezczelna arogancja wyższych dowódców spływała po nim jak po kaczce, ale od czasu bitwy o Vargas nie mógł znieść postępowania dzielnej kobiety. Może dlatego, że wówczas, poświęcając własną jednostkę, życie całej załogi oraz swoje, uratowała przed zagładą całe ugrupowanie okrętów, w tym „Sirene”. Takich rzeczy towarzyszom broni zapominać nie wolno.

– Łączę kapitan Berger – zameldował Farlan.

Hologram ożył, skierował spojrzenie na Aidana.

– Pali się, że tak naciskasz na rozmowę? – spytała opryskliwie.

– Jak twój okręcik? – odpowiedział pytaniem na pytanie.

– Naprawia się. – Wzruszyła ramionami. – To chyba już nie twoja sprawa, przestałeś być dowódcą grupy z chwilą jej rozwiązania.

Pokiwał głową.

– Nie rób ze mnie durnia, pani kapitan – wycedził. – Możesz starać się mnie zniechęcić do tej rozmowy, ale to nie znaczy, że łatwo się wywiniesz.

– Nic prostszego – zaśmiała się z przymusem. – Wystarczy, że zerwę połączenie. To kwestia krótkiej komendy.

– No tak. – Uśmiechnął się. W ten sposób nie była w stanie go rozdrażnić. Musiałaby się o wiele bardziej postarać. – Ale wtedy nie dowiedziałabyś się, czego chcę, a przecież jesteś ciekawa.

Skrzywiła się lekko, zmrużyła oczy.

– Wcale nie mam pewności, czy na pewno jestem ciekawa, *compadre*. Ciekawość, jak sam wiesz, to pierwszy stopień do piekła.

– Toteż wołam do ciebie z głębokości – odparł wciąż z uśmiechem. – I proszę, abys zeszła tu do mnie, gdzie diabły płonące i krwawe, gdzie upał nieziemski i mróz kosmiczny,

gdzie jęk się śpiewem wydaje, a śpiew potwornym staje się jękiem...

– Visconti – mruknęła. – Poznaję. Ale trochę inaczej to szło...

– Nieważne – przerwał jej, widząc, że zbiera się, aby wyrecytować prawidłowo fragment poematu. – W każdym razie nie rozłączyłaś się jak dotąd, więc jednak ciekawi cię, dlaczego chcę rozmawiać.

Machnęła ręką z irytacją.

– No dobrze, niech już twoje będzie na wierzchu. Czego chcesz?

– Zadać ci jedno pytanie – powiedział, poważniejąc.

– Słucham.

– Liczę na konkretną i szczerą odpowiedź.

– Jeśli tylko dam radę. Pamiętaj, że rozmawiasz z kobietą, a my nie cierpimy być konkretne i szczerze.

– To wiem doskonale. Ale teraz nie jesteś jakąś tam señorą czy señorità, jak tam wolisz, żeby cię nazywać.

– Spadaj, Aidan – warknęła. – Gadaj wreszcie, co tam ci leży na wątrobie.

– Niech będzie. Ale pamiętaj, że spodziewam się szczerości.

– Wiem, wiem. Szybciej, mam swoje obowiązki, to nie jest dobry czas na pogawędki.

Aidan milczał przez chwilę, intensywnie wpatrując się w twarz na hologramie.

– Co wzięłaś na burtę? – spytał.

– Kiedy? – zdziwiła się, ale bez trudu wyczuł w tym fałsz.

– Nie pogrywaj ze mną, Amando. – Skrzywił się. – Być może na „Medinie-Sidonii”, a może i wcześniej. Masz na pokładzie jakiś ważny ładunek. Bardzo ważny.

Amanda wpatrywała się w niego intensywnie.

– Skąd ci przyszła do głowy taka bzdura? – spytała niedbałym tonem. – Sam wiesz doskonale, że to czysty idiotyzm.

Pokręcił głową, wzdychając ciężko.

– Za dobrze się znamy, *camarada* – powiedział. – Zdajesz sobie sprawę, że musiałaś zrobić coś, co mnie zastanowiło, sprawiło, że nabrałem podejrzeń, prawda?

– Co takiego niby? – spytała zaczepnie. – Cóż cię naprowadziło na trop, panie detektywie?

– Twoje zachowanie podczas walki.

Twarz jej stężała, oczy stwardniały i zapłonęły, jakby jej napluł w twarz albo wymierzył siarczasty policzek.

– Masz jakieś uwagi co do mojej postawy?! – zawarczała.

– Ależ skąd, pani kapitan – odpowiedział lekkim tonem. – Nigdy. Twoja dzielność nie budzi zastrzeżeń. Ale inne zachowania już tak.

– Poproszę zatem konkretnie.

– Byłaś zbyt ostrożna... – zaczął i zamachał rękami, widząc, że kobieta otwiera usta do ostrej repliki. – Nie chodzi o walkę, zrozum! Ale nie przypominam sobie, żebyś kiedykolwiek nakłaniała kogokolwiek, aby nie podejmował ryzyka, żeby odciążyć inne okręty, rozumiesz? Zanim odpowiesz, policz do dziesięciu i z powrotem, a potem przemyśl, co powiedziałem – dodał szybko. – Tym bardziej że mam rację.

– Pieprzysz, Aidan – odpowiedziała po kilku sekundach. Być może skorzystała z jego rady co do liczenia. – Po prostu nie chciałam bez potrzeby ryzykować. Prowadziłeś grupę okrętów, tu trzeba odpowiedzialności...

– Jakoś admirał Romero nie miał uwag co do moich decyzji – zauważył chłodno Samuels. – A ty nagle taka rozsądna się zrobiłaś? Powtarzam pytanie: masz na pokładzie coś cennego albo ważnego?

– Nie, nie mam nic takiego – prychnęła.

– Kłamiesz – stwierdził spokojnie. – Gdyby nie to, oderwałabyś się na samym początku od

lotniskowca awaryjnie, na pełnym ryzyku, nie bacząc na nic. Taka była sytuacja, że powinnaś. A jednak czekałaś, aż manewr będzie przynajmniej w miarę bezpieczny.

– A jednak zarzucasz mi tchórzostwo! – warknęła wściekle, ale nie zrobiło to na nim wrażenia.

– Najlepszą obroną jest atak, to fakt. – Pokiwał głową. – Ale doskonale wiesz, że chodzi o coś zupełnie innego. I że na mnie takie sztuczki z krzykiem nie działają.

– A co właściwie spodziewasz się usłyszeć?

– Prawdę.

– Prawda jest taka, że nie mam na pokładzie żadnego wyjątkowego ładunku.

– Skąd więc taka ostrożność, pani kapitan? – spytał z całą złośliwością, na jaką go było stać.

– Znikąd, panie kapitanie – odparła. – Oceniłam sytuację nieco inaczej niż ty, ale przyznaję, że twoja decyzja była słuszna. Lepiej ci?

– Nie, nie lepiej. – Wydął wargi, patrzył na holo rozmówczyni przez dłuższą chwilę. – Nadal uważam, że masz coś na pokładzie.

– Jeśli chcesz, mogę ci przysiąc na honor oficera, że nie zabrałam żadnego wyjątkowego cargo – odpowiedziała zmęczonym tonem.

To go nieco speszyło. Amanda mogła oczywiście oszukiwać, ale przysięgą na honor nigdy by nie szastała. W końcu tak naprawdę tylko on jej pozostał.

– Dobrze – mruknął pojednawczo. – W takim razie prze...

Nagle coś przyszło mu do głowy.

– Zaraz, Amando – rzekł z zastanowieniem. – W porządku, przyjmuję do wiadomości, że nie masz na burcie wyjątkowo cennego ładunku.

– Wreszcie. – Ostentacyjnie odetchnęła z ulgą. – Bo już myślałam, że mnie tutaj zamęczysz na śmierć.

– Nie mogę mieć wątpliwości, skoro jesteś gotowa postawić na szali honor. – Skinął głową z szacunkiem. – Zastanawiam się natomiast, czy byłabyś skłonna złożyć uroczystą przysięgę, że nie wzięłaś na pokład kogoś, pani kapitan. Może to wcale nie ładunek, tylko osoba?

Amanda milczała, wpatrując się w niego nieruchomym spojrzeniem.

– No jak, droga przyjaciółko? – naciskał. – Przysięgniesz na swój honor, że nie masz tam nikogo wyjątkowego?

– Wiesz co, Aidan? – powiedziała, mrużąc oczy i wydobywając z siebie coś podobnego do syku wściekłego węża. – Odwal się, dobrze?!

Po czym zerwała połączenie.

Aidan roześmiał się głośno, ale bez śladu prawdziwej wesołości czy choćby zadowolenia. Nie cierpiał takich tajemnic. I naprawdę wolałby się mylić.

TAJEMNICE, TAJEMNICE...

Na mostku panował spokój. Na razie nic się nie działo, przeciwnicy zastygli na swoich pozycjach. Aidan podpłynął do stanowiska Martineza. Nie chciał rozmawiać z nawigatorem za pośrednictwem urządzeń rejestrujących, chociaż było to wymogiem regulaminu podczas alarmu.

– Zdobyłeś jakieś informacje, Diego? – spytał, zdejmując z ucha zestaw operacyjno-komunikacyjny.

Martinez odwrócił się do niego, również wyłączył rejestrator, westchnął.

– To jakieś gówno, kapitanie – powiedział cicho. – Jesteśmy z całą pewnością przy Regorze. Panie szyper, tutaj, kurwa, naprawdę nic nie ma! Co my tu robimy?

– A Republika? – Aidan uniósł brwi. – Co oni tu robią?

– No właśnie – Diego jeszcze bardziej zniżył głos. – Zupełnie nie rozumiem. W dodatku sam zobacz, szefie, w jakim się ustawili szyku...

Aidan spojrział na wyświetlacz taktyczny nawigatora.

– Ewidentnie tworzą formacje obronne – zauważył. – Co tu jest grane?

– Czegoś pilnują. I najwyraźniej bardziej im zależy, żebyśmy do tego nie dotarli, niż na wygranej bitwie.

Kapitan pokiwał głową. Przez tak ugrupowanego przeciwnika niezwykle trudno się będzie przebić.

– Nie zależy im także na tym, żebyśmy pozostawali w nieświadomości. A to oznacza, że nasi kochani dowódcy doskonale wiedzą, czego wróg tak pilnie strzeże.

– Właśnie, szefie. Co robimy?

Samuels spojrział na nawigatora jak na wariata.

– A co mamy niby robić? Stanowimy eskortę „Vincenta”, więc wykonujemy nasze zadanie.

– Nie o to mi chodzi! – Martinez potrząsnął niecierpliwie głową. – Czy mam się postarać ustalić, czego ci goście pilnują?

– A mógłbyś?

– Jeżeli dostanę pozwolenie na dalekie skanowanie... Może uda mi się coś wypatrzeć.

– A, w ten sposób – Aidan nie krył rozczarowania. – Nie mamy tak czułych urządzeń, żeby uzyskać przyzwoite wyniki. To coś musi być oddalone o co najmniej kilkanaście godzin świetlnych albo więcej. Za duży chaos informacyjny dookoła, żebyś sięgnął tak daleko.

– A to nie jest wcale takie pewne... – Martinez uśmiechnął się tajemniczo.

– Co ty kombinujesz, chłopcze? – spytał podejrzliwie Aidan.

– Wie pan, że jestem całkiem niezły w te klocki. – Diego ogarnął niedbałym gestem otoczenie, składające się z wyświetlaczy, holoe ekranów, komputerów i paneli.

– Wiem. A co to ma do rzeczy? Potrafisz wzmocnić działanie naszych przyrządów?

– Nie, kapitanie. To niemożliwe, działają na pełną parę. Ale potrafię zrobić sobie wzmacniacz z przyrządów naszych przyjaciół. – Uśmiechnął się niewinnie.

– To znaczy? Wyjaśnij staremu piernikowi, nie znam się na tych waszych nowościach.

– Niech szyper nie przesadza. Coś tam przecież wie. Ale wyjaśnię jak najprościej. Znajdujemy się w tej chwili w szyku zabezpieczającym pancernik.

– To wiem, Diego – upomniał go łagodnie kapitan. – Nie musisz mi opowiadać dziejów świata od wygnania z raj.

– Kiedy to ważne, szefie – oburzył się nawigator. – Gdyby tak nie było, tobym nie gadał.

– No dobrze, mów dalej – westchnął Samuels.

– Znajdujemy się w szyku obronnym. Nasze komputery same zgrywają koordynaty, żeby wyznaczyć pozycje. Jak pan wie, nie stoimy w miejscu, żeby nie stanowić łatwego celu w razie nagłego ataku. Zmieniamy pozycje według pewnego algorytmu, podawanego przez komputer „Vincenta” na bieżąco.

– Jezu słodki, Diego, naprawdę musisz mi to wyłuszczać jak dziecku? Aidan zaczął się irytować. – Podstawy podstaw są mi naprawdę doskonale znane. Przejdź wreszcie do rzeczy!

– Tak jest. Rzecz polega na tym, że aby to działało, musimy mieć dostęp do pewnych zasobów kompa pancernika.

– No wiem przecież. Sam kiedyś siedziałem na fotelu nawigatora, zdaję sobie sprawę, jak to działa. Dostęp do maszyny prowadzącej jest na bardzo ograniczonym poziomie. Niewiele da się z niego zrobić. Wszystkie inne zasoby poza bezpośrednią łącznością taktyczną są doskonale chronione.

Martinez wyszczerzył zęby.

– Na wszystko znajdzie się sposób, sir!

– Zaraz, zaraz. – Aidan zmrużył oczy. – Chcesz się włamać do mózgu „Vincenta”? Odbiło ci? Zorientują się i obaj staniemy do raportu! Mnie co najwyżej wsadzą z powrotem do ciupy na dłuższą odsiadkę, ale ty sobie spierniczysz życie już do końca!

– Bez obaw, kapitanie. – Uśmiech Martineza stał się jeszcze szerszy. – To chyba jest całkiem legalne. Znalazłem furtkę.

– Furtkę? – zdziwił się Aidan.

– Nieszczelność w systemie. Dziurę oprogramowania zabezpieczającego.

– A może to nie żadna dziura, tylko pułapka na frajerów? Nie pomyślałeś?

Martinez potrząsnął głową, spojrzał prosto na dowódcę swoimi ciemnymi, dziecięcymi oczami.

– Nie. Na pewno nie. Ta nieszczelność wynika z faktu, że tego, co jest za nią, nie trzeba za bardzo chronić. Może dlatego programiści nie napisali dodatkowego kodu.

– Nic nie rozumiem. – Aidan rozłożyłby ręce w bezradnym geście, gdyby nie musiał się trzymać oparcia fotela nawigatora.

– Chodzi o to, że przez tę dziurę mogę się dostać do niektórych urządzeń pelengacyjnych pancernika. Na przykład do skanerów dalekiego zasięgu. Już pan rozumie?

Aidan zmarszczył brwi, pokiwał głową.

– Rozumiem, że ta szczelina na nic nie przyda się przeciwnikowi. Nie można do niej dotrzeć, nie mając choćby tak płytkiego połączenia z mózgiem pancernika, jakim dysponujemy?

– Właśnie! – ucieszył się Diego. – Bo przed wrogiem zabezpiecza system zupełnie inny program. No i żeby uzyskać dostęp, trzeba się znajdować w pobliżu jednostki, bo te połączenia nie dość, że są probabilistycznie kodowane, to w dodatku mają ściśle ograniczony zasięg. Tutaj chodzi tylko o to, żebyśmy nie grzebali sobie w ich utajnionych zasobach. Stąd programy strażnicze.

– I chcesz mi powiedzieć, że jesteś w stanie skorzystać z ich skanerów?

– Jestem – oznajmił z dumą Martinez. – Właśnie skończyłem składać taki prosty programik. – Uśmiechnął się i zmrużył oko. – Wystarczy załadować i wysłać zwykłym linkiem.

– Moment – Aidan powstrzymał młodego zapaleńca. – Przecież od razu się zorientują, kiedy ich urządzenia zaczną pracować na nasz użytek! Za to też możemy zdrowo beknać.

– Za kogo pan mnie ma, szefie! – Diego wyglądał w tej chwili jak skrzywdzona niewinność. – Oczywiście, że nie zamierzam używać ich skanerów do samodzielnych poszukiwań! To by od razu odkryli! Ale możemy podejrzeć wyniki ich pracy, albo nawet na bieżąco śledzić, co robią!

– No tak – mruknął Aidan bardziej do siebie niż na użytek nawigatora. – Na pewno albo obserwowali to, co nas interesuje, albo nawet obserwują to bez przerwy...

– Właśnie! – Gdyby nie zerowa grawitacja, Martinez pewnie stałby teraz obok dowódcy i podskakiwał z niecierpliwości. Ale i tak wiercił się w pasach jak zapchlony szczeniak. – Nie złamiemy żadnego z punktów regulaminu ani wojskowego prawa karnego. O ile wiem, czegoś podobnego po prostu nie przewidziano.

– Obyś miał rację. – Aidan nabrał głęboko powietrza i powoli je wypuścił.

– To znaczy, że mogę spróbować?

Samuels zastanowił się.

– Poczekaj chwilę. Najpierw muszę coś sprawdzić.

Wrócił na swoje stanowisko, połączył się z Callahanem.

– Rodrigo, jesteś z wykształcenia prawnikiem, prawda?

– Zgadza się, kapitanie. Ale obawiam się, że nie mam prawa wykonywać zawodu. Za długi przerwa, brak aplikacji... Poszedłem w kamasze od razu po dyplomie.

– I tak się lepiej na tym wszystkim wyznajesz niż ja.

– Słucham, kapitanie.

– Wolałbym rozmowę w cztery oczy. Możesz dotrzeć na mostek? Jak naprawy?

– Nie zostało nic, z czym chłopcy by sobie nie poradzili.

– W takim razie zapraszam.

– Będę za trzy minuty, sir.

*

Wiceadmiral Romero znów patrzył prosto w oczy inkwizytorowi. Zastanawiał się, czy naprawdę ma do czynienia z nieco bardziej zaawansowanym programem sztucznej inteligencji, czy z żywym człowiekiem. Na poziomie transmisji holograficznej nie był w stanie tego rozstrzygnąć.

– Zdaje pan sobie sprawę, don Sebastianie – powiedział z całym spokojem, na jaki go było stać – że jeśli jest pan tylko programem, nie mam obowiązku wypełniać pańskich poleceń.

Transmisja znów odbywała się za pośrednictwem urządzeń „Vincenta”. Lerma, czy też jego fantom, nie chciał zdradzać miejsca swojego pobytu, a w przestrzeni krzyżowało się między okrętami zbyt wiele nici komunikacyjnych, aby namierzyć ten właściwy sygnał, docierający do pancernika tylko za pomocą pasywnych systemów kontroli. Z kolei gdyby Romero nakazał użycie środków aktywnych, połączenie z pewnością zostałoby zerwane. Wiedział tyle, że opóźnienie w tej chwili wynosiło dwie dziesiąte sekundy, co odpowiadało odległości „Numancii” od jej bliźniaczej jednostki. Oznaczało to, że źródło właściwego sygnału znajduje się blisko pancernika, albo nawet zostało na niego przetransportowane. Wiceadmiral rzucił okiem na raport o ruchach własnych jednostek. Nie, żaden z okrętów osłony czy krążownik nie zbliżał się ostatnio do „Vincenta”, jego eskorta pozostawała na pozycjach od zakończenia walki i zgrupowania sił w tym sektorze. Zresztą w przypadku kontaktu nowego okrętu z pancernikiem cała grupa bojowa musiałaby zostać powiadomiona o manewrze. Nie wysyłano też wahadłowców, sond, ani nawet dronów. A zatem wszystko pozostawało jak przedtem. Gdzie wobec tego zostało umieszczone oprogramowanie zawierające wycinek osobowości inkwizytora?

– A pan, admirale – odpowiedział Lerma – zdaje sobie chyba sprawę, że rady sztucznej inteligencji są ważnym czynnikiem podczas działań i decyzji późniejszych komisji. Tak, program nie może wydać wiążącego rozkazu, ale to nie zmienia faktu, że rozsądnie jest go posłuchać.

Romero zacisnął szczęki. Inkwizytor nawet jako fantom potrafił być niezmiernie irytujący i przemawiać niebywale aroganckim tonem. Ta arogancja była chyba centralną częścią

osobowości Sebastiana Lermy.

– No dobrze. Mam już wiarygodne odczyty skanerów dalekiego zasięgu – rzekł wiceadmirał. – I jasny jest dla mnie powód, dla którego się tutaj pojawiliśmy. Nie rozumiem co prawda, po co urządzono całe przedstawienie z podróżą wielkiej floty do Układu Sierny, skoro wystarczyło wysłać grupę bojową prosto tutaj.

– Ta wyprawa to tylko część większego planu, drogi admirale. – Lerma uśmiechnął się. – Planu opracowanego naprędce, to muszę przyznać. Było nam po drodze ze wszystkimi aż do Układu Erris X3. Każdy ma swoje zadania.

– Mnie jakoś zapomniano w porę powiadomić, że zostaniemy rzućni przeciwko silnemu ugrupowaniu wroga.

– Jak to nie został pan w porę powiadomiony? Odpowiednie informacje przekazano panu od razu, kiedy tylko otrzymał pan nominację na dowódcę grupy bojowej.

– Czyli dosłownie na parę godzin przed wyjściem tutaj! – syknął Romero. O co w tym wszystkim chodzi? O to, czego pilnują republikanie, czy coś więcej?

Lerma przestał się uśmiechać.

– A czy to zbyt mało, admirale?

– Mało?! – Romero wytrzeszczył oczy na rozmówcę. – Na pewno nie! Chodzi mi o to, że jeśli zachowuje się tak daleko idącą tajemnicę i podejmuje takie ryzyko, powinno chodzić o coś więcej niż forsa. A mam wrażenie, że tylko o to tutaj chodzi.

Lerma pokiwał głową.

– Ludzie honoru, tacy jak pan, nader często nie doceniają znaczenia pieniądza. A to on wprawia świat w ruch. Wie pan, w dwudziestym wieku napisano nawet na ten temat bardzo znaną i popularną przez wiele, wiele dekad piosenkę. Ale ma pan słuszność, chodzi o coś więcej niż zła, cuchnąca mamona. To, co tam jest, jak sam pan już się zorientował, może się okazać czymś niezwykle cennym. Albo niesłychanie groźnym. Dlatego zjawiliśmy się tutaj.

– Teraz lepiej – mruknął wiceadmirał. – Lubię jasne sytuacje. Jeśli dobrze zinterpretowaliśmy odczyty skanerów...

W tej chwili nadszedł kolejny przekaz od inkwizytora, zanim wiceadmirał skończył mówić.

– Nie będziemy o tym rozmawiać przez holo! – ostrzegł ostrym tonem. – Wróg wprawdzie nie jest w stanie nas teraz podsłuchać, ale słuchać może nie tylko wróg!

Romero zamknął usta i przez długą chwilę wpatrywał się spod zmrużonych powiek w hologram inkwizytora.

– No, Wasza Ekscelencjo – powiedział bardzo powoli – chyba już znam prawdę...

– Jaką prawdę?

– O tym, gdzie pan w tej chwili przebywa, don Sebastianie. Przynajmniej orientacyjnie.

Tym razem milczenie hologramu trwało znacznie dłużej.

Komunikacja za pomocą fal elektromagnetycznych, nawet na tak niewielkich odległościach, stawała się irytująca przez opóźnienie związane z prędkością światła. Półsekundowy w sumie poślizg dawało się zauważyć podczas normalnej konwersacji. Lepiej by było oczywiście rozmawiać przez komunikatory kwantowe, w jakie wyposażono oba liniowce, ale to by wymagało łączenia się przez centralę w Układzie Słonecznym, a ta tradycyjnie była zavalona inną pracą, istotniejszą niż zapewnienie łączności między jednostkami choćby najważniejszej w całym Cesarstwie grupy bojowej. Istniały wprawdzie kanały alarmowe, ale ich użycie usprawiedliwiała tylko najwyższa konieczność, bezpośrednie zagrożenie dla imperium lub najznacniejszych w nim osób. Wiceadmirał westchnął w duchu. „Kiedy wreszcie umożliwi się swobodną komunikację w czasie rzeczywistym każdej jednostce kosmicznej? Nigdy” – odpowiedział sam sobie. Przecież tak naprawdę to nie jest kwestia rozwiązań technicznych. W końcu na każdym pancerniku, lotniskowcu i krążowniku można by zamontować przekaźnik kwantowy, pozwalający na komunikowanie się jeśli nie ze wszystkimi odbiornikami w

eksplorowanym kosmosie, to przynajmniej z wybranymi, dla których udostępniono by odpowiednie pary kryształów kwantowych. Można by także na tyle rozbudować i zautomatyzować centralę, żeby zapewnić swobodną łączność via Ziemia, przynajmniej największym okrętom i wszystkim koloniom. Ale rządzący nie chcieli tego zrobić, zasłaniając się względami bezpieczeństwa.

Podobno w Republice dostęp do komunikacji kwantowej był łatwiejszy, ale ich rząd z całą pewnością też trzymał rękę na pulsie.

– No i gdzie jestem pańskim zdaniem, admirale? – odezwał się hologram po kilkunastu sekundach.

– Gdzieś tu. – Romero uczynił ruch ręką, obejmując tym gestem ekrany. W zasadzie nie chodzi nawet o to gdzie, ale kim pan jest. Bo na pewno nie hologramem. A to oznacza...

– Dość! – Lerma znów mu przerwał. – Za dużo pan gada, admirale!

– A pan za dużo próbuje ukryć, inkwizytorze!

Po chwili ściągnięta gniewem twarz don Sebastiana nieco złagodniała.

– No dobrze, chlapanął pan, co miał chlapanąć, za późno. Jak się pan domyślił?

– To nie było zbyt trudne. Opóźnienie, Wasza Ekscelencjo. Dłuższe lub krótsze interwały w dotarciu sygnału mógłbym podczas bitwy może zrzucić na karb manewrów. Jednak gdyby przebywał pan, czy raczej pana wersja elektroniczna, na „Vincencie”, jak uparcie utrzymuje Gutierrez, nie powinno być aż takich różnic. Kiedy poddałem zapisy analizie, wyszło mi, że pancernik musiałby wykonywać dość dzikie harce. To mnie przekonało, że nie przebywa pan na jego pokładzie. Ale teraz mamy stabilne pozycje, wykonujemy planowe manewry, różnice należałoby liczyć w niedostrzegalnych milionowych częściach sekundy. A pan się zastanawia, pan zwleka z odpowiedzią. Tak nie robi automat. A poza tym sztuczna inteligencja nie przerywałaby mi tak obcesowo. Nawet pańska. Logika nakazuje wysłuchać wypowiedzi do końca, a maszyna zawsze działa logicznie.

– Zgadza się. – Lerma wyglądał bardziej na zadowolonego niż zawiedzionego, iż został zdemaskowany. – Muszę o tym pamiętać w przyszłości.

– Tyle tylko, że w chwili, kiedy już wiem, iż nie jest pan elektronicznym fantomem, straciłem pewność, czy aby faktycznie nie przebywa pan w gościnie u Sułtana.

– To bez znaczenia. Ale niech pan spojrzy na to z innej perspektywy przecież nie muszę być tutaj, równie dobrze mogę się łączyć z „Vincentem” przez komunikator kwantowy z dowolnego punktu naszego wszechświata.

– A po co? – Romero wzruszył ramionami. – Wówczas łączyłby się pan prosto ze mną, nie byłoby potrzeby zachowywać incognito, prawda?

– Prawda. – Lerma pokiwał głową. – Teraz zresztą cała ta konspiracja przestała raczej być potrzebna.

– A w ogóle była? – spytał z powątpiewaniem dowódca grupy bojowej.

– Była, admirale. Proszę mi wierzyć, że nigdy nie wolno lekceważyć spraw związanych z bezpieczeństwem.

*

– Ja cię pieprzę! – wyszeptał Aidan, patrząc na wyniki odczytów. – Ja cię pieprzę! Co za pierdolony cyrk!

Martinez i Callahan milczeli. To, co mogliby w tej chwili powiedzieć, właśnie padło z ust kapitana.

Wyniki skanów „Vincenta” przechwycone przez Diega okazały się bardziej niż interesujące. Zanim jednak je uzyskali, Samuels odbył z szefem zespołu naprawczego ciekawą rozmowę.

– Zasadniczo nieuprawnione korzystanie z cudzych urządzeń elektronicznych jest zakazane – poinformował Callahan. – Zarówno Kodeks karny, jak i cywilny mówią o tym

wyraźnie. W zależności od wagi przewinienia może być ono ukarane grzywną, aresztem, więzieniem bądź zesłaniem do kolonii.

– No to nieźle – mruknął Aidan.

– Jak rozumiem, Martinez chciałby się włamać do systemu skanerów pancernika? – spytał Callahan.

– Tak dokładnie, nie do samych skanerów, ale do zasobów danych. Do wyników już uzyskanych i przekazywanych na bieżąco.

– Różnica wedle prawa niewielka, a nawet żadna. Każdy sąd potraktowałby to jako złamanie artykułu dwieście siedemdziesiąt dwa Kodeksu karnego. Gdyby przy tym jeszcze zostały naruszone czyjeś dobra osobiste, mielibyśmy też do czynienia ze sto którymś artykułem Kodeksu cywilnego, nie pamiętam dokładnie numeru, ale mogę sprawdzić.

– Nie ma potrzeby – burknął Aidan. – Słyszałeś, Diego? Myślę, że nie warto ryzykować.

– Szlag jasny – zaklął nawigator. – A już myślałem...

– Zaraz, zaraz – uśmiechnął się Callahan. – Pan pytał o to, czy popełnilibyśmy przestępstwo, korzystając z zasobów naszego drogiego „Vincenta”.

– To już mamy chyba wyjaśnione, prawda? – zauważył Aidan.

– Niezupełnie, sir. – Szef sekcji naprawczej uśmiechnął się krzywo. – Bo w tej chwili znajdujemy się w przestrzeni kosmicznej, podczas akcji bojowej, a zatem obowiązują nas wyłącznie regulaminy marynarki oraz Wojskowy Kodeks Karny. Kiedyś stanowił on integralną część zwykłego kodeksu, ale parę lat temu został wyodrębniony jako osobny dokument.

– Słucham? – spytał Aidan z niedowierzaniem. – Po co? Przecież to bez sensu.

– Pewnie, że bez sensu. – Callahan wzruszył ramionami. – Ale ktoś wziął nieźle honorarium za taką racjonalizację. W zasadzie niewiele różni się ten zbiór od części wojskowej zwykłego kodeksu, ale w armii obowiązuje jako osobny dokument. A nie, przepraszam, różni się tym, że ma jeszcze sporo luk. Proszę chwileczkę poczekać. Może mi pan udostępnić jakieś stanowisko?

Aidan bez słowa wskazał własny fotel. Callahan podpłynął tam, przypiął się jednym pasem i przywołał klawiaturę. Wpisał coś, potem czytał przez kilka minut, a jego twarz kojarzyła się kapitanowi z wyrazem na pysku kota, który wie, że za chwilę dostanie ulubiony przysmak.

– Sprawdziłem dokładnie, sir – oznajmił szef zespołu naprawczego, kiedy skończył i podpłynął z powrotem do stanowiska nawigatora. – Ten dokument jest dziurawy jak sito, tak jak mi mówił kiedyś stary przyjaciel ze studiów. Facetowi, który sporządzał kodeks, nie chciało się nawet dokładnie skopiować cywilnej wersji dokumentu. Pomiął kilka, a nawet kilkanaście ważnych artykułów. Nie jestem pewien, bo nie sprawdzałem wszystkiego. W każdym razie artykuły od dwieście siedemdziesiąt do dwieście siedemdziesiąt pięć nie zostały uwzględnione. Może kauzyperda uznał, iż nie są konieczne z wojskowego punktu widzenia.

– I co w związku z tym? – spytał Aidan.

– W związku z tym ma pan rozwiązane ręce, jeśli chodzi o korzystanie z zasobów informatycznych nie tylko „Vincenta”, ale nawet okrętu flagowego. Te uregulowania po prostu w tej chwili nie obowiązują.

– Ale mamy jeszcze ten kodeks obowiązujący karne sądy cywilne przypomniał Aidan.

– Owszem, jednak w tym wypadku prawo wojenne stoi nad cywilnym wyjaśnił Callahan. – Ponieważ stworzono osobny kodeks na potrzeby wojska, to właśnie on nas obowiązuje. Swoją drogą, dobrze wiedzieć – mruknął. – Bo część dotyczącą handlu dziełami sztuki też pominęli.

Aidan udał, że tego nie słyszał. Dla nikogo z wieloletnich członków załogi nie było tajemnicą, że szef zespołu naprawczego dorywczo zajmuje się przemytem wytworów kultury z kolonii, na które wśród snobów zamieszkujących Układ Słoneczny panował spory popyt. Zresztą wiele i tak nie ryzykował, bo okręty i ich załogi dość rzadko poddawano szczegółowym rewizjom po akcjach bojowych, a Callahan był na tyle sprytny, żeby nie

przewozić artefaktów, jeśli okręt nie brał udziału w walce. Jego sprawa, kapitan w to nie wnikał, wiedząc doskonale, że uposażenie podporucznika nie stanowi imponującego dochodu.

A teraz patrzyli na wyniki uzyskane za pomocą programiku Martineza, nie wierząc własnym oczom.

– To jest to, co mi się wydaje? – spytał Martinez, kiedy nieco ochłonął.

– Wszystko na to wskazuje – powiedział Aidan. – To dlatego nas tutaj wepchnęli, prosto w silne zgrupowanie wroga. I dlatego republikanie będą bronić tego cholerstwa do upadłego! Aleśmy wdepnęli w gówno...

Opanowała go chęć połączenia się z Amandą i poinformowania jej o odkryciu, ale natychmiast odepchnął tę myśl. Jeśli się nie mylił i miała na pokładzie jakiegoś ważniaka, a ten podsłuchałby rozmowę, zaraz wyszłoby na jaw, że Samuels uzyskał informacje, korzystając z luk w przepisach. A jeszcze gorzej by było, gdyby wykryto, że dzieli się danymi z innymi oficerami.

– W jakiej odległości znajduje się obiekt?

– Trzydzieści pięć godzin świetlnych, sir. Kawalek.

– Ciekawe, dlaczego w takim razie wyszliśmy do normalnej przestrzeni tutaj, a nie bliżej obiektu – zastanowił się Callahan.

– Zakłócenia grawitacyjne – wyjaśnił Aidan. – Regor to układ sześciu gwiazd, a obiekt znajduje się w miejscu, gdzie siły muszą się na siebie nakładać, tworząc albo niezły chaos, albo wręcz przeciwnie, oazę spokoju. Tak czy inaczej, wielkie jednostki mogłyby ucierpieć, hamując silnikami głównymi w podobnych warunkach. Zresztą uruchamianie napędu grawitacyjnego, nawet do podróżowania z podświetlną, musi być ryzykowne, skoro okręty Republiki też orbitują tutaj, zamiast bronić obiektu w bezpośredniej bliskości.

– Tak czy inaczej, mamy przesrane – zauważył Callahan.

– To jedyna słuszna diagnoza naszej sytuacji. – Aidan pokiwał głową. – Coś już jednak przynajmniej wiemy. Chociaż chyba nie na wiele nam się to przyda, biorąc pod uwagę okoliczności zdobycia tych informacji. No i cholera wie, co właściwie mamy tu robić. Przejąć ten cały syf? Tylko jak?

– Czy informujemy załogę? – spytał Farlan ze swojego fotela. Przez cały czas przysłuchiwał się rozmowie.

– Nie szalej, Norman. Załogę poinformujemy, kiedy przyjdzie czas. Na razie nie ma sensu denerwować ludzi.

– Naprawdę jest aż tak źle?

– Źle? Dlaczego? Jest normalnie, jak to w tej pieskiej służbie. Tylko że teraz mamy pewność, iż nie będzie wycofywania się, paktowania ani innych ruchów mogących zakończyć się bezkrwawym rozwiązaniem.

– A gdyby... – zaczął Martinez, ale przerwał mu krótki, przenikliwy sygnał, a ekran taktyczny rozjarzył się na czerwono.

– Alarm czwartego stopnia! – zawołał Farlan.

– Wszyscy na stanowiska! – rozkazał Aidan. Spojrzał na wyświetlacz taktyczny.

– Ogłoś od razu piąty stopień – powiedział do chorążego. – I wszyscy w uprężę przeciążeniowe!

„Ja pierdołę” – tylko to w tej chwili kołatało mu w głowie. „Ależ my mamy kompletnie przesrane. Ja pierdołę!”

*

Rodrigo Romero obserwował w skupieniu wielki ekran taktyczny. Jako dowódca zespołu bojowego mógł używać sprzętu zarezerwowanego dla najwyższych stopniem sztabowców. Za każdym razem dochodził do wniosku, że to wprawdzie wspaniała zabawka, ale nie daje aż tak

wiele, jak mogłoby się zdawać. Owszem, obraz wyglądał rewelacyjnie – na hologramie przesuwały się nie zwykle ikony jednostek, ale graficzne dokładne odpowiedniki okrętów własnych oraz wroga. Trójwymiarowa siatka na pewno została doskonale skalibrowana, a dane podlegały błyskawicznej obróbce, dostarczając nie tylko surowego obrazu, lecz również wstępnej interpretacji sekcji taktycznej pancernika.

Wszystko to było bardzo wygodne, jednak Romero musiał się przyzwyczaić do nowego widoku. Na „takcie” starszej generacji obraz był bardziej schematyczny, ale w pewnym sensie wyraźniejszy i prostszy w recepcji, gdyż nagromadzenie szczegółów nie przeszkadzało w ogarnięciu całości. Lecz wiceadmirał musiał też uczciwie przyznać, że ilekroć przychodziło mu przerzucać się z ekranu sztabowego na klasyczny, odczuwał pewien niedosyt. Istota ludzka bardzo prędko przyzwyczaja się do komfortu i niechętnie z niego rezygnuje.

A na hologramie wydzielona grupa bojowa nieprzyjaciela rozwijała się do ataku. W jej skład wchodziły dwa krążowniki, sześć niszczycieli, sześć fregat, osiem korwet, cztery ścigacze i cztery eskadry myśliwskie. Republikanie podjęli działanie nagle, łamiąc własne szyki obronne. Gdyby flota cesarska wyprowadziła atak nieco wcześniej albo mniej więcej w tym samym momencie, przewidując taki ruch, z łatwością mogłaby rozbić w tej chwili dużą część ugrupowań wroga. Lecz teraz nie pora była o tym myśleć. Należało błyskawicznie zareagować. Romero włączył kanał dla całego zespołu bojowego.

– „Vincent” z eskortą oraz „Inferno” z eskortą, stanowicie zespół uderzeniowy. Związać przeciwnika walką, odeprzeć natarcie.

Znaczkami obok ikon pancernika i krążownika zaślniły seledynowo na znak przyjęcia rozkazów.

– „Medina-Sidonia”, wyślij trzy eskadry, „Maria Teresa” również trzy. Wykonać.

Odwzorowania okrętów drgnęły i przesunęły się po wyznaczonych przez komputery wektorach. Wielkie jednostki, otoczone dywizjonami mniejszych, popłynęły przez przestrzeń, aby zewrzeć się z wrogiem.

– Reszta grupy, przemieścić się zgodnie z wytycznymi.

Palcem wskazującym z grubsza nakreślił pozycje, w jakich powinny znaleźć się pozostałe okręty, a komputer natychmiast poprawił koordynaty, aby wyznaczyć precyzyjnie odpowiednie punkty w przestrzeni. To też była jedna z wielkich wygod nowoczesnego sprzętu, odciążająca choć trochę nawigatora, oficera łączności i obserwacyjnego. Romero tego wprawdzie nie pamiętał, ale jeden z wykładowców Wojennej Akademii Kosmicznej, staruszek przeszło stuletni, wspominał, jak w podobnych sytuacjach nawigatorzy i oficerowie obserwacyjni musieli wyliczać osobiście dokładne pozycje na podręcznych komputerach.

Teraz wiceadmirałowi pozostawało tylko obserwować rozwój wydarzeń. Na razie ta potyczka rozwijała się zgodnie z wszelkimi zasadami walki. Ikony wielkich okrętów rozświetliły się na żółto, sygnalizując pełną gotowość sekcji bojowych. Mniejsze jednostki zajęły planowane miejsca w szyku. Ze szczególnym zainteresowaniem wiceadmirał zerkał na wizerunek „Sirene”. Ciekawiło go, co też wymyśli tym razem kapitan Samuels. A może po prostu będzie wypełniał swoje zadanie bez dokonywania modyfikacji? Podobno czasem mu się to zdarzało.

Romero uśmiechnął się pod nosem. Admirał Gonzaga nie cierpiał Aidana Samuela. Bo admirał Gonzaga uważał, że dowódcy okrętu są robotami, które mają ściśle wypełniać rozkazy. Jeżeli taki robot postępował samowolnie, burzyło to ciepły, bezpieczny świat dostojnika. I nieważne, że w większości przypadków wyłamywanie się ze sztywnych ram przez co bardziej przedsiębiorczych kapitanów przynosiło korzyści. Bo *Almirante General* wolałby stracić dziesięć jednostek, ale zwyciężyć dokładnie w taki sposób, jaki opracował, a który nieodmiennie był zgodny z regulaminem pola walki floty cesarskiej. Dlatego wielki grand bardzo się ucieszył, gdy kapitan Samuels pobił gubernatora stacji

Minerve. To oznaczało, że będzie mógł się pozbyć niepokornego oficera bez stosowania mniej eleganckich metod. Romero pamiętał też minę Gonzagi, kiedy minister wojny oznajmił mu, że przywraca do służby kilkunastu uwięzionych oficerów, w tym Aidana. Powiedzieć, że don Julio Álvaro Eugenio połknął żabę, byłoby wielkim niedopowiedzeniem, a nawet eufemizmem stulecia. Bo don Julio Álvaro Eugenio uważał, że powinien mieć ostatnie słowo w kwestii zarządzania zasobami ludzkimi. Na szczęście minister wojny przychylił ucha do podszeptów rozsądnych ludzi, sugerujących mu, że w czasie zmagañ wojennych najlepsi wojownicy powinni znajdować się na froncie, a nie grzać prycze w byle placówce karnej. Jedyne, co wywalczył Gonzaga, to niższe uposażenie dla Samuela, mimo iż oddano mu stopień i funkcję kapitana okrętu.

Romero pomyślał wtedy nawet, że po takich doświadczeniach wcale się nie zdziwi, jeśli Aidan przestanie wykazywać serce do walki. Jednak zaledwie parę godzin później przekonał się, że Samuels pozostał tym samym zadziornym dowódcą niszczyciela, jakim był zawsze.

„Ciekawe, jak by sobie poradził, dowodząc większą jednostką” – myślał wiceadmirał, śledząc ekran taktyczny. „Czy potrafiłby zachować to swoje boże szaleństwo, odpowiadając nie za dwustu ludzi, ale za dwu lub nawet trzytysięczną załogę?”

Był jednak jakoś dziwnie spokojny, że nie będzie miał okazji się o tym przekonać. Przynajmniej dopóty, dopóki głównodowodzącym floty pozostaje admirał Gonzaga. A nie zanosilo się, żeby w przewidywalnym okresie miał go ktoś zmienić.

– „Medina-Sidonia” – wywołał lotniskowiec – jak stoicie z naprawami?

– W dziewięćdziesięciu pięciu procentach gotowe. Osłony działają na osiemdziesiąt siedem procent, uszkodzone wyrzutnie myśliwców już są praktycznie sprawne, wszystkie pozostałe reperacje na ukończeniu.

– Znakomicie. W razie rozlania się bitwy na większy obszar pozostajesz w odwodzie do mojej specjalnej dyspozycji.

– Tak jest.

Romero skupił się na obrazie przekazywanym na hologram taktyczny. Formacje Republiki i Cesarstwa podążały na spotkanie, podczas gdy reszta sił obu stron przegrupowywała się. Na razie wszystko przebiegało podręcznikowo. Lecz wiceadmirał z doświadczenia wiedział, że sytuacja w każdej chwili może ulec zmianie. Nigdy jeszcze nie uczestniczył w walce, w której nie zdarzyłoby się coś niespodziewanego.

*

– Musi pani odejść z formacji – powiedział spokojnym, choć napiętym głosem inkwizytor Lerma. – Już raz podejmowaliśmy ryzyko, pakując się w tę grupę uderzeniową Samuela. Wystarczy.

– Mam swoje rozkazy, Wasza Ekscelencjo – odpowiedziała Amanda. – A one mówią bardzo wyraźnie, że powinnam stanowić osłonę pancernika „Vincent”.

– W takim razie proszę mnie połączyć z jego dowódcą – zażądał Lerma.

– Tchórz cię obleciał... – mruknęła cichutko pod nosem, ale inkwizytor dosłyszał.

– Nie, tchórz mnie nie obleciał – powiedział spokojnie. – Ale to ja zostałem uprawniony przez Jego Cesarską Wysokość, który jak pani wie, nosi zaszczytny tytuł *Capitán General* i sprawuje niepodzielną władzę nad flotą, do pewnych działań, o których przed czasem nie mogę poinformować nikogo w grupie bojowej. W razie mojej śmierci zostaną wykonane zupełnie inne rozkazy, niż należy. A to mogłoby się okazać bardzo groźne w skutkach.

Amanda skrzywiła się z pogardą.

– Rzygać się chce od tych waszych gier – wycedziła. – Dlaczego zatem nie zaokrętował się pan na „Numancję”, „Vincenta” albo któryś z krążowników? Tam jest wygodniej i bezpieczniej.

– To już nie powinno pani kapitan interesować – odburknął, odrzucając wreszcie maskę kamiennego spokoju. – Proszę łączyć mnie z „Vincentem”!

Amanda wzruszyła ramionami i wydała polecenie oficerowi łączności. Po chwili ukazało się holo twarzy Sułtana.

– Witaj, Amando – rzucił lekkim tonem. – Jak nastrój przed walką?

– Ktoś do ciebie – mruknęła i przesunęła kamerę tak, aby Lerma znalazł się w polu widzenia.

– Inkwizytor Lerma, witam ponownie. – Sułtan pokiwał głową. – Do kogo mam przekierować połączenie? Do Romera?

– Do nikogo, kapitanie Gutierrez. To sprawa do pana. Proszę w trybie natychmiastowym wydać rozkaz opuszczenia formacji bojowej przez niszczyciel „Greese”.

– Z jakiego powodu? – Sułtan zeszywniał. Z oczywistych względów nie miał najmniejszej ochoty pozbywać się z eskorty niszczyciela, prowadzonego przez doświadczonego dowódcę.

– Powody nie powinny pana interesować – warknął Lerma. – Ma pan natychmiast wycofać „Greese”!

– Muszę się skontaktować z admirałem Romerem, nie mogę sam bez powodu wycofać...

– To proszę znaleźć jakiś sensowny powód! – przerwał mu don Sebastian. – Nikt nie może się domyślać, że tutaj przebywam!

– Obawiam się, że pan admirał już się domyślił, podobnie zresztą jak i Aidan. Co prawda dowódca „Sirene” nie ma pojęcia o tym, że właśnie pan gości na pokładzie „Greese”, ale zyskał pewność, że kapitan Berger wiezie kogoś ważnego.

– A wiesz to, bo podsłuchiwałeś naszą rozmowę na prywatnym kanale? – spytała Amanda. – To mi się w głowie nie mieści.

– Daj spokój, kochaniutka – prychnął Sułtan. – W warunkach alarmowych nie ma prywatności.

– A ty nie masz uprawnień do podsłuchu – zauważyła. – Takie prawo przysługuje tylko dowódcy okrętu flagowego.

– To teraz nieistotne – wtrącił się Lerma. – Kiedy indziej sobie wyjaśnicie te kwestie. Proszę zrozumieć, kapitanie, że nie mogę sobie pozwolić na lekkomyślną śmierć! Już przedtem dość ryzykowałem, kiedy ten wariat Samuels poprowadził rajd w poprzek i dookoła zgrupowania wroga!

Sułtan zacisnął wargi.

– Rozkazy wydaje tutaj wiceadmirał Romero – wycedził przez zęby. – Bez jego zgody nie wolno mi...

– Dość tego! – Lerma po raz kolejny w ciągu ostatnich minut stracił cierpliwość.

Zapomniał już, jak irytujący potrafią być weterani Wielkiej Armady. Przekręcił na palcu pierścień, który do tej pory Amanda brała za zwykłą obrączkę, jaką duchowni nosili zamiast niegdyśjszych koloratek. Na szczycie srebrzystego okręgu zalśniła fioletem dioda, w ułamku sekundy rozwinęła się, przybierając wygląd dużego klejnotu. Inkwizytor przyłożył pierścień do czytnika pod nadajnikiem holograficznym.

– Może teraz przestanie się pan wygłupiać, kapitanie!

Amanda zobaczyła, jak oczy Sułtana najpierw powiększają się, a potem zwężają, przybierając postać wąskich szparek.

– A więc to tak – mruknął. – Zatem nie mam wyboru.

Odetchnął głębiej, zanim rozkazał:

– Amando, wycofaj się z formacji.

– Z jakiego powodu? – spytała zaczepnie.

– Zamelduj uszkodzenie generatorów osłon i głównych siłowników wyrzutni kinetycznych. Możesz powiedzieć, że miałaś pożar na pokładzie. Cokolwiek wymyślisz prawdopodobnego,

przyklepię to.

Amanda spojrzała na Lermę z nienawiścią.

– Przez pana inkwizytora muszę spieprzać z walki z podkulonym ogonem! – burknęła.

Lerma nie odwrócił wzroku. Patrzył zimno, obojętnie. Kobieta pomyślała, że ten człowiek tak naprawdę nie ma zupełnie uczuć. Nawet jego wściekłość jest doskonale kontrolowana. Inaczej nie byłby aż tak spokojny po niedawnym wybuchu.

– Proszę wykonać rozkaz – powiedział po chwili. – Natychmiast!

– André, słyszałeś – powiedziała Amanda do nawigatora. – Zabieramy dupy i lecimy do mamy. A ty – zwróciła się do łącznościowca – zawiadom „Numancię” o uszkodzeniach, które uniemożliwiają nam udział w rajdzie.

– Tak jest – padły dwie ponure odpowiedzi.

– Zostawiamy swoich? – nie wytrzymał nawigator. – Co za skurwysyństwo...

– Nie filozofuj, André – przerwała mu ostro Amanda. – Dostaliśmy taki rozkaz od dowódcy formacji, musimy się podporządkować.

Nawigator mruzczał coś pod nosem, wykonując polecenie, a twarz Lermę stężała, kiedy doleciały do jego uszu słowa „cholerny tchórz”. Amanda zmrużyła oczy, obserwując inkwizytora. Czyżby to był klucz do jego szczątkowych uczuć? Czyżby – jak wielu mężczyzn w typie macho najbardziej bał się nazwania go tchórzem? Wydawało się to nieco dziwne, ale było całkiem możliwe. Wielu takich spotkała na swojej drodze, jednak zawsze byli to albo żołnierze, albo jacyś zabijacy. A ten to przecież szlachcic, z rodu wielkich grandów, nie powinien czuć się urażony czymś, co tam sobie mruczy byle ludzki robak. Zapewne gdyby André określił go mianem gnoja czy skurwysyna, puściłby to mimo uszu, a ten „cholerny tchórz” zabolął wyjątkowo. W innych okolicznościach może nie zrobiłoby to takiego wrażenia, słowa o tchórzostwie, które wygłosiła Amanda, też jakoś przeżył. Lecz teraz opinię o jego odwadze wygłosił inny mężczyzna, szczerze, z autentyczną pogardą, w głębokim przekonaniu, że Jego Ekszelencja umyka z duszą na ramieniu.

Milczał jednak, a pani kapitan tłumaczyła sobie ten zupełny brak reakcji w jeden sposób. Duma nie pozwalała inkwizytorowi na usprawiedliwianie się przed jakimś oficerzyną, w dodatku obcego pochodzenia, najemnikiem, a może nawet niewolnikiem, bo ludzie o takim statusie również służyli na „Greese”. A jednocześnie cholera go brała, że takie nic ośmiela się go oceniać.

– Zamknij się, André – rzuciła – i zajmij sterowaniem. Nikogo nie obchodzi twoje mamrolenie, chłopcze. Brzęczysz jak mucha w szklance.

Nawigator nic na to nie odpowiedział, ale rzeczywiście zamilkł, słysząc w głosie przełożonej ostrzeżenie.

– Zadowolony, Ekszelencjo? – spytała, patrząc spod oka na Lermę. Postawił pan na swoim.

– Pani kapitan – odparł spokojnie inkwizytor. Już się opanował, przemawiał łagodnym tonem, wręcz miękko. – Proszę mi wierzyć, że nie wahałbym się wyruszyć do tej bitwy, gdyby nie specjalne rozkazy, które mnie obowiązują. Nie obawiam się walki ani niebezpieczeństwa i mam nadzieję, że kiedyś będę miał okazję to pani udowodnić.

W odpowiedzi Amanda tylko pokiwała głową, jakby chciała powiedzieć: „Już widzę, jak się rwiesz do bitwy, wielki inkwizytorze”.

– Mnie nie trzeba nic udowadniać – oznajmiła zamiast tego. – Sama przez całe życie wykonuję rozkazy, wiem zatem, że bywają często wielkim brzemieniem.

Ostatnie zdanie wypowiedziała głośniej, żeby wszyscy na mostku usłyszeli.

„Niech cię szlag, André, kretynie jeden” – pomyślała. „Muszę się tutaj podlizywać cholernemu inkwizytorowi, żeby zapomniał o twoim długim jęzorze. Inna rzecz, czy rzeczywiście zapomni...”

– „Greese” się wycofuje, sir – zameldował Farlan.
– Widzę – mruknął Aidan, a potem spojrzał bystro na oficera. – Masz jakieś informacje dlaczego?

– Nadali do „Numancii” raport o uszkodzeniach. Poszły im tarcze ochronne i wyrzutnie kinetyczne.

Aidan zmarszczył brwi. Co to za bzdura? Przed chwilą jednostka była w pełni sprawna, a teraz nagle szwankują ważne systemy? Przecież nie zbliżyli się jeszcze nawet do strefy walki bezpośredniej. Poszły dopiero pierwsze rakiety kierowane i torpedy. Połączył się z „Greese”.

– Amando, co się dzieje? – spytał.

– Nic się nie dzieje. – Odpowiedź nadeszła po chwili. – Masz chyba na taktycznym raporcie o moich uszkodzeniach.

– Bez jaj – parsknął pogardliwie. – Gówno masz, a nie uszkodzenia. Powiedz wreszcie, kogo tam wieziesz, że tak unikasz walki? Samego ministra wojny?

– Spadaj, Aidan – syknęła. – Nie mam teraz czasu na głupoty, muszę zadokować do „Numancii”, bo sama sobie nie poradzę z awariami.

– Pieprzysz jak poparzona – zrewanżował się podobnym syknięciem. Pamiętaj, że dowodzę identyczną jednostką, wiem, co się może tak nagle zepsuć.

– No to powiedz co? – spytała prowokacyjnie.

– Wszystko, Amando! Dokładnie wszystko. Tylko musi być jakaś przyczyna awarii. A u ciebie nic się nie stało.

– Miałam pożar na pokładzie. – Wzruszyła ramionami. – W przedziale generatorów.

– A ja spotkałem przed chwilą prawdziwego trytona, wiesz? – Aidan wydał pogardliwie wargi. – Miał wielką, czerwoną z przepicia mordę i trójzab ze złamanym środkowym ostrzem. Widać dłubał nim w zębach i o coś zahaczył. Też leciał w stronę okrętu flagowego, żeby mu naprawili sprzęt.

– Aidan, mam do ciebie ogromną prośbę – powiedziała błagalnym tonem.

– Tak, tak, wiem, już się od ciebie odpieprzam, słonko. Wyraży współczucia z powodu tego, co targasz na swojej krypie.

– Dziękuję. Powodzenia. Wróc w jednym kawałku.

Miał na końcu języka złośliwą odpowiedź, ale w jej pożegnalnym życzeniu zabrzmiała taka szczerść, że zrezygnował. Zdawał sobie przecież doskonale sprawę, że nie wycofywała się z własnej woli. Teraz był już bardziej niż pewien, że na pokładzie „Greese” znajduje się ktoś wyjątkowy. Tylko kto? Możliwości widział kilka, jeśli nie kilkanaście. Najprawdopodobniejszy był w tym ekskluzywnym towarzystwie inkwizytor Lerma, ale czy gniółby się na pokładzie niewygodnego niszczyciela, mogąc się rozgościć na krążowniku, lotniskowcu albo pancerniku?

Zresztą cholera go wie. Czas nie sprzyjał zgadywankom.

– Uwaga, załoga! – Włączył kanał ogólny okrętu. – Za osiem minut dwadzieścia sekund wchodzimy do walki. Raporty z sekcji poproszę.

– Maszynownia gotowa. Silniki rozgrzane, dowódco – rozległ się wesoły głos Naalnisha.

– Uzbrojenie gotowe – zawtórował mu Shader.

– Skany i nasłuch w gotowości – zgłosił się bosman Costa.

– Kondensatory i siłowniki osłon gotowe – zakomunikował bosman Armin van den Broek.

– Ekipy naprawcze w pogotowiu.

Przy tym ostatnim raporcie Aidan od razu zapytał:

– Jak wyglądamy po ostatnich uszkodzeniach, Rodrigo?

– Jak po wyjściu prosto ze stoczni – padła krzepiąca odpowiedź. – No, może jesteśmy tylko trochę przykurzeni.

– W porządku. Dalej.

– Lazaret gotów – głos Henricksena brzmiał mało entuzjastycznie. Na pewno wolałby być teraz na swoim stanowisku w sekcji napraw, ale ponieważ w ambulatorium przebywali ranni, musiał czuwać przy nich.

„Powinno się zacząć wreszcie przydzielać zwykłych lekarzy na wszystkie jednostki klas powyżej kanonierki” – pomyślał kapitan. „Też bym wolał, żeby Ronald zajmował się tym, co umie najlepiej, a nie przesiadywał z tymi niezgułami”. Postanowił, że – wbrew zapowiedzi – przy najbliższej okazji ewakuuje tych trzech do szpitala na pancerniku.

Istniał taki projekt, opracowany w admiralicji przez pion medyczny, ale jak na razie leżał w legislacyjnej zamrażarce. Oczywiście sprawa rozbijała się o pieniądze. I nie chodziło jedynie o sam etat pokładowego łapiducha, bo to by może biuraliści jakoś przełknęli. Ale jeśli na jednostce przebywałby lekarz, należałoby zapewnić o wiele lepszą infrastrukturę w części medycznej. Nie wystarczyłby prosty medmat i pojedyncze łóżka znajdujące się w ambulatorium, w instrukcjach zwanym szumnie lazaretem. Co ciekawsze, miejsca znalazłoby się na okręcie dosyć, wystarczyłoby dostosować na potrzeby szpitala znajdujący się za cienką ścianą ancel, tym bardziej że aresztowanych można było bez ryzyka trzymać w jakimkolwiek wolnym pomieszczeniu w części mieszkalnej. Na okręcie wojennym każda kajuta była zabezpieczona lepiej niż cela więzienna, a dowódca i jego zastępca mieli możliwość zamykania drzwi od zewnątrz specjalnym kodem. Rzecz jasna, na wypadek buntu.

– Mostek gotów – padł wreszcie kończący przedbitewny przegląd meldunek, wygłoszony przez Farlana.

– Świetnie. – Aidan skinął głową z aprobatą. – Wszyscy porządnie się przypiąć. Wystarczą nam w zupełności te trzy potłuczone sieroty. Każdy, kto nabawi się kontuzji przez własną niedbałość, dostanie tydzień ścisłego i siedem służb poza kolejnością.

Połączył się z „Vincentem”.

– Czółem, Sułtanie – powiedział, kiedy w prawym rogu ekranu ukazała się twarz Guida. – Amanda wyszła z szyku, jak wiesz.

– Wiem. – Sułtan skrzywił się z niechęcią. – Mój łącznościowiec już wysłał do was nowy schemat ustawienia eskorty. Chyba wszystko jest jasne. Nie mam czasu na tłumaczenie każdemu...

– Tak, tak. Nie o tłumaczenie chodzi. Przynajmniej w moim przypadku. Chciałem tylko zapytać, czy wiesz, kto jest na pokładzie „Greese”.

– A uważasz, że ktoś jest?

– A ty nie?

– Człowieku – jęknął Sułtan – zaraz wchodzimy do bitwy, a ty się przejmujesz takimi pierdołami?! Nie masz nic lepszego do roboty?

– Nie mam. – Aidan wzruszył ramionami. – Tak samo zresztą, jak i ty. Jeszcze dwie minuty do starcia, mnóstwo czasu, więc się nudzę. A kiedy się nudzę, zazwyczaj myślę...

Sułtan odpowiedział mu grubym słowem, ale Samuels tylko się roześmiał.

– Strasznie jesteś spięty, dowódco – zauważył kąśliwie. – Trema przed walką?

– Tak – odparł Guido. – Normalnie sram w gacie. Nie wygłupiaj się. Przecież doskonale wiesz, że nie powiem ci, kogo przewozi Amanda, nawet gdybym wiedział.

Aidan pokiwał głową.

– Jasne. Ale dobrze przynajmniej mieć potwierdzenie, że tam rzeczywiście ktoś jest.

– Tego nie powiedziałem...

– Dobra, dobra. – Kapitan „Sirene” znów się roześmiał. – Nie powiedziałeś.

– Mówił ci ktoś, że jesteś cholernie upierdliwy? – zainteresował się Sułtan.

– Słyszałem to tysiące razy. Nawet przeleciało mi przez głowę, czy ci, którzy mi to powtarzają, nie mają aby troszeczkę racji...

– Kapitanie – przerwał wywód Farlan – została minuta.

– Później pogadamy – oznajmił Aidan, ale Sułtan już się rozłączył. Jemu zapewne też przypomnieli o bitwie.

„Trzymaj się, stary oszuście” – pomyślał kapitan. „Za chwilę wróg zacznie walić do ciebie ze wszystkiego, co ma. Nie zazdroścę”.

Sobie zresztą też nie zazdrościł. Wyglądało na to, że Sułtan chce mieć osłonę na ściśle określonych pozycjach wokół pancernika. A to znacznie ograniczało możliwość wykonywania manewrów unikowych. Przynajmniej na samym początku, bo później...

– Kod ataku siedem alfa – zabrzmiał głos oficera łączności z „Vincenta”, potwierdzając obawy Samuela.

Na ekranie pojawiły się poprawki ustawienia szyku i zakresy tolerancji, w jakich mogły się poruszać jednostki. Oczywiście to wszystko było dobre jako ustawienie na sam początek walki. Panowie taktycy, stare trepiszcza o mózгах wysuszonych przez leki podtrzymujące funkcje życiowe, wyobrażali sobie, że można utrzymać nakazany szyk dłużej niż najwyżej kilkanaście minut, a najczęściej tylko kilkadziesiąt sekund. Jeśli niewolnicze trzymanie się instrukcji miało jakiekolwiek uzasadnienie, to mogło chodzić jedynie o koncentrację ognia w pozycji szturmowej. Chociaż taka taktyka była dobra kilkadziesiąt lat wcześniej, kiedy okręty dysponowały starszymi generacjami laserów i wyrzutni torped. Obecnie, przy uzbrojeniu spoczywającym swobodnie w łożyskach magnetycznych, można było prowadzić ostrzał z dowolnego kąta, ograniczonego jedynie umiejscowieniem urządzeń na kadłubie.

Aidan czytał kiedyś, że w marynarce oceanicznej panowały konserwatywne, czy nawet skostniałe regulaminy, często stojące w sprzeczności z aktualną praktyką. W marynarce gwiazdnej było zatem bardzo podobnie.

– Kod siedem alfa – powtórzył kapitan na kanale ogólnym okrętu. – Przygotować się.

*

Romero patrzył na rozwijający się atak. Wokół wielkich jednostek roilo się od okrętów eskorty. Wiceadmirał zastanawiał się, w jakim celu republikanie postanowili przejść do niespodziewanej ofensywy. Przecież wszystko wskazywało na to, że zamierzają „okopać się na pozycjach”, jeśliby użyć dawnej terminologii, i czekać na ruch przeciwnika. Może zorientowali się, że imperialna grupa bojowa również ma podobny cel? Nie mogli przecież zdawać sobie sprawy, że dowódca na okręcie flagowym nie ma najmniejszego pojęcia, o co tutaj chodzi, co właściwie powinien zrobić i dlaczego.

– Nasłuch – powiedział.

– Tak jest – zgłosił się oficer sekcji wywiadowczej.

– Raport z komunikatów przeciwnika.

– Nic, co by mogło pana zainteresować, admirale. Standardowa wymiana informacji i ustalanie procedur. Wszystkie wyniki wysyłane są na bieżąco do „Vincenta” i „Inferno”.

Admirał odetchnął głęboko.

– Posłuchaj, synu – powiedział, tłumiąc rozdrażnienie. W końcu to nie była wina oficera, że nie meldował o wszystkim. Przywykł do tego, że jego dowódcy nie interesowały duperele, tylko rzeczy najistotniejsze. A po to wiceadmirał miał wywiad i nasłuch, aby przeprowadzały selekcję. – W tej chwili interesuje mnie wszystko, dosłownie wszystko. Żądam szczegółowych raportów. – Żeby złagodzić ostre brzmienie rozkazu, dodał: – To nie jest normalna sytuacja, komandorze.

– Wiem, señor – odparł oficer. – Zrozumiałem, dokładniejsze raporty.

– Tylko z kolei nie przesadźcie z objętością, nie mam czasu czytać powieści.

– Tak jest, panie admirale. Za chwilę prześlę pliki.

Romero obserwował rozwój wydarzeń na wielkim holoeckranie taktycznym. Opóźnienie transmisji wynosiło już cztery sekundy. Okręty obu stron poruszały się w tej chwili z

siedemdziesięcioma procentami prędkości światła. Napęd grawitacyjny zapobiegał występowaniu efektów relatywistycznych, dzięki czemu nie istniały problemy zespowolnieniem czasu dla załóg i inne niepożądane zjawiska. Na początku lotów międzygwiazdnych, kiedy usiłowano osiągać prędkości przyświatłne innymi metodami, wysiłki utrudniały między innymi kontrakcja Lorentza-Fitzgeralda, wzrost masy i dylatacja czasu. Wiceadmirał był pełen podziwu dla pionierów, którzy ryzykowali życie i zdrowie, aby dochodzić do kolejnych rozwiązań.

Rozważania te przerwała zmiana sytuacji na polu bitwy. Jednostki cesarskie i republikańskie właśnie otworzyły ogień, już nie ten rozpoznawczy, bardziej na próbę niż z zamiarem uczynienia przeciwnikowi poważnej krzywdy, ale konkretny. Przy sprawnych tarczach i zwartym szyku byłoby trudno liczyć, że kilka rakiet i torped przebiję się przez obronę. Ale narastające stopniowo natężenie ognia już niebawem spowoduje spustoszenia w tarczach, osłonach i pancerzach.

– Pierwszy pakiet na pana ekranie, admirale – zameldował oficer wywiadu.

Romero rzucił okiem na meldunek i skinął głową z aprobatą. Eduardo był naprawdę mistrzem w swoim fachu. Plikzawierał wyciąg informacji, co prawda mniej niż zazwyczaj wyselekcjonowanych, ale bardzo czytelnych. Najbardziej interesowały wiceadmirała zapisy wymiany danych między dowódcami wielkich jednostek a okrętem flagowym wroga. Na razie niewiele z nich mógł wywnioskować, ale już napływały następne.

– Panie admirale – odezwał się komandor.

– Słucham, Eduardo.

– O ile mogę się domyślić, chodzi panu przede wszystkim o sprawy związane z tym, czego pilnują tutaj siły Republiki.

– Nie inaczej, komandorze.

– W takim razie mam coś takiego, chociaż nie wiem, czy pana zainteresuje. To część ich materiałów badawczych, zakodowana specjalnym algorytmem. Nie zdołaliśmy jeszcze rozkodować wszystkiego, ale coś chyba tutaj jest. Może panu coś powie. Ja, prawdę mówiąc, niewiele rozumiem z zagadnień fizyki. A w każdym razie nie na tyle, żeby coś odczytać ze szczątkowych danych.

Na ekran wpłynął następny pakiet.

– A rozmowy między jednostkami wroga?

– No cóż... – Romero mógłby przysiąc, że widzi, jak Eduardo wzrusza ramionami. – Te na długim dystansie, z ich bazą na Vanadzie, idą przez komunikatory kwantowe, nic nie sczytamy. A wśród okrętów związanych bezpośrednio jest tak jak u nas. Algorytmy są zmieniane na bieżąco według ustalonego na dany dzień i godzinę kodu. Nie do złamania bez dostępu do ksiąg szyfrów.

Tak, to był zawsze poważny problem dla sekcji deszyfrażu. Ale jeśli tylko okręty wymieniały pliki po kilka razy, dawało się je odczytać mimo szyfrowania. A w przechwyconych przez wywiad plikach na pewno można było znaleźć parę ciekawych informacji, nawet jeśli nic nie mówiły oficerom pracującym w tej sekcji. Niestety, wiceadmirałowi jak na razie też mówiły niewiele. Ale parę spraw powinien rozjaśnić Jego Ekscelencja Sebastian Lerma. Oczywiście jeżeli zechce łaskawie cokolwiek rozjaśnić. Inkwizytor piątej rangi posiadał władzę porównywalną z marszałkiem Rady Cesarskiej, a to oznaczało, że mógł właściwie wszystko. Jedynie w warunkach bitwy bądź innego bezpośredniego działania wojskowego głównodowodzący nie musiał się liczyć z jego zdaniem.

Oczywiście tylko teoretycznie.

Bo zupełne lekceważenie dobrych rad Jego Ekscelencji mogło się wiązać z przykrymi konsekwencjami już po wszystkim, a nawet dywanikiem u admirała Gonzagi czy u samego

najjaśniejszego pana. To drugie zazwyczaj skutkowało zesłaniem w najbardziej zapyziały zakątek imperium w najlepszym przypadku, a degradacją i wcieleniem do górniczej floty transportowej w najgorszym.

Romero otworzył największy plik i zapatrzył się w dane. To nie było z pewnością pełne potwierdzenie jego podejrzeń, bo rzeczywiście nie wszystko zostało rozszyfrowane, jednak odebrał gruntowne wykształcenie w zakresie fizyki, ze szczególnym uwzględnieniem mechaniki kwantowej, dostrzegł więc zarys odpowiedzi na niewypowiedziane, ale tkwiące jak drzazga w umyśle pytanie.

Nagle ekran zamigotał i zgasł.

– Co to było? – połączył się natychmiast z nasłuchem.

– Cholera jasna, panie admirale, władowali w to jakiegoś zjadliwego wirusa! Obawiam się, że końcówka, z której pan korzystał, jest poważnie uszkodzona.

– A system okrętu? – zaniepokoił się wiceadmirał.

– Jest doskonale chroniony. Ten wirus to nie tyle atak, ile obrona. Zamontowali to w plikach, żeby uległy zniszczeniu przy nieautoryzowanym odczytaniu. Bardzo mi przykro, ale tego już nie odtworzymy.

– Nie szkodzi – odparł Romero. – Wiem już to, co chciałem wiedzieć.

Chyba – mruknął pod nosem, kiedy się rozłączył.

Odepchnął uszkodzony ekran, przysunął sobie drugi. Na brak sprzętu nie mógł narzekać. Prędkiej na nadmiar.

Spojrzał na obraz starcia wydzielonych grup Cesarstwa i Republiki. Na razie strony wciąż prowadziły wstępny ostrzał. Żadnych niespodzianek.

Zmarszczył brwi. Coś mu się w tym wszystkim zdecydowanie nie podobało.

*

– Szlag by to trafił – warknął Aidan. – Zupełnie nie rozumiem, po jaką cholere ci idioci nas zaatakowali. Żeby postrzelać sobie jak na poligonie?

Prawdę mówiąc, spodziewał się jakiegoś podstępu, nieoczekiwanego manewru przeciwnika, czegoś, co uzasadni wysłanie części sił na tę eskapadę. Jak dotąd, mógł powiedzieć jedno – wiało nudą. Cywilowi, który nie wyściubił nosa poza rodzinny układ, który nie brał udziału w tytanicznych zmaganiach gwiazdnych flot, mogłoby się wydawać dziwne, że podczas ciężkiego ostrzału ktoś może w ogóle wspominać o nudzie.

A jednak.

Manewry w przestrzeni kosmicznej trwały o wiele dłużej niż w przypadku planetarnego pola walki. Okręty poruszały się z prędkościami podświetlnymi, a to oznaczało, że wszystko działo się w ciągu długich sekund, a najczęściej dziesiątek sekund, czy nawet minut. Sam klasyczny manewr skrętu w przypadku wielkich jednostek odbywał się na przestrzeni setek tysięcy kilometrów. Rzecz jasna, każdy okręt był zdolny do wykonywania bardziej karkołomnych sztuczek, ale w przypadku poruszania się w formacji należało zachowywać ostrożność. Nawet przy manewrach wykonywanych według schematów, kiedy komputery okrętów działały w sprzężeniu, zdarzały się niespodzianki. Zakłócenia łącza lub najdrobniejsze uszkodzenia oprogramowania powodowały opóźnienia, które przy prędkościach bliskich światłu prowadziły do wytrącenia jednostki z pozycji, a nawet groziły kolizją. No i ostrzał. W każdym ułamku sekundy jakiś pocisk czy promień mógł przebić się przez osłabione osłony, ograniczając sprawność okrętu. Wprawdzie krążownika czy pancernika zbytnio to nie narażało – wytrącony z szyku okręt ostatecznie odbiłby się od potężnych tarcz albo został zestrzelony przez własną artylerię, jeśliby rzeczywiście zagrażał kolosowi, ale mniejsze jednostki musiały się liczyć z poważnymi konsekwencjami.

Właśnie dlatego Aidan tak bardzo nie lubił latać w bezpośredniej eskorcie liniowców. W

formacjach złożonych z mniejszych jednostek było łatwiej, gdyż odległości między nimi zapewniały dość czasu, aby zareagować, a poza tym sprzężone komputery były podporządkowane sternikom, a nie na odwrót. Teraz to jednostka centralna „Vincenta” decydowała o tym, co dzieje się z okrętami eskorty. A to oznaczało, że swoboda poruszania się została ograniczona do ściśle określonych ram.

Nie, trudno powiedzieć, że Aidan nie lubił takiego sposobu walki. On go po prostu nienawidził!

Niemniej w tej chwili odczuwał zwyczajną nudę. Pancernik wraz z okrętami osłony działał niczym jeden organizm. Co za sens prowadzić takie działania wojenne? Niespokojna dusza kapitana buntowała się w obliczu tak daleko posuniętej dyscypliny. W tej chwili niemal zazdrościł Amandzie, że została wycofana z sztyku. Jego niszczyciel został zredukowany do roli jakiegoś drona, który wykonuje tylko to, co nakaże mu operator. Co gorsza, nic nie zapowiadało, żeby sytuacja miała ulec zmianie w najbliższym czasie. Republikanie najwyraźniej nie mieli zamiaru wychodzić poza ramy klasycznych manewrów. To było dość dziwne. Albo mieli do czynienia z żółtodziobami, albo chodziło o coś innego. W tej chwili Samuelsonowi przypomniła się maksyma starożytnego stratega Sun Zi: „Wojna to sztuka wprowadzania w błąd”.

– Poruczniku – powiedział do Farlana.

– Słucham, sir.

– Identyfikacja okrętów przed nami.

Po chwili na jego ekran taktyczny wpłynęły nazwy.

– „Sulfoss” i „Marsalis” – odczytał nazwy krążowników. – Niszczyciele „Rigel”, „Marston”, „Redbad” i „Ricon”. Cholera ciężka, przecież to doświadczony jednostki!

„Sztuka wprowadzania w błąd...” Zamyślił się.

Niszczyciel tymczasem wykonywał płynne manewry, strzelając do przeciwnika, tworząc dookoła formacji parasol ochronny.

„Tak” – pomyślał Aidan. „Jesteśmy częścią organizmu, a nie samodzielną jednostką. Ale dlaczego oni nic nie robią? Przecież nie w naszym interesie leży w tej chwili robienie niespodzianek. To oni czegoś pilnują, to oni powinni chcieć pozbyć się nas jak najszybciej”.

A może nie? Może się mylił? Dlaczego republikanie zachowywali się tak ślamazarnie?

Nagły wstrząs spowodował, że Aidan oprzytomiał.

– Co jest? – spytał.

– Właśnie rozpieprzyli „Camarre” – zameldował w mało formalny sposób Martinez. – Cała jej dysza poszła po naszych osłonach.

– Uszkodzenia? – zażądał raportu Aidan, chociaż na jego panelu nie zapłonęła ani jedna czerwona ikonka.

– Nic poważnego – odpowiedział po kilku sekundach Callahan. – Osłony całe, przeciążenie na obwodach trzeciego generatora, strzeliły bezpieczniki, ale już są odpalone awaryjne obwody, wszystko działa.

– Dzięki. Farlan, bezpieczne łącze z „Vincentem”.

– „Vincent” odrzuca wezwanie – odpowiedział po dłuższej chwili oficer łączności. – Sygnatura „brak czasu”.

– To dawaj go na alarmowym.

– Ale, panie kapitanie... – zaczął Farlan, jednak Aidan mu przerwał:

– Dawaj na alarmowym! W razie czego to mnie urwą dupsko, nie tobie!

Tym razem Sułtan zgłosił się natychmiast.

– Co się stało, „Sirene”? – spytał. – Jakies uszkodzenia?

– Tak, mózg mi się uszkodził. Z nudów i nieróbstwa – odparł Aidan. – Odbierz mnie na normalnym kanale, co?

– Człowieku! Ja mam tu urwanie głowy! Brak mi czasu na pogaduchy!

Aidan roześmiał się.

– Wiem, jakie masz urwanie głowy. I nie ty, tylko twój komputer z nawigatorem. Przejdź na kanał ósmy. Nie chcę blokować alarmu.

– No dobra – zgodził się z westchnieniem Sułtan. Kiedy zostali połączeni na zwykłej częstotliwości, zapytał: – Ale zdajesz sobie sprawę, że za wykorzystanie czerwonej linii poniesiesz konsekwencje?

– Jasne – prychnął Aidan. – Zabiorą mi premię za akcję. Której i tak nie dostaję, bo mam status niewolnika. Pamiętasz?

– Dobra, gadaj, czego chcesz, i spieprzaj – zniecierpliwił się Sułtan.

– Nie uważasz, dowódco, że ta potyczka przypomina jakieś gówniane poligonowe manewry?

Sułtan milczał przez chwilę, zanim odpowiedział:

– Owszem. Ale co z tego? Na razie nigdzie nam się nie śpieszy, nie mamy wyraźnych rozkazów.

– Nam może i się nie śpieszy. Ale dlaczego okręty Republiki też się zachowują jak banda idiotów? Przecież tutaj musi o coś chodzić.

Teraz w głosie Sułtana pojawiło się coś więcej niż niechęć i zniecierpliwienie.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Raczej co chcę zrobić, żeby rozruszać całe towarzystwo...

*

– Dobrze, niech działa – zgodził się Romero po wysłuchaniu dowódcy „Vincenta”. – Prawdę mówiąc, sam miałem wydać rozkaz, aby ruszyć wreszcie te leniwe ryby. Skoro więc nasz ulubiony kapitan wpadł na ten sam pomysł, nie widzę przeciwwskazań. Ale proszę go mieć na oku.

– Wolałbym mieć bielmo na oku niż jego – nadeszła po kilku sekundach burkliwa odpowiedź.

Wiceadmirał uśmiechnął się lekko. Może Samuels miał ciężkie życie ze swoimi przełożonymi, ale też i jego dowódcy nie widzieli powodów do świętowania, kiedy znajdował się pod ich rozkazami.

– To doskonały oficer – zauważył Romero. – Zawsze wykazuje inicjatywę.

– Ale nie zawsze rozsądek.

Wiceadmirała niecierpliwiła lekko rozmowa z opóźnieniem. Okręty znajdowały się zbyt daleko od siebie, aby prowadzić takie konwersacje.

– Do dzieła – uciął. – Obserwuję was. Niech podejmie akcję po następnym zwrocie.

*

Obserwującym starcie z boku cała akcja mogłaby się wydać dość dziwaczna, a nawet groteskowa. Obie formacje minęły się, strzelając bez przerwy ze wszystkich środków bojowych, a potem zaczęły zawracać, zajmując znów pozycje naprzeciw siebie. Tym razem jednak znalazły się na linii prostopadłej w stosunku do swoich sił głównych, zwrot bowiem miał wartość dziewięćdziesięciu stopni. Po następnym przejściu znów powinny zmienić kurs zwrotem o kolejne dziewięćdziesiąt stopni, ale już w przeciwnym kierunku, aby znów mieć własne okręty za plecami. Na ekranie wyglądało to, jakby dwa niewielkie roje pszczoł tańczyły wokół wspólnego środka, bardziej się strasząc nawzajem, niż naprawdę walcząc.

– Następnym bezpośredni kontakt za pięć minut – zameldował Martinez.

– Dobrze, Diego. – Aidan potarł policzek nieświadomym gestem. – Jak tylko znajdziemy się trzydzieści sekund od wroga, zaczynamy.

Przedtem uzgodnił działania z kapitanami dwóch niszczycieli, pięciu fregat i pięciu korwet. Najwyraźniej wiceadmirał też miał dość tego powolnego kontredansa, skoro tak szybko wyraził zgodę na propozycję Aidana. I pewnie też mu się coś tutaj ogromnie nie podobało. Możliwe, że o wiele więcej niż kapitanowi, który posiadał nieporównanie mniejszą wiedzę o sytuacji.

– Jeszcze raz – zakomunikował na kanale ogólnym, łączącym go z dwunastoma pozostałymi jednostkami małego zespołu bojowego. – Niszczyciele w szyku liniowym wertykalnym, korwety na przemian z fregatami w sferze. Ogień niszczycieli skupiony na wyznaczonym celu, pozostali prowadzą ostrzał osłonowy.

Na dzień dobry miał zamiar zagrozić tak poważnie, jak tylko to możliwe, krążownikowi „Marsalis”. Nie liczył, że uszkodzi kolosa, a już na pewno nie miał nadziei na zniszczenie go. Nie w chwili, kiedy wszystkie systemy obronne działały, osłona siłowa mogła zneutralizować większość podążających w stronę krążownika pocisków, a przy tym nie istniał element zaskoczenia, wielka jednostka zaś dysponowała ochroną pełnej eskorty. Aidan był ciekaw, jak przeciwnik zareaguje na to rozpoznanie walką.

Tymczasem na ekranie taktycznym flota przeciwnika podążała w ich kierunku z prędkością dwudziestu pięciu procent c. A zatem to przejście miało być jeszcze bardziej leniwe niż poprzednie.

– Nasłuch, nic nowego? – spytał.

– Nic, kapitanie. Wychwytyjemy tylko szumy kodowanych transmisji między krążownikami a eskortą, nie komunikują się z okrętem flagowym.

– Dobra. Robert? – Przyszła mu nagle do głowy pewna myśl.

– Zgłaszam się – odpowiedział natychmiast Shader.

– Naładuj główny laser rentgenowski na sto dwadzieścia pięć procent.

Na dwie sekundy zapanowało milczenie, a potem porucznik zapytał powoli:

– Zamierzasz rozwalić krążownik? Musiałbym załadować wszystkie lasery na sto dwadzieścia pięć. Ale wtedy zostalibyśmy zupełnie bez zasilania.

– Zamierzam coś innego. Nie dyskutuj, ładuj. Użyjesz go na mój rozkaz, nie wcześniej.

– Tak jest.

Shader rozłączył się, a Samuels mógłby przysiąc, że mimo zamkniętego mikrofonu słyszy, jak jego oficer artylerii klnie na czym świat stoi. I nawet się nie dziwił. Ładowanie lasera powyżej nominalnej pojemności i mocy nie należało do działań bezpiecznych, bo łatwo było o poważną awarię, a przy nieumiejętnym korzystaniu z kondensatorów nawet wybuch. Poza tym skracało się znacznie żywotność urządzenia. Ale kapitan nie zamierzał się tym przejmować. Nie pierwszy raz wydawał podobny rozkaz, a pyskaty Robert nie po raz pierwszy go wypełniał. Poradzi sobie.

– Minuta do bezpośredniego kontaktu, przeciwnik wzmacnia ostrzał zameldował Farlan.

– Przygotować się, rozpocząć odliczanie do pół minuty! – polecił Aidan.

Sprawdził pasy, słuchając z lekkim roztargnieniem, jak miękki głos komputera odlicza od trzydziestu.

„Trzeba mu w końcu zmienić barwę na ostrzejszą” – pomyślał po raz kolejny. Zawsze przypominał sobie o tym, kiedy następowało odliczanie. „Strasznie ma ten głosik pedalski. Jakbym czekał na pokaz mody, a nie porządną łomotaninę”.

Ożywił się, kiedy odliczanie doszło do piętnastu. Odruchowo poprawił panel dotykowy ekranu taktycznego, a właściwie próbował poprawić, bo sprzęt już zastygł w dotychczasowej pozycji, aby zapobiec jego przemieszczaniu się podczas przeciążeń.

„Pięć, cztery – liczył w głowie razem z komputerem – trzy, dwa, jeden... już!”

Niszczyciel wystrzelił pięć sekund świetlnych nad formację, za nim w jednej płaszczyźnie ustawiły się wertykalnie pozostałe dwa – środkowy nieco wyżej, trzeci poniżej wyznaczonej

prostej. Jednocześnie pozycje wokół zajęły korwety i fregaty. Niszczyciele otworzyły ogień z laserów, zanim jeszcze znalazły się na ustalonej pozycji. Zgodnie z rozkazem główne działo rentgenowskie „Sirene” milczało. Aidan wątpił, czy ktoś z tamtej strony zwróci na to uwagę. Przynajmniej przez pierwsze sekundy ataku. Zanim dotrze to do przeciwnika, zanim zeskanują okręt i wykryją, że kondensatory głównego działła laserowego zostały naładowane ponad stan, będzie za późno. Taką miał w każdym razie nadzieję.

– Cała naprzód! – rozkazał Aidan.

Grupa ruszyła jak jeden organizm, w ciągu kilku sekund osiągając siedemdziesiąt pięć procent prędkości światła. Przyspieszenie wgniotło Aidana w fotel, ale nie spowodowało innych sensacji jak mroczki przed oczami. Systemy kompensujące, zasilane z generatorów grawitacyjnych, były w stanie zdjąć nawet dziewięćdziesiąt dziewięć procent wartości przeciążenia, ale ta pozostała część przy maksymalnych osiągnięciach wystarczała, aby przyprawić człowieka o cierpienie i doprowadzić go do utraty przytomności. Dlatego osiemset g przyspieszenia stanowiło wartość graniczną, powyżej której manewr stawał się niebezpieczny dla zdrowia, a nawet życia. Aidan, zarządzając całą naprzód, wpisał uprzednio w program wartość trzystu g, aby nie szokować załóg tuż przed walką, a poza tym przy takich odległościach, z jakimi mieli tutaj do czynienia, więcej byłoby grubą przesadą, a nawet mogłoby utrudnić zadanie.

– Ognia! – zarządził Aidan.

Grupa bojowa plunęła ze wszystkich środków bojowych, pokrywając ostrzałem od góry wrogie eskadry. Samuels z zadowoleniem zobaczył, jak w bezgłośniej eksplozji znikają dwie wrogie korwety, a niszczyciel – trafiony przez skupiony ostrzał trzech większych jednostek – zaczyna wykonywać takie manewry, jakby prowadził go kompletnie pijany sternik. Zaskoczenie było zupełne. Ale też zaraz wróg się opamiętał, w górę wystrzelił zespół okrętów osłony Republiki, ustawiając się błyskawicznie w szyk i ruszając z pełną możliwą mocą naprzeciw niebezpieczeństwu.

– Robert – powiedział Aidan – główne działo w niszczyciel w środku wrogiej formacji. Strzelaj, kiedy tylko namierzysz cel.

– Tak jest.

Po dwóch sekundach tarcze trafionego z lasera rentgenowskiego okrętu załśniły tęczowo. Aidan doskonale wiedział, co to oznaczało. Niszczyciel właśnie pozbył się osłony siłowej, przynajmniej w części dziobowej, i pozostał mu tylko plastalowo-ceramitowy pancerz.

– Przywal mu od razu kinetycznymi...

Zanim skończył mówić, pokład pod nogami leciutko drgnął, kiedy okręt wyrzucił w przestrzeń trzy pięciokilogramowe walce ze zubożonego uranu. Pociski osiągnęły w pół sekundy dziewięćdziesiąt pięć procent c. Przeciwnik znajdował się już tak blisko, że nie miał czasu na reakcję. Po dwóch sekundach walce dotarły do niszczyciela, rozrywając pancerz i demolując praktycznie wszystkie oddziały dziobowe. Grodzie natychmiast odcięły resztę okrętu od uszkodzonej części, ale jednostka stała się zupełnie niezdatna do walki.

I wtedy stało się coś, czego Aidan się nie spodziewał. Reszta grupy, zamiast rzucić się na przeciwnika, zaczęła się wycofywać. Podobnie jak cały zespół uderzeniowy Republiki.

*

– Uciekają? – Romero był równie zdumiony jak sekundę wcześniej Aidan.

– Tak, panie admirale – potwierdził oficer łączności. – Wycofują się. Zrobili zwrot o dziewięćdziesiąt stopni i pędzą w stronę własnych ugrupowań z maksymalną dopuszczalną prędkością.

Wiceadmirał obserwował uważnie taktyczne holo. Rzeczywiście, wypad okrętów Republiki właśnie się zakończył. Tylko że kapitan Samuels najwyraźniej nie zamierzał odpuszczać.

Wsiadł im na ogon i strzelał ze wszystkich środków ogniowych.

O co w tym mogło chodzić?

– Łącz z „Vincentem”, ale przez centralę kwantową!

– Można tylko w wyjątkowych przypadkach... – zaczął łącznościowiec.

– Łącz, do cholery! Później będę się martwił papierkami! Nie ma czasu!

„Vincent” zgłosił się już po chwili.

– Kapitanie Gutierrez, proszę natychmiast odwołać grupę uderzeniową kapitana Samuela! Obawiam się, że mogą wpaść w pułapkę! Każda sekunda się liczy!

– Nie trzeba, panie admirale – padła spokojna odpowiedź. – Sam już zgłosił zakończenie akcji. To może świr, ale nie głupek.

– Doskonale. – Romero odetchnął z ulgą. Nie mógł sobie pozwolić na stratę trzynastu jednostek. – W takim razie również wracajcie. Nie podejmujcie walki. Musimy przeanalizować to zajście.

– Tak jest. Wracamy w rejon koncentracji.

Wiceadmirała po raz kolejny uderzyła jakoś transmisji kwantowej. Zupełnie jakby Sułtan stał tuż obok. Nic dziwnego, przecież przy tej formie przekazu nie notowano strat energetycznych, jak przy konwencjonalnym czy nawet wciąż jeszcze eksperymentalnym przesyłaniu tachionowym. Tachiony wprawdzie były w stanie przemierzyć cały wszechświat w ułamku sekundy, ale niespecjalnie nadawały się do nawiązywania łączności, dzięki nim można było jak na razie jedynie odczytywać informacje, i to z ogromnym marginesem błędów. Poza tym bywały – jak to określali fizycy – kapryśne. To znaczy nie zawsze zachowywały się w sposób taki, jaki przewidywały teorie i skomplikowane obliczenia. W porównaniu z tym prawa rządzące mechaniką kwantową wydawały się ostoją stabilności, solidności i żelaznej logiki.

– A teraz – powiedział Romero, kiedy połączenie zostało przerwane nadaj do tych w centrali, że dowódca Samodzielnego Zespołu Bojowego w rejonie Regora bierze pełną i wyłączną odpowiedzialność za wykorzystanie kanału alarmowego w komunikacji z jednostką własnego zespołu. I niech mnie pocałują w dupę.

– Wszystko nadać, señor? – spytał kwaśno łącznościowiec. – Ostatnie zdanie także?

– Jak sobie chcesz – burknął Romero.

Sytuacja taktyczna wracała do punktu wyjścia. W trakcie walki siły imperium utraciły fregatę, a Republika zapłaciła dwiema korwetami i niszczycielem, ciężko uszkodzonym przez Aidana. Biorąc pod uwagę liczebność stron, nie miało to wszystko większego znaczenia.

*

Jeżeli wojna miała być sztuką wprowadzania w błąd, to przeciwnik zdołał naprawdę nieźle namieszać w głowie kapitana „Sirene”. Zapewne nie tylko Aidan zastanawiał się, o co chodziło w tej całej poronionej akcji, ale to on był na pierwszej linii i widział dokładnie, jak republikanie po pierwszej porażce zawracają i rzucają się do ucieczki. Jak na nieprzemysłany manewr, uczynili to zbyt szybko i sprawnie, jeżeli zaś zamierzali wciągnąć okręty imperialne w rzeczywistą zasadzkę, odwrót nastąpił zbyt gwałtownie. Odwrót pozorowany powinien przebiegać w większym zamieszaniu i nie mogły go rozpoczynać wszystkie jednostki naraz, bo nie wyglądało to po prostu wiarygodnie. Panika nie ogarnia wszystkich w tym samym momencie, powinna się stopniowo rozszerzać na coraz większą liczbę jednostek. Co więcej, Samuels wyczuwał całym sobą, że to wszystko zostało zaplanowane. To było coś, czego nie widać na ekranach, co w raportach nie może zostać ujęte, ale dla doświadczonego żołnierza jest równie czytelne jak sygnały alarmowe. Niektórzy nazywają to szóstym zmysłem, ale w tym przypadku Aidan skłaniałby się ku bardziej racjonalnym wyjaśnieniom – wprawa i praktyka. Te dwa czynniki nader często okazywały się nie do przecenienia na polu bitwy. To one pozwalały z pozornie niezrozumiałych przesłanek i zachowań wroga wyciągać

natychmiastowe wnioski. Plus, oczywiście, intuicja.

W tym przypadku wszystko to skłoniło Aidana do zaniechania pościgu. Jeśli nawet zasadniczym celem manewru wydzielonego oddziału Republiki nie było wciągnięcie przeciwnika w zasadzkę, to na pewno mieli opracowany wariant na wypadek, gdyby atakujący okazali się na tyle naiwni, by ruszyć w pościg.

„Tak, ale przecież nie to było celem” – myślał Aidan. „Nie chodziło im o zniszczenie nas. To myśmy ich zaskoczyli, a nie na odwrót. Na pewno nie zamierzali poświęcać niszczyciela. Ale też nie zbierali się do rewanzu. Nie, w tej walce nie chodziło o walkę”.

Tylko o co w takim razie? Istniało rozsądne wytłumaczenie, to znaczy odwrócenie uwagi. Ale tego Samuels nie był w stanie zweryfikować, przynajmniej w tej chwili.

– „Numancia” do pana, kapitanie – powiedział Farlan. – Admirał Romero.

– Melduję się, panie admirale – zgłosił się Aidan.

– Znakomity pomysł z tym nagłym wypadem na wroga – odpowiedź napłynęła po niecałych dwóch sekundach. Opóźnienie w komunikacji uległo już znacznemu zredukowaniu. Dolatywali w rejon koncentracji.

– Dziękuję, señor – odparł Samuels, zastanawiając się, dlaczego sam głównodowodzący z nim rozmawia.

– Nie uważa pan, że przeciwnik zachowuje się co najmniej dziwnie? – spytał Romero.

– Trudno było tego nie dostrzec. Zastanawiam się tylko dlaczego.

– I czy doszedł pan do jakichś wniosków?

– Wyglądało to na odwracanie naszej uwagi. Wiadomo, że przy takiej potyczce praktycznie wszyscy są skupieni na walce. Ogłasza się pełną gotowość, bo nie wiadomo, co się może zdarzyć.

– Zgadzam się z panem. – Teraz opóźnienie wynosiło już tylko półtorej sekundy. – Zmieniam panu miejsce dokowania na „Numancję”. Kiedy okręt będzie pobierał zapasy, zapraszam na konferencję. Wzywam jeszcze paru dowódców niszczycieli, więc nie będzie się pan czuł osamotniony. Oczywiście tylko telekonferencję w obecnych warunkach, więc nie ma pan co liczyć na darmowe ciasteczka i szklankę grogu.

Coś się działo. Jeżeli sam wiceadmirał chciał odbyć naradę ze zwykłymi kapitanami, to musiało się dziać coś nadzwyczajnego.

PRAWO MASY

Gabinet wiceadmirała urządzony był isticie po królewsku. Szczególnie w porównaniu z tym, czym dysponował dowódca niszczyciela. Przy czym kapitan średniej jednostki nie dysponował własnym gabinetem. Miał obszerniejszą od reszty załogi kajutę, która pełniła obowiązki prywatnego biura, i to wszystko. Jednak już od czasów najdawniejszych, od epoki chwały marynarki oceanicznej, szypowie wielkich okrętów żyli w nieporównanie lepszych warunkach niż ich koledzy na jednostkach niższych rang. Niejednokrotnie kwatera bosmana na pancerniku przewyższała standardem lokal zajmowany przez kapitana fregaty.

Aidan prawie żałował, że nie jest obecny ciałem w urządzonym z gustownym przepychem pomieszczeniu, nie może chłonać zapachu tej elegancji. Jednak w warunkach stałego alarmu kapitan nie mógł opuszczać okrętu.

– Zaprosiłem państwa do zadokowania przy pancerniku flagowym nie z przyczyn bezpieczeństwa, ale przede wszystkim dla wygody – zagaił wiceadmirał. – Moglibyśmy odbyć odprawę na łączach radiowych, jednak wolę, jeśli tylko jest taka możliwość, nie korzystać z systemów zewnętrznych, sieć komunikacyjna mojego okrętu jest pewna jak lokata w Banku Centralnym Jego Cesarskiej Wysokości. Tak czy inaczej, miło mi państwa widzieć, choćby tylko w formie projekcji holograficznych.

W odprawie oprócz Aidana brali udział Amanda, kapitanowie fregaty „Santorino” i jednego z niszczycieli, które przeprowadzały ostatnią akcję z Samuelsem. Był też Jego Ekscelencja Sebastian Lerma. Rozsiadł się wygodnie w fotelu pod ścianą, niedaleko biurka wiceadmirała. Wyglądał jak zwykle, to znaczy na niezmiernie z siebie zadowolonego.

– Dobrze – oznajmił Romero po chwili przerwy. – Wymogom uprzejmości stało się zadość, możemy przystąpić do rzeczy. Z pewnością zastanawiacie się, co nas wszystkich tutaj przyznało.

– Pewnie, że tak – mruknął Gaspar Moreno. – Na razie mamy same cholerne zagadki.

– Co chce pan przez to powiedzieć? – zainteresował się uprzejmie Lerma.

Kapitan „Santorino” obrzucił inkwizytora przeciągłym spojrzeniem, zanim odpowiedział:

– Najpierw wielka odprawa, następnie równie wielkie zgrupowanie statków i okrętów, lot w stronę Sierny, a potem nagle to. A gdzie reszta floty? Tamto wszystko to była jedna wielka mistyfikacja? Urządziliście masowy rajd w kosmos w ramach jakiejś cholernej ściemy?

– Ależ skąd, kapitanie – zaśmiał się gardłowo don Sebastian. – Reszta okrętów i statków transportowych poleciała właśnie do Sierny. Budujemy tam nowy portal, wyjątkowo potężny, prowadzący w kierunkach do tej pory najslabiej eksplorowanych...

– Czyli włączymy na odcisk Republice – podsumował dowódca niszczyciela „Fitzcarraldo”, którego Aidan wprawdzie nie znał, ale już doceniał za sprawnie przeprowadzony wspólny manewr. Spojrzał szybko na wyświetlacz. Przy ikonce z twarzą kapitana widniała informacja „kapitan Edgar Guardado”.

„Warto zapamiętać to nazwisko” – pomyślał Samuels. „Może przyjdzie nam jeszcze razem pracować”.

Coś mu podpowiadało, że tak właśnie będzie.

– Zamierza pan komentować politykę gabinetu Jego Cesarskiej Wysokości? – spytał Lerma z krzywym uśmiechem.

– Stwierdzam tylko fakt. – Guardado wzruszył ramionami. – A czy powiedziałem nieprawdę?

– Tego nie twierdź. – Lerma spoważniał. – Ale nie czas teraz na jałowe dyskusje, szczególnie na tematy polityczne. Proszę nie przerywać admirałowi.

– Dziękuję. – Romero skinął głową. – Znaleźliśmy się tutaj, drodzy państwo, z powodu pewnego bardzo ważnego zjawiska, czy też zjawiska. Chodzi o coś, co leży w centrum grawitacyjnym Regora, w obszarze pełnego zrównoważenia sił oddziaływania składników tego układu gwiazd.

– Z daleka wygląda to na skupisko antymaterii – wtrącił inkwizytor. – Tak można interpretować dane ze skanerów. Ale o tym już niektórzy zdążyli się przekonać, prawda, kapitanie? – Spojrzał przenikliwie na Aidana.

Samuels poczuł, że się czerwieni. A zatem grzebanie Martineza w zasobach pancernika nie uszło uwagi wywiadu cesarskiego. Klął się teraz w duchu za lekkomyślność. Ale stało się, zaprzeczanie nie miałooby sensu.

– Tak, don Sebastianie – potwierdził. – Nie byliśmy tylko pewni, że chodzi o antymaterię. Odczyty, które uzyskaliśmy, są... jak by to określić... dość dziwne. Ale to pewnie wina zakłóceń.

– To ty coś wiesz?! – nie wytrzymała Amanda. – Nasz kochany narwaniec dysponuje najwyraźniej o wiele lepszym sprzętem niż reszta! To w ogóle legalne?

– Nasz kochany narwaniec – przerwał jej wiceadmirał – nie ma lepszego sprzętu od was. Jest po prostu bardziej bezczelny. Bardziej bezczelny i narwany. Do tego stopnia, żeby zechcieć włamać się do systemów informatycznych okrętu, który powinien chronić.

Aidan pochwyił pełne sympatii spojrzenia dowódców „Santorino” i „Fitzcarraldo”. Z kolei Amanda spojrzała na niego z pewnym podziwem.

– Przekręcił samego Sułtana? – Na jej ustach zagościł domyślny uśmiech. – Niech zgadnę, to Martinez wpuścił mu coś do oprogramowania?

– Musimy to wałkować? – skrzywił się Aidan. – Widać nie jestem taki sprytny, skoro wszyscy już o tym wiedzą.

– Nie musimy – rzekł Lerma. – Wrócimy do tematu po zakończeniu misji. Teraz nie ma na to czasu.

– Mogę? – spytał nieco już poirytowany Romero. Miał świadomość, że w jego gabinecie zgromadziły się hologramy najbardziej niepokornych dowódców spośród tych, jakich oddano mu do dyspozycji, a może nawet w całej flocie. Pewne było tylko jedno: wszyscy ci kapitanowie powinni już dawno uzyskać wyższe stopnie, zgodne ze zdolnościami i stażem służby, ale odcinali sobie kolejne belki i gwiazdki ostrymi jęzorami oraz decyzjami, które nie znajdowały aprobaty zupaków w sztabie generalnym.

– Proszę o spokój – zaapelował Lerma. – Inaczej nigdy nie skończymy.

– Tym bardziej że jeszcze nawet nie zaczęliśmy – burknął wiceadmirał. – Do rzeczy. Otóż niejasny odczyt, o jakim wspomniał kapitan Samuels, to nie jest kwestia zakłóceń. Skany dalekiego zasięgu zarejestrowały to, co zarejestrowały, i tyle. Natomiast obecny tutaj inkwizytor, Jego Ekscelencja don Sebastian Lerma, posiadał pewną wiedzę na ten temat już wcześniej.

„Jak można się było spodziewać” – pomyślał Aidan, ale zostawił to dla siebie. Już miał pewność, że to właśnie Lerma przebywał na niszczycielu Amandy. Zapewne aby zachować najdalej posunięte incognito. Cholera wie, po co. No cóż, paranoja będąca udziałem funkcjonariuszy służb wywiadowczych i kontrwywiadowczych była wręcz przysłowiowa.

– Zadajecie sobie z pewnością jeszcze jedno pytanie – zabrał głos Lerma i kontynuował, zupełnie jakby czytał w myślach Samuela: – Dlaczego ukryłem się na okręcie kapitan Berger, zamiast podróżować wygodnie pancernikiem czy lotniskowcem. Chodziło o utrzymanie tajemnicy. Nikt, powtarzam, nikt nie mógł wiedzieć, że uczestniczę w tej misji. Na wielkiej jednostce można się oczywiście naprawdę ukryć, ale musimy się zawsze liczyć z tym, że zdoła

dostrzec gościa ktoś niepowołany, mający dostęp do środków komunikacji, kto pracuje dla strony przeciwnej. Jedna wiadomość i przeciwnik z miejsca zorientowałby się, dokąd może zmierzać wydzielona część wielkiej floty. Czas początkowo grał na naszą korzyść, ale przedłużanie sprawy jest z kolei pożyteczne dla Republiki. Sami wiecie, że znajdujemy się na pograniczu ich wpływów, w strefie przestrzeni niczyjej. Lecz to oni mogą szybciej zmobilizować większe siły i rzucić je przeciwko nam.

Aidan słuchał tego, myśląc jednocześnie, jak to się dzieje, że tacy lawiranci osiągają najwyższe stanowiska i zaszczyty. Kiedyś usłyszał pogląd, że władza jest dziwką, więc lubi, jeśli traktuje się ją jak dziwkę – to znaczy należy ją brać, jak się chce, w dowolny sposób, najlepiej brutalnie, a ona na wszystko się zgodzi, byle tylko odpowiednio podsypać ją forszą. Tyle że don Sebastian był bardziej strażnikiem władzy niż jej regularnym beneficjentem. Czyli, idąc takim tokiem rozumowania, pełnił rolę alfonsa. Nagła myśl sprawiła, że Aidan drgnął. „Przecież tak naprawdę to dziwki zależą od alfonsów, nie od swoich chwilowych posiadaczy, prawda? A zatem..”

– Pan gdzieś odleciał myślami – dopiero po chwili do Aidana dotarło, że te słowa zostały skierowane do niego. Potrząsnął głową, spojrzał na Lermę. – Niechże pan się skupi, nie mam ochoty powtarzać wszystkiego tylko z tego powodu, że jego wspaniałość pan kapitan nie raczył uważać!

Samuels nie odpowiedział. Nie zamierzał potwierdzać, że inkwizytor ma rację. Ale też i Jego Ekscelencja nie powiedział do tej pory chyba niczego wielce istotnego, skoro nie przykuło to uwagi Aidana. Pieprzył o tym, o czym już wszyscy wiedzieli. Realnie sytuacja była taka, że w istocie rzeczy każda ze stron mogła wezwać posiłki w dowolnym momencie, pozostawała tylko kwestia, czy sztaby główne będą skłonne przysłać wsparcie. Z tym różnie bywało. No i rzeczywiście republikanie mieli bliżej do swoich baz niż poddani cesarza. Ale biorąc pod uwagę podróże za pomocą portali skokowych, trwające zawsze tyle samo, niezależnie od odległości, miało to naprawdę drugorzędne znaczenie, jedyna różnica polegała na wydatkowaniu energii. To były problemy tylko i wyłącznie logistyczne. Jak na razie obie strony najwyraźniej nie zwracały się do swoich sztabów o pomoc. Nie istniała taka potrzeba, zważywszy na równowagę sił i praktyczny brak działań.

– Skąd się bierze ta niemrawość Republiki? – zadał pytanie Moreno. – Zachowują się, jakby nie mieli zamiaru walczyć, tylko nas opóźniać.

– I być może o to chodzi – odpowiedział wiceadmirał. – Nie mam tylko pojęcia, jaki jest cel tych działań. Znow są ugrupowani w defensywę. Robią wszystko, żeby nas zniechęcić do walki. Na co czekają?

Lerma westchnął głośno. Bardzo głośno. Najwyraźniej pragnął zwrócić na siebie uwagę.

– Jeżeli panowie dadzą mi coś powiedzieć, może to i owo się wyjaśni. Problem w tym, że republikanie są tak samo zdezorientowani jak my. – Rozejrzał się po twarzach oficerów, z wyraźną przyjemnością chłonąc ich zdumienie. – Oni też jeszcze nie wiedzą, czego pilnują.

– To nie skupisko antimaterii? – spytał Romero.

– No właśnie o to chodzi, że tego nie wiadomo – stwierdził Lerma. – Kiedy przechwyciliśmy ich gorączkowe meldunki do bazy głównej na Vanadzie, z początku wzięliśmy je za pomyłkę. Jednak okazało się, że to prawda. W centrum grawitacyjnym Regora coś się pojawiło.

– Co? – nie wytrzymała Amanda. – Rozumiem już, że to nie skupisko antimaterii.

– Na pewno nie. Oczywiście, gdyby to była antimateria, stoczylibyśmy o nią walkę. Bo masa tego obiektu wynosi teraz około dwieście osiemdziesiąt milionów ton i wciąż rośnie.

– Rośnie?! – teraz przerwał inkwizytorowi wiceadmirał. – Skupiska antimaterii mają stałą masę! Ewentualnie może się zmniejszać, nie na odwrót.

– I przede wszystkim stąd wiemy na pewno, że to nie jest antimateria. Chyba że mamy do

czynienia z nieznanym dotąd jej rodzajem.

– Tak – powiedział w zamyśleniu Romero. – W warunkach oddziaływań grawitacyjnych takich, z jakimi mamy do czynienia w układzie sześciokrotnym, różne rzeczy mogą się zdarzać.

– Jest coś jeszcze. Skanery dalekiego zasięgu nie są w stanie określić dokładnie struktury tego skupiska. Wygląda z pozoru jak antymateria, ale czy nią jest, czy nie jest? To znaczy jakimś szczególnym jej rodzajem. Tego nie wiemy.

– A republikanie?

– Oni przebywają tutaj zaledwie dwadzieścia godzin dłużej niż my. O istnieniu tego zjawiska dowiedzieliśmy się praktycznie równocześnie, a przygotowanie ekspedycji, jak sami wiecie, zajmuje trochę czasu.

– Nie wysłali tam od razu sond?

– Wysłali. Ale od naszych agentów wiemy, że żadna nie wróciła. Co więcej, żadna nie przysłała nawet śladu pożytecznego materiału. Zdaje się, że gdzieś tam utknęły.

– Czyli są w takiej samej ciemnej dupie jak my – mruknął Guardado.

Aidan poczuł jeszcze większą sympatię do tego oficera.

– Można by to ująć z pewnością bardziej elegancko, ale trafił pan w sedno, kapitanie. – Lerma pokiwał głową. – Jedziemy na tym samym wózku, tylko że oni wiedzieli to wcześniej od was, moi dzielni marynarze, dlatego nie kwapili się do walki i stąd działania opóźniające.

– A co z przekazem tachionowym? – zainteresowała się Amanda. – Wiem, że to zawodna technika, ale...

– Niestety – westchnął Lerma. – Przekaz tachionowy w tym przypadku nie działa. Wygląda to tak, jakby cząsteczki stamtąd nie docierały. To także argument za tym, że mamy do czynienia z czymś o wiele bardziej egzotycznym niż skupisko antymaterii.

Aidan zmrugał oczy, obserwując uważnie twarze uczestników odprawy. Wszyscy wyglądali na zdziwionych, wręcz zszokowanych tymi rewelacjami.

– Można wiedzieć, dlaczego wcześniej nie zostaliśmy powiadomieni o celu tej misji? – spytał.

Lerma spojrzał na niego i uśmiechnął się krzywo.

– Nie domyśla się pan?

– Domyślam. – Samuels pokiwał głową. – To ta wasza kompletna paranoja służb specjalnych.

– Tak? – spytał uprzejmie inkwizytor. – Może pan rozszerzyć swoją wypowiedź?

– Skoro pan chce... Obawiacie się szpiegów. Wszędzie wietrzycie agentów. A zatem obawialiście się, że ktoś powiadomi Republikę, że i z naszej strony szykuje się wyprawa. Stąd to mydlenie oczu, wielka wyprawa do Układu Sierny. Może i była planowana i przygotowywana, ale na pewno miała wyruszyć w innym terminie.

– Skąd taki wniosek? – zainteresował się Lerma.

– Bo ściągnęliście z urlopu nawet takich jak ja, którzy niedawno wrócili z akcji. Czyli stało się coś nieoczekiwanego. Chociaż, szczerze mówiąc, przedtem sądziłem, że to była złośliwość.

– Miło mi zatem, że już pan tak nie uważa, kapitanie. – Twarz Lermy pozostała nieruchoma. – Ma pan rację. Wszędzie wietrzymy obcą agenturę i mamy podstawy, aby być nieufni. A teraz pozwólcie, że będę kontynuował. Ponieważ wiecie już wszystko, co potrzeba, rozumiecie, skąd ta niepewność wroga i dlaczego tak niemrawo przeprowadził akcję. Rzeczywiście chce nas tylko spowolnić. Z pewnością szykują wyprawę okrętów załogowych w pobliże tego tajemniczego zjawiska...

– A to oznacza, że my też – wpadł mu znowu w słowo kapitan „Santorino”.

– Brawo – wycedził przez zęby Lerma, wyraźnie już zły, że co chwila mu przerywają. – Pańska przenikliwość jest wprost porażająca. I już się chyba pan, a także inni domyślają, kto z

naszej strony został wyznaczony do zwiadu.

*

Po wysłuchaniu tego, co przekazał im kapitan, Shader miał tylko jedno do powiedzenia:

– Kurwa mać. No to nas załatwili.

Martinez z kolei ograniczył się do wzruszenia ramionami.

– Nie lubią szypra i nie lubią nas. Co się dziwisz?

– Ja się niczemu nie dziwię, młody – prychnął Robert. – Ale zachwycony nie jestem. Nikt nie jest. Mamy przedrzeć się na tyły wroga i zapieprzać prosto na to niewiadomoco – ostatnie trzy wyrazy połączył w jedno słowo. – Po prostu miód i ptasie mleczko.

– Co to jest ptasie mleczko? – spytał Diego.

– Cholera, ty naprawdę nic nie czytasz? – warknął Shader. – Naprawdę nic? W dzieciństwie matka nie opowiadała ci bajek? Wiesz, ich bohaterowie bywają karmieni właśnie takimi rzeczami.

– Opowiadała – odparł urażonym tonem Martinez. – Ale o ptasim mleczku nic nie mówiła.

– Ptasie mleczko to jest... – zaczął Aidan, ale Shader go uprzedził.

– Sperma strusia – powiedział ze śmiertelną powagą. – Albo zbiór spermy ze stada wróbelków. Odparowana tak, żeby miała konsystencję puddingu.

– To miałyby ktoś jeść? – spytał z odrazą Martinez. – Obrzydlistwo. Nie dziwię się, że mi mama nie opowiadała takich bajek.

– On mnie zwyczajnie dobija – poskarżył się Shader. – Geniusz matematyczny niewątpliwie, ale we wszystkim innym zwykły cymbał i tępy matoł.

– Kiedyś się doczekasz, że dam ci w mordę – rzekł spokojnie Diego. – Nie muszę wiedzieć wszystkiego.

– Fakt, nie musisz – kapitan uprzedził replikę Roberta. – A teraz cisza. Nie jesteście sami.

Spojrzał na Farlana oraz szefów wszystkich sekcji. Nie wyglądali na zachwyconych tym, co im przed chwilą zakomunikował. Farlan wzruszył ramionami.

– Idę na mostek. Teraz moja wachta, muszę zluzować Riccarda. Rozkaz to rozkaz, nie mamy się zastanawiać, czy i dlaczego go wykonać, tylko jak to zrobić.

– Wreszcie głos rozsądku – westchnął Aidan. – Dobrze, Norman, jesteś wolny. A my naradzimy się, jak wypełnić wolę Jego Cesarskiej Mości wyrażoną czerwieniami i słodszyimi od dojrzałych wiśni wargami jego namiestnika i głównego przydupasa.

– Wiesz, że to wszystko się rejestruje? – spytał Callahan. – Wciąż mamy przecież alarm, nagrywanie pracuje pełną parą.

– Mam to gdzieś – parsknął pogardliwie Aidan. – Nie zdziwiłbym się, nawet gdyby Jego Ekscelencja słuchał sobie transmisji na żywo. Komu jak komu, ale mnie różne cesarskie pieszczoszki bardziej już nie mają jak zaszkodzić.

– Zawsze coś się znajdzie – burknął Naalnish. – Ale tobie, kapitanie, i tak to nie przeszkadza. Nie zamknąłbyś gęby, nawet gdyby sam cesarz kazał ci zamilknąć.

– A ty tobyś zamknął – roześmiał się Aidan. – Odezwał się ten, który umie siedzieć cicho.

– Wiara przodków nie pozwala mi milczeć, jeśli powinienem mówić. – Chief uniósł dumnie głowę, prezentując orli profil. – Moi ojcowie nie zwykli chować języka za zębami, a noża do pochw!

Mimo wielowiekowych prób zunifikowania rasy ludzkiej wiele ludów zachowało nie tylko dawne obyczaje, ale także spore zasoby własnych starożytnych genów. Naalnish pochodził z indiańskiego plemienia Navajo. Aidan nie miał pojęcia, czy to prawda, że Albert potrafi określić dokładnie swoje korzenie, ale rzeczywiście wyglądał jak typowy Indianin północnoamerykański ze starych zdjęć czy rycin. Grubo ciosane, wyraziste rysy, wydatny nos i twarde oczy. Z tym że Naalnish był bardzo skory do śmiechu, więc ta twardość nader często

znikała z jego spojrzenia. A tak właściwie rzadko w nim gościła. Po walecznych przodkach odziedziczył coś więcej niż wygląd. Kiedy okręt znajdował się w najgorszych opałach, Naalnish miał w zwyczaju nucić pod nosem jakąś monotonną melodię. Kapitan nie miał okazji tego widzieć i słyszeć, ale podwładni chiefa utrzymywali, że wpadał wtedy w trans, przez co uspokajał nie tylko siebie, ale także innych. W tym bardzo różnił się od szefów oddziałów maszynowych na innych okrętach. Tamci mieli raczej tendencje do wpadania w szal i opieprzania wszystkich dookoła. Inna rzecz, że jeśli któryś mechanik coś schrzanił, Albert nie uciekał się do regulaminowych sankcji dyscyplinarnych, różnych tam konsekwencji finansowych albo dodatkowych służb. Po prostu walił po głbie nieudacznika i wszystko zostawało w rodzinie. Raz się zdarzyło, że potraktowany w ten sposób marynarz przybiegł z raportem do Aidana. Zgodnie z prawem kapitan powinien niezwłocznie wszcząć dochodzenie w celu wyjaśnienia sprawy i ukarania porywczego oficera. Samuels nie zamierzał jednak poddawać się w tym względzie uregulowaniom gryzipiórków. Z prawdziwym współczuciem spojrzął na puchnące policzek i oko sprostponowanego. Wypytał go dokładnie o wszystkie okoliczności zajścia, a potem przyłożył mu z drugiej strony. „Jeszcze nie słyszałem, żeby chiefa przywalił komuś bez powodu” – oznajmił osłupiałemu marynarzowi. „Co więcej, wiem doskonale, że on nie cierpi tego robić. Pójdiesz teraz do niego, synu, i przeprosisz za swoje zachowanie”.

Marynarz w pierwszym porcie polecał ze skargą do kapitanatu, a potem biura gubernatora. Sprawa skończyła się upomnieniem dla chiefa i pozbawieniem premii dla kapitana. Oczywiście marynarz nie wrócił już na okręt. Zresztą nikt w tym porcie nie chciał go już przyjąć na pokład. Ktoś z kapitanatu przestrzegł przed nim dowódców innych jednostek. Podobno w końcu wylądował u tego świra Kendorfa, ale Aidanowi jakoś nie było go szkoda.

– No dobrze, panowie – powiedział bosman Costa. – Damy w końcu powiedzieć kapitanowi, co nas czeka, czy będziemy tak pieprzyć?

– Właśnie – poparł go Martinez. – Szyper ma głos!

– Dzięki – rzekł Aidan. – Jak już mówiłem, czeka nas podróż w stronę tego czegoś. Mówię „w stronę”, bo wcale nie wiem, czy dolecimy. I nie chodzi mi o przedzieranie się przez szyki republikanów czy próby ominięcia ich. Ciężkie okręty w razie czego wyrąbią nam korytarz albo zajmą ich jakąś uroczą potyczką. Problem w tym, że to coś może wcale nie być skupiskiem antymaterii, a jeśli nawet jest, to jej natura wydaje się nieco inna niż tej, którą znamy i którą sami w pocie czoła produkujemy.

– Co to właściwie jest? – spytał Shader.

– Przecież mówię, że nie wiadomo. Podobno republikanie są tak samo zdezorientowani jak my. Ich sondy nic nie przekazują, jakby utknęły gdzieś po drodze, a wyprawy załogowej nie zdążyli jeszcze wysłać.

– I dlatego my polecimy jako mięso armatnie – rzucił Armin van den Broek.

– Nie inaczej – odpowiedział chłodno Aidan. – Jest tylko jedna różnica. Mięso armatnie ma za zadanie rozpoznanie nieznanymi pozycji znanego wroga. A my lecimy rozpoznać nie wiadomo co. I żeby wszystko było jasne. Mięso armatnie ma przynajmniej jakieś szanse, przynajmniej teoretyczne. A my mamy też nie wiadomo co.

– Czyli jak zawsze – podsumował Callahan. – Diego ma rację, nie lubią nas tam na górze. Kiedy ruszamy?

Aidan westchnął, spojrzął po twarzach dowódców sekcji.

– Mamy być w stałym pogotowiu od teraz do rozkazu odlotu. Wszędzie wachty alarmowe.

Rozchodzili się z ponurymi minami. Wszyscy już mieli dość wysyłania „Sirene” na straceńcze misje. Z drugiej strony po każdej niebezpiecznej akcji załoga mogła liczyć na dodatkowe premie. Cała. No, prawie. Był jeden dość oczywisty wyjątek. Kapitan wciąż miał status niewolnika, więc nie przysługiwały mu nagrody.

Sześciokrotny Układ Regora był jednym z wielu podobnych we wszechświecie i jednym z wielu w jednej tylko Galaktyce. Jednak był też na swój sposób wyjątkowy. Składał się z dwóch gwiazd podwójnych i dwóch pojedynczych składników. Gamma Velorum A był ciasnym układem niebieskiego nadolbrzyma o trzydziestokrotnej masie Słońca i efektownej gwiazdy Wolfa-Rayeta, trzy razy mniej masywnej od wielkiego towarzysza. Składniki krążyły wokół siebie w odległości zaledwie jednostki astronomicznej, a warunki grawitacyjne panujące między nimi trudno byłoby sobie plastycznie wyobrazić. Matematyczny opis mógłby z kolei większość ludzi przyprawić o ból głowy. Całość nosiła nazwę „gwiazda stereoskopowo podwójna”. Oznaczało to, że krążących wokół siebie ciał niebieskich nie można było dostrzec z Ziemi jako oddzielnych obiektów, nawet przy użyciu dobrych teleskopów.

Gamma Velorum B, niebieski nadolbrzym, równie jasny jak główny składnik układu, towarzyszył swoim gigantycznym braciom, równoważąc nieco ich gwałtowny ruch.

Poza tymi trzema gigantami do Regora należały jeszcze gamma Velorum C, D i E. Gamma C był samotnym białym wędrowcem, o wiele mniej efektownym od nadolbrzymów, ale wywierał swój wpływ na to, co się działo w całym tym tyglu. Z kolei Velorum D i E również tańczyły w układzie podwójnym, ale stanowiącym tylko mdłe odbicie składnika A. Gdyby główną parę przyrównać do Słońca w samo południe, ta druga musiałaby się kojarzyć z bladymi, samotnymi świetlikami, krążącymi wokół siebie pośród nocy. Obserwator patrzący na to wszystko z bardzo daleka stwierdziłby, że układ jest poczwórny, bo przecież gwiazdy podwójne to tylko części układanki, równoważące się wzajemnie. Jednak oddziaływania osiągały tutaj niebotyczne wprost poziomy komplikacji. Krążące wokół siebie masywne giganty siłą grawitacji wpływały nie tylko na siebie nawzajem, ale także wszystko dookoła. Z kolei samotny nadolbrzym wywierał wpływ na tytaniczną parę. Mniejsze składniki zarówno poddawały się większym towarzyszom, jak i dyktowały im swoje warunki – słabe, bo słabe, ale zawsze jakoś tam znaczące w tej skomplikowanej całości.

Wszystko to jednak mimo grawitacyjnych konfliktów pozostawało ze sobą w harmonii, tworząc stabilny, przynajmniej na razie, układ.

Ludzie, gdy tylko uzyskali odpowiednie środki techniczne, starali się nagrywać muzykę wszechświata. Wykorzystywali do tego dane pochodzące z obserwacji wzajemnego oddziaływania cząstek elektromagnetycznych, jak chociażby wiatru słonecznego uderzającego o magnetosferę planet czy choćby tylko ocierającego się o nią. Oczywiście jako pierwsze nagrywano planety Układu Słonecznego, ale później przyszła kolej także na gwiazdy i mgławice, czarne dziury i wszelkie inne zjawiska kosmiczne. Muzyka planet Układu Słonecznego bywała różna, zarówno spokojna, chwilami wręcz monotonna, jak i niepokojąca. Jowisz, jak przystało na prawdziwego olbrzyma, także w warstwie dźwiękowej wydawał się spokojny i nieporuszony. Neptun usypiał chłodną, ale bardzo spokojną melodią, kojarzącą się z głębokim oddechem pogrążonego we śnie tytana. Saturn pokrzykiwał ostro, zdecydowanie, gniewnie, tak jak powinien brzmieć zdetronizowany władca, a zarazem groźny opiekun rzymskiego imperium. Uran prezentował się obco, niepokojąco, ale jednocześnie jego symfonia była pociągająca.

Ziemia grała dokładnie tak, jak można się było spodziewać po zamieszkałej planecie – dynamicznie, lecz zarazem przyjaźnie, wręcz uspokajająco. Słuchając samych dźwięków, nikt nie powinien mieć wątpliwości, że kwitnie na niej życie.

Z kolei dźwięki pulsaru, na przykład, przypominały ostrą grę na instrumentach perkusyjnych. Każda z gwiazd miała swoją muzykę, własną harmonię, a układy wielokrotne brzmiały niezwykle interesująco. Chociaż musiały się pogodzić z wzajemnymi oddziaływaniami grawitacyjnymi i były skazane na współbrzmienie harmoniczne, to każdy obiekt stanowił

odrębną muzyczną całość.

W pewnym okresie zafascynowani harmonią sfer niebieskich kompozytorzy tworzyli na ich podstawie prawdziwe arcydzieła. Później jednak wszechświat mocno ludziom spowszedniał. Owszem, wciąż był tajemniczy i budził lęk niezmiernymi, nierozpoznanymi przestrzeniami, ale – przynajmniej w ramach dobrze wyeksplorowanej części Galaktyki – stał się domem. Człowiek zamieszkał na różnych światach, pozakładał kolonie, zaczął terraformować planety. Paradoksalnie, przeciętnego zjadacza chleba, czy to poddanego cesarza, czy obywatela Republiki, zjawiska wszechświata interesowały znacznie mniej niż jego przodków zdobywających kosmos w pierwszym okresie rozkwitu podróży międzygwiazdnych. Fascynacja przeminęła, zastąpiła ją szara egzystencja. Zwykłego człowieka pochłaniały własne sprawy, codzienna krzątanina i walka o przetrwanie. Tylko w najważniejszych ośrodkach Cesarstwa i Republiki kwitło życie kulturalne, rozwijała się sztuka. Piraci z kolei mieli swój folklor, mieszaninę wpływów różnych odłamów cywilizacji oraz własnych pomysłów.

Oczywiście zdarzali się nadal kompozytorzy wykorzystujący harmonię gwiazd. Jeden z nich kilkadziesiąt lat wcześniej wziął na warsztat właśnie Regora. Ze zdumieniem stwierdził, że w tym stabilnym sześciokrotnym układzie występują aż tak wielkie harmoniczne napięcia. Lecz gdy wyobraził sobie, jaka dynamika musi się tworzyć między składnikami głównej części systemu, jakie zmagania grawitacji i przepływu materii towarzyszą wielkim gwiazdom, splecionym w ciasnym uścisku, olśniło go. Z pewnej odległości gamma Velorum A zdawał się jednym organizmem! Proporcjonalnie do skali ludzkiej, nadolbrzym i gwiazda Wolfa-Rayeta były równie blisko siebie jak para tańcząca tango w najbardziej jego wyuzdanej formie. Od zupełnego zespolenia tancerzy, od wchłonięcia się nawzajem ciał ludzi chroniła budowa anatomiczna, a w przypadku gigantów były to oddziaływania grawitacyjne. Gdyby osoby tańczące tango składały się ze struktur o rzadszej konsystencji, zespoliłyby się po kilku figurach. Gdyby dynamika grawitacji zmieniła się chociaż o włos, gwiazdy zderzyłyby się ze sobą, powodując niewyobrażalną w ludzkiej skali katastrofę. Najpierw zagładzie uległyby gwiazdy główne, a niedługo potem rozpadłaby się pozostała część układu, być może w równie efektownych okolicznościach. Rzecz jasna, dla wszechświata, a nawet tej części Drogi Mlecznej byłoby to zjawisko zupełnie marginalne i niemające większego wpływu na inne gwiazdy. Dla najbliższych kolonii Republiki zmiana stałaby się bezpośrednio zauważalna po kilkudziesięciu latach, a dla kolonii Cesarstwa po kilkuset. Na samą kolebkę człowieka informacja płynęłaby ponad tysiąc sto trzydzieści lat, bo tyle zajmowała podróż światła na tym dystansie.

Jednak jak dotąd gwiazdy tańczące w Regorze zachowywały się stabilnie. Nie pojawiał się czynnik, który zakłócałby ich wzajemne stosunki.

Do niedawna. Bo zaledwie kilka lat wcześniej w centrum grawitacyjnym układu, w czymś, co można by nazwać punktem równowagi, pojawił się atom. Obcy atom, niezauważalny, niemający przecież najmniejszego wpływu na funkcjonowanie gwiazd. Jednak trzy ziemskie dni później z niebytu wyszedł drugi. A potem cząsteczki zaczęły się mnożyć w postępie arytmetycznym...

Masa zjawiska zaczęła rosnąć, wciąż jeszcze była zbyt mała, aby destabilizować składniki Regora, ale konsekwentnie ku temu zmierzała. Oddziaływania grawitacyjne są jednocześnie mocne – o ile nie najmocniejsze w znanym wszechświecie – jak i niesłychanie delikatne.

*

Na całym okręcie rozległ się kłujący w uszy sygnał, czerwone i białe światła migotały na przemian, sygnalizując alarm bojowy pierwszego stopnia.

– Na miejsca! – zawołał Aidan. – Raporty z sekcji.

Meldunki napływały kolejno, błyskawicznie. Tak naprawdę „Sirene” nie potrzebowała przeglądu, ale procedury musiały zostać zachowane. Nie zgłosił się tylko lazaret, gdyż zgodnie z tym, co Aidan sobie obiecał, na czas akcji poszkodowani zostali przekazani do szpitala na okręcie flagowym.

Plan opracowany podczas spotkania na „Numancii” był bardzo prosty. Samuels skonstatował to z zadowoleniem i mimowolnym podziwem. Wiedział, że wiceadmirał Romero jest dobrym dowódcą, jednak nie miał do tej pory wielu okazji się o tym przekonać. Znajdował się już pod rozkazami tego oficera, ale tym razem w plany nie wtrącał się żaden ze sztabowych osłów i kapitan musiał przyznać, że dowódca zna się na swojej robocie.

Na początek zarzucono pierwotny pomysł rozwiązania siłowego.

Żadnych manewrów pozorowanych, żadnego pitolenia się z układaniem w ściśle wyznaczoną formację i przebijania przez ugrupowania wroga. Grupa Aidana w ogóle nie miała wchodzić do walki, a wszelkie decyzje o dalszych, bezpośrednich działaniach podczas misji wiceadmirał przekazał w całości prowadzącemu zwiad. Oczywiście przydzielił mu wszystkie te jednostki, z których kapitanami odbyła się odprawa, a z którymi Samuels był już w akcji i miał okazję poznać sposoby działania ich dowódców. „Sirene”, „Greese”, „Fitzcarraldo” i „Santorino”. To również było nietypowe – trzy niszczyciele i fregata. Zasadniczo w takiej czwórce powinien iść jeden niszczyciel w towarzystwie mniejszych jednostek. Tutaj wyglądało, jakby to właśnie trzy większe okręty miały stanowić eskortę. Aidan kazał ustawić szyk tak, aby „Santorino” znajdował się w centrum, przed nim nieco poniżej i z prawej „Fitzcarraldo”, powyżej z lewej „Greese”, a z tyłu, równo nad linią lotu, „Sirene”. To absolutnie nie była formacja zgodna z wytycznymi i regulaminami walki Floty Kosmicznej Jego Cesarskiej Wysokości. Aidanowi zdarzało się już jednak latać w bardziej egzotycznych ugrupowaniach.

– Kapitanie! – bazkom sprawił, że głos wiceadmirała rozległ się prosto w głowie Aidana. – Rozpoczynamy za trzydzieści pięć sekund.

– Tak jest. – Aidan rzucił okiem na ekran po lewej, na którym wszystkie podległe mu okręty zgłosiły gotowość. – Zaczynamy na rozkaz.

A potem poprawił odruchowo zniechęcony bazkom, który wpijał mu się w ucho. Uznał, że przy takiej misji nie może niczego zaniedbać. Lepiej ważne meldunki odczytywać w tym samym ułamku sekundy, w którym się pojawiają, niż szukać ich po ekranach. Włączył w urządzeniu wszystkie opcje, przez co czuł się nieco jak cyborg. Świadomość, że wąskie igły wbiły się już nie tylko w kości czaszki, ale połączyły z nerwowymi arteriami, a część z nich dzięki temu sięgnęła wprost do mózgu, przyprawiała go o lekkie mdłości. Odetchnął głęboko.

– Dwadzieścia sekund – oznajmił komputer, a potem zaczął odliczanie.

– Sprawdzić pasy! – przypomniał odruchowo Aidan.

„Chyba jednak wolę być w akcji, niż uczestniczyć w cholernych posiadówkach” – pomyślał. „Gadanie to żywioł biurokratów i starych sztabowych pierdzieli”.

– Start! – padł rozkaz z „Numancii”, kiedy głos komputera wypowiedział „zero”.

Polecieli z połową ciągu. Powyżej ich obecnej pozycji krążownik „Inferno” z eskortą gnał z całą możliwą mocą w stronę defensywnych szyków wroga. Zaraz za nim ruszyły „Vincent” i „Maria Teresa”. Przeciwnik powinien być przekonany, że szykuje się poważny atak. Skupi uwagę i siły w punkcie uderzenia. Z lotniskowca wysypał się rój myśliwców, a wszystkie pozostałe okręty zajęły pozycje, jakby szykowały się do wsparcia ataku. Tymczasem niszczyciele i fregata miały się przemknąć dołem, korzystając z napędu nadświatelnego, który powinny włączyć, kiedy tylko oddalą się na dostateczną odległość. Oczywiście nie pozostaną niezauważone, ale ponieważ ich kurs będzie niebawem prowadził w przeciwnym do ataku kierunku, zupełnie jakby umykały, istniała duża szansa, że republikanie zlekceważą ten manewr w obliczu zagrożenia.

Ukryte w bąblach napędu nadświatelnego, okręty miały ominąć szerokim łukiem maszyny wroga i polecieć wprost do celu. Od chwili, gdy jednostki zawiną wokół siebie przestrzeń, śledzenie toru ich lotu będzie praktycznie niemożliwe.

Kiedy połowa grupy zadaniowej uderzyła na szyki obronne Republiki, wiążąc je walką, Aidan zarządził odwrót.

– Cała naprzód, za trzy minuty wejście w nadświatelną – rozkazał. – Manewry zgodnie z harmonogramem, wykonywanie zwrotów z dokładnością do dwóch pikosekund.

Większej dokładności komputery kwantowe nie były w stanie zapewnić. Ale biorąc pod uwagę odległość, jaką mieli do pokonania, nie powinno to stanowić problemu. Normalnie formacje okrętów zmierzające do jakiegoś celu, który nie leżał na końcu jednej prostej, poruszały się od punktu do punktu, wychodząc w każdym z tak zwanej umownie nadprzestrzeni i dopiero obierając kurs na następny. To zapobiegało błędom, prowadzącym do kolizji podczas wynurzania się z bąbli. Oczywiście dotyczyło to głównie wielkich jednostek, mających dość paliwa, aby pokonywać stosunkowo dalekie trasy bez pośrednictwa portali. Niszczyciel czy fregata mogły przelecieć najwyżej setną część takiej drogi, ale na szczęście do wykonania misji zwiadowczej, którą zlecono grupie Aidana, możliwości średnich okrętów były wystarczające.

Manewr wyglądał, jakby niszczyciele eskortowały z gorączki bitewnej fregatę przewożącą cenny ładunek lub ważną osobę. To mogło się udać.

Po trzech minutach lecieli już z prędkością dziewięćdziesięciu pięciu procent c. Kosmos dookoła zrobił się dziwny. Gwiazdy wprawdzie nadal znajdowały się na swoich miejscach, ale wyglądały, jakby zmieniały sukcesywnie widmo. Za formacją Regor świecił nie na niebiesko już, lecz pomarańczowo. W ogóle Samuels odnosił wrażenie, że wszechświat stał się martwy. Wszystko to były skutki efektu relatywistycznego, równoważonego przez właściwości napędu grawitacyjnego. Przestrzeń już ulegała zakrzywieniu wokół pędzących jednostek, a za chwilę miała je otoczyć kokonem, sprawiając, że znikną z ekranów tradycyjnych urządzeń namierzających. Oczywiście było możliwe śledzenie obiektów poruszających się w bąblu zniekształconej czasoprzestrzeni, ale tylko na skanerach tachionowych. A ich wskazania nigdy nie były pewne, a poza tym ta technologia wciąż jeszcze znajdowała się w powijakach. Zresztą samo istnienie tachionów do niedawna uważano za mocno wątpliwe. Nazywano tak wszystkie tedziwne cząstki niepoddające się prawom teorii względności i poruszające z prędkością większą od światła, ale czym były w istocie, fizycy jeszcze się spierali. To, że wszystkie miały masę zerową, nie oznaczało, iż były identyczne. Według jednej z teorii istniały co najmniej cztery ich rodzaje, różniące się strukturą i własnościami fizycznymi. Jedno fizycy wiedzieli na pewno. Wszechświat poniekąd „nie lubił” tych cząstek. Czasoprzestrzeń zachowywała się tak, jakby chciała się ich pozbyć za wszelką cenę, wycisnąć niejako poza własną dziedzinę, nie bacząc na prawa fizyki. Stąd też brały się zawrotne prędkości, z jakimi przemierzały wszechświat.

– Przejście w nadświatelną za piętnaście sekund – zakomunikował komputer.

*

Wiceadmirał wpatrywał się z napięciem w ekrany. Miał nadzieję, że pozorowany atak nie zamieni się w niekontrolowaną ofensywę. Odwracanie uwagi przeciwnika tą metodą było dość ryzykowne. Wolał jednak podjąć to wyzwanie, niż wysłać zwiad w taki sposób, żeby wróg natychmiast zorientował się w prawdziwych zamiarach głównodowodzącego. Każda sekunda dezorientacji i opóźnienia reakcji przeciwnika była na wagę złota. Nawet jeśli republikanie zorientują się w podstępie, nie zdołają od razu zareagować, a potem będzie już za późno, żeby coś konkretnego zdołali zrobić.

Romero żywił przynajmniej taką nadzieję.

Na szczęście miał doświadczonych dowódców i załogi, nie powinna ich ponieść kawaleryjska fantazja. Może poza pilotami myśliwców, ale to akurat było nieuchronne. Na tych łupinkach, solidnie uzbrojonych, ale stosunkowo nędznie opancerzonych, latali najwięksi szaleńcy. Najczęściej młodzi piloci, dla których przede wszystkim liczyła się walka, następnie walka i wreszcie tylko i wyłącznie walka... Jednak same chęci i wrodzone szaleństwo nie wystarczały – trzeba było mieć jeszcze wielki talent do latania.

Romero zaraz po akademii został młodszym oficerem uzbrojenia na starej korwecie. Jakże wówczas zazdrościł pilotom myśliwców! Latanie taką samodzielną maszyną wydawało się czymś cudownym. Poza tym w porównaniu z dyscypliną obowiązującą na okręcie myśliwcy mieli złote życie. Liczyły się tylko umiejętności. Kiedyś jeden ze zwykłych pilotów w obecności Rodriga posłał do ciężkiego diabła wyższego oficera, a tamten tylko zacisnął zęby i odczepił się od rozgniewanego chłopaka.

Lecz gdy w pierwszej większej bitwie zobaczył, ilu z tych dzielnych ludzi ginie, przestał im zazdrościć. Eskadry wracały z połową stanów wyjściowych. Wprawdzie wielu rozbitków zespoły ratunkowe sprowadzały z powrotem na pokłady lotniskowców, jednak ryzyko śmierci było olbrzymie. Stąd też ogromna rotacja kadry w formacjach myśliwskich. Ludzie nie wytrzymywali psychicznie napięcia i stresu pola walki, musieli być luzowani, urlopowani, poddawani terapiom. Po każdej trudnej walce co najmniej dziesięć procent nie nadawało się do powrotu na linię. Kończyli w formacjach tyłowych, pomocniczych albo w ogóle otrzymywali odprawy i dymisje. Wielu znajdowało sobie miejsce jako członkowie załóg na większych jednostkach wojennych. Jak mawiał kontradmirał de Soto, dowódca sił myśliwskich, najlepszy pilot kończył się najdalej po trzech miesiącach intensywnej służby bojowej. Albo ginął, albo stawał się psychicznie niestabilny i niezdolny do walki.

Jednak kiedy eskadry myśliwskie przystępowały do akcji, było na co popatrzeć. Szczególnie jeśli druga strona wysłała swoje maszyny i zaczynały się grupowe oraz indywidualne pojedynki. Teraz wiceadmirał miał możliwość obserwowania właśnie takich zmagañ. Chmary myśliwców Cesarstwa i Republiki zaroily się jak wściekle szerszenie.

Admirał, nie mając w tej chwili nic innego do zrobienia, przełączył się do kokpitu dowódcy trzeciej eskadry. Poczł wprawdzie drobne ukłucie wyrzutów sumienia, bo powinien przecież bez przerwy czuwać nad całą bitwą, ale i Sułtan, i kapitan „Inferno”, i dowódca „Marii Teresy” poradzą sobie doskonale. Mieli osiągnąć jeden tylko cel taktyczny – odwrócenie uwagi. A gdyby nawet się coś działo, natychmiast będzie o tym wiedział. To przecież tylko bezpośrednie łącze...

Rzecz jasna, transmisja z pokładu myśliwca miała opóźnienie. W tej chwili wynosiło osiem sekund. Wiceadmirał nie zdecydowałby się wykorzystać bezpośredniego łącza bez palącej potrzeby. A poza tym dane z eksperymentalnych przekaźników tachionowych, nawet doskonale przetworzone, były o wiele gorszej jakości niż tradycyjne łącza. I przy takiej transmisji mógłby co najwyżej oglądać myśliwiec z perspektywy trzeciej osoby, a nie od wewnątrz.

Założył gogle interaktywne i znalazł się na miejscu pilota. Podporucznik nie wiedział nawet, że głównodowodzący korzysta z obrazu przekazywanego przez kamery i sensory maszyny.

A wiceadmirała aż wgniotło w fotel. Wprawdzie nie mógł odczuwać przeciążenia, ale szalona prędkość, o której świadczył obraz rosnącego gwałtownie w oczach myśliwca wroga, wystarczyła aż nadto. Ucisk w piersiach sprawił, że wciągnął gwałtownie powietrze, zanim do niego dotarło, że to złudzenie. Opanował się. Był przecież tylko obserwatorem.

– Skull, masz bandytę na piątej, z dołu – rozległo się ostrzeżenie.

Pilot szarpnął gwałtownie drażkiem w bok, wdusił prawy pedał. Myśliwiec położył się w ciasnym skręcie. Mały generator grawitacyjny, wspomagający podczas manewrów silniki, sprawił, że maszyna weszła w ślizg i obróciła się o czterdzieści stopni. Tuż obok przemknął promień lasera. Oczywiście w warunkach próżni był niewidoczny, ale na ekranie taktycznym

został oznaczony przez sensory, aby uzmysłowić pilotowi, gdzie znajduje się niebezpieczeństwo. Ułatwiało to orientację w otaczającej maszynę gęstwie utarczek.

– Skurwysyn – powiedział Romero.

Nie, zaraz... On tego nie powiedział, tylko usłyszał. To były słowa podporucznika Skulla, ale znakomicie współgrały z tym, co w tej chwili odczuwał wiceadmirał. Skręcił jeszcze mocniej, robiąc jednocześnie uślizg w prawo. Bandyta, poruszający się z pełną dostępną prędkością, zaskoczony przemknął obok, a Skull nacisnął kciukiem spust, znajdujący się na kulistym zwieńczeniu drążka.

Próbowano wprowadzać do użytku nowoczesne systemy sterowania myśliwcem, wykluczające archaiczne przyrządy, jak właśnie drążek i stawiające opór pedały. Przecież do kierowania maszyną wystarczyłyby zwykły, albo nawet wirtualny panel. Jednak za każdym razem, kiedy usiłowano unowocześnić sposób pilotowania, dość szybko okazywało się, że w walce kołowej, a nawet manewrowej, piloci o wiele lepiej radzą sobie, jeśli korzystają z takich najzupełniej konkretnych przyrządów. Dlatego nieodmiennie wciąż montowano drążki, wolanty i pedały. Oczywiście ich praca była przekładana na strumienie danych, ale człowiek czuł się pewniej. Drążek w dłoniach dawał poczucie lepszej kontroli nad maszyną. I chociaż wszelkie podzespoły działały zawsze w ten sam sposób, niezależnie od tego, jaką drogą napływało polecenie – za pośrednictwem panelu czy przyrządów to piloci wykazywali ewidentnie większą wydajność, korzystając z konkretnych, namacalnych urządzeń.

Były też sytuacje, kiedy myśliwce, podobnie jak większe jednostki, prowadziły komputery pokładowe. Ale dotyczyło to tylko precyzyjnych manewrów, jak atak z maksymalną prędkością, kiedy ludzkie reakcje okazywały się zbyt wolne. Trudno, aby człowiek wydał precyzyjnie rozkaz otwarcia ognia w ciągu tysięcznych czy milionowych części sekundy, a przy prędkościach podświetlonych skala była właśnie taka, nieuchwytna dla ludzkiej percepcji. Pilot zamieniał się wówczas z gospodarza maszyny w biernego obserwatora.

Lecz teraz trwała zażarta walka kołowa, pilot był mózgiem myśliwca, komputer tylko wspomagał go w pracy.

Maszyna, która przemknęła obok, zamieniła się przed ułamkiem sekundy w kulę ognia. Uranowe pociski uzyskiwały sumaryczną prędkość dziewięćdziesięciu dziewięciu procent c, więc każde bezpośrednie trafienie było dla przeciwnika śmiertelne. Osłony siłowe myśliwców nie potrafiły zatrzymać więcej niż trzech morderczych walców w serii. A Skull posłał cerberowi dwadzieścia pocisków, z których pięć dotarło do celu. Zatem co najmniej dwa przedarły się i zmasakrowały tamtego.

Wiceadmirał poczuł dreszcz płynący wzdłuż kręgosłupa na myśl, że jego myśliwiec może spotkać w każdej chwili podobny los. „Nie – znów się musiał skarcić w myślach – nie mój!” Niemniej uczucie było skrajnie niekomfortowe.

– Rubin! – Skull wywołał skrzydłowego. – Siedem i Osiem w opałach. Siadamy na ogony bandytom!

Dwójka bumerangów wykonała zwrot po grawitacyjnej ścieżce i popędziła w stronę zagrożonych kolegów. W walce myśliwskiej sytuacja z reguły zmieniała się błyskawicznie, inaczej niż w przypadku manewrów wielkich jednostek.

Romero wiedział, że kapitan Samuels zaczynał karierę jako myśliwiec. I jako jeden z nielicznych przetrwał nie tylko trzy miesiące, lecz całe dwa lata, idąc w tym czasie tylko na zaplanowane urlopy i nie poddając się żadnym terapiom. Ale taki pilot trafiał się raz na dziesięć tysięcy, jeśli nie rzadziej. W dodatku, o ile wiceadmirał miał możliwość poznać i ocenić Aidana, z pewnością również w tamtych czasach przełożeni posyłali go na najbardziej ryzykowne misje, chociażby po to, żeby pozbyć się pyskatego oficerka.

Para myśliwców zmasowanym ogniem z działek strąciła jednego cerbera, drugi umknął, a strzał z lasera ześliznął się po jego ceramitowej powłoce. Jeśli nawet coś uległo uszkodzeniu,

nie dało się tego stwierdzić – wrogi myśliwiec umknął ciasnym łukiem, w dodatku próbując od razu zejść od tyłu atakujących. Jednak Skull był zbyt doświadczonym pilotem, żeby dać się na to złapać. Zanim cerber zajął pozycję, w jego stronę pomknęła niewielka torpeda. Nie trafiła, co więcej, nie miała szans trafić w szalonym kołowrocie wydarzeń, ale zmusiła wroga do zaniechania ataku. Gdyby pozostał na obranym kursie, nie dałby rady uniknąć morderczej główicy. I tylko o to chodziło. Nawet w tak szalonej, błyskawicznej walce przede wszystkim liczyła się zdrowa, chłodna kalkulacja.

Napływające zewsząd dane nie oszałamiały wiceadmirała, na co dzień miał do przetworzenia znacznie więcej informacji, ale tempo było tutaj iście zabójcze. Nie tylko tempo zresztą, ale i natłok. Człowiek potrzebował sporego obycia, żeby oddzielić ziarno od plew. Ale tego właśnie uczono myśliwców przez cały okres szkolenia i w czasie wszystkich treningów. Informacja, że członek eskadry właśnie eksplodował albo jego maszyna została uszkodzona i oddała się w głęboką przestrzeń, musiała ustąpić przed meldunkiem o kolejnych cerberach włączających się do walki. Ważni byli żywi i sprawni, a nie trupy bądź poszkodowani. Pierwszych będzie czas wspominać i opłakiwać po bitwie, drugich wyłowią lub nie jednostki ratownicze. To już nie zależało od pilotów. Oni mieli się bić, osłaniać większych towarzyszy i stwarzać zagrożenie dla jednostek wroga.

– Skull, mamy odsłonięty krążownik – napłynął meldunek. – Uszkodzona dolna tarcza.

– To napierdalaj, Ringo! – krzyknął dowódca. – Po cholere mi to mówisz?

– Bo nie mam już dużych piguł. Z działek mu nic nie zrobię. Igłą też.

Rzeczywiście, pancierz krążownika bez trudu powstrzymałby uranowe pociski, nawet lecące z prędkością bliską światła. Laser pokładowy, zwany przez myśliwców nieco pogardliwie igłą, również nie mógł wyrządzić szkód.

– Lecimy do ciebie – zdecydował Skull. – Rubin, przejdź na prawą!

Skrzydłowy natychmiast zmienił pozycję i pomknęli w kierunku wzywającego wsparcia myśliwca. Rzeczywiście, dolne tarcze krążownika wyglądały na uszkodzone, ale już kłębiły się tam cerbery, osłaniając cenny okręt.

– Ringo, rozwal tego na siódmej – rozkazał Skull.

Sam wystrzelił serię, zmuszając dwóch przeciwników do uniku, i wysłał w cel cztery torpedy. To samo zrobił jego skrzydłowy. Osiem pocisków pomknęło ku podbrzuszu kolosa, jednak połowę praktycznie natychmiast zestrzeliły daggery, gorzej od cerberów przystosowane do walki kołowej w przestrzeni, ale doskonałe do obrony. Kolejną torpedę zdjęła artyleria krążownika, a dwie padły łupem lasera któregoś z niszczycieli eskorty. A może nawet dwóch niszczycieli. Ostatnia dotarła do celu, ale jeden punktowy wybuch nie był w stanie zaszkodzić potężnemu krążownikowi.

– Kurwa! – wrzasnął Skull. – Nieźli są, co?

Z pewnością podporucznik z chęcią zaatakowałby jeszcze raz, ale w tej chwili musiał skupić się na obronie przed szarżą kilkunastu jednostek.

– Spieprzamy, szefie! – zaproponował Rubin.

Zaraz. Wiceadmirał potrząsnął głową. Nie zaproponował. Zaproponowała. Rubin to była kobieta.

– Spieprzamy – zgodził się dowódca eskadry. – Ringo, zasuwasz na moją lewą! Formacja trójkąt.

Wiceadmirał zerknął na wyświetlacz taktyczny dowódcy eskadry. Ringo dwie minuty wcześniej stracił skrzydłowego. Sytuacja zmieniała się jak w kalejdoskopie. Kolejny ciasny zwrot z uślizgiem grawitacyjnym, obrót o sto dwadzieścia stopni, od którego mogło pociemnieć w oczach, biorąc pod uwagę przeciążenie, a potem prosty lot przez trzy sekundy i znowu zwrot.

Romero z mimowolnym podziwem śledził jednoczesne manewry trzech myśliwców.

Oczywiście musieli mieć to dokładnie przećwiczone, ale i tak synchronizacja była niesamowita. Z żalem pomyślał, że w każdym starciu ginie zbyt wielu doskonałych pilotów. Ale cóż, taka jest wojna, żywi się ofiarami.

– Uważaj, na dziewiątej! – usłyszał Romero. – Bandy...

Obraz przed oczami pociemniał, a potem zrobiło się czarno.

Wiceadmirał zerwał gogle z głowy. Odruchowo spojrzął na zegar. Wszystko trwało zaledwie minutę, a on miał wrażenie, że upłynęło dobre pół godziny. No tak, przecież nikt by mu nie pozwolił na tak długą obserwację poczynają myśliwca.

– Co się stało z dowódcą trzeciej eskadry myśliwskiej z „Marii Teresy”? spytał Romero łącznościowca.

– Podporucznik Eurico Barrios, kryptonim „Skull”, został trafiony. Myśliwiec ciężko uszkodzony, przemieszcza się w stronę sektora dwa-dwa-osiem.

A zatem odlatywał w przestrzeń, oddalając się z każdą sekundą.

– Wysłać za nim holownik ratunkowy – rozkazał wiceadmirał.

– Tak jest. Od razu po walce... – zaczął łącznościowiec.

– Natychmiast! – warknął Romero. – I tak zaraz kończymy to przedstawienie.

„Szkoda by było stracić takiego dowódcę eskadry” – pomyślał. „A tym bardziej szkoda podczas takich działań pozorowanych”.

Inna rzecz, że poza wąskim gronem dowódców wybranych jednostek nikt nie wiedział, że to tylko odwracanie uwagi. To musiało wyglądać śmiertelnie poważnie.

*

– Jesteśmy w bąblu – zakomunikował Martinez. – Zmiany kursu według harmonogramu. Mam tylko nadzieję, że wszystko przebiegnie zgodnie z rozkładem. Wychylenie którejs z kryp o więcej niż te dwie pikosekundy, a znajdzie się za daleko... Albo, co gorsza, za blisko.

– Mógłbyś się, z łaski swojej, zamknąć i nie krakać? – syknął Farlan.

– Właśnie – poparł go Aidan.

Podoficer siedzący nad pustym w tej chwili ekranem skanera klasycznej przestrzeni wyprostował się, poprawił pas uprząży. Dopiero teraz Samuels dostrzegł, że to sam Mario Costa.

– A ty co tu robisz, bosmanie? – spytał. – Coś się stało, że wypęzłeś z gawry?

Costa rzadko gościł na mostku, kiedy podczas podróży nadświatlnych zachodziła potrzeba uzupełnienia obsady, zazwyczaj delegował któregoś z podwładnych. Nie lubił się rozstawać ze swoimi zabaweczkami, jak je nazywał. Podobnie zresztą postępował Armin van den Broek. Aidan przypuszczał, że miało to coś wspólnego nie tyle z obowiązkowością, co niechęcią podoficerów do mieszania się z wyższą kadram. Mieli jakiś uraz. Obaj przecież byli jeszcze dwa lata temu podporucznikami. I zostali zdegradowani z takiego samego paragrafu, za wykroczenie, które zresztą popełnili razem.

– Bo to nie są normalne okoliczności – odparł Mario. – Armin też się przykulał, panie kapitanie.

Aidan pokiwał głową. No tak, przedtem sprawdził tylko, czy dodatkowe stanowiska na mostku są zajęte, a nie przypatrywał się ludziom. Może mu się meldowali, na pewno nawet, ale wówczas był skupiony na swojej pracy. A tak naprawdę było wszystko jedno, kto pełnił wachtę. No, może z trzema wyjątkami. Kiedy robiło się gorąco, Samuels lubił mieć do bezpośredniej dyspozycji Martineza, Farlana i oczywiście Shadera. Co więcej, reszta załogi też wołała, żeby to właśnie ci ludzie znajdowali się wtedy na posterunkach. Nie oznaczało to, rzecz jasna, że zmiennicy do niczego się nie nadawali. Ale ci bez wątplenia byli najlepsi w swoim fachu. Podobnie jak Costa i van den Broek.

Aidan mimo wszystko trochę im zazdrościł. Może i zostali zdegradowani, ale nie mieli

statusu niewolników. W każdej chwili mogli zrezygnować ze służby, nawet zrywając kontrakt.

– Dobra. Skupcie się na swoich obowiązkach – powiedział. – Za trzydzieści sekund pierwszy zwrot.

Manewry wykonywane przy prędkości nadświatłowej nie wiązały się z przeciążeniami. Były dla załogi niedostrzegalne. Czasoprzestrzeń owinięta wokół okrętu sprawiała, że wewnątrz panował przez cały czas stan nieważkości.

– Pierwszy manewr – zakomunikował Martinez. – Na razie nikt się na nas nie wpieprzył.

– Nie możesz sobie darować? – syknął Farlan.

W tej chwili wszyscy poza nawigatorem byli bezrobotni. Zdawali sobie sprawę, że weszli w nadświatłą w ciasnej formacji i w takiej też powinni się wynurzyć w punkcie docelowym. Przez chwilę pojawiła się koncepcja, aby okręty rozproszyły się po zagięciu czasoprzestrzeni, lecz to by mogło skutkować nieprecyzyjnym wynikiem końcowym. I bez tego manewrowanie bez wychodzenia w normalną przestrzeń było dość trudne. Poza tym nie wiadomo przecież, co znajdą w miejscu wynurzenia. Nie mogli wykluczyć obecności obcych jednostek lub innych niespodzianek. Może republikanie nie mieli zbyt wiele czasu, zanim przybyła ekspedycja Cesarstwa, ale mogli rozstawić w określonych lub nawet losowo wybranych miejscach jakieś pułapki.

– Za czterdzieści sekund drugi zwrot – zakomunikował Martinez. W jego głosie dawało się wyczuć zdenerwowanie. Nie miał już najwyraźniej ochoty dowcipkować, bo nie opatrzył informacji komentarzem.

Rozwijali w tej chwili prędkość pięćdziesięciu c. Oczywiście z punktu widzenia załogi wydawało się, że stoją w miejscu, owinięta wokół okrętu czasoprzestrzeń kurczyła się przed dziobem i rozszerzała za rufą, z czego wszyscy zdawali sobie sprawę, ale chyba nikt nie potrafił tego ogarnąć wyobraźnią. Okręt jako materia nie mógł przekraczać ograniczeń fizycznych, nie mógł podróżować prędzej niż światło. Ale zdeformowana czasoprzestrzeń już mogła... I mogła ze sobą nieść dowolny obiekt. To też dla większości marynarzy niewiele znaczyło. Najważniejsze, że cały ten cyrk – jak mówiła o tym bosman Collins – jakoś działał.

Tyle że jednostka wielkości niszczyciela była w stanie odbywać stosunkowo krótkie podróże, najwyżej pół parseka przy maksymalnym ładunku antymaterii. Niezmiernie rzadko mniejsze jednostki otrzymywały sto procent cennej substancji. Generatory grawitacyjne, napędzane antymaterią, wymagały sporo miejsca, podobnie jak komory, w których trzymano kilka jej gramów. Wielkie jednostki nie posiadały aż takich ograniczeń. Pancernik mógł przebyć o wiele większe odległości, z ludzkiego punktu widzenia może imponujące, ale w skali wszechświata to było wciąż raczkowanie – najwyżej dziesięć parseków. Poza tym bąbel czasoprzestrzenny nie do końca zgodny z równaniami Alcubierre'a nie był strukturą doskonałą, nie pozwalał na podróżowanie szybsze niż sto c. Po prostu antymateria jako paliwo i generatory nią napędzane sprawdzały się tylko częściowo.

Od końca wieku dwudziestego istniały równania – teoretyczne rozwiązania pozwalające na takie zdeformowanie czasoprzestrzeni, aby przekroczyć wszelkie ograniczenia. Jednak do ich zastosowania potrzebna była materia egzotyczna, mająca ujemną masę. Antymateria nie spełniała tego warunku, bo choć nazwa mogłaby wskazywać na coś innego, posiadała masę dodatnią. Jednak dostarczała na tyle energii, żeby nagiąć zasady. Zresztą wszystko, co mogło posłużyć do zawijania czasoprzestrzeni, było przydatne. Kiedy okiełznano antymaterię, opracowano generatory zakrzywiające. Niestety, ich wydajność, jako się rzekło, pozostawiała wiele do życzenia. Przy czym urządzenie zaginające przestrzeń wokół niszczyciela było zaledwie cztery razy mniejsze od tego, które służyło do zniekształcenia matrycy rzeczywistości w większej skali. A zatem, żeby zawinąć czasoprzestrzeń wokół pancernika sto razy większego od niszczyciela, wystarczył generator zaledwie cztery razy większy od zamontowanego na mniejszej jednostce. I z tego właśnie względu myśliwce nie mogły być

wyposażone w napęd nadświatły. Generator musiałby mieć masę co najmniej samej maszyny. Montowano na nich tylko miniaturowe urządzenia wspomagające, przydatne w walce kołowej.

A materii egzotycznej jakoś nie udawało się ani znaleźć w kosmosie, ani wytworzyć laboratoryjnie. I nic dziwnego. Człowiekowi w ogóle trudno sobie wyobrazić takie zjawisko. To przecież coś innego niż nic, a zarazem jakby coś mniej niż nic. Z materii egzotycznej mogłyby się składać gwiazdy Q, tak zwane szare dziury, przypominające swoje czarne siostry, ale o innych własnościach fizycznych. Naukowcy typowali różne gwiazdy jako typ Q, jednak za każdym razem okazywały się zwykłymi zapadniętymi grawitacyjnie ciałami niebieskimi. Zresztą pozyskanie materii z takiej gwiazdy, nawet gdyby okazała się szarą dziurą, przekraczałoby i tak obecne możliwości techniczne.

Na razie zatem okręty i statki kosmiczne musiały korzystać z antymaterii i systemu portali skokowych, zdolnych przetrząść jednostki na stosunkowo duże odległości. Zakładano, że przy odpowiednim ładunku energii portal byłby w stanie wyeksplodować okręt nawet na kraniec znanego wszechświata. Wysyłano niewielkie bezzałogowe jednostki do Andromedy i do Trójkąta w ramach eksperymentów. Komunikowały się z centrum naukowym przez przekaźniki kwantowe, prowadziły badania, ale na nic więcej nie było stać ani Cesarstwa, ani Republiki. Wojna pochłaniała zbyt wiele środków. Odpowiednie naładowanie portalu, aby wysłał obiekt dalej, na przykład do innej grupy galaktyk, pochłonęłoby zasoby energetyczne całej cywilizacji.

No cóż, w skali Kardaszewa, opracowanej jeszcze w dwudziestym wieku, ludzkość wciąż znajdowała się w drodze między pierwszym i drugim typem cywilizacji. Wprawdzie wykorzystywała już zasoby naturalne planet kolonizowanych układów, ale daleko jeszcze było do okiełznania i dowolnego wykorzystywania energii gwiazd, a jeszcze dalej do kontrolowania ciał niebieskich. Gdyby nie ciągłe wojny, sytuacja wyglądałaby zapewne inaczej, jednak w chwili obecnej człowiek nie był jeszcze w stanie stworzyć świata opartego na pokoju, koegzystencji i współpracy. Aidan myślał nawet, że nigdy nie będzie to możliwe.

– Po zwrocie – oznajmił Martinez z ulgą. – Zostały jeszcze dwa. Kolejny za dwadzieścia sekund...

*

Amanda wpatrywała się zamyślonym, niewidzącym wzrokiem w wyświetlacz taktyczny. Pokazywał dokładnie to samo, co wszelkie inne przyrządy, czyli nic. A właściwie nic konkretnego. Zniekształcona czasoprzestrzeń sprawiała, że światło gwiazd docierało również zniekształcone, nie dawało się z niego niczego wartościowego odczytać. Obserwacja normalnej przestrzeni była praktycznie niemożliwa. Może kiedyś naukowcy skonstruują przyrządy ułatwiające kontakt ze światem poza pęcherzem, ale na razie przekraczało to ludzkie możliwości. Komunikatory kwantowe stanowiłyby jakieś rozwiązanie – parom kwantów było wszystko jedno, gdzie przebywa ta druga cząsteczka, zmieniały swój stan synchronicznie bez względu na wszystko: odległość, warunki fizykochemiczne i wszelkie możliwe zakłócenia, uniemożliwiające inne sposoby nawiązania kontaktu. Ale komunikatory kwantowe były towarem ściśle reglamentowanym. Na jej niszczycielu nigdy dotąd nie zamontowano nawet tymczasowo odbiornika splątaniowego. Ostatni przypadek, o jakim słyszała, żeby okrętowi niższej rangi przydzielono odbiornik kwantowy, to „Sirene” Aidana. Ale wówczas chodziło przecież o ochronę spasionych tyłków sztabowców i przedstawicieli Rady Cesarskiej.

Lerma został na „Numancii”, co chyba niezbyt uszczęśliwiło wiceadmirała. Kobieta uśmiechnęła się w duchu na wspomnienie chmurnego spojrzenia i wykrzywionych ust dowódcy okrętu flagowego. Ona z kolei poczuła wielką ulgę, kiedy pozbyła się z pokładu inkwizytora. Dreszcz ją przechodził na wspomnienie jego przenikliwych oczu i tej piekielnej inteligencji, która sprawiała, że zdawał się czytać w myślach. Chwilami miała wrażenie,

jakby dostojnik rzeczywiście posiadał tę umiejętność. Poza tym nie bardzo podobało jej się to, jak na nią patrzył. Początkowo brała to za jakiś rodzaj zaczepki, ale później dostrzegła, że nie obserwuje jej jak mężczyzna kobiety, ale jakby była jakimś interesującym obiektem. A jeszcze kiedy zadał to pytanie, zupełnie ją zmroziło.

– Piękna pani kapitan zapewne zastanawia się, po jaką nagłą cholere urządziłem tamto przedstawienie po rutynowym szkoleniu z odtworzeniem ostatniej walki, prawda?

Tak, jasny szlag! Zastanawiała się nad tym i zadawała sobie pytanie w duchu dokładnie w takiej formie, w jakiej je wypowiedział!

– No cóż, moja droga – westchnął. – Obserwowałem nie tylko panią, ale także kilkunastu innych kapitanów i ich bezpośrednich oficerów.

– Aidana na pewno też – domyśliła się.

– Powiedzmy. – Pokiwał głową. – A dlaczego? Odpowiedź jest prosta. Planowaliśmy pewną misję. Jak nietrudno się domyślić, specjalną misję, do której powinniśmy dysponować załogami o nietuzinkowym podejściu do pewnych spraw.

– Szukaliście dzielnych drani, którzy umieją myśleć – znów się domyśliła.

– Nie inaczej – odparł z wyraźnym zadowoleniem. – Wprawdzie tym stwierdzeniem bardzo pani sobie pochlebia, ale rzeczywiście szukaliśmy kogoś takiego.

– Ale przecież nie chodziło wtedy o tę misję, prawda? – Wykonała ruch ręką, jakby chciała objąć nim swój okręt.

– Nie o tę – potwierdził. – Jest pani bardzo domyślna. To, że tu jesteśmy, to sprawa najzupełniej niespodziewana, wynikała w ciągu ostatnich dni.

– W takim razie jakie to miało być zadanie?

Odpowiedział jej zgrzytliwy śmiech inkwizytora.

– Proszę nie żartować, pani kapitan. Nie oczekuje pani chyba, że na to odpowiem. Jeśli przedsięwzięcie dojdzie do skutku, dowie się pani. Jeśli nie... – Rozłożył ręce. – Taka wiedza nie będzie pani do niczego potrzebna.

– A może nie dojdzie do skutku? – zapytała.

Don Sebastian spoważniał.

– Nie potrafię tego w tej chwili powiedzieć. Na razie dowiedzmy się, co takiego wydarzyło się w okolicach Regora.

Chciała mu zadać jeszcze kilka pytań, ale uciał rozmowę stanowczym gestem.

– Nic więcej nie powiem. W ogóle nie powinniśmy o takich rzeczach rozmawiać. Zdaję sobie sprawę, że przy pierwszej okazji przekaze pani treść naszej niewinnej konwersacji swojemu przyjacielowi, kapitanowi „Sirene”.

Nie odpowiedziała. To było oczywiste, przecież jechali z Aidanem na tym samym wózku.

– Niech pani uważa na Samuela – ostrzegł inkwizytor. – On stanowi dla pani zagrożenie.

– Co pan ma na myśli, Ekscelencjo? – zaciekawiała się.

– Nic więcej, niż powiedziałem, moje dziecko. Po prostu musi pani na niego uważać. To niebezpieczny człowiek.

– Jakbym o tym nie wiedziała – mruknęła.

– On nie zagraża pani fizycznie. To niebezpieczeństwo dotyczy pani duszy. A dokładnie, integracji psychicznej.

– Co pan ma właściwie na myśli? – Zmarszczyła gniewnie brwi.

– Powinna pani sama wiedzieć.

Na tym skończyli rozmowę. Po niej Lerma wyokrętował się z „Greese”, więc nie miała możliwości drążyć tematu. Zresztą i tak by się nie odważyła. Don Sebastian budził lęk nawet w niej, choć przecież na dobrą sprawę przeżyła własną śmierć i tak naprawdę od tamtej pory nie potrafiła o sobie myśleć jak o istocie w pełni żywej. Jedyнным znanym jej człowiekiem, który wydawał się nie czuć respektu przed wszechwładnym dostojnikiem, był Aidan. A

przecież trudno by go nazwać szaleńcem. Nawet lekceważący wszystkich i wszystko Sultán w obecności Lermę stawał się bardziej cywilizowany niż zazwyczaj. Postanowiła, że przy najbliższej okazji zapyta Samuela, skąd bierze się jego niefrasobliwość.

– Ostatni zwrot – zameldował nawigator, wrywając Amandę z zamyślenia.

– Za piętnaście sekund.

Po chwili rozległo się komputerowe odliczanie od dziesięciu. Amanda odruchowo zacisnęła dłonie na poręczach, choć zwrot w pęcherzu czasoprzestrzennym nie wiązał się przecież z najmniejszym nawet przeciążeniem. Wciąż trudno jej było pozbyć się starych nawyków z czasów, kiedy latała myśliwcem. Zastanowiła się przelotnie, czy Aidan też odczuwał coś podobnego. Powinien, skoro jej to dotyczyło, ale przecież z nim nigdy nic nie wiadomo.

– Po zwrocie – oznajmił nawigator. – Lot po prostej przez trzydzieści sześć sekund.

Mieli wyłonić się za liniami wroga, na tyle daleko, żeby zyskać pewność, że nie zostaną od razu zauważeni. Zanim informacja o wynurzeniu się z nadprzestrzeni dotrze w postaci odczytów naenergetyzowanych cząstek do sensorów okrętów Republiki, minie trochę czasu. Oczywiście lecieli w stronę przeciwną niż pozycje przeciwnika, ale to akurat nie miało znaczenia. Po rozpadnięciu się zwojów zakrzywionej czasoprzestrzeni cząstki rozbiegną się we wszystkich kierunkach. Ludzkie logiczne rozumowanie zawodziło – intuicja podpowiadała, że powinny lecieć głównie w kierunku dotychczasowego ruchu, należało jednak pamiętać, że realnie to nie okręty podróżowały, nie one pchały przed sobą falę zniekształconej czasoprzestrzeni, ale to ona poruszała się, i to z punktu widzenia cząstek wcale nie do przodu. Dla nich stała w miejscu, tylko jej struktura powodowała, że krążąc w zamkniętej, względnie małej przestrzeni, uwięzione cząsteczki nabierały energii, także dzięki ocieraniu się o siebie i zderzaniu. Próżnia kosmiczna wcale nie jest tak pusta, jak by się wydawało z ludzkiego punktu widzenia. Jest w niej sporo pyłu i samotnych cząsteczek nawet w najbardziej oddalonych od skupisk gwiazd obszarach. Dlatego przecież każdy okręt podczas podróży z prędkościami relatywistycznymi pchał przed sobą pole siłowe, odbijające wszystko na jego drodze, a płyty czołowe i boczne poszycia wyposażano dodatkowo w „łapacze” cząstek. Dawniej, zanim zaczęto stosować tarcze najnowszej generacji, jednostki kosmiczne miały przed sobą tarcze sporządzone z kilkuset lub kilku tysięcy ton lodu, w zależności od wielkości jednostki. Znakomicie wprawdzie pochłaniały energię ze zderzeń z kosmicznymi śmieciami, ale były bardzo uciążliwe przy ostrzejszym manewrowaniu. No i trzeba było dodatkowej energii, aby zakrzywiać przestrzeń również wokół tych potężnych tarcz.

– Uwaga! – wrzasnął nagle nawigator.

Zanim Amanda zdążyła o cokolwiek zapytać, poczuła potężne szarpnięcie, jakby okręt zderzył się ze ścianą. Pasy werżnęły się głęboko w ciało, sprawiając ból mimo ochronnej pianki kombinezonu. Amortyzatory naddały się, ale nie były w stanie wyhamować ruchu do tego stopnia, żeby przypiętym członkom załogi nie przysporzyć cierpienia.

– Jezu Chryste! – jęknął łącznościowiec. – Co jest?

– Wyrwało nas z kokonu – wykrztusił nawigator. – Ja pier...

Nie dokończył. Okręt zaczął koziółkować przez dziób w niekontrolowanym ruchu.

– Przemieszczamy się? – spytała Amanda, pokonując z trudem przeciążenie, które oceniła na jakieś cztery g.

– Ze wskazań wynika, że wirujemy w miejscu. Kokon zniknął. Wywaliło nas z nadprzestrzeni.

– Włączyć silniki korekcyjne – rozkazała Amanda. – Tylko delikatnie. Spróbujmy przestać udawać cholernego bąka.

– Tak jest!

– Ja pierdolę! – tylko na to było stać Aidana w pierwszej chwili. Przez kilka sekund rejestrował jedynie ruch wirowy i przeciążenie, ale szybko się opanował. – Diego, korekcja! Co masz na przrządach?

– Na razie chaos – odpowiedział Martinez. – Wypierdzielilo nas z nadprzestrzeni, to pewne. Ale dlaczego, nie wiem. Za siedem sekund mieliśmy tak czy inaczej hamować.

„Hamować” to znaczy wyłączyć stopniowo generatory, żeby rozwinąć kokon zakrzywionej czasoprzestrzeni. Okręt po tej operacji zawisał nieruchomo w przestrzeni. W tym przypadku generatory przestały działać nagle, w ułamku sekundy i nie tyle fakt wyjścia z pęcherza spowodował wirowanie niszczyciela, co energia pochodząca z urządzeń, wzmocniona równie gwałtownym rozproszeniem się cząstek zamkniętych w kokonie. To było jasne nawet dla Aidana, który miał mgliste pojęcie o naukowych podstawach napędu nadświatlnego.

– To wyglądało, jakbyśmy w coś przypieprzyli – mruknął Costa.

– W nic nie przypieprzyliśmy. – Martinez włączył już silniki korekcyjne, ruch wirowy nieco zwolnił, przeciążenie osłabło. – Generatory na pewno stanęły potwierdził przypuszczenia Aidana. – Nie wolno ich wyłączać w ten sposób. Gdybyśmy zasuwali z maksymalną nadświatłą, mogłoby nas rozsmarować na pół tego układu.

– Chief – Aidan połączył się z maszynownią – jakie mamy uszkodzenia?

– Nie ma żadnych uszkodzeń – Naalnish zdawał się bardzo zdziwiony tym faktem. – Zerwała się tylko osłona drugiego kondensatora, ale to bzdura, załatamy sami, jak tylko skończy się karuzela.

– Jak to zerwała się osłona? – zaniepokoił się Aidan. – Przecież to cholerstwo ma sporą masę!

– Tak. Ale od razu wbiła się pod piankę progu grodzi i sobie spokojnie leży.

– Jaki jest stan antymaterii?

Naalnish milczał przez chwilę, sprawdzając wskazania.

– Zostało tylko na stosunkowo niewielki przelot w nadświatlnej. To dziwne. Pokonaliśmy tymi manewrami, z tego, co liczę, jakieś trzysta jednostek astronomicznych, czyli powinniśmy zużyć trzydzieści procent tego, co nam załadowali jeszcze w bazie. A zostało nam trzydzieści dwa procent antymaterii. Cholernie dziwne, kapitanie. Sprawdzę jeszcze później przrządy, czy coś jednak nie uległo uszkodzeniu.

– Dzięki.

Aidan rozłączył się. Ubytek antymaterii był na pewno zagadkowy, ale kapitan miał ważniejsze sprawy na głowie.

– Nawet na taką parszywą drogę dali nam tego gówna tyle, co kot napłakał – zauważył z goryczą Armin.

– Forsa, misiu, forsa – parsknął Farlan. – Parę gramów jest warte więcej niż cała nasza cholerna krypa. Jesteśmy pieprzonym niszczycielem, mamy walczyć, a nie pętać się po nadprzestrzeniach...

– Zamknij się, Norman – syknął Aidan. – Nie pora teraz na żale.

Spojrzał na główny ekran. Wszystkie okręty formacji wirowały. Nie tworzyły w tej chwili szyku, znajdowały się w jednej płaszczyźnie, jakby rzeczywiście zatrzymały się na niewidzialnej ścianie – cztery muchy rozpląszczone na szybie. „Dobrze, że nikt nie szedł w linii prostej za ogonem poprzednika pomyślał Samuels – bo mielibyśmy piękną katastrofę”.

Oczywiście szyk ustawił tak, aby okręty nie znajdowały się bezpośrednio za sobą, ale podczas manewrów mogły nastąpić przesunięcia. Gdyby wyszli z nadświatlnej normalnie, nie byłoby to problemem, ale skoro wszyscy wyhamowali w tym samym miejscu... Nigdy nie widział, żeby dwa okręty wyszły z nadprzestrzeni w tym samym punkcie, ale podobno mogłoby to wywołać naprawdę potężny wybuch. Diabli wiedzą, czy jednostki znajdujące się w bliskim dystansie przetrwałyby ten kataklizm.

– No to jesteśmy w gównie po szyję – Martinez podsumował sytuację po swoim.
– Aidan – zgłosił się Shader – mamy problem z głównym działem rentgenowskim.
– Co jest? – Kapitan skrzywił się.
– Przygotowałem je do użycia na wszelki wypadek, jak tylko staniemy. Ale przeciążenie spowodowało, że przesunęły się dwa pierścienie podtrzymujące wyrzutnie elektronów.
Aidan miał ochotę zakląć ordynarnie, ale zmilczał. Załoga była dostatecznie zszokowana bez jego komentarzy.

– Da radę to naprawić?
– Pojęcia nie mam, kurwa. – Shader z kolei nie zamierzał sobie żałować. Może Callahan ze swoimi magikami będzie umiał coś na to poradzić. Ja nie mam nawet odpowiednich narzędzi.
– Dobrze. – Aidan odetchnął głęboko. – Raporty z sekcji na mój ekran. A ty – zwrócił się do Farlana – nawiąż łączność z pozostałymi łajbami i ustal, jaka u nich jest sytuacja.

– Mieliśmy zachować ciszę jeszcze przez cztery godziny po wyjściu z nadprzestrzeni – przypomniał Norman. – Tak było w planie operacyjnym.

– Chłopie – Aidan spojrzał na niego dziwnie – nie zauważyłeś, że cały ten piękny i mądry plan, który pomagałem opracować, właśnie poszedł się jebać? Całkowicie i nieodwołalnie. Wykonuj.

– Tak jest! – Gdyby Farlanowi pasy pozwoliły, wyprostowałby się w pozycji na baczność. Samuels spojrzał na ludzi zgromadzonych na mostku, wpatrzonych w ekrany.
– Do roboty, darmozjady! – huknął. – Bo każę was przeciągnąć pod kilem, a kto przeżyje tę zabawę, zawiśnie na rei!

Na twarzach oficerów i podoficerów pojawiły się blade, niepewne uśmiechy.
– Raporty – powtórzył Aidan. – Diego, włącz tę korekcję na większą moc, do cholery, i zatrzymaj tę pieprzoną karuzelę! Jeszcze trochę, a się porzygam. Nie mam już dwudziestu lat, kiepsko znoszę testy na wirówkach!

– Tak jest, panie szyper! – zawołał rześko Martinez.
Aidan pokręcił w duchu głową. Temu cholernemu szczeniakowi naprawdę nie przeszkadzała ta beczka śmiechu i mdlące przeciążenie.

OCZEKIWANIE

Sytuacja była co najmniej dziwna. Tkwili w przestrzeni – cztery nieruchome w tej chwili jednostki wojenne – a dowódca grupy zastanawiał się, co zrobić dalej. Im dłużej myślał, tym mniej rozumiał. To, na czym się zatrzymali, stanowiło na pewno jakąś barierę, chociaż niewidzialną i niemożliwą jak na razie do zbadania. Faktem było jednak, że nie mogli jej pokonać. Aidan nie miał pojęcia, czy identycznie zareaguje na prędkości relatywistyczne, a nie zamierzał ryzykować życia którejkolwiek z załóg, żeby to sprawdzić. I w dodatku ten dziwny ubytek antymaterii...

Callahan, Naalnish i Martinez biedzili się nad wyjaśnieniem tego fenomenu.

A Samuels myślał. Przychodziło mu to z ogromnym trudem. Wydarzenia ostatnich godzin sprawiły, że czuł się potwornie zmęczony, a to nie sprzyjało pracy umysłowej.

Na razie nic się nie działo. Odlecieli kawałek wstecz od miejsca, w którym zostali zatrzymani w nadświatlnym pędzie, i zajęli pozycje w szyku jak poprzednio.

– Cholera, zaraz dostanę szmergla – mruknął Aidan. – Muszę się zdrzemnąć chociaż pół godziny.

– To niech pan idzie, kapitanie – powiedział Armin. – Na razie i tak jesteśmy w klasycznym pacie.

– Właśnie – poparł go Martinez. – W razie czego wezwiemy pana.

– Nie chrzań – zachnął się Aidan. – Nie zejdem z mostka. Nie teraz. Tu się przekimam, w fotelu. I wam też radzę. Wystarczy, że jeden będzie czuwał. Wezwiemy jakiegoś bystrego chłopaka z regularnej wachty. Oczywiście nie muszę dodawać, że dla was też na razie nie będzie zmiany, jesteście mi potrzebni.

– Nie dałbym rady zasnąć – powiedział Martinez.

– Ja też – zgodził się Farlan.

Callahan po drugiej stronie łącza zaśmiał się gardłowo.

– A ja też się prześpię parę minut. Łeb mi już paruje. Mogę myśleć do indiańskiego nowego roku i nic nie wymyślę.

– Czemu właśnie indiańskiego? – zaperzył się natychmiast Naalnish z maszynowni. Słyszał wszystko, o czym mówiono na mostku i na łączu z szefem ekipy naprawczej.

– Bo diabli wiedzą, kiedy to jest! – odparł Callahan.

– W każdym plemienu inaczej – wycedził zimno Naalnish. – Na południu Ajmara witali nowy rok w dniu przesilenia letniego, w czerwcu.

– A na północy, pośród wiecznych śniegów, za to w zimie – wpadł mu natychmiast w słowo Rodrigo.

– Naprawdę macie na to siłę? – jęknął Aidan, gasząc w zarodku ciętą ripostę chiefa. – Zarządzam krótką drzemkę. Oczywiście dla chętnych.

Rozłożył fotel, zamknął oczy i spróbował zasnąć. Nie mógł się zmusić do pogrążenia umysłu w stanie, kiedy człowiek ma możliwość zapomnieć o kłopotach. Myśli wbrew woli kręciły się wokół pytania o naturę tego, co ich wytrąciło z nadświatlnej. Jaka to musiała być potężna siła, żeby zatrzymać pięć obiektów jednocześnie! W dodatku obiektów otoczonych zwiniętą czasoprzestrzenią. Teoretycznie coś takiego powinno być wyczuwalne za pomocą skanerów. Powinno mieć jakąś strukturę – pole siłowe to przecież forma promieniowania elektromagnetycznego. A oni mieli tutaj przed sobą taką samą pustkę, jak i ze wszystkich stron. Wydawało się, że gdyby polecieci naprzód, nic by im nie stanęło na przeszkodzie.

Lecz na takim „wydawaniu się” Aidan nie mógł opierać decyzji, od których zależał los podległych mu okrętów. Co innego rzucać się na przeciwnika, choćby potężniejszego, podczas walki, a inna rzecz pchać się niebezpieczeństwu prosto w paszczę wbrew logice i bez przymusu. Jednak miał przecież wyraźne rozkazy. Ile już razy ryzykował życie swoje i załogi, żeby wykonać zadanie? Podobnie teraz – przecież powinni dotrzeć jak najbliżej tamtego obiektu, zebrać materiał z bezpośredniej obserwacji.

Tylko jak to zrobić? I jak przekonać się, czy ta bariera, która wytrąciła ich z nadświatlnej, istnieje także dla obiektów poruszających się z prędkościami relatywistycznymi? W dodatku miał rozwiązanie problemu na końcu języka. I było to coś tak oczywistego, że aż umykało jego zmęczonym zwojom mózgowym. „Dlaczego zawsze tak jest? A może to wcale nie takie proste, jak mi się gdzieś tam w podświadomości roi?”

Amanda... Może ona by coś doradziła? Albo któryś z pozostałych kapitanów?

Amanda... Przed oczy wpłynęła Aidanowi jej twarz. Zmieniła się od czasu tamtego strasznego wydarzenia. Jak by to określić – wydorosłała. Z szalonej kapitan fregaty stała się statecznym dowódcą niszczyciela. Język wprawdzie wciąż miała cięty i ostry, potrafiła i dopiec, i odgryźć się, ale kiedyś nie byłoby mowy, żeby wycofała się z walki, choćby miała na pokładzie samego cesarza i żądano tego od niej pod karą gardła w razie odmowy.

Aidan musiał przyznać, że ta obecna Amanda bardziej mu się podobała, chociaż cenił sobie jej poprzednią nieposkromioną odwagę. Inna rzecz, że potrafiła wówczas przez swoje działania narobić problemów zarówno dowódcom, jak i towarzyszącej im z pola bitwy. Nieobliczalna – tak o niej mówili wszyscy, którzy mieli okazję ją poznać. Po stracie fregaty i załogi wydawało się, że stanie się jeszcze bardziej szalona, dlatego wielkim zaskoczeniem było przydzielenie jej zupełnie nowego niszczyciela, któremu zresztą nadała tę samą nazwę, jaką nosiła poprzednia jednostka. Musiała o to walczyć, bo we flocie cesarskiej unikano takich precedensów. Może ludzkość zaczęła podbijać kosmos, ale to nie znaczyło, że sami ludzie stali się mniej przesądni. Pierwszy raz w historii gwiazdnej armady zdarzyło się, aby jakiś okręt został ochrzczony mianem zniszczonej jednostki. We flocie handlowej to się zdarzało, w wojennej nigdy.

Dlaczego kapitan zniszczonego okrętu dostała kolejną jednostkę zaraz po opuszczeniu szpitala, a jeszcze przed końcem rehabilitacji, Aidan mógł się domyślać. Amanda była – mimo wszelkich swoich wad – naprawdę wyjątkowym dowódcą, potrafiącym zjednywać sobie ludzi. Nie powinno się marnować takiego talentu, pozwolić, aby rozpułnął się w beczynności, sprzyjającej przykrym myślom. Ktoś tam na górze postanowił zaryzykować i dać załamanej kobiecie szansę. Ktoś... Na pewno nie Gonzaga, bo ten nie cierpiał Amandy tak samo jak Aidana i kilku innych krnąbrnych kapitanów. Romero? Też nie, gdyż posiadał zbyt małe wpływy, a w tamtym czasie był tylko kontradmirałem i mógł jeszcze mniej. Poza tym Samuels nie wyobrażał sobie, że ktokolwiek w sztabie mógłby mieć na tyle odwagi, żeby narażać się wielkiemu admirałowi takimi propozycjami, a w dodatku na tyle władzy, aby je przeforsować. Sama kapitan Berger nie chciała rozmawiać na ten temat, twierdziła uparcie, że nie ma pojęcia, kto się za nią wstawił. Chociaż określenie „wstawił się”, biorąc pod uwagę niebezpieczeństwa, na jakie były narażone niszczyciele, wydawało się Aidanowi wielkim nadużyciem semantycznym. Niemniej Amanda była zadowolona z powrotu na linię.

Chyba że...

Tak, był jeszcze ktoś. Ale ta kandydatura przyszła Aidanowi do głowy dopiero teraz. Dlaczego wielki inkwizytor zaokrętował się właśnie na „Greese”? Czyżby dlatego, że wiedział, iż Amanda posłucha go, jeśli każe jej się wycofać albo zrobić coś, czego dla nikogo innego by nie zrobiła? To miało ręce i nogi. Ale dlaczego właśnie Lerma? Taki sukinsyn musiał mieć w tym jakiś cel...

„Jasna cholera!” – pomyślał Aidan. „Co on szykuje? Po cholere mu te gierki? Może chce

pozyskać wiernych dowódców? Jeśli dobrze rozumię, ma już Amandę, na pewno Sułtana, bo nie jest tajemnicą, że wspierał karierę tego człowieka znikąd. Ilu jeszcze takich ludzi wikła w swoje machinacje?”

Tylko po co miałyby to robić? Żeby zająć miejsce cesarza? To głupie. Bez zasiadania na tronie miał niesłychanie szeroki zakres władzy, w niektórych dziedzinach wręcz większy niż sam jaśnie panujący. A poza tym prawo imperium nie zezwalało urzędnikom duchownym na zajmowanie świeckich stanowisk. To dlatego w czasie bezkrólewia, między śmiercią władcy a wyborem i formalnym wstąpieniem na tron jego następcy, właśnie wielki inkwizytor pełnił obowiązki cesarza, aby ciągłość władzy nie została przerwana. Wszyscy wiedzieli, że musi oddać ster rządów, kiedy tylko nastąpi koronacja i zaprzysiężenie nowego cesarza, nie ma prawa uzurpować sobie stanowiska ani przez sekundę dłużej. Dzięki temu grandowie mieli gwarancję, że żaden z nich nie wyskoczy nad głowy innym, na przykład zdobywając regencję, i nie zorganizuje przewrotu pałacowego, aby zasiąść na tronie bez zgody całego zgromadzenia.

Nikt jednak nie powiedział, że w pewnym momencie nie znajdzie się jakiś ambitny inkwizytor, który zechce złamać prawo i obyczaj, aby samemu zostać najpotężniejszym władcą w historii rasy ludzkiej.

„Tak, to może być kuszące dla takiej ambitnej kanalii... „

– Panie szyper! – głos Martineza wyrwał Aidana z zamyślenia. – Pobudka, chłopaki coś mają.

„Zatłukę kiedyś gnoja za tego szypra” – pomyślał leniwie kapitan, otwierając oczy. „Pirat pieprzony”.

– Wyspał się pan? – zapytał Farlan.

– Gdzie tam! – odparł Aidan. – Nawet nie przysnąłem..

– A to ciekawe – wtrącił się znad swojego ekranu van den Broek. – Bo chrapał pan jak najęty.

Aidan zmarszczył brwi, spojrzał na Farlana, który pokiwał głową, potwierdzając słowa Armina.

– Aż mostek huczał, sir.

Aidan wsłuchał się w siebie. Czyżby zasnął i wciąż racjonalnie, logicznie myślał? Przecież to niemożliwe. Owszem, mógłby we śnie snuć ciągi skojarzeń dotyczące realnych spraw, ale przecież nie tak logicznie.

I w chwili, kiedy się na tym skupił, przypomniał sobie senny majak, pulsujący gdzieś pod powierzchnią. Nic bardzo określonego: jakieś twarze, jakieś wydarzenia, bieg gdzieś w stronę horyzontu obcego świata, którego nigdy nie widział. A zatem rzeczywiście spał, tylko palące sprawy, o których myślał przed zaśnięciem, pokryły marzenie senne. I pewnie nie wyszłoby na jaw, gdyby nie skupił się na doznaniach tuż po przebudzeniu.

– No dobra, może się trochę przespałem – mruknął. Spojrzał na zegar, zawieszony nad stanowiskiem nawigatora, przypominający czasomierze z zamierzchłej epoki wojennej floty planetarnej. – Po co mnie budzicie? Do pół godziny brakuje jeszcze pięciu minut!

– Mamy dziwne odczyty – wyjaśnił Costa. – Chodzi o to coś, do czego mamy lecieć.

– Dziwne odczyty? – Aidan zmarszczył brwi. – A może by tak dokładniej, bosmanie?

– Szlag jasny, kapitanie – zaczął Costa – to coś na pewno nie jest skupiskiem antimaterii. Tego już jestem pewien na sto procent. Na odczytach z tej odległości trudno się mylić. To coś wygląda... Sam nie wiem, jak to określić. W życiu czegoś podobnego nie widziałem. Nie wiem, czy jestem bardziej zdumiony, czy przestraszony.

– W porządku, Mario – rzekł Aidan – ustalisz to sam ze sobą, ale później. Bo mi to zwisa. Konkrety, człowieku! – huknął.

– Konkrety? – skrzywił się bosman. – Proszę bardzo. Nie wiem, co to jest. Nie antimateria. Żadna znana mi struktura. Ale jedno jest pewne i najgorsze to cholera się powiększa.

– I budzisz mnie, żeby mi powiedzieć coś, co już wiem? – Samuels ziewnął, a potem zreflektował się. Przecież jego załoga nie miała pojęcia o ustaleniach przekazanych przez Lermę. – No tak, dla was to może być zaskoczenie. Ale czy coś do tego dociera? Coś, co zwiększa masę? Nie zaobserwowałaś czegoś podobnego?

– Nic takiego nie widać. Ale mogę stwierdzić, że to będzie wzrost wykładniczy.

– Zaraz. – Aidan przymknął na chwilę oczy. – Powiększa masę czy tylko objętość?

– Jedno i drugie. Mieliliśmy dane sprzed lotu tutaj i wtedy to było dwa razy mniejsze. Z tego, co mogę wnioskować z porównania tamtej informacji z tym, co widzę na odczytach, podwojenie następuje w czasie trzydziestu siedmiu godzin i dwudziestu minut.

– To jakaś bzdura – powiedział Armin. – Jak może się powiększać bez dopływu materii, albo przynajmniej energii?

– A nie przyszło ci do tego zakutego łba, że może jest dopływ, tylko nie jesteśmy w stanie tego zaobserwować? – odparował Costa.

– Przyszło mi do mojego zakutego łba, że coś pochrzaniłeś. – Armin wzruszył ramionami. – Ekstrapolujesz, a nie opierasz się na bezpośredniej obserwacji. W odróżnieniu od ciebie wóda jeszcze mi nie wyżarła mózgu.

– To ekstrapolacja oparta na rzetelnych danych. – Mario mówił spokojnie.

Aidan wiedział, że tych dwóch łączyła przyjaźń i niezależnie od tego, co do siebie gadają, nie grozi to poważniejszym konfliktem. A teraz Costa nie zamierzał się wdawać nawet w przyjacielskie utarczki. Zatem sytuacja musiała go bardzo niepokoić. – Od chwili przedostatniego odczytu masa obiektu wzrosła o półtora procent, a zatem jej podwojenie nastąpi za nieco ponad trzydzieści sześć godzin.

– Skąd wiesz, że wzrośnie wykładniczo? – zainteresował się Farlan. Może to wzrost o jakąś stałą masę, bez podwajania.

– Stąd, panie chorąży – odpowiedział Costa – że porównałem przyrost masy przy odczycie przedostatnim i ostatnim. Są obciążone pewnym błędem, ale wynika z nich, że po trzydziestu siedmiu godzinach i dwudziestu minutach masa obiektu ulegnie podwojeniu. A to wskazuje na wzrost wykładniczy.

– Cholera – mruknął łącznościowiec. – Co to za gówno?

– Jaką ma teraz dokładnie masę? – spytał Aidan.

– Odczyty są obciążone niewielkim błędem, ale z dużą dozą pewności mogę powiedzieć, że masa obiektu wynosi trzysta milionów ton plus minus osiem setnych procent.

Na chwilę zapanowała cisza, Aidan przetrawiał informacje. Potem na podręcznym kalkulatorze wykonał kilka prostych działań.

– To znaczy – rzekł powoli – że za niecałe czterdzieści pięć cykli to coś osiągnie masę niewiele mniejszą niż Ziemia, za sześćdziesiąt dwa będzie miało sześćdziesiąt dziewięć procent masy Słońca, a cykl później zyska prawie półtorej jego masy.

– Zgadza się – sapnął Martinez, który wziął się do tych samych obliczeń.

Tylko że nawigator zrobił je w pamięci, bo nawet nie spojrzął na którykolwiek ekran. Co więcej, ewidentnie czekał z gotowym wynikiem, aż dowódca skończy swoją dłubaninę. – Dokładniej: po sześćdziesięciu trzech cyklach będzie to czterdzieści procent więcej, niż wynosi masa Słońca. I zacznie już wtedy bardzo znacząco wpływać na gwiazdy Regora jako siódmy składnik.

– Do czego to może doprowadzić? – spytał cicho Farlan, mówiąc bardziej jakby do siebie, niż spodziewając się uzyskać odpowiedź.

– Diabli wiedzą. – Aidan usłyszał go jednak. – To zależy od zbyt wielu czynników, żeby teraz dokonywać ocen. Tak naprawdę nic nie wiemy.

– Fakt – wtrącił ponuro Armin. – Nie mamy nawet pojęcia, jak sprawdzić tę niewidzialną barierę tuż przed naszym nosem.

Kapitan potrząsnął głową. Chętnie by się teraz napił czegoś mocniejszego i poszedł dalej spać. Lecz na alkohol nie mógł sobie pozwolić, a na sen już na pewno czasu nie miał. Za to pojął, jakiego rozwiązania nie mógł sobie uświadomić. Mogli przecież sprawdzić, jak działała to, co ich wywaliło z kokonu zawiniętej czasoprzestrzeni. W dodatku było to naprawdę proste.

– Robert – wywołał Shadera – przygotuj trzy torpedy.

– Przeciwnik na horyzoncie? – spytał porucznik.

– Nie. Przygotuj te torpedy, tylko tak, aby się nie uzbrajały.

– Mają lecieć jak jakieś cielaki? – upewnił się Shader.

– Właśnie. Żadnych fajerwerków.

– Jak chcesz, kapitanie. Będę gotowy za dwadzieścia minut.

– To dość długo – zauważył kwaśno Martinez.

– Bo to nie takie łatwe jak dobrze ci znane pirackie „hura, do abordażu” odparł Shader. – Muszę zmienić oprogramowanie. Te pieski są nastawione na gryzienie, a szyper właśnie kazał powyrywać im zębki.

– Zamknij się i do roboty! – warknął Aidan.

– Tak jest!

Samuels sprawdził odległość od zespołu bojowego. Osiemset pięćdziesiąt minut świetlnych. Próby komunikowania się z wiceadmirałem nie miały najmniejszego sensu. Tam jeszcze nawet nie wiedzieli, że okrętywyszły z nadprzestrzeni przed czasem. Nie dotarły naładowane cząstki ani sygnały rozpoznawcze. Wróg zresztą też wciąż nie był poinformowany, choć znajdował się nieco bliżej. Chyba że wywnioskują coś z rojów tachionów, które również uwolniły się po wypadnięciu jednostek ze zwiniętej czasoprzestrzeni.

– Kapitanie – powiedział nagle Farlan pełnym napięcia głosem – wróg na jeden –jeden-zero, plus siedemnaście stopni.

– Co?!

– Wróg na jeden-jeden... – zaczął powtarzać Farlan, ale przerwało mu syknięcie Aidana.

– Słyszę, do cholery! A teraz i widzę... – Na ekranie taktycznym zajaśniało czerwono sześć punkcików. – Melduj.

– Dwa niszczyciele, dwie fregaty i dwie korwety.

– Odległość?

– Pięćdziesiąt minut świetlnych. Wygląda na to... – Łącznościowiec zawiesił głos, a potem zwrócił się do Costy: – Mario, co masz dokładnie na skanerach? Bo to, co do mnie trafia, jest już przetworzone, a tu lepiej interpretować z surowych danych.

– Wygląda to tak, jakby też się zatrzymali na przeszkodzie, bo tkwią nieruchomo – odparł szef działu skanerów i nasłuchu. – Chmura unaenergetyzowanych cząstek nie dotarła razem z sygnałem, a to znaczy, że są tu dłużej od nas.

Aidan milczał przez chwilę.

– Nie macie wrażenia, panowie oficerowie, że republikanie zrobili to samo, co my? Tylko że nieco wcześniej. Tamten dziwny wypad ich okrętów miał odwrócić naszą uwagę od manewru identycznego jak nasz.

– Z tym że im było łatwiej, bo mieli ten syf za plecami – zauważył Martinez.

– Mogli sobie polecieć prosto jak w mordę strzelił, nie kręcili się wężykiem jak pijany sierżant w drodze z burdelu.

– Co ty nie powiesz – odezwał się Armin. – Za logiczne rozumowanie powinieneś dostać dodatkowy przydział zupy.

Aidan w roztargnieniu słuchał tej wymiany uszczypliwości. Martinez stwierdził oczywistość, ale czasem właśnie takie proste, pozornie niepotrzebne słowa niosą jakąś ważną treść. Skoro zespół zadaniowy Republiki wysłał swoje jednostki w tym kierunku, korzystając z pozorowanego ataku, potwierdzało to przypuszczenia Lermy, że oni również nie mieli pojęcia,

czym jest ta materia za przeszkodą. A nawet jeśli jakieś jednak mieli, to na tyle małe, żeby dążyć do jak najszybszego zbadania zjawiska.

– Cisza – rzucił ostro, przerywając rozwijającą się dyskusję. Wszyscy natychmiast zamilkli. To był głos kapitana stanowczego i groźnego, a nie pobłażliwego kumpla. Kiedy Samuels mówił takim tonem, należało położyć uszy po sobie i słuchać. – Mario, przeciwnik podjął jakieś manewry?

– Nie, panie kapitanie. Nie zmieniają pozycji. W każdym razie nie robili tego pięćdziesiąt jeden minut temu.

– W takim razie obserwuj ich już ze swojego stanowiska przy skanerach. Masz meldować natychmiast, jak tylko coś się zmieni. Ty też się wynoś, Armin. Koniec tych szczeniackich rozmówek.

Bosmani bez słowa wypięli się z pasów i poszybowali w kierunku wyjścia.

*

Wiceadmirał kazał się obudzić, kiedy tylko nadejdą jakiekolwiek informacje od grupy zadaniowej kapitana Samuela. Wydawało mu się, że dopiero przyłożył głowę do poduszki, kiedy poderwał go brzęczyk komunikatora.

– Panie admirale, mamy odczyty, które napłynęły od strony obiektu – oświadczył podoficer z sekcji nasłuchu.

Romero spojrział na czasomierz umieszczony nad drzwiami jego kajuty.

– Już?! – zdziwił się. – Coś się stało? Zawrócili?

– Nie, panie admirale. Sygnały nie pochodzą z naszych jednostek.

– Zaraz będę na mostku!

Wiceadmirał poderwał się na równe nogi. Wypadł z kajuty, nie troszcząc się nawet o wymagane przez regulamin zakodowanie zamka. Trudno, przecież nikt w tej chwili nie będzie próbował włamać się do pomieszczenia zajmowanego przez dowódcę i dobierać do zawartości sejfu. Poza tym urządzenie samo się zablokuje za dwie minuty.

– Co znaleźliście? – zapytał bosmanmata, który pełnił wachtę przy urządzeniach namierzania i zbierania danych.

– Po tamtej stronie wyłoniło się z nadświetlnej sześć jednostek.

– Kiedy?

– Sygnał dotarł przed chwilą. Zidentyfikowaliśmy je jako okręty Republiki. Znajdują się w odległości stu dwóch jednostek astronomicznych.

Romero przeliczył w pamięci. „Osiemset pięćdziesiąt minut świetlnych. To znaczy, że odleciały czternaście godzin temu. W momencie tego dziwnego ataku. Cholera!”

– Z jaką prędkością się teraz przemieszczają?

W zasadzie powinien zapytać, z jaką prędkością przemieszczały się przed czternastoma godzinami.

– To jest właśnie najdziwniejsze, panie admirale. – Bosman wyglądał na lekko zszokowanego. – Tkwią w miejscu. To znaczy tkwiły osiemset pięćdziesiąt minut temu, bo co robią na bieżąco, oczywiście nie wiem.

Odbiornik tachionowy jest bezradny.

– Co to znaczy? Nie poruszają się?

– Tak to wygląda. W dodatku tuż przed sygnałami mieliśmy falę naładowanych cząstek, i to o energiach wyższych niż zwykle przy wychodzeniu okrętów z nadświetlnej.

– Może pan coś bliżej o tym powiedzieć, bosmanie? Jest jakieś prawdopodobne wyjaśnienie?

– Tak, panie admirale. Wygląda to, jakby zupełnie nagle wypadli z nadświetlnej. Jakby coś stanęło na drodze przemieszczających się kokonów zawiniętej czasoprzestrzeni.

– To w ogóle możliwe? – Romero zmarszczył brwi. – Co może zatrzymać zjawisko, jakie wykorzystujemy do podróży?

– Nie mam pojęcia, señor. – Gdyby nie wymogi dyscypliny, podoficer pewnie wzruszyłby ramionami. – Nie jestem naukowcem, nie potrafię tego wyjaśnić.

– Jasne, jasne, synu. – Romero spojrział na bosmana. – Tylko głośno myślałem. Nie przypuszczam, żeby twój porucznik potrafił coś więcej na ten temat powiedzieć. Nie spotkaliśmy się chyba jeszcze nigdy z czymś podobnym. W każdym razie nic o tym nie wiem. Zawiadomiłeś także inkwizytora?

– Nie, panie admirale. Uznałem, że pan powinien się dowiedzieć pierwszy.

– Bardzo dobrze.

– Czy mam teraz?...

– Nie trzeba. – Romero machnął ręką. – Sam mu powiem.

Skrzywił się na myśl, że będzie musiał zaraz rozmawiać z don Sebastianem. Ale nie miał innego wyjścia. Możliwe było powiedzenie, że dowódca okrętu jest na pokładzie pierwszy po Bogu, ale w przypadku obecności inkwizytora cała hierarchia nieco się zmieniała.

Zastanawiał się przez chwilę, czy wywołać dostojnika przez interkom, czy odwiedzić go osobiście. Po chwili namysłu wybrał to drugie. Zawsze to kilkadziesiąt sekund zwłoki przed nieprzyjemną rozmową.

Bo że będzie nieprzyjemna, nie miał wątpliwości.

*

Kapitan fregaty „Santorino” klął z całej duszy. Klął serdecznie. Klął płynnie bez chwili przerwy.

Lecz na mostku nikt się nie dziwił ani nie przejmował.

Bo kapitan Gaspar Moreno miał zwyczaj kląć przy każdej okazji, a nawet i bez okazji. Tylko w obliczu przełożonych starał się powściągnąć język, ale „starał się” to doskonałe określenie na płonność jego wysiłków. To stanowiło jeden z powodów, dla których nie awansował w należyтым tempie, mimo niewątpliwych talentów dowódczych. Drugim powodem był z pewnością jego stosunkowo młody, by nie rzec – młodzieńczy, wiek. Kiedy otrzymał własny okręt, miał zaledwie dwadzieścia jeden lat. Była to wprawdzie orbitalna kanonierka, stara krypa, ale zawsze jednostka wojenna. Inna rzecz, że nie zagrzał na niej miejsca i niebawem został przeniesiony na pancernik, do działu uzbrojenia. I może spędziłby tam przepisową liczbę lat, gdyby nie katastrofa podczas bitwy. Liniowiec typu Taurus T124 został trafiony podczas walki z piratami z działła hybrydowego. Strzał był na tyle celny, żeby naruszyć integralność konstrukcji, i pancernik rozpadł się na piętnaście mniejszych jednostek. Dlatego taurusy bywały nazywane niezniszczalnymi. Można je było pokonać, ale zadanie śmiertelnej rany okazywało się ponad siły. Składały się z osiemnastu samodzielnych modułów, z których każdy był zdolny do walki, rzecz jasna, w różnym stopniu. W T124, na którym służył Moreno, zniszczeniu po salwie uległy trzy z nich, ale reszta już po chwili rzuciła się na przeciwnika. Co oczywiste – sekcja bojowa dysponowała sporą siłą ognia. Składały się na nią trzy moduły, z których dwa pozostały sprawne.

Młody podporucznik zachowywał się jak dziki wojownik ze starych opowieści. Rzucił się w swojej łupinie na wszystko, co znalazło się w pobliżu, nie bacząc na żadne praktycznie opancerzenie i marne osiągi. Nie to, żeby zniszczył wiele pirackich jednostek. Udało mu się trafić śmiertelnie kanonierkę, poważnie uszkodził korwetę i zerwał osłony boczne niszczycielowi. I nie byłoby w tym może nic zaskakującego, gdyby nie fakt, że w całym module pozostał przy życiu tylko on. A zatem musiał się zajmować prowadzeniem i strzelaniem jednocześnie. W dodatku nie korzystał przy tym z zestawu komunikacyjnego,

umożliwiającego łączność z komputerem, bo takim dysponował tylko dowódca. A ten leżał z głową zmiażdżoną pancerną płytą poszycia wewnętrznego.

Jakby tego było mało, Gaspar koordynował jednocześnie natarcie najbliższych modułów bojowych, osłaniając wahadłowce i kapsuły ratunkowe. Po tej bitwie przełożeni docenili go, przydzielając mu dowództwo nad kutrem torpedowym. Krążyły opowieści, że kiedy szturmował szyki piratów modułem bojowym, rechotał tak straszliwym śmiechem, że słuchającym cierpła skóra. Sam zainteresowany twierdził, że to bzdura, a nie zostało zbyt wielu świadków tamtych wydarzeń. Albo zginęli podczas nieudanej akcji przeciwko kolonii piratów, albo polegli w późniejszych starciach z bandytami i Republiką.

A teraz kłął – płynnie, potoczyscie, w trzech albo czterech językach.

– Panie kapitanie, dowódca „Sirene” do pana – przerwał mu oficer łączności.

– Dawaj go, kurwa jebana – rozkazał Moreno. – Pierdolony syf...

– Też się cieszę, że słyszę pana kapitana – rozległ się głos Samuela.

– To nie było do ciebie – wyjaśnił Gaspar, nieco speszony.

– Wiem, wiem. Ale nie mogłem sobie darować. A teraz proszę o dokładny raport o sytuacji okrętu.

– A co mam, kurwa, raportować? – Moreno wzruszył ramionami. Wszystko sprawne. Tylko się zastanawiam, co to za gówno przed naszymi nosami.

– Wszyscy się zastanawiamy. Ale teraz czas na małą próbę. Cofamy się o dwadzieścia sekund świetlnych i wysyłamy dwie głowice. Nieuzbrojone.

– A co z okrętami Republiki? – spytał Gaspar.

– Dopóki nie mamy sygnałów, że robią cokolwiek, udajemy, że ich nie ma. W pewnym sensie jedziemy na jednym wózku. Czyżbyś miał ochotę się bić?

Moreno zaśmiał się krótko, gardłowo.

– Poruszałbym się trochę, prawdę mówiąc. Nudno się ostatnio, kurwa, zrobiło.

– Nie narzekaj, zaraz może się zrobić ciekawie. A teraz wykonuj rozkaz. Zaraz dostaniecie dokładne koordynaty na wyświetlacze. I nie bluzgaj w eterze, z łaski swojej.

– Nie pitol, kapitanie – prychnął Moreno. – Równie dobrze mógłbyś mnie prosić, żebym cię zerznął na najbliższej przepustce.

Czekał przez chwilę na jakąś ciętą ripostę, lecz Aidan już się rozłączył. To, że nie miał nastroju na słowne utarczki, oznaczało, że bezsprzecznie uważa sytuację za bardzo poważną. I nic dziwnego. Tkwili tutaj od prawie dwóch godzin, nic nie wiedząc, a w dodatku mając ekspedycję wroga dosłownie na wyciągnięcie ręki. To, że republikanie nie wykonywali przez ostatnie kilkanaście minut żadnych ruchów, nie oznaczało wcale, że właśnie w tej chwili nie lecą całą mocą na spotkanie z jednostkami floty cesarskiej. Zanim informacja o tym dotrze do zespołu imperium, minie przynajmniej pięćdziesiąt minut.

– Łącz z „Sirene” – rzucił do oficera.

– Jest połączenie.

Po sekundzie odezwał się zniecierpliwiony głos Aidana:

– Czego jeszcze chcesz, kapitanie?

– Tak sobie pomyślałem, że jeśli republikanie lecą już do nas z nadświatłą, dotrą, zanim zorientujemy się, że wyruszyli. Znikną ze skanerów za te pięćdziesiąt jeden minut, ale przylecą...

– Też o tym myślałem – przerwał mu Samuels. – Tylko coś mi się wydaje, że tak nie zrobią.

– Bo?

– A ty byś w tej chwili zaryzykował owijanie się w czasoprzestrzeń, w pobliżu tej tarczy?

– W pobliżu nie. Jednak, kurwa mać, odbiłbym do tyłu i podleciał dwoma łamańcami kursu.

Aidan przez chwilę milczał, zanim odpowiedział:

– No tak. Tylko że jeśli nam zasoby antymaterii wyczerpały się w takim tempie, to im na

pewno też. Z danych mojego chiefa wynika, że ubytek nastąpił na ułamek sekundy przed zlikwidowaniem kokonu, a zatem już w pewnej odległości od tej bariery. Doceniam twoje logiczne rozumowanie, naprawdę, ale ja jako dowódca nie podjąłbym w tej chwili ryzyka latania w pobliżu czegoś takiego z prędkością większą niż relatywistyczna. Zakładam, że tam też nie dowodzi kretyn.

– A jeżeli, szlag jasny, się mylisz? – zaoponował Moreno. – Jeśli jednak już do nas lecą?

– Wtedy, że posłużę się twoim ulubionym stylem, będziemy się napierdalać. Ale w jednym masz słusność. Chociaż jestem pewien, że tamci na razie nic nie robią, musimy zachować najdalej idące środki ostrożności. Dlatego zmieniam koordynaty. Ja zostaję tutaj i strzelam próbne torpedy, a cała reszta wycofuje się w rejon siedem-jeden-osiemnaście minus osiem stopni i ubezpiecza mnie. Zaraz dostaniesz dokładny namiar.

Kapitan „Santorino” spojrział na wyświetlacz taktyczny.

– Aż tak daleko? – zdziwił się. – Zostaniesz tutaj sam jak palec w dupie.

– Poradzę sobie – odparł Aidan. – Teraz najważniejsze to zbadać tę cholerną barierę i zameldować wiceadmirałowi o wszystkim, co się wydarzyło. Ktoś zatem musi przeżyć. Na przykład ty.

– A, bo jakby dali nam komunikatory splątaniowe, nie byłoby problemu. Wiesz doskonale, że centrala obsłużyłaby bez napinania się każdą pierdoloną transmisję.

– Ale nie dadzą, więc nie ma o czym gadać. I doskonale wiesz dlaczego, więc sobie daruj rozbudowane kwieciste komentarze.

– Kurwa.

– Nierozbudowane też. Wykonaj rozkaz i nie zawracaj mi więcej dupy.

– Tak jest – burknął Moreno.

A kiedy połączenie zostało przerwane, wylał z siebie kolejny potok siarczystych przekleństw.

*

– Torpedy gotowe – zameldował Shader.

Aidan spojrział na główny wyświetlacz sytuacyjny. Pozostałe jednostki grupy wycofywały się w wyznaczony rejon. Kapitan nie zamierzał czekać, aż skończą manewr. Wbrew temu, co powiedział Gasparowi, wcale nie miał pewności, że okręty Republiki właśnie nie lecą w ich stronę.

– Jedną odpalisz z prędkością zero dziewięćdziesiąt dziewięć c, drugą zero pięćdziesiąt. Trzecią zostaw na razie w wyrzutni.

– Tak jest, nastawy zrobione.

– Strzał!

Dwa jednoczesne piknięcia zlały się w jedno, czerwonożłote ikony wyprysły na ekran, jedna natychmiast zaczęła zstawać z tyłu.

– Pierwsza głowica w celu za dziewiętnaście, osiemnaście... – zaczął odliczać komputer i zaraz dodał tym samym głosem: – Druga głowica za trzydzieści dziewięć, trzydzieści osiem...

Aidan tknął palcem w klawiaturę i drugie odliczanie ucichło. W warunkach alarmu bojowego komp nie odliczał równolegle, ale teraz alarmu nie ogłoszono, bo okręt nie szedł przeciw do walki. Urządzenie realizowało program, w którym uwzględniano wysyłanie sond badawczych lub dronów, a nie głowic bojowych. A tam nie odliczano od chwili wystrzelenia, lecz przed wyrzuceniem urządzenia w kosmos. Ponieważ w programach zapanował pewien chaos, komputer nałożył na sprzeczne algorytmy pierwsze dostępne rozwiązanie.

„Kolejna sprawa do zgłoszenia informatykom po powrocie” – przeleciało przez głowę Aidanowi.

Ale zaraz ta myśl uciekła, bo torpeda zbliżyła się do celu.

– Cztery, trzy, dwa, jeden...

Transmisja docierała oczywiście z opóźnieniem. Dopiero po dwudziestu sekundach na ekranach ukazał się odczyt. Torpeda została zatrzymana w ruchu. Wyhamowanie trwało niecałą sekundę. Wyglądało to, jakby bariera ugięła się, a potem lekko odepchnęła głowicę. To było jednak tylko złudzenie, gdyż torpeda nie odleciała w tył, ale zastygła w miejscu, podobnie jak przedtem okręty.

Aidan bez słowa włączył odliczanie drugiego pocisku, ale zaraz sobie uświadomił, że już się skończyło. Czekał więc na informacje z systemów torpedy.

– Cholera, to samo – powiedział z zawodem w głosie Martinez. – Stoi jak wmurowana. Co teraz? – Odwrócił się znad swojej konsoli i spojrzał na kapitana.

– Shader – Aidan nie zareagował na zaczepkę nawigatora – trzecią torpedę wyślij z jedną dziesiątą światła, a zaraz za nią strzelisz z maksymalną prędkością pestkę z ładunkiem nuklearnym tak, żeby doleciała do bariery dwie sekundy wcześniej. Zobaczmy, co się stanie.

– Już liczę – odparł porucznik. – Gotowe. Odpalam na rozkaz.

Aidan odetchnął, a potem zażądał otwarcia kanału do wszystkich okrętów.

– Co się stało z próbnymi torpedami, wszyscy widzieli. Teraz pošlemy ładunek uzbrojony i zaraz za nim do bariery doleci kolejna torpeda z nieaktywną głowicą.

Nie czekał, aż wiadomość dotrze do reszty grupy, oddalonej o pięć sekund świetlnych, od razu wydał rozkaz:

– Ognia!

Wolniejsza, uzbrojona torpeda pojawiła się na ekranie. Dotarcie do bariery miało jej zająć dwieście sekund. Aidan patrzył na wyświetlacze z pozornym spokojem, ale w głowie przelatywały mu dziesiątki myśli i skojarzeń, niekoniecznie związanych z tym, co się działo. W chwilach napięcia często mu się to zdarzało. Zupełnie jakby umysł bronił się przed zbytnim skupieniem na wydarzeniach, aby zachować chociaż minimalny dystans. Czasem zastanawiał się, czy podobne przeżycia są tylko jego udziałem, czy stanowią raczej normę. W zasadzie nie miało to większego znaczenia, skoro działało, ale chyba wolałby nie być jedynym, który tak właśnie reaguje na wyzwania.

Dwieście sekund... Trochę ponad trzy minuty... W zwykłych okolicznościach to praktycznie mgnienie oka, ale nie w chwilach takiego napięcia. Tym bardziej że na dane z torped trzeba czekać jeszcze dłużej.

– Farlan, co z naszymi towarzyszami z floty Republiki?

– Jak na razie żadnych ruchów.

To nieco uspokoiło Aidana. Tamci przecież dostrzegli ich w tym samym momencie, w którym wiadomość o obecności wrogich jednostek dotarła do grupy Samuela. Skoro nie wykazywali aktywności przez ostatnie kilkanaście minut, istniała szansa, że nadal tak będzie, przynajmniej jeszcze przez jakiś czas. A czas był bardzo potrzebny. Powinni mieć możliwość spokojnie się rozejrzeć i spróbować znaleźć jakiś sposób pokonania tajemniczej bariery. Najmniej ze wszystkiego Samuels życzyłby sobie teraz walki.

Wpatrywał się w ekran, obserwując bezmyślnie wykres lotu samotnej na razie torpedy. Drgnął, kiedy pokazała się ikonka drugiego pocisku. A zatem za dwadzieścia sekund rozstrzygnie się ta próba, a on za drugie tyle otrzyma informację, czy potężny wybuch jest w stanie coś zdziałać. Jeśli nawet nie, może ładunek jądrowy zmusi barierę do ujawnienia prawdziwej natury.

– Doszły – zakomunikował Shader regulaminowo.

– Norman, daj obraz z nieruchomych torped i z tej nieuzbrojonej. Na ogólny ekran.

Projekcja holograficzna wciąż jeszcze emanowała spokojem i czernią przestrzeni, ale już za parę sekund miało się to zmienić. Obraz z kamer umieszczonych na torpedach pociemniał, kiedy włączyły się filtry. Ognista kula rozszerzała się, powodując, że przekaz z lecącej tuż za

nią torpedy urwał się. Na szczęście dwie wystrzelone przedtem kontynuowały transmisję.

– O kurwa – powiedział Martinez, wyrażając tym krótkim słowem to, co mogliby powiedzieć też inni.

Eksplozja nuklearna nagle zgasła. Mordercze małe słońce zakończyło życie o wiele za prędko. Wyglądało to, jakby bariera wchłonęła całą energię. A torpeda lecąca z jedną dziesiątą prędkości światła zatrzymała się w miejscu, podobnie jak jej dwie siostry.

– Costa – Aidan wywołał dział skanerów – co masz na odczytach?

– Nic – dobiegła po chwili odpowiedź. Sądząc po głosie, bosman musiał pokonać własne osłupienie. – Zupełnie nic, panie kapitanie! Jakby tego cholernego wybuchu w ogóle nie było! Te trzy pieprzone piguły sobie wiszą, a po uzbrojonej nawet ślad nie został!

– Żadnego promieniowania?

– Nic, cholera! Też nie mogę w to uwierzyć. To coś rozproszyło i wchłonęło zarówno energię eksplozji, jak i całe promieniowanie!

Aidan poczuł ukłucie paniki. Tam, dwadzieścia sekund świetlnych przed nimi, znajdowało się coś, z czym ludzkość jeszcze się nie zetknęła. W tej chwili kapitan miał ochotę zawinąć się i odlecieć. Niech przyślą tu ekspedycję jajogłowych, którzy może zdołają się czegoś dowiedzieć.

Ale nie mógł. Za tą tajemniczą zaporą znajdowała się równie zagadkowa materia, powiększająca rozmiary z każdą minutą, i wszystko wskazywało na to, że oba zjawiska są ze sobą ściśle związane. Tylko w jaki sposób? Być może bariera była immanentną cechą materii, ale czy to było jedyne możliwe wytłumaczenie? W zetknięciu z nieznanym człowiek traci pewność siebie i przestaje ufać własnemu oglądowi świata.

Kapitan potrząsnął głową, pozbywając się niechcianych myśli. „Wystarczy tego dobrego, bierz się do roboty, ludzie czekają na rozkazy!”

– Poruczniku Farlan, chcę nawiązać łączność z okrętami Republiki. Nadasz wiadomość w szerokim paśmie, muszę mieć pewność, że ją odbiorą.

– Słucham? – Łącznościowiec wytrzeszczył oczy na kapitana. – Co mam zrobić?

– Jesteś oficerem łączności? Jesteś – warczał Aidan. – A zatem zajmij się łącznością. Szerokie pasmo, powiedziałem.

– Ale zdaje pan sobie sprawę, że taki sygnał dotrze nie tylko do tych przed nami, ale też ich sił głównych?

– Tak. I naszych też – zgodził się Aidan. – Mam to głęboko w dupie, poruczniku. Do roboty!

A potem zwrócił się do Martineza:

– Diego, wyznacz najprostszy kurs prowadzący do pozycji wroga, biorąc pod uwagę, że ta bariera ma kształt kulisty.

– Tak jest!

Widząc, że Farlan wklepuje ustawienia na klawiaturze, sam połączył się z resztą jednostek.

– Uwaga, kapitanowie – powiedział – proszę przyjąć rozkaz dowódcy grupy do natychmiastowej realizacji.

*

Dowódca niszczyciela „Fitzcarraldo” spojrział na swojego nawigatora.

– Słyszałeś, synku?

Miał zwyczaj zwracać się w ten sposób do każdego członka załogi. Jednych to irytowało, inni uznawali to określenie za objaw przywiązania kapitana do swoich ludzi. Nikt jednak nie protestował i nie śmiał pytać o przyczynę tak familiarnego podejścia do podwładnych. Może dlatego, że Edgar Guardado nie lubił zbędnych pytań i nie miał zwyczaju tłumaczyć się z czegokolwiek i komukolwiek bez wyraźnej potrzeby. Wymagał bezwzględnej podporządkowania się poleceniom. Dlatego na mostku jego okrętu zawsze panowała

kompletna cisza, przerywana tylko konkretnymi meldunkami.

– Tak jest, panie kapitanie – odparł porucznik. – Wprowadzam koordynaty.

Mieli ruszyć w stronę okrętów Republiki ze stosunkowo małą prędkością. Guardado, inaczej niż pozostali dowódcy okrętów, nie zadawał pytań. Dla niego sprawa była jasna od początku do końca. Samuels nie zamierzał czekać, aż wróg zaatakuje, bo zadanie wyznaczone grupie nie polegało na niszczeniu sił nieprzyjaciela, ale rozpoznaniu niezwykłego zjawiska. Inni kapitanowie na pewno też to wiedzieli, ale nie mogli sobie darować utarczek słownych z Aidanem.

– Sekcja bojowa – kapitan wywołał dział artyleryjski. – Przygotować wszelkie środki ofensywne.

– Działo hybrydowe też?

– Oszalałeś? – spytał groźnie kapitan. – Przecież znasz zapisy konwencji.

– Przepraszam, panie kapitanie. Oczywiście, że znam, ale jeśli mogę wyrazić swoje zdanie, to zasadniczo porozumienia dotyczą zwykłego pola walki, a my nie jesteśmy w sytuacji zwyczajnej. Diabli wiedzą, co może nastąpić. Nie chodzi mi nawet o wroga.

Guardado zastanowił się przez chwilę. Działo hybrydowe było narzędziem służącym do zadań zasadniczo niezwiązanych z prowadzeniem walki i stanowiło wyposażenie jednostek inżynieryjnych i ratunkowych, ale też okazało się bronią niesłychanie skuteczną na bezpośrednich dystansach. Na tyle, żeby na mocy porozumienia Cesarstwa i Republiki zakazać jego użycia w celach militarnych. Ponieważ „Fitzcarraldo” pełnił również funkcję zapasowej jednostki ratunkowej, został wyposażony w generator infradźwięków, służący do rozłupywania kadłubów uszkodzonych okrętów, w których pozostawała uwięziona załoga. To był najszybszy sposób przedarcia się przez solidne płyty ceramitowo-palladowych pancerzy najcięższych jednostek. Wystarczyło zgrać częstotliwości drgań i po kilku sekundach otwierała się droga do wnętrza. Rzecz jasna, przy osłonach siłowych i tarczach elektromagnetycznych zadanie było znacznie utrudnione, ale kiedy tylko ochrona ulegała osłabieniu, broń hybrydowa robiła swoje. Właśnie dlatego obie strony przestrzegały zakazu jej używania i wyposażano w takie urządzenia niewiele okrętów, głównie wielozadaniowych. Wyjątkiem, jeśli chodziło o stosowanie takiego oręża, byli piraci, ale od nich nikt nie wymagał stosowania się do jakichkolwiek konwencji. Ich dusiło się jak pluskwy, kiedy tylko nadarzyła się okazja – wszelkimi dostępnymi metodami, bez oglądania się na względy humanitarne.

– Nie – powiedział w końcu kapitan. – To zostaw w spokoju. Też bym wolał mieć naładowany generator, ale republikanie od razu się zorientują, że uruchomiliśmy hybrydę, a Samuels najwyraźniej ma inny pomysł niż walka. Nie należy wroga prowokować niepotrzebnie.

– Tak jest.

– Kapitanie – odezwał się nawigator – mamy sygnał.

– Mała naprzód – rozkazał Guardado. – Ster lewo na burt plus trzy stopnie – użył przestarzałego, ale wciąż jeszcze dopuszczalnego terminu. – Po zwrocie zajmiesz nakazaną pozycję szesnaście stopni nad „Sirene”.

Podchodzili do wroga w ustawieniu romboidalnym. „Sirene” stanowiła dolny róg figury, „Fitzcarraldo” górny, „Greese” znajdował się w rogu lewym, a „Santorino” w prawym. Taka konfiguracja miała pokazać przeciwnikowi, że okręty nie są nastawione na walkę, ale jeśli druga strona posunie się do działań ofensywnych, bez problemów przyjmą szyk bojowy. Z takiego ustawienia bowiem bardzo łatwo było przejść do dowolnej konfiguracji w ciągu dosłownie paru sekund.

Posuwali się w ślimaczym tempie, dając republikanom możliwość i czas na przemyślenie sensu i intencji działań.

– „Sirene” stara się nawiązać kontakt z okrętem dowódcy grupy Republiki zawiadomił

łącznościowiec.

W odpowiedzi kapitan tylko skinął głową. Nie wiedział dokładnie, co kombinuje Aidan Samuels, ale miał nadzieję, że kombinuje dobrze.

*

Wiceadmirał wiedział, że musi się uzbroić w cierpliwość, ale każda minuta oczekiwania wydawała mu się wiecznością. Pozostały prawie dwie godziny do czasu, aż nadejdą pierwsze wiadomości od grupy zadaniowej Aidana.

– Niech diabli wezmą tych skurwieli, którzy żałują na komunikatory splątaniowe! – warczał wściekle, nie zważając na obecność na mostku inkwizytora. – Powinny być wreszcie na każdej, najmniejszej nawet łajbie!

– Doskonale pan wie, admirale, że to niemożliwe. – Don Sebastian poczuł się w obowiązku udzielić odpowiedzi. – To jest i pozostanie nadal towar ściśle reglamentowany.

– Wiem, wiem. – Romero machnął ręką. – Boicie się, że utracicie władzę, jeśli komunikacja kwantowa stanie się ogólnodostępna.

– Ażeby pan wiedział, admirale. O wiele łatwiej jest rządzić i zarządzać zasobami ludzkimi, jeśli poszczególne grupy nie posiadają bezpośredniej łączności.

Wiceadmirał westchnął i pokręcił głową.

– Pewnie, że to rozumiem. I wcale się nie dziwię. Te wszystkie kolonie, jakie trzymamy za twarz dzięki uzależnieniu od dostaw i niedopuszczaniu do ogólnej sieci informacyjnej, mogłyby się dogadać między sobą i zbuntować. Słyszałem to nieraz na naradach. Ale przecież cała łączność i tak przechodziłaby przez centralę, prawda? Może więcej nawet niż jedną, ale wszystkie byłyby łatwe do kontrolowania. Inaczej nie da się tego zrobić ze względu na naturę komunikacji kwantowej. Jak niby mieliby się dogadywać, skoro każde podejrzone zdanie zostałoby natychmiast wychwycone, a winni pociągnięci do odpowiedzialności?

Teraz westchnął Lerma.

– Tak, w pewnym sensie ma pan rację. Natura sieci komunikacji kwantowej wymaga istnienia centralnego ośrodka, w którym zbiegają się wszystkie nici i za którego pośrednictwem jedynie można przysyłać wiadomości. Rzecz oczywista, iż nic łatwiejszego, niż sprawować pełny nadzór nad taką siecią. Nie docenia pan jednak ludzkiej pomysłowości, admirale. W przeszłości niejedno imperium, którego władcom wydawało się, że jest nie do obalenia, zostawało rozbite od środka właśnie dlatego, że władza nie potrafiła zapobiec spiskom. A spisek zaczyna się od słów, nie od czynów. Czyny bywają mniej groźne, bo z reguły są całkowicie jednoznaczne. Słowa zaś mogą znaczyć coś innego, niż się słuchającemu wydaje, i wtedy zaczyna się problem.

– Co pan ma dokładnie na myśli, Ekscelencjo?

– Szyfr, admirale.

– Szyfr? – Romero roześmiał się. – Uważa pan, że spiskowcy będą się posługiwać zaszyfrowanym językiem? Na przykład „lambda, delta, trzydzieści osiem, omega pięć”? Przecież to by było tym bardziej podejrzane.

– Naprawdę pan nie rozumie czy tylko się ze mną droczy? – Lerma niecierpliwie strzepnął dłonią. – Mówiłem, że słowa mogą znaczyć coś innego, niż się wydaje, a nie o jakichś dziwnych szyfrach. Po prostu jeden uczestnik spisku zawiadamia drugiego, używając pewnego kodu. Powiedzmy, przesyła wiadomość o wyniku rozgrywek sportowych albo wygranej w wyścigach jakichś tam zwierząt na danej planecie, a w istocie rzeczy pod tą przykrywką przekazuje informacje o rozmieszczeniu i ruchach wojsk lub floty.

Romero znów się zaśmiał.

– Pewnie, że wiem, o co panu chodziło. Ale jak niby spiskowcy mieliby stworzyć ten szyfr, nie mając uprzednio nieskrępowanej, pozbawionej nadzoru łączności?

– Przedtem nie docenił pan ludzkiej pomysłowości, a teraz nie docenia pan cierpliwości człowieka. A właściwie cierpliwości całych społeczeństw i nacji. Tworzenie takiego szyfru może zajmować lata, a nawet dziesiątki lat. W dawnych epokach spisek był sprawą zgromadzenia się jakiejś liczby niezadowolonych ludzi w jednym miejscu, jego zawiązanie zajmowało dosłownie chwilę. Teraz musimy się liczyć z procesami, które zachodzą równie powoli jak eksploracja kosmosu. Wszystko osiągnęło nieporównanie większą skalę. Rewolucji nie wywoła grupka rzutkich, zdeterminowanych i gotowych na wszystko narwańców. Teraz rewolucję musi organizować wielu ludzi w wielu najróżniejszych miejscach w ciągu długiego czasu.

– Zaraz – zaoponował wiceadmirał. – Przecież zdarzają się incydenty w koloniach. Bunt.

– Właśnie – przytaknął Lerma. – Dobrze pan to ujął. Zdarzają się incydenty. To lokalne ruchawki, w których biorą udział gorące, niecierpliwe głowy. Mają zasięg tak ograniczony, że w zasadzie zupełnie się nie liczą, nie stanowią najmniejszego zagrożenia dla integralności państwa. Przeciwnie, traktować je można wręcz jako pewien wentyl bezpieczeństwa. Najbardziej niespokojne duchy w danej populacji zostają dzięki takim zrywom spacyfikowane. Przecież sam pan brał udział w karnych ekspedycjach.

Widząc, jak na wspomnienie o tym na twarzy rozmówcy pojawia się wyraz niesmaku, inkwizytor rozłożył ręce.

– To kwestia racji stanu. Mało komu podoba się wykonywanie takich zadań. A ja osobiście wolę wysłać do pacyfikacji tych, którym się taka robota nie podoba. To daje gwarancję, że nie będą przesadzać i rozdawać ciosów na oślep, gdyż entuzjazm nie jest tutaj pożądany, zbyt gorliwe duszenie buntu może prowadzić do jego rozszerzania się. Ale wróćmy do istoty zagadnienia. Jak już powiedziałem, drobne rozruchy nie są groźne. Należy się obawiać tych wywrotowców, którzy planują pracę na lata. To oni mogą rozwinąć niewidzialną pajęczynę porozumień. A kiedy będzie gotowa, wystarczy jedno zdanie, aby dokonać przewrotu, a przynajmniej groźnej próby. Bo ważne jest wówczas tylko jedno: żeby wszyscy, do których to kluczowe zdanie ma dotrzeć, dobrze je zrozumieli. I żeby nastąpiło to mniej więcej w jednym czasie. Mogą to być też różne sygnały, oznaczające to samo. Chodzi o zasadę. Już pan rozumie?

– Tak – mruknął Romero. – Powszechny przekaz kwantowy umożliwiłby spiskowcom nie tyle samo zorganizowanie się, co ogłoszenie powszechnego buntu w jednym czasie. Nigdy o tym w ten sposób nie myślałem.

– Bo jest pan żołnierzem, nie politykiem. Nie musi się pan zastanawiać nad tym, jak państwo ma funkcjonować. Pan broni imperium przed wrogiem zewnętrznym, a nie zagrożeniem ze strony poddanych Jego Cesarskiej Wysokości.

– Oczywiście nie licząc ekspedycji karnych – burknął wiceadmirał.

– Oczywiście – potwierdził Lerma. – Jednak bunt także należy traktować jako zagrożenie zewnętrzne, ponieważ spora ich część jest wywoływana przez agentów Republiki.

– Jednak skoro sam pan mówi, że siły zbrojne bronią Cesarstwa przed wrogiem zewnętrznym, dlaczego nie wyposażyć całej floty w komunikatory kwantowe? Wtedy byłoby łatwiej działać. O wiele łatwiej. – Romero myślnie wrócił do najbardziej palącej sprawy. – Jak chociażby teraz. Wiemy, że w pobliżu naszych okrętów znajduje się wróg, i musimy czekać godzinami, aż dotrze informacja, co się właściwie dzieje. A gdyby umieścić chociaż na jednym z naszych niszczycieli nadajnik kwantowy...

– Tobyśmy wiedzieli od razu, zgadza się – wpadł mu w słowo inkwizytor. – Ale niech pan mi powie, kto służy we flocie?

– Jak to kto? – Wiceadmirał wzruszył ramionami. – Ludzie. Poddani imperium i najemnicy.

– Właśnie. Pomińmy najemników, bo dopóki im się płaci, dopóty służą wiernie. Choć i tu zdarzają się wyjątki. A skąd pochodzą marynarze i dowódcy?

– Zawszą. – Znów ruch ramion wiceadmirała. – Z całego imperium. Zaraz. – Spojrzał bystro na inkwizytora. – Już rozumiem. Władza obawia się, że w związku z tym lojalność niektórych wobec cesarza i samej floty mogłaby być mniej ważna niż lojalność względem własnej społeczności. Tak?

– Mniej więcej. A jeśli nawet nie do końca, to marynarze i żołnierze udają się na urlopy w rodzinne strony. Cóż prostszego, niż skorzystać z okazji, aby za pośrednictwem jednego, drugiego i tysięcznego zwykłego, naiwnego wojaka przesłać jakąś wiadomość?

– To już paranoja. To wręcz niemożliwe. Zgranie takiego spisku wymagałoby już nie dziesiątków, ale nawet setek lat! – zaprotestował wiceadmiral.

– Naprawdę nie docenia pan ludzkiej cierpliwości i determinacji. W każdej społeczności, nawet żyjącej w dobrobycie, znajdują się niezadowoleni, gotowi do konfrontacji z rządzącymi. A o naszych koloniach można powiedzieć wszystko, tylko nie to, że są rajskimi wyspami na błękitnym, ciepłym oceanie nieba. Są cholernymi, zapyziałymi dziurami, porozrzucanymi w zimnej, okrutnej przestrzeni. To dość, by ten i ów zapragnął zmiany. A skoro już zapragnie, prędzej czy później zacznie działać. Dokąd niezadowoleni nie mają ze sobą bezpośredniej styczności, dotąd możemy liczyć na zachowanie status quo. A teraz proszę sobie wyobrazić, że dajemy możliwość komunikacji splątaniowej każdemu okrętowi. Musimy liczyć się z tym, że jakiś odsetek dowódców zacznie sprzyjać ruchom rewolucyjnym, a stąd już prosta droga do rozesłania odpowiednio zakodowanej informacji w najróżniejsze miejsca opanowanego przez nas kosmosu. Dlatego w tej chwili zespół zadaniowy musi radzić sobie sam. Dlatego też upierałem się, aby dowodził nim kapitan Samuels, mimo wszelkich kontrowersji, jakie istnieją wokół jego osoby.

Wiceadmiral przez dłuższą chwilę milczał, rozważając implikacje tego, co przed chwilą usłyszał. Że też nigdy nie spojrział na funkcjonowanie Cesarstwa z takiej strony. Ale było jeszcze coś, co musiał powiedzieć.

– Wiem, że także w Republice władze pilnują monopolu na przekaźniki kwantowe. Ale nie tak ściśle! W ich flocie znajduje się większa liczba komunikatorów splątaniowych!

Inkwizytor pokiwał z politowaniem głową.

– Tak głośni ich propaganda – powiedział z kwaśnym uśmiechem. – I widzę, że skutecznie dociera nawet do wyższych oficerów naszej dzielnej marynarki. Ale proszę mi wierzyć, że to nieprawda. Podobnie jak my, dają takie komunikatory tylko na okręty główne. Zresztą nasza dezinformacja działa tak samo. I być może w tej chwili po tamtej stronie jakiś ich admirał prowadzi podobną rozmowę z komisarzem przydzielonym do grupy bojowej.

– Ale są jeszcze piraci. Oni by mogli przecież pomóc w wywołaniu buntu.

– A im to po co? – Lerma wzruszył ramionami. – To zwykli rabusie, a nie romantyczni bohaterowie z kart dawnych powieści. Istnienie Cesarstwa i Republiki, pozostających w stanie permanentnej wojny, jest im jak najbardziej na rękę. Dzięki temu nikt nie ma możliwości zebrania dostatecznych środków, aby rozwiązać problem piractwa raz na zawsze. A po takiej rewolucji wiadomo, co by się stało? A nuż przestałyby istnieć obecne podziały polityczne i komuś przyszłoby do głowy rozprawić się z bandytami.

Romero znów zamilkł. Czuł się jak uczeń oświecany przez profesora i świadom nagle ogromu swojej naiwności.

– Mam jeszcze tylko jedno pytanie, Eksceleńco.

– Słucham.

– Mówił pan o tym, że spisek może się zawiązać mimo rozległości imperium i przy teoretycznym przynajmniej braku kontaktów między naszymi koloniami.

– Mówiłem.

– Czy taki spisek już kiedykolwiek został wykryty?

Lerma długo patrzył w oczy wiceadmirała, zanim odpowiedział:

– A gdyby tak nawet było, uważa pan, że odpowiedziałbym na to pytanie twierdząco? Naprawdę spodziewał się pan jakiegokolwiek odpowiedzi?

Wiceadmirał pokręcił głową z lekkim uśmiechem.

– Chyba nie. Ale musiałem spróbować. W takim razie jednak mam jeszcze jedno pytanie. Ja doskonale wiem, dlaczego chciałbym, aby tamtą grupą dowodził Aidan. – Machnął ręką w stronę ekranu, na którym widniał punkt będący tajemniczym obiektem. – To najlepszy dowódca niszczyciela, jakiego w życiu widziałem. Może najlepszy dowódca w ogóle, mimo tych sławetnych kontrowersji wokół jego osoby. Ale dlaczego pan mu tak bardzo zaufał? Przecież nie darzycie się nawet cieniem sympatii.

Lerma odpowiedział natychmiast, bez zastanowienia:

– Cenię go z tych samych powodów, co pan. Pyskaty, krnąbrny, ale świetny dowódca, a przede wszystkim pomysłowy i z inicjatywą. Ale wiem, co budzi pańskie wątpliwości. To w końcu najemnik, w dodatku najemnik potraktowany przez sztab i sądy wojenne bardzo niesprawiedliwie. To ktoś, kto utracił możliwość uzyskania obywatelstwa Cesarstwa, co ogranicza mu możliwość zrobienia kariery.

– Właśnie, Ekscelencjo.

– Ale przecież pan mu ufa, admirale. Mimo wszystko. Dlaczego?

– Bo to człowiek honoru. Może być bezczelnym, wiecznie buntującym się sukinsynem, ale są rzeczy, których nie robi...

Romero pokiwał głową.

– A więc to tak?

– Tak – potwierdził inkwizytor. – Kluczową sprawą w rządzeniu państwem jest umiejętność korzystania z zasobów ludzkich. Znajomość ludzi i umiejętność posługiwania się ich mocnymi i słabymi stronami. A nasz przyjaciel to człowiek, który, jak pan to słusznie zauważył, pewnych rzeczy nie robi. Dla niego obraz własnej osoby, poczucie przyzwoitości i chęć bycia w zgodzie z własnym sumieniem są najważniejsze. Mimo wszystko, mimo wszelkich innych słabości.

– Ależ to wszystko jest brudne – powiedział z obrzydzeniem wiceadmirał.

– Trudno zaprzeczyć – odparł inkwizytor. – Lecz bez tego brudu, bez tych wszystkich obrzydliwości, jak mogłyby funkcjonować byty państwowe?

– Może dałoby radę inaczej?

– Może. Ale jak do tej pory nikt nie zdołał niczego skuteczniejszego wymyślić. Polityka to rzeczywiście cuchnące bagno, ale perfumowanie go utopijnymi pomysłami nigdy jeszcze dobrze się nie skończyło.

WRÓG CZY PRZYJACIEL

Na ekranach okręty Republiki pozostawały wciąż na poprzednich pozycjach. Musiał już dotrzeć do nich sygnał wysłany przez grupę Aidana oraz informacja o zbliżaniu się jednostek Cesarstwa, ale na razie wciąż jeszcze nie widać było reakcji. Samuels spojrzął na zegar. Za dwie minuty będą mieli odczyt i dowiedzą się, czy zmiana sytuacji spowodowała jakieś działania wroga. A te ostatnie minuty ciągnęły się wręcz niesamowicie.

– Robert, wszystkie systemy ogniowe przygotowane?

– Wszystkie poza bronią ostateczną.

Aidan skinął głową, choć Shader nie mógł tego widzieć – łączyli się tylko głosowo. Sytuacja była tak napięta, że żart porucznika o broni ostatecznej zabrzmiał wyjątkowo ponuro. Bronią ostateczną nazywano wyrzucenie w przestrzeń bloku generatorów wraz z antymaterią, w dodatku włączonego na pełną moc, zawijającego przestrzeń. Istniała taka możliwość. Potem zdalnie powodowano naruszenie pól siłowych, utrzymujących antymaterię w próżniowej bańce, w której nie miała szans wejść w niekontrolowaną reakcję z normalnymi cząsteczkami. Prowadziło to do wyjątkowo silnego wybuchu. To był sposób walki zakazany tak samo, jak ofensywne używanie wyrzutni infradźwięków. Zresztą trzeba było mieć zupełnie źle w głowie, żeby próbować czegoś podobnego podczas bitwy. Zniszczeniu uległoby bowiem wszystko, w tym otaczające miejsce zdarzenia jednostki własne i obce. Ani kapitanowie Cesarstwa, ani Republiki nie byli samobójcami. Nawet piraci obawiali się tego typu akcji, choć nie mieli w zwyczaju przestrzegać jakichkolwiek zasad cywilizowanej walki. Tylko raz doszło do incydentu z użyciem generatora z antymaterią jako broni i dzięki temu dokładnie było wiadomo, jak ogromne siły można obudzić podobnymi nieprzemyślanymi decyzjami. Dlatego też w razie śmiertelnego trafienia okrętu lub poważnego zagrożenia sekcji generatorów niewielka kapsuła zawierająca antymaterię była wyrzucana w przestrzeń, a jej niezwykle mocna konstrukcja gwarantowała, że nawet przy bezpośrednim uderzeniu w jakąś przeszkodę zawartość nie ulegnie uszkodzeniu. Pancierz kapsuły sporządzano z supermocnej stali korundowo-diamantowej. W jego skład wchodziło dodatkowo tyle rzadkich pierwiastków, że był wielokrotnie cenniejszy, niż gdyby toczono osłonę ze szczerzego złota. Właśnie dlatego pancierzy okrętów nie wykonywano z takiego stopu. Jeden niszczyciel byłby wówczas droższy niż cała flotylla pancerników. Kapsuła zawierała tylko niewielki zasilacz, który podtrzymywał działanie pól siłowych, więzących antymaterię przez czterdzieści osiem godzin. W tym czasie dowolna jednostka mogła podjąć cenny ładunek, później zasilanie kończyło się, a antymateria wchodziła w reakcję z wnętrzem kapsuły, a potem pancierzem. Efekt był bardzo spektakularny, aczkolwiek na pewno nie taki, jak w przypadku celowo wywołanej eksplozji w pobliżu uzbrojonych okrętów, w dodatku wspomaganą deformacją czasoprzestrzeni. Broń ostateczna... Istniała nawet koncepcja, według której reakcja anihilacji antymaterii w warunkach zakrzywionej czasoprzestrzeni miałyby prowadzić do zniszczenia całego wszechświata. Obawy okazały się – jak to zwykle bywa w nauce – mocno wyolbrzymione. Podobnie jak wtedy, gdy niektórzy naukowcy wieszczili, jakoby rozbicie jednego choćby atomu miało spowodować zagładę całej Ziemi.

– Przeciwnik uruchomił silniki relatywistyczne! – zameldował Mario Costa. Wykonują zwrot.

Na ekranie taktycznym ruch nieprzyjacielskiej formacji był jeszcze niewidoczny dla ludzkiego oka, ale bosman dysponował dokładnymi, szczegółowymi odczytami, interpretował

surowe dane wprost ze skanerów. Na podstawie najdrobniejszych różnic oscylacji sygnału potrafił stwierdzić z wielką pewnością, co robi wróg. Gdyby znajdowali się w odległości bojowej, mógłby podać informacje o włączaniu poszczególnych systemów broni, zanim przetworzone dane trafiłyby na wyświetlacz dowódcy. W przypadku konieczności podejmowania błyskawicznych decyzji pomoc sekcji skanerów i nasłuchu była nie do przecenienia. To dzięki niej kapitan wiedział, przynajmniej w przybliżeniu, jakiej częstotliwości działa laserowe przygotowanie nieprzyjaciela i jakie wibracje pancerza mają zadysponować w sekcji osłon, żeby zneutralizować cios.

Wreszcie punkciki na wyświetlaczu taktycznym drgnęły i zaczęły płynąć w ślimaczym tempie, pełząc do środka hologramu. Aidan zastanawiał się, kiedy odpowiedzą na informację wysłaną zaraz po obraniu przez jego grupę kursu na kontakt. I czy w ogóle odpowiedzą. Bo w każdej chwili mogą pójść całą naprzód, a nawet wskoczyć w nadświetlną, to by zaś oznaczało walkę.

Aidan przymknął oczy, przywołując z pamięci to, co wygłosił. Jak to szło?

Do dowódcy grupy okrętów floty Republiki. Biorąc pod uwagę zaistniałe okoliczności, proponuję zaniechać wszelkich działań zaczepnych. Na razie, z oczywistych przyczyn, deklarujemy jednostronne zawieszenie broni, ograniczone do naszych czterech jednostek. Uważam, że w obliczu nieznanego zagrożenia, znajdującego się za równie tajemniczą barierą, nie powinniśmy prowadzić działań zaczepnych. Brak odpowiedzi na moją propozycję będę zmuszony uznać za deklarację kontynuowania walki.

Zapewne mógł to powiedzieć bardziej elegancko, starannie dobierając słowa, ale nie miał czasu zastanawiać się nad formą. Najważniejsze, że wiadomość była jasna i komunikatywna.

– Nasłuch, co widzisz?

– Nic, sir – padła odpowiedź. – Lecą ku nam z jedną dziesiątą światła. Na razie powtarzają nasze manewry.

– Dzięki. Ster – Aidan zwrócił się do nawigatora. Kilka minut wcześniej Martinez zastąpił podporucznik Ridaa. Diego musiał chociaż chwilę odpocząć, aby objąć alarmową wachtę, zanim grupa zbliży się do okrętów Republiki.

– Tak jest, señor... to znaczy sir. – Ales Ridaa służył tak długo pod potomkiem jakiegoś granda, że mimo dwóch lat przebywania na „Sirene” wciąż mylił zwroty grzecznościowe.

– Zwiększ prędkość do trzydziestu procent światła. Z tą jedną dziesiątą doczołgamy się do tamtych za jakieś trzy godziny, o ile się nie mylę.

– Za sto osiemdziesiąt dwie minuty – uściślił nawigator.

– Właśnie.

„A poza tym szybciej napotkamy ich przekaz z odpowiedzią” – pomyślał. „O ile jakiś w ogóle przyślą. Cholera, ich skiper już powinien jakoś zareagować!”

Naprawdę nie miał ochoty na walkę w takiej sytuacji. Ta przeklęta bariera nie dawała mu spokoju. Co to mogło być? Przydaliby się jacyś naukowcy, którzy mogliby zinterpretować dane i wyniki obserwacji. Jemu nic nie przychodziło do głowy. Może Diego, kiedy się trochę prześpi, zdoła coś wymyślić. Ten chłopak potrafił zaskakiwać nawet Aidana, który znał go od chwili, kiedy Martinez dostał się do niewoli. W końcu to on sam pokonał szczeniaka w krótkiej walce i dał mu wybór – sztych w gardło albo niewola. Na szczęście dzieciak nie był taki głupi, żeby uwierzyć w to całe pirackie gadanie o poświęcaniu życia w imię honoru. Zresztą chłopak miał okazję obejrzeć wcześniej ten honor bandytów, kiedy najechali jego kolonię i bez najmniejszego powodu zabili zarządcę wraz z rodziną. Diego był wtedy ośmioletnim chłopcem, życie wśród piratów sprawiło, że wydarzenia zatarły się w jego pamięci, ale najwyraźniej nigdy nie znikły zupełnie. Aidan oszczędził go jako jedyne z pirackiego kutra raketowego. Inna rzecz, że pozostałych członków załogi nie wzywał nawet do poddania. Nie przyszło mu to do głowy po tym, co zastał na pokładzie statku niewolniczego

eskortowanego przez ten kuter.

– Wiadomość, kapitanie – powiedział Farlan głośniej, niż należało w ciszy panującej w tej chwili na mostku. – Od dowódcy grupy Republiki.

– Dawaj na główne holo.

Na trójwymiarowym wyświetlaczu pojawiła się pobrużdżona twarz mężczyzny około czterdziestki, o szpakowatych włosach i chłodnych, szarych oczach, okolona niewielką brodą, nadającą mu wygląd kojarzący się z wilkiem morskim z czasów okrętów żaglowych.

– Z tej strony komandor porucznik James Bernhardt, dowódca grupy bojowej i kapitan niszczyciela „Hornblower”. Otrzymałem pańską wiadomość, kapitanie Samuels. W chwili, kiedy odbiera pan tę transmisję, lecimy już w waszą stronę z jedną trzecią prędkości światła. Proszę obliczyć punkt spotkania według podanych niżej koordynat. Zgadamy się na tymczasowe zawieszenie działań bojowych w obliczu nieznanego niebezpieczeństwa.

Na wyświetlacz wpłynęły dane dotyczące planowanych manewrów grupy Republiki.

– Ales, masz to u siebie?

– Mam, kapitanie – odpowiedział Ridao. – Komp już obliczył spodziewany punkt i czas spotkania, zakładając, że nie zmienimy prędkości.

– Nie będziemy zmieniać. Farlan, nadaj to do nich i przekaz informację o spodziewanym punkcie spotkania. Nadaj też komunikat, że proponujemy, aby grupy wytraciły całkowicie prędkość na dziesięć sekund świetlnych przed jego osiągnięciem. „Sirene” wyleci naprzód na odległość pół sekundy. Niech „Hornblower” zrobi to samo. Będziemy mogli porozmawiać bez irytujących opóźnień.

– Tak jest, sir. Na dziesięć sekund świetlnych przed punktem zero zatrzymanie grup, wylot jednostek dowódczych na odległość dziewięciu i pół sekundy przed formacje – potwierdził rozkaz Farlan.

– Zgadza się. Nadawaj.

Farlan pochylił się nad konsolą, naciągając mocno pasy fotela. Mógł ją do siebie przysunąć, ale ten wymuszony ruch, pokonanie oporu chyba były mu potrzebne. Napięcie na mostku zdawało się rosnać z każdą chwilą. Ani Farlan, ani Ridao nie znajdowali się jeszcze nigdy w sytuacji, w której trzeba paktować z wrogiem, w dodatku nie mając na to zgody dowództwa. Aidan też nie musiał jeszcze nigdy tego robić. Ale prowadzenie walki za wszelką cenę było w tej chwili bez sensu, przynajmniej jego zdaniem. Bo opinii kapitana nie musiał dzielić ani wiceadmirał, ani inkwizytor, ani admirał Gonzaga, ani wreszcie Najwyższa Komisja Dyscyplinarna przy Radzie Jego Cesarskiej Wysokości.

– Norman, skończyłeś? – spytał po dłuższej chwili.

– Tak jest, sir.

– W takim razie przekaz teraz tę wiadomość na nasze pozostałe jednostki.

Właściwie powinien to zrobić osobiście – połączyć się z dowódcami okrętów i porozmawiać z nimi, przedstawić swoje motywacje. Nie miał jednak w tej chwili na to najmniejszej ochoty. Nie chciał się rozpraszać. Tak sobie to przynajmniej usiłował tłumaczyć, chociaż wiedział przecież, że po prostu nie ma ochoty wysłuchiwać opinii dowódców okrętów. Z góry wiedział, co powiedzą. A przynajmniej dwoje. Amanda jak zwykle wygłosi jakąś złośliwą uwagę, zapewne na temat ostrożności, z kolei Moreno zacznie się pieklić, że nie idą w bój. Jak sam niedawno stwierdził, zawsze był za tym, żeby atakować. Co do Guardada Aidan nie miał pewności, zbyt mało się znali. Ale z tego, co zdążył się zorientować, kapitan „Fitzcarraldo” nie komentowałby decyzji dowódcy. Ale ten brak komentarza byłby równie dotkliwy jak złośliwość Amandy i uwagi Morena na temat odwagi.

Gorzkie rozmyślenia przerwał mu sygnał dobiegający z holo. Aidan skrzywił się. Amanda. Mimo wszystko musi się na nim powyżywać, dobrze przynajmniej, że wybrała prywatne łącze, rozmowa nie będzie szła przez panel Farlana. Naprawdę nie miał teraz ochoty na

konwersację, ale nie mógł też zlekceważyć wezwania od dowódcy okrętu znajdującego się pod jego rozkazami.

– Czego chcesz, kobieto? – spytał opryskliwie.

– Słuchaj, Aidanie – zaczęła tym swoim irytującym miękkim tonem właśnie otrzymałam ostatnie rozkazy. Doskonale wiesz, że co innego lecieć na spotkanie z wrogiem z zamiarem niepodejmowania walki, a co innego otwarcie się z nim dogadywać.

– Wiem, do ciężkiej kurwy nędzy – warknął. – Zamierzasz mnie od tego odwozić?

– Co innego myśleć o jakimś porozumieniu z przeciwnikiem – ciągnęła, jakby nie usłyszała jego uwagi – a inna rzecz naprawdę się porozumieć.

Milczała przez dłuższą chwilę, a potem podjęła:

– Rozmawiałam z Morenem i Guardadem.

„Bunt?” – przeleciało przez głowę Aidanowi. „Sprzeciwia się rozkazom? Niczego nie mogę wykluczyć”.

Kapitanowie mogli dojść do wniosku, że samowolne rozmowy z wrogiem mogą zostać negatywnie ocenione przez wyższe dowództwo. Mieli wówczas prawo odmówić wykonywania rozkazów i wyznaczyć nowego dowódcę. Sprawę słuszności ich działań rozstrzygał po powrocie do bazy trybunał wojenny. Ale żeby nawet Amanda się do tego przyłączyła?

– I co wam wyszło z tych cennych rozmów za moimi plecami? – Cały czas był opryskliwy.

– Niepotrzebnie się ciskasz, człowieku – powiedziała Amanda, wydymając wargi. Wyglądała teraz jak rozgniewana dziewczynka. – Chcę ci przekazać, że rozumiemy i w pełni popieramy twoje działania. Jeśli staniesz przed komisją dyscyplinarną, możesz liczyć na nasze wsparcie.

Aidan odetchnął głęboko.

– Dzięki – wydobył to ze ściśniętego wrzuceniem gardła dopiero po kilku sekundach. Znowu odetchnął i rzucił już normalnym tonem: – A teraz wracać do roboty, cholera jasna. Musicie zapracować na wasze kapitańskie uposażenie.

– Szalona odwaga ujawnia się nie tylko w walce – rzuciła jeszcze Amanda, zanim przerwała połączenie.

Aidan przez dłuższą chwilę wpatrywał się w milczący już panel komunikacyjny, na którym piękną, choć zmęczoną twarz kobiety zastąpiło logo sztabu Floty Kosmicznej Jego Cesarskiej Wysokości.

Potrząsnął głową i spojrzał na Farlana, który uśmiechał się domyślnie.

– No i czego szczerzysz te żółte kły? – warknął kapitan.

– Niezmiernie interesująca wymiana zdań, sir. – Uśmiech Farlana jeszcze się poszerzył.

Samuels spojrzał na panel. Chorąży z jakiegoś powodu łączył się z nim dokładnie w tym samym czasie, co Amanda, na dodatek wchodząc na ten sam kanał, więc miał możliwość wysłuchania ich rozmowy.

– A ciebie mama nie uczyła, że nieładnie podsłuchiwać rozmowy starszych? – huknął basem Aidan. – W dupę można za to dostać od rodziców. A od dowódcy parę dni ścisłego. Anceł akurat mamy pusty.

Farlan przymrużył lewe oko, nie zmieniając przy tym wyrazu twarzy. „Przyda nam się trochę odprężenia” – przeleciało przez głowę Aidanowi. „Skoro nawet ten służbista się rozluźnił, napięcie musiało być cholernie duże”. Sam odetchnął z ulgą, kiedy okazało się, że nie czeka ich kolejna walka przy tej przeklętej barierze.

– Norman, zawołaj zmianę i idź odpocząć choćby godzinę.

– Nie jestem zmęczony, sir...

– Nie pieprz głupot! Nawet tego osiłka Martineza zmogło, a co dopiero ciebie, bez obrazy. Zasuwasz. Wrócisz na stanowisko, kiedy zbliżymy się do okrętów wroga.

Farlan nie dyskutował dłużej. Kapitan miał świętą rację – był zmęczony, ciągle napięcie dawało się we znaki.

Po minucie od wezwania na mostek wpłynął podchorąży z trzeciej wachty, pełniący dyżur alarmowy, a Farlan z gracją opuścił stanowisko dowodzenia.

Aidan nie znał żadnego innego marynarza, który by potrafił zachować taką godność w ruchach, dostojność i elegancję w warunkach braku grawitacji jak ten chorąży. Zapewne Amanda umiała poruszać się jeszcze ładniej, ale przecież była kobietą, u niej takie rzeczy powinny być wrodzone.

*

– Co to może być, do ciężkiej cholery? – zastanawiał się głośno wiceadmirał po przeczytaniu do końca raportu sekcji naukowo-badawczej. Czy naprawdę nikt nie potrafi nic na ten temat powiedzieć?!

To, co znajdowało się w centrum grawitacyjnym Regora, nie pasowało zupełnie do niczego, co ludzkość do tej pory napotkała. I żeby to jeszcze tylko pojawiło się i niepokoiło. Ale to cholerstwo rosło, i to w postępie wykładniczym.

Ludzie na mostku milczeli, nawet wielki inkwizytor. Romero, zapoznając się z dokumentem, kłął soczyście i ordynarnie. Całym sobą dawał do zrozumienia, że lepiej mu teraz nie podchodzić pod rękę. W takich chwilach w wiceadmirałce odzywała się gorąca, nieposkromiona krew przodków, pochodzących z Półwyspu Iberyjskiego. Nie żadnych tam dumnych i potężnych grandów, nie hidalgów nawet, ale zwykłych zubożałych, aczkolwiek zawsze zapalczywych szlachciców katalońskich czy zgoła bitnych chłopów. W przekazie rodzinnym dumnym epizodem miał być udział jednego z przodków w wyparciu z Iberii wojsk sławnego Karola Wielkiego. Ponoć grupa Katalończyków postanowiła wspomóc dzielnych Basków w walce przeciw Frankom, pragnącym zhołdować niepokorne ludy. I to właśnie praszczur dzielnego Rodriga Pedra Romera miał przyczynić się do śmierci hrabiego Rolanda, opiewanego w średniowiecznym eposie. Rzecz jasna, wiceadmirał nie dowierzał tym przechwałkom. Każdy ród, który doszedł do jakiegoś takiego znaczenia, tworzył legendy. Gdyby zliczyć wszystkich domniemanych zabójców Rolanda, zebrałoby się ich co najmniej pięćdziesiąt tysięcy. A w wojnie przeciw cesarzowi Franków musiałyby brać udział przynajmniej cztery miliony wojowników. Zważywszy na to, że całe państwo Karolingów liczyło wówczas może z piętnaście milionów ludzi, a Basków i Katalończyków liczono raczej w tysiącach, oczywiste wnioski nasuwały się same.

Ale gorąca krew, jaką dostał w darze od antenatów, była faktem niezaprzeczalnym. Na ogół trzymał nerwy na wodzy, ale tym większą złością reagował, kiedy tamy wreszcie puszczały. I tym większy budził wtedy strach.

Dlatego teraz żaden z podwładnych nie zamierzał się narazić na gniew dowódcy, a nawet Lerma wolał mu nie wchodzić przed oczy, żeby nie padły jakieś słowa mogące zachwiać autorytetem dostojnika. Don Sebastian był zbyt inteligentny, żeby nie zdawać sobie sprawy, iż lepiej odczekać, a każda upływająca chwila przywraca wiceadmirałowi rozsądek i umiejętność zdrowego osądu. Był w tym podobny do Aidana Samuela czy Gaspara Morena. Trzeba dać się im czasem wyszczekać, puścić mimo uszu kąśliwe uwagi, a będą się sprawować jak doskonale naoliwiony mechanizm. Aż do następnego wybuchu. Różnica między wiceadmirałem a Samuelem była taka, że Aidan potrafił mimo wszystko nad sobą zapanować w każdych okolicznościach.

– Co to jest? – powtórzył Romero, teraz już spokojnie. Obrzucił Lermę zmęczonym, bezradnym spojrzeniem. – W co się znowu wpieprzamy? To coś tam, w punkcie zerowego oddziaływania grawitacyjnego, czym ma niby być?

Don Sebastian przymknął oczy, opanowując złość. Jechali z wiceadmirałem na jednym

wózku, tylko oficer tego nie widział. Wydawało mu się, że inkwizytor wie więcej niż dowódca okrętu flagowego. I tak być w zasadzie powinno. Lecz nie tym razem.

– Gdybym wiedział takie rzeczy, wiedziałbym wszystko – rzekł spokojnie Lerma. – A wtedy nie byłbym inkwizytorem, tylko profesorem filozofii i teologii. Z naciskiem na tę drugą.

– To coś wciąż przybiera na masie – dodał Romero. – Najwyraźniej nie zamierza się zatrzymywać. Jeszcze trochę, a zacznie zakłócać równowagę panującą w Regorze.

– Nie możemy tego wykluczyć. – Lerma wskazał na odczyty. – Wydaje mi się, że najbardziej narażony jest składnik gamma C, najbliższy temu czemuś. Jeśli zakłócenia staną się znaczące, gwiazda się rozchwieje, procesy jądrowe ulegną zakłóceniu i będziemy tutaj mieli spektakularne widowisko w stylu supernowej.

– Na szczęście w tym rejonie nic nie ma – mruknął wiceadmirał. – Ten cholerny Regor nie nadaje się do niczego.

– Na szczęście – potwierdził Lerma. – Pytanie jednak, do jakich rozmiarów będzie się rozrastać ta zagadkowa materia. I jakie to spowoduje skutki w innych rejonach.

– Przecież to jest obszar położony bliżej Republiki – zauważył Romero. Bardziej zmartwienie ich niż nasze.

– Zgoda. – Lerma pokiwał głową. – Lecz gdy tylko karta się odwróci i zaczniemy odnosić znaczące sukcesy, zamierzamy przejąć także ten obszar Galaktyki. W tajemnicy mogę panu wyjawić, że zostały już opracowane konkretne plany. A jeśli uda nam się odepchnąć siły republikańskie, Regor stanie się naszym bezpośrednim problemem. A poza tym... – zamilkł na moment, zanim podjął. – Poza tym w końcu żyjemy w tej samej Galaktyce, powinniśmy wiedzieć, co się dzieje, nawet na terenach znajdujących się pod okupacją wroga i w ich pobliżu.

– No dobrze – Romero wzruszył lekko ramionami – ale...

– Wiadomość od grupy zadaniowej cztery tysiące trzysta dwa łamane przez siedem! – rozległ się komunikat oficera łączności. – Nadaje kapitan Aidan Samuels.

– Dawaj go na mój ekran – zażądał wiceadmirał. – Don Sebastianie, może czegoś się dowiemy.

– Może – odpowiedział sceptycznie inkwizytor. – Ale czy z pierwszej wiadomości coś ważnego wyczytamy?

Już po chwili przekonał się, jak bardzo się myli. Kiedy głos Aidana zamilkł, a ekran przestał pokazywać ściągniętą gniewem i zmęczeniem twarz kapitana, Lerma i Romero spojrzeli na siebie w osłupieniu.

– Kurwa mać, a ta bariera to niby co? – spytał retorycznie wiceadmirał.

Inkwizytor wskazał ruchem brody ekran.

– Proszę to jeszcze raz odtworzyć. Muszę się dokładnie wsłuchać w każde słowo.

*

– Ogłoś alarm drugiego stopnia – powiedział Aidan bardzo spokojnym tonem do podchorążego.

Młody mężczyzna bez słowa wprowadził kod na klawiaturze. Lampy rozbłysły pomarańczowo, wszystkie pomieszczenia wypełnił sygnał dźwiękowy. Był jednak znacznie bardziej stonowany niż brzęczyk alarmu bojowego.

Po trzydziestu sekundach na mostku pojawili się Martinez i Farlan.

– Zmiana wachty – zarządził kapitan.

To samo działo się w przedziale bojowym, w sekcji nasłuchu i w sekcji osłon. Wszyscy oficerowie i podoficerowie pierwszej wachty, zlurowani na czas przelotu, wracali na stanowiska. Aidan widział, jak meldują się na łączu taktycznym. Sam założył na ucho bazkom, który zdjął, żeby odpocząć od ciągłego szumu informacyjnego, wlewającego się do

świadomości nawet wtedy, gdy urządzenie chodziło na jałowym biegu.

– Pięć minut do spotkania – oznajmił przybyłym Aidan. – Najwyższy czas wziąć dupy w troki i zabrać się do obowiązków, skoro już się wyspalicie.

Podkrążone oczy Farlana nie świadczyły o tym, żeby spał choć minutę, ale Martinez wyglądał na całkiem wypoczętego. „Ten chłopak jest naprawdę nie do zdarcia” – pomyślał Aidan. „Przecież siedział na mostku tyle, co ja, a nawet dłużej”.

Kiedyś uznaliby, że to po prostu młodość i przypisana jej zdolność do regeneracji. Widział jednak nieraz młodych marynarzy, śmiertelnie zmęczonych, którym krótki odpoczynek nie przynosił ukojenia. Tymczasem w przypadku Diega wystarczała naprawdę chwila, żeby wrócił do siebie. Podobnie zresztą było z Shaderem, którego młodzikiem Aidan by nie nazwał. Zazdrościł takim ludziom umiejętności wyłączenia się i odpoczynku w najtrudniejszych nawet okolicznościach. Chociaż gdyby nie miał na głowie dowodzenia okrętem... Kiedy był zwykłym oficerem, a nawet zastępcą dowódcy, nie miał aż takich problemów z odpoczynkiem. Odpowiedzialność za jednostkę kosmiczną sprawiła, że o wiele trudniej było mu się odprężyć, nawet wtedy, gdy nic się nie działo. Powinien pewnie zgłosić się do jakiegoś psychologa – flota zapewniała usługi fachowców – ale jakoś o tym zapominał, kiedy był na urlopie, a poza tym na myśl, że miałby się komuś zwierzać ze swoich tajemnic, robiło mu się niedobrze. Chyba jeszcze do tego nie dojrzał, a możliwe, że nie dojrzeje nigdy, ewentualnie nawet nie zdąży, zważywszy na to, że średnia życia dowódcy niszczyciela we flocie cesarskiej wynosiła trzydzieści trzy lata. Mógł więc uznać, że i tak mu trochę darowano, może niewiele jeszcze, ale zawsze.

Patrzył, jak oficerowie zwyczajowo pozostający do dyspozycji w najtrudniejszych chwilach zajmują miejsca, a dyżurni z trzeciej wachty wypływają przez właz. Udawali się teraz do zapasowego stanowiska dowodzenia, umieszczonego w pobliżu maszynowni. Gdyby mostek został uszkodzony, stamtąd można było kierować okrętem. Chociaż, prawdę mówiąc, w przypadku niszczycieli, fregat czy korwet mostek mógł przestać istnieć tylko w razie całkowitej destrukcji jednostki. Jednak przepisy wymagały, aby istniał zapasowy punkt dowodzenia. Podobno nawet zdarzyło się kiedyś, że został wykorzystany, ale Aidan uważał, iż to tylko propaganda usprawiedliwiająca ten bezsens. Co innego krążowniki czy lotniskowce. Tam miało to sens, istniały zresztą po dwa mostki zapasowe. Z kolei na pancerniku tak naprawdę każdy moduł okrętu mógł służyć jako centrala dowodzenia, nawet wówczas, gdy okręt rozpadał się na autonomiczne elementy.

– „Fitzcarraldo”, „Greese” i „Santorino”, za dwie minuty rozpocząć hamowanie, za trzy maszyny stop. Ustawicie się w trzy palce, fregata pośrodku, pełna gotowość bojowa. Macie pilnować mojej suchej dupy, gdyby coś się stało. Podzielcie się celami, ja oczywiście biorę na siebie „Hornblowera”. Potwierdzić rozkaz.

Mówiąc to, Aidan patrzył na ikony okrętów przeciwnika. Trzy nazwy niszczycieli „Hornblower” i „Ajax” oraz korwety „Saxon” – zdążył poznać. Z „Hornblowerem” i „Saxonem” spotkał się w boju już kiedyś, „Ajax” z kolei uczestniczył w pozorowanym wypadzie grupy wroga kilkanaście godzin wcześniej. Pozostałe okręty, to znaczy fregaty „Josey” i „Harald II” oraz korwetę „Anakonda”, widział po raz pierwszy. Odczyty informowały, że te jednostki zostały zbudowane stosunkowo niedawno, a w linii znajdowały się dopiero od dwóch miesięcy. Były na tyle nowe, że wywiad nie ustalił jeszcze nazwisk dowódców, a w każdym razie nie zdążył wprowadzić ich do systemów.

James Bernhardt był kapitanem „Hornblowera” od dwóch lat. Przedtem służył jako pierwszy oficer na innym niszczycielu. Po awansie na komandora dostał własną jednostkę, nie najnowszą, ale o chlubnej przeszłości. „Hornblower” nosił dumnie imię bohatera powieści z okresu wojen napoleońskich. Przy czym większość marynarzy znających jego „czyny” była przekonana, że istniał naprawdę, tak mocno legenda zrosła się z żywą tradycją. Co ciekawe,

również we Flocie Kosmicznej Jego Cesarskiej Wysokości nadawano okrętom imię bohatera stworzonego przez C.S. Forestera. Nic dziwnego, przecież brytyjski kapitan walczył z wrogiem króla Hiszpanii, a zatem był sprzymierzeńcem. I z podobnego też powodu jedna i druga strona konfliktu hołdowała postaci admirała Nelsona.

Na ekran taktyczny wpłynęły trzy zielone symbole – potwierdzenia odebrania rozkazu.

– Minuta trzydzieści sekund do pełnego wyhamowania „Fitzcarraldo”, „Greese” i „Santorino” – poinformował Martinez. – Trzy minuty pięćdziesiąt dziewięć sekund do pełnego wyhamowania „Sirene”, biorąc pod uwagę redukcję prędkości po osiągnięciu wyznaczonego dla reszty grupy dystansu.

– Załoga, pełna gotowość bojowa – powiedział Aidan przez interkom. Sprawdzić uprząż. Maszynownia, przygotować wszystkie systemy na sto dziesięć procent. Nasłuch, oczy miejcie otwarte szeroko, jakbyście usiedli gołą dupą na kolczatce. Osłony, kondensatory tarcz dajcie na pełną moc. Przedział bojowy, palce na spustach! Cała reszta, tyłki spiąć i szykować się tak, jakbyśmy mieli w pojedynkę łomotać się z połową republikańskiej floty!

Rzecz jasna, nie musiał tego wszystkiego mówić, wystarczyło ogłosić pogotowie czwartego stopnia. Ale wiedział z własnego doświadczenia, że oficerom, podoficerom i marynarzom takie gadki dowódcy dodawały ducha. Sam siedział kiedyś jako młodszy oficer nad systemami uzbrojenia i słuchał kpiąco-krzepiących słów starego, wierząc, że skoro ten grzyb pozwala sobie na żarciki w obliczu zagrożenia, nie może być beznadziejnie, a on nie powinien być gorszy od innych, nie wolno zawieść okrętu i ludzi.

– Myśli pan, że tamci zechcą nas załatwić podstępem? – spytał Farlan.

– Nie, nie myślę. Wydaje mi się, że i oni rozumieją powagę sytuacji i że nie czas teraz na bijatykę. Ale na moim wydawaniu się nie można opierać bezpieczeństwa tej starej krypy i jej załogi. Znasz to stare powiedzenie: *si vis pacem para bellum*, prawda? Wkładają nam tę maksymę do łbów od pierwszych dni w akademii. I słusznie. Dotyczy ona wszelkich okoliczności życiowych.

– Nawet kontaktów z kobietami? – Martinez musiał wtrącić swoje trzy grosze.

– Zwłaszcza kontaktów z kobietami – odparł Aidan. – Pilnuj swoich zabawek, Diego.

– Komp pilnuje – mruknął podporucznik, ale pochylił się nad przyrządami. Nasi stoją – zameldował po chwili.

– Na dwadzieścia sekund lotu przed punktem zero przejdź na ręczne sterowanie – polecił Aidan.

W takich chwilach miał większe zaufanie do refleksu i intuicji Martineza niż decyzji komputera. Maszyny źle reagowały na niespodzianki, szczególnie te niosące ze sobą konieczność przełączania się w tryb bojowy bez uprzedniego przygotowania. Z kolei utrzymywanie gotowości bojowej niosło ze sobą ryzyko, iż mózg okrętu odczyta zupełnie neutralne posunięcia drugiej strony jako akt agresji, skoro już zidentyfikował jednostki jako wroga. Automatyczne otwarcie ognia przez systemy obronne było im teraz absolutnie niepotrzebne. Sytuacja stawała się napięta do tego stopnia, że Aidan poczuł lekki ból głowy, na czoło wystąpił mu zimny pot, odetchnął głęboko i wydał policzki, wypuszczając powietrze. Jeszcze nie robił czegoś podobnego, nie podejmował działań graniczących już nie z naruszeniem uregulowań obowiązujących w warunkach wojny, ale wręcz ze zdradą. Diabli wiedzą, w jaki sposób przełożeni ocenią jego postępowanie. To, co zamierzał uczynić, nie zostało opisane w żadnym regulaminie. Jakie miał jednak wyjście? Dowódca „Hornblowera” ryzykował identycznie. I dlatego to wszystko nie było oczywiste. Chociaż... Może Bernhardt dysponował przekąźnikiem kwantowym i zyskał błogosławieństwo swoich dowódców? Powszechnie mówiło się, że tamci nie reglamentują tak bardzo dostępu do tego rodzaju komunikacji, a skoro tak, mogli wyposażyć w urządzenie przynajmniej jeden okręt grupy. To by była okoliczność sprzyjająca, bo przynajmniej dla jednej ze stron sytuacja wyglądałaby na

– Również nie mamy bladego pojęcia, czym może być ta bariera. – Bernhardt wzruszył lekko ramionami.

Na hologramie widać było, że i on nie potrafił należycie odpocząć w obliczu nieznanego.

– Jesteście tu nieco dłużej, miałem nadzieję, że udało wam się cokolwiek ustalić. – Aidan odruchowo poprawił uwierający go w pierś centralny zatrząsk pasów.

– Skąd – Bernhardt zaśmiał się z przymusem. Mówił we wspólnym z charakterystycznym akcentem, przeciągając samogłoski. – Gdybyśmy coś wiedzieli, nie lecielibyśmy na spotkanie z wami, tylko kombinowali na miejscu.

– Jeśli istniałyby możliwości jakiegoś kombinowania oczywiście podchwycił Aidan. – Bo przecież mogłoby się okazać, że te konkretne ustalenia w niczym nie zmieniają sytuacji.

– Fakt – zgodził się kapitan „Hornblowera”. – Ale naprawdę nic nie wiemy. Tutaj przydałby się okręt badawczy, a nie takie psy gończe jak my.

– Bezsprzecznie – potwierdził Aidan. – Ale musimy pracować na tym, co jest.

Zapadło milczenie. Obaj dowódcy zamyślili się.

Samuels czuł się bardzo dziwnie, kiedy tak uprzejmie przytakiwał wrogowi i gawędził z nim jak ze starym dobrym znajomym. W dodatku miał wrażenie, że to naprawdę jest jego stary dobry znajomy. Byli prawie w jednym wieku, mieli zapewne podobne doświadczenie bojowe, różnili się może nieco rangą, gdyż komandor Floty Republiki był odpowiednikiem stopnia *Capitán de Fragata* we flocie cesarskiej, ale różnica była kosmetyczna, skoro tamten dowodził okrętem i przysługiwał mu tytuł kapitana. Aidanowi, prawdę mówiąc, bardziej podobał się podział starszeństwa w formacjach wroga. W imperium wszystko było jakieś nadęte, posiadało rozbudowane, często wręcz bombastyczne nazwy. Chociaż i tak się cieszył, że obowiązywał tradycyjny podział hiszpański. W pierwszych latach powstawania Cesarstwa szedł o lepsze z portugalskim – w końcu to Brazylia była załążkiem i centrum imperium, kiedy tworzyło się jeszcze na Ziemi. Aż zęby bolały kapitana, kiedy pomyślał, że mógłby nosić tytuł *Capitão de Mar e Guerra*. Chociaż byli tacy, którym się to podobało. Z kolei tradycje Republiki sięgały marynarki Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej, ale nazewnictwo zaczerpnęli z kolebki swojej floty, to znaczy od Brytyjczyków. Dziś już nie istniał podział na kraje wedle starego wzorca, ale marynarka, jak i wieki temu, pozostawała ostoją tradycji.

„Cholera, nad czym ty się zastanawiasz, człowieku?” – skarcił się. „Myśl, co dalej!”

– Spotkaliśmy się oczywiście, żeby wspólnie spróbować rozwiązać ten problem – powiedział Bernhardt, jakby odgadując, co nurtuje Aidana. – Ale prawdę mówiąc, brakuje mi pomysłów. Nie macie tam gdzieś na pokładach jajogłowych?

– Niestety. – Aidan rozłożył ręce z westchnieniem. – Nie mamy także innego sprzętu niż skanery, radary, lidary i inne takie dzikie węże.

– Lizaliśmy już to coś czym tylko się dało – wszedł mu w słowo Bernhardt – ale wygląda, jakby to była po prostu próżnia. Fale świetlne nie ulegają nawet załamaniu, czyli nie ma żadnej realnej granicy ośrodków. A jednak nas nie puszcza.

– *Gdziekolwiek zwrócę lot, tam czekać będzie gniew nieskończony, nieskończona rozpacz* – mruknął Aidan.

– Co pan mówił, kapitanie? – zdziwił się dowódca „Hornblowera”.

– To cytat, przepraszam.

– Tak, wiem, że cytat. Z „Raju utraconego” Milтона. Zaskoczyło mnie, że zna to oficer imperialny. U nas uczą tego poematu podczas kursów oficerskich. Jak to dalej idzie? *Gdziekolwiek zwrócę lot, tam wszędzie piekło. Piekło jest we mnie, a na dnię otchłani głębsza, ziejąca czeluść się otwarła, przy której piekło dręczące jest niebem.* Niech mnie

diabli, to całkiem pasuje do sytuacji. Ale niech pan zaspokoi moją ciekawość. Czy was też piłują Miltonem?

– Nie. – Aidan pozwolił sobie na lekki uśmiech. – Po prostu książki to moja druga natura. A raczej ta lepsza część mojej natury.

Obaj się roześmiali. Napięcie nieco zelżało. Wrogowie wisieli naprzeciwko siebie w formacjach bojowych, wyjąwszy dwa okręty dowodzenia, oddalone teraz o dwie dziesiąte sekundy świetlnej, aby ułatwić rozmowę. Była oczywiście transmitowana na mostki pozostałych jednostek, aby kapitanowie mogli mieć przegląd sytuacji na bieżąco, choć z dziesięciosekundowym opóźnieniem.

– Wracając do zasadniczego zagadnienia – powiedział Bernhardt – to znajdujemy się chyba w sytuacji, którą zwykło się nazywać gównianą, kapitanie.

– I znów trudno mi się z panem nie zgodzić. – Aidan skrzywił się lekko. – Tylko co teraz? Naprawdę miałem nadzieję, że wiecie coś więcej.

– Zupełnie tak jak ja – westchnął kapitan „Hornblowera”. – Wygląda na to, że przylecieliśmy tu na próżno i w końcu przyjdzie nam wrócić do swoich. Jedyne, co mi przychodzi do głowy, to trzepnąć w tę barierę spawarką plazmową.

Aidan pokiwał głową.

– Zanim jednak podejmiemy ostateczne decyzje, proponuję, żeby główni inżynierowie z naszych okrętów urządzili burzę mózgow. Chodzi mi o wszystkie jednostki. Podłączymy ich do wspólnego kanału i niech się wreszcie na coś przydadzą.

– To jest myśl – odparł Bernhardt. – Nie wiem co prawda, co później powiedzą nasi przełożeni, ale...

– Swoich może pan przecież zaraz spytać – przerwał mu Aidan.

– A to jakim sposobem? – zdziwił się oficer Republiki.

– Ma pan chyba komunikator splątaniowy na pokładzie, prawda?

Bernhardt wytrzeszczył na niego oczy.

– Ja? Panie kapitanie, chyba naczytał się pan jakichś dziwnych opowieści.

– W naszej flocie panuje powszechne przekonanie, że władze Republiki nie pilnują tak ściśle komunikacji kwantowej jak nasze. Chyba dlatego, że rządzi u was obieralny rząd, a nie monarcha.

Republikanin roześmiał się.

– Wie pan, u nas również panuje przekonanie, że we flocie cesarskiej wyposaża się w przekaźniki kwantowe sporą liczbę jednostek. Właśnie dlatego, że macie jednego władcę na wiele lat. I byłem prawie pewien, że zaproponował pan to spotkanie za wiedzą i zgodą dowódców. Miałem nawet zamiar poprosić, żeby pański admirał powiadomił o naszych działaniach mojego, żeby uniknąć później niespodzianek i podejrzeń o jakieś spiskowanie z naszej strony.

– Kurwa mać, miałem zamiar prosić pana właśnie o to samo... Przepraszam, kapitanie, wyrwało mi się.

– Ależ nie szkodzi. „Kurwa mać” znakomicie oddaje nasze położenie. A zatem nie dość, że jesteśmy daleko od naszych kochanych dowódców, to jeszcze samowolnie paktujemy z wrogiem.. No, no, nie wiem, jak na to spojrzę pański admirał, ale mój nie będzie raczej zachwycony.

Aidan w odpowiedzi tylko machnął ręką. Szkoda słów. Do tych tam grup bojowych obu flot, szczerzących na siebie kły, dopiero za kilkanaście godzin dotrze to, co się tu dzieje, i uprzejma konwersacja kapitanów.

– Skoro już jednak zaczęliśmy rozmawiać – rzekł po chwili milczenia – może zrobmy tę burzę mózgow. Obawiam się, że jeśli teraz wrócimy zupełnie z niczym, dopiero nam się oberwie.

Bernhardt skinął głową.

– W tym celu musimy zbliżyć do siebie nasze formacje. Jeśli zaczną rozmawiać z opóźnieniem, szlag ich trafi. Na każdą odpowiedź uczestnika ze strony przeciwnej trzeba będzie czekać dwadzieścia sekund, zakładając, że odezwie się bez namysłu... Nie wyobrażam sobie takiej burzy mózgow.

– Jaką odległość pan proponuje?

– Dwie sekundy. Wówczas opóźnienie dialogów wyniesie cztery, a taki czas będzie nawet korzystny, żeby uczestnicy mieli szansę na dogłębne przemyślenie tego, co sami przed chwilą powiedzieli. Zanim interlokutor wytknie im ewidentny błąd, będą przygotowani na ciętą ripostę, co ograniczy nieco radosne pokrzykiwanie i powarkiwanie.

Aidan, mimo czarnych myśli kłębiących mu się w głowie, musiał się uśmiechnąć.

– Sprytne. Zgadzam się chętnie, tym bardziej że moi inżynierowie mają niewyparzone gęby. Proponuję wyznaczyć po dwóch ludzi z każdej załogi. Nie może być ich za dużo.

– Ale zdaje sobie pan sprawę, że da nam to przewagę czterech osób? upewnił się Bernhardt.

Aidan spojrział na niego spod zmarszczonych brwi.

– Panie kapitanie, przecież nie mają walczyć na pięści ani urządzać turnieju wiedzy, tylko wspólnie się naradzić.

– Fakt, przepraszam. – Bernhardt westchnął ciężko. – Trudno się przyzwyczaić do myśli, że kontakt z wrogiem nie ma się wiązać ze starciem.

– Proszę się nie przejmować, kiedy wrócimy do swoich flot, pewnie będzie nam jeszcze dane skrzyżować szable...

Kapitan „Hornblowera” skinął głową, a Samuels pomyślał, że to wcale nie jest idiotyzm zabraniać jakichkolwiek kontaktów z przeciwnikiem poza polem bitwy. Trudniej później chyba wykończyć okręt kapitana, którego się zna. A może wcale nie? Szlag jasny, być może będzie się mógł nawet o tym samemu przekonać, jeśli rzeczywiście los zetknie go jeszcze kiedyś z Bernhardtem.

*

– Jesteś pewien, że można mu ufać? – spytała Amanda przez kodowane łącze. Wyraziła w ten sposób wątpliwości wszystkich pozostałych dowódców.

– Jestem pewien, że nikomu nie można ufać – odpowiedział Aidan spokojnie. – I powinnaś o tym doskonale wiedzieć. Jednak jakoś nie mam ochoty wracać z niczym, skoro już tu garujemy, a do tego i tak nawiązaliśmy kontakt z wrogiem.

– Trzeba było sobie darować – burknęła.

– Jakoś nie pamiętam, żebyś protestowała, kiedy wydałem rozkaz.

– Nieważne. – Strzepnęła dłonią. – Wyznaczyłam już dwóch ludzi na tę waszą burzę mózgow. Kiedy mamy zbliżyć się do tamtych?

– Za pięć minut rozpoczynamy manewr. A teraz pozwól mi wydać rozkazy.

Na klawiaturze wklepał komendy dotyczące ustawienia okrętów. Powinni zawisnąć w równych odległościach od siebie, wokół wspólnego środka i tak, aby każdy od każdego był oddalony o dwie sekundy świetlne. Komputer wyznaczył już pozycje dla każdej jednostki.

– Uwaga, kapitanowie – powiedział przez ogólne łącze. – Dokładnie o siedemnastej zero trzy rozpoczynamy manewrowanie. Kod jedenaście łamane przez trzy. Wszyscy to zrozumieli?

Po kilkunastu sekundach napłynęły odpowiedzi. Numer kodu oznaczał konieczność utrzymania najwyższej zdolności bojowej aż do odwołania oraz maksymalnej czujności sekcji nasłuchu.

– Chief – Aidan połączył się z maszynownią.

– Tak jest, kapitanie.

– Maszyny pod podwójną parą, twoi palacze niech trzymają szufle z węglem tuż przy kotłach.

– Nie ufasz nowym przyjaciółom? – spytał Naalnish.

„Następny od zadawania oczywistych pytań!” – pomyślał poirytowany Aidan.

– Ależ ufam im – odpowiedział, choć miał ochotę warknąć ostro na tego złośliwego Navajo. – Ufam im tak samo, jak oni nam.

– I tak trzymać, sir – zarechotał chief. – O napęd się nie martw. Jeśli będzie trzeba, pogonię te koniki solidnym batem.

Za chwilę mieli wyruszyć, by wziąć udział w czymś, co chyba jeszcze się nie zdarzyło w historii konfliktów Republiki i Cesarstwa: we wspólnej naradzie dotyczącej nie spraw wojennych, ale mającej doprowadzić do połączonych ustaleń w obliczu nieznanego zjawiska, być może stanowiącego poważne zagrożenie. Zresztą w kosmosie trzeba zakładać, że wszystko, co jest nieznanne, może być groźne. Nie, nie może być – na pewno jest. A jeśli okaże się inaczej, to znakomicie.

– Diego – Aidan spojrzał na podporucznika – trzymaj się ściśle harmonogramu kursów i prędkości. Podaj wszystkim sternikom na kodowanym kanale, żeby w razie zagrożenia zastosowali wariant siedem alfa.

– Co? – Diego podniósł wzrok znad swojej konsoli, posłał dowódcy zaskoczone spojrzenie.

– To, co słyszałeś – burknął Aidan. – Wariant siedem alfa. I manewry unikowe według schematu dziewięć z własnymi modyfikacjami. Zgrupowanie szyku ma nastąpić wokół „Sirene” zgodnie z jej aktualną pozycją najpóźniej po dwudziestu sekundach.

– Co? – spytał znów podporucznik.

– Cholera, czegoś nie dosłyszałeś, chłopcze?

– Nie, wszystko słyszałem, ale...

– To wykonaj!

– Tak jest!

To nie był dobry moment na dyskusje z kapitanem.

Aidan w wyobraźni widział to samo zaskoczenie na twarzach wszystkich nawigatorów na pozostałych okrętach. Zdawał sobie doskonale sprawę, że sam na ich miejscu byłby zdumiony. Przecież lecieli na przyjacielską pogawędkę.

Lecz Samuels czuł w duszy to dziwne swędzenie, które nieraz już mu towarzyszyło. Odzywała się krew dawnych, gaelickich przodków. Podobno kobiety z jego ludu potrafiły przewidzieć śmierć nie tylko swoją, ale także swoich bliskich, a mężczyźni umieli rozpoznać zagrożenie na długo, zanim zdarzyło się coś złego. Podobno... Czy to przeczucie kiedyś go zawiodło? Tego nie potrafił powiedzieć. Po prostu odkąd pamiętał, zawsze znajdował się w niebezpieczeństwie, z niewielkimi przerwami urlopowymi. Ale kiedy miał okazję wyrwać się z kajdan dyscypliny Marynarki Wojennej, oddawał się rozrywkom i rozpuście z takim entuzjazmem, że poza podnieceniem i śmiertelnym zmęczeniem nic więcej nie odczuwał. A poza tym wcale nie był pewien, czy jakieś konkretne przeczucia mogłyby dotyczyć licznych odsiadek w anclach całego imperium, tym bardziej że aresztowania były w zasadzie raczej zbawieniem i odpoczynkiem od wyczerpujących hulanek niż realną karą.

– Ruszamy – zakomunikował Diego, a kapitan poczuł lekkie szarpnięcie i przeciążenie. – Pięć setnych światła.

Zgodnie z ustaleniami obie strony miały poruszać się z tą właśnie prędkością. Zatem do chwili zajęcia odpowiednich pozycji powinno upłynąć jakieś dziewięć minut. Dość czasu, żeby jeszcze przemyśleć to i owo. Te dwie sekundy odległości między jednostkami uznał za sensowne także dlatego, że w razie zagrożenia okręty miały czas na reakcję.

– Panowie inżynierowie. – Aidan połączył się z Callahanem i jego zastępcą, podporucznikiem Hubertem Balderasem Salcedem. – Kiedy już znajdziemy się na swoich

miejscach, przykulacie się na mostek. Kazałem tutaj dostawić dla was dwa przewygodne foteliki.

– Nie podoba mi się to – burknął Callahan. – Z wrogiem powinniśmy się bić, a nie naradzać.

– Nie pieprz, Rodrigo. – Aidan zachował kamienny spokój. Szef zespołu naprawczego musiał sobie ponarzekać, bez dziennej dawki czarnowidztwa i krytykanctwa pewnie nie mógłby zasnąć spokojnie. – Są takie chwile, kiedy mężczyzna musi odpuścić. Nawet taki macho jak ty. A teraz przypiąć się porządnie i czekać na rozkazy.

Rozłączył się. Jeśli nawet Callahan miał jeszcze coś do powiedzenia, niech gada do siebie i swoich ludzi. Oni są przyzwyczajeni.

– Trzecia wachta. – Aidan połączył się z dowódcą zmiany.

– Tak jest, kapitanie – odezwał się Eloy Zamora, mający rangę kapitana o stopień niższą od Samuela. W nomenklaturze Cesarstwa przysługiwał mu tytuł *Capitán de Fragata*. I rzeczywiście, dowodził kiedyś własną jednostką, korwetą, jednak na skutek błędnej decyzji wystawił ją na zmasowany ostrzał wroga. Został przeniesiony najpierw do obsługi maszyn na krążowniku, a następnie nominowany na szefa wachty na „Sirene”. Aidan cenił sobie bardzo tego oficera. Właściwie to on powinien być pierwszym zastępcą dowódcy, jednak sam Zamora nie miał ochoty obejmować tej funkcji. Traumatyczne przeżycia pozostawiły wyraźny ślad w jego psychice.

– Kapitanie Zamora, proszę obsadzić mostek zapasowy swoją zmianą. Ma pan na to pięć minut.

– Tak jest.

– Bez odbioru.

Oficer rozłączył się. Każdy inny na jego miejscu zadałby jakieś pytanie, ale nie Zamora. Aidan miał pewność, że kapitan bez problemu chwyta zamysły dowódcy.

– Shader – Aidan wywołał szefa uzbrojenia.

– Jestem.

– Wszystko gotowe?

– Jak najbardziej. Daj tylko znać, a rozpieprzę w drobny mak średniej wielkości gwiazdę.

– Mam nadzieję, że to nie będzie potrzebne.

Aidan zakończył połączenie, spojrzął na zegar. Jeszcze sześć minut do punktu zero.

– Szykujesz się jak do wielkiej bitwy, a nie na rozmowy, panie szyper zauważył Martinez.

– Przysięgam, Diego, że kiedyś cię za tego szypra każę wsadzić do służby burtowej i osobiście wywalę w przestrzeń. Popatrzysz sobie z zewnątrz na nasz piękny niszczyciel. Albo Shader przypnie cię pasami do torpedy i polecisz zwiedzać dalsze okolice.

– Wie pan, że to z sympatii, panie kapitanie. I z szacunku. U piratów szyper to tytuł prawie jak u nas admirał.

Aidan westchnął ciężko. Ten chłopak nigdy nie nauczy się dyscypliny, nie przystosuje do drylu marynarki. Może to i dobrze. Wprawdzie nie osiągnie szczytów kariery wojskowej, ale pewnie umrze szczęśliwszy, niż gdyby dał się nagiąć do czegoś, co mu wybitnie nie pasuje.

Swoją drogą, ciekawe, jak by się zapatrywali dawni dowódcy Martineza na to, że używa tytułu zarezerwowanego dla pirackich kapitanów, zwracając się do ich śmiertelnego wroga. Cholera ich wie, piratów zapowietrzonych, mogłoby im to być obojętne, a mogłoby równie dobrze wywołać wściekłość, przy której wybuch głowicy nuklearnej to zaledwie małe pyknięcie z fajeczki.

Aidan spojrzął na zegar odliczający czas do punktu zero.

– Raporty o gotowości – zażądał przez ogólne łącze.

Po chwili zaczęły napływać meldunki.

Inkwizytor z zaciśniętymi ustami patrzył na holograficzny wyświetlacz. Nie cierpiał takich sytuacji, kiedy nic nie zależało od niego, nie miał najmniejszego wpływu na przebieg wydarzeń. I po raz kolejny przeklinał w myślach dzień, w którym zgodził się przyjąć funkcję koordynatora tej misji. Wiedział doskonale od samego początku, że będzie miał do czynienia z najbardziej niespokojnymi duchami w całej cesarskiej armadzie, że będzie musiał użerać się z kapitanami o niewyparzonych jęzorach, mającymi głęboko gdzieś jego dostojeństwo. Lecz, prawdę mówiąc, nie to mu najbardziej doskwierało. Zniósłby już nawet niesubordynację takich typów jak Aidan Samuels czy Gaspar Moreno. Ci ludzie mogli krytykować postanowienia dowództwa, mogli sarkać na rozkazy, ale zawsze wypełniali je należycie, mimo obiekcji.

W dodatku koniec końców udali się nie na planowaną misję w dokładnie przeciwnym kierunku niż Regor, do której dostojnik był przygotowany zarówno mentalnie, jak i informacyjnie. Że też wiadomość o tym tutaj obiekcie musiała przyjść właśnie w takim momencie. Tamto musiało zaczekać, w dodatku nie wiadomo ile, a sprawa była pilna. Robił dobrą minę do złej gry, udając przed Romerem i kapitanami, że wie więcej, niż wiedział w istocie. Jedyne Amandzie uchylił rąbka tajemnicy, ale na tyle oszczędnie, żeby nie mogła wyciągnąć jakichkolwiek dalej idących wniosków. Sam nie wiedział, dlaczego to zrobił. Miał słabość do tej kobiety, zdawał sobie z tego sprawę, ale czy to było główną przyczyną? Raczej nie. Po prostu – wbrew temu, co sądziła większość ludzi wokół niego – był człowiekiem, a człowiek czasem musi sobie ulżyć, kiedy od środka rozpiera go niepokój.

Westchnął w duchu. Był tutaj skazany na improwizację, a tego wprost nie cierpiał. Umiał działać w sytuacjach nagłych, ale wolał postępować zgodnie z jakimś określonym planem. Od improwizacji byli dowódcy średnich i małych jednostek.

Sebastiana Lermę najbardziej drażniło to, że nie wiedział, co się dzieje w miejscu, o którym powinien już wiedzieć o wiele więcej. Dlaczego ten bałwan Gonzaga nie zgodził się, aby wyposażyć w komunikator splątaniowy chociaż jeden z okrętów grupy zadaniowej? Inkwizytor przewidywał od samego początku, że trzeba będzie wysłać kilka jednostek na rekonesans, ze sto razy nagabywał o to admirała. Bezpieczeństwo państwa to jedna rzecz, ale jeśli napotyka się dziwne zjawisko w przestrzeni kosmicznej oddalonej nie o milion, lecz zaledwie tysiąc lat świetlnych, należałoby wykazać więcej zapobiegliwości i elastyczności.

– Mam nadzieję, panie Samuels, że nie narobi pan zbytniego bałaganu wymamrotał dostojnik pod nosem. – Że też mi się trafił taki pieprzony kapitan.

Lecz z drugiej strony Lerma zdawał sobie sprawę, że tylko taki wolny duch jest w stanie w jakiś sensowny sposób rozwiązać sytuację. Tępy trep w rodzaju kapitana „Mediny-Sidonii” po napotkaniu pierwszych trudności wróciłby do głównego zgrupowania, żeby uzyskać rozkazy. A taki Aidan otrzymał polecenie wyjaśnienia sprawy i – sądząc z docierających do dowództwa przekazów – właśnie starał się to zrobić.

– Lecą na spotkanie z grupą zadaniową wysłaną przez Republikę poinformował oficer łączności. – Porozumieli się w sprawie tymczasowego zawieszenia działań wojennych.

Lecz tego Lerma domyślił się już dawno. Od razu, kiedy stało się jasne, że okręty cesarskie dostrzegły wroga i przez dłuższy czas nie uczyniły nic, a potem obie formacje ruszyły nieśpiesznie naprzeciwko siebie. To wyglądało, jakby dwa psy chciały się obwąchać. I zapewne tak właśnie było. Inkwizytor zdążył poznać kapitana Samuela dość dobrze, żeby wiedzieć, że ten szalony w walce dowódca zwykł kierować się racjonalnymi przesłankami, podejmując konkretne decyzje. Na pewno nie rzuci się w braterskie objęcia republikanom, ale postara się z nimi jakoś dogadać na równych zasadach. Jeśli w ogóle będą chętni do rozmowy, mając przed sobą człowieka, za którego głowę po bitwie o Regound IV Najwyższy Komisarz Rady Republiki, nazywany potocznie prezydentem, wyznaczył wysoką nagrodę.

– Możecie dać jakieś wzmocnienie sygnału tachionowego? – spytał Lerma. – W końcu

mamy tutaj najnowocześniejszy sprzęt. A nuż coś się tam zmieniło i cząsteczki do nas wreszcie docierają.

Wolałby już koszmarnie mętny obraz, przekazywany przez najszybsze cząsteczki we wszechświecie, z którego trzeba było więcej się domyślać, niż rzeczywiście odczytywać, niż tę kompletną niewiedzę.

– Niestety, Wasza Ekszelencjo – odpowiedział oficer łącznikowy. – Jeśli chodzi o tachiony, nadal cisza. Zupełnie jakbyśmy mieli do czynienia z nieprzepuszczalną barierą. Doleciały tylko te, które uwolniły się w chwili, gdy okręty wypadły z kokonów czasoprzestrzennych, i na tym koniec.

Lerma miał ochotę zakląć, ale powstrzymał się. Inkwizytor nie powinien pokazywać po sobie skrajnych emocji. Najlepiej gdyby nie okazywał żadnych.

Tego go uczono zarówno w seminarium, jak i w Akademii Papieskiej, i nieraz już się przekonał, że warto umieć zapanować nad sobą w każdych okolicznościach.

– Panie admirale – wywołał Romera, który przed godziną opuścił mostek, aby się przespać.

– Boże mój – usłyszał po chwili niewyraźny od zmęczenia głos. – Czy tego nie może załatwić mój zastępca?

– Nie może – odparł twardo inkwizytor. – To pan musi popędzić sekcję naukową do roboty. Na razie uwijają się jak muchy w smole, a nie w ukropie. To naprawdę poważna sprawa.

– Bo na razie mają za mało danych – odpowiedział wiceadmirał z wyraźnym rozdrażnieniem.

– Co nie zwalnia ich od myślenia.

Po drugiej stronie połączenia przez chwilę panowała cisza. A kiedy Romero znowu się odezwał, jego głos brzmiał o wiele bardziej rześko:

– Czy dobrze rozumiem, że ma pan jakiś pomysł?

– Powiedzmy, że hipotezę – potwierdził Lerma. – Nieśmiała, kielkująca ledwie, może prowadząca gdzieś na manowce, ale mam. Z tym że na razie muszę uzyskać odpowiedzi na kilka pytań.

– Już łączę się z naukowcami – oznajmił Romero. – Chociaż myślę, że równie dobrze mógłby pan użyć swojej władzy, żeby ich ruszyć.

– To pańscy podwładni, admirale. – Lerma wzruszył ramionami. – To pan jest od tego, żeby ich opieprzać. Ja potrzebuję ich mózgów i aparatury.

*

– Szlag jasny!

Okrętem wstrząsnął potężny spazm, kiedy ładunek z działka plazmowego przemknął po tarczach, powodując przeciążenie systemów absorpcyjnych.

Aidan patrzył z bezsilną wściekłością, jak „Santorino” koziołkuje w przestrzeni, odchodząc w stronę niewidzialnej bariery.

– Shader, zdejmij bandytę, do jasnej cholery!

Atak nastąpił zupełnie niespodziewanie. Wyznaczeni inżynierowie właśnie mieli się połączyć w burzy mózgów, kiedy niszczyciel „Ajax” rozpoczął ostrzał ze wszystkich dostępnych środków ogniowych. Po kilku sekundach przyłączyła się do niego fregata „Harald II”.

– Posłałem mu trzy salwy z laserów, a zaraz doleczą pociski kinetyczne! odkrzyknął dowódca artylerii. – Nie widzisz?

Aidan nie miał czasu teraz patrzeć na raporty z sekcji. Skupiał się na tym, co działo się dookoła. A działo się bardzo dziwnie. Pozostałe okręty Republiki nie otworzyły ognia. Wszystkie jednostki rozproszyły się w przestrzeni, odskoczyły od siebie. Cesarskie niszczyciele zaraz potem ustawiły się w ofensywny trójkąt, pierwszą salwą, skupioną w

laserowy sztych, odarły z osłon strzelającą fregatę. „Harald II” natychmiast zaczął wykonywać manewry unikowe. Komputer zidentyfikował je jako schemat siedem w wersji obowiązującej w marynarce Republiki od dwóch tygodni. Jednak ów schemat został zmieniony przez dowódcę okrętu, więc celowanie wedle wytycznych zdobytych przez wywiad nie miało wielkich szans powodzenia. Nic dziwnego, żaden kapitan przy zdrowych zmysłach nie nakazywał wprowadzania sztywnych szablonów, zawsze były zmieniane. Inaczej trafienie wierzgającego okrętu nie przedstawiałoby większych problemów – ściśle tajne dane zwykle bez przeszkód docierały do agentów wroga. Oficjalne źródła utrzymywały, że tego typu informacje pozostają poufne i nienaruszone wywiadowczo przez minimum trzy tygodnie. Doświadczeni kapitanowie z kolei przyjmowali, że od chwili przekazania nowego oprogramowania do jego ujawnienia szpiegom mijają co najwyżej trzy dni. A tacy jak Samuels uważali, że należy przyjąć maksymalny dystans trzech godzin. Raz w życiu zawierzył oficjalnej wersji i o mały włos przypłaciłby tę wiarę własnym życiem.

„Ajax” natychmiast poszedł w ślady „Haralda”, podejmując manewry unikowe. Aidan patrzył na trafioną pociskami kinetycznymi fregatę. Uranowo-plastalowe walce przedarły się przez chwilowo osłabione osłony „Santorino”, niszcząc jego główny napęd i najwyraźniej naruszając również silniki manewrowe na prawej burcie, bo okręt zaczął wirować bardzo szybko w zupełnie niekontrolowany sposób. To było raczej przypadkowe trafienie, niewynikające z czystego zamiaru. Na wyświetlaczu kursów było widać, jak tuż przed dotarciem pocisków fregata robi zwrot. Gdyby nie to, zniszczeniu uległaby część magazynowa, może oberwałyby moduły mieszkalne, w których i tak powinno być pusto. Błąd kapitana, to się zdarza. Walka w ogóle jest festiwalem błędów, szczególnie w warunkach improwizacji. W samym zamysle Moreno postąpił słusznie. Próbował zmienić kurs, żeby uniknąć trafienia z działa plazmowego „Ajaxa”. Z drugiej strony, nawet już osłabione, tarcze powinny zneutralizować albo chociaż częściowo złagodzić udar wysokoenergetyczny, natomiast nie były w stanie zatrzymać ciężkich, rozpędzonych do dziewięćdziesięciu dziewięciu procent prędkości światła pocisków.

Wszystkie te refleksje przemknęły przez głowę Aidana w ułamku sekundy i już zupełnie coś innego przykuło jego uwagę.

– Amanda! – warknął, patrząc na wyświetlacz taktyczny. – Co robisz?

Odpowiedź nadeszła po dwóch sekundach, które wydawały się wiecznością.

– Namierzam „Hornblowera”. Widzisz przecież.

– Widzę, do cholery, ale on do nas nie strzela, nie zauważyłaś?

– Zauważyłam. Jednak w każdej chwili może zacząć. Z tymi narwańcami sam już sobie poradzisz.

Zastanowił się przez chwilę. Tak, kobieta miała rację. Wszystko wyglądało na samowolną akcję kapitanów dwóch jednostek, ale nie wiadomo, jak się to dalej rozwinie.

– Tylko nie otwieraj pierwsza ognia – ostrzegł.

– Za kogo mnie masz! – w jej głosie Aidan usłyszał święte oburzenie.

Znów miała rację. Była tak samo doświadczona bojowo jak on, wiedziała, co robić.

„Jestem zmęczony. Cholernie zmęczony. Muszę uważać, żeby czegoś nie spieprzyć”.

Przyjrzał się gwałtownym manewrom wciąż prowadzącego ogień „Ajaxa”. Oddalony „Harald II”, znajdujący się za manewrującym niszczycielem, nie mógł strzelać wprost, ale wysłał rakiety samonaprowadzające, żeby utrudnić życie przeciwnikowi.

W skokach „Ajaxa” Aidan dostrzegł coś znajomego. Nie mógł określić, co to jest, tym bardziej że w analizie sytuacji przeszkodził mu głos Farlana.

– Panie kapitanie, „Hornblower” nadał wiadomość reflektorem. Alfabetem Morse'a.

Łączność głosowa i wizualna z przeciwnikiem została zerwana, zgodnie z regulaminem marynarki oraz oprogramowaniem komputera centralnego okrętu. Pozostawała tylko

komunikacja obowiązująca jeszcze w dawnych czasach żeglugi oceanicznej, kiedy jednostki pływające posługiwały się aldisem podczas ciszy radiowej lub mając uszkodzone nadajniki.

– Dawaj to! – rozkazał Samuels.

Po chwili na wyświetlaczu pojawił się komunikat:

to nie moja inicjatywa stop nie zamierzam atakowac stop prosze o oszczedzenie w miare mozliwosci okretow stop koniec wiadomosci

Aidan poczuł ulgę. Przynajmniej z tej strony nie musiał się obawiać niespodziewanego ataku albo zasadzki. Tak otwartą deklarację o nieagresji należało potraktować bardzo serio.

– Nie wykańczać tych dwóch – rozkazał na ogólnym łączu. Unieszkodliwić tarcze niszczyciela, fregacie, kiedy tylko będzie możliwość, odstrzelić napęd. Potwierdzić rozkaz.

Po chwili zapaliły się dwie zielone ikony, wskazujące, że dowódcy „Greese” i „Fitzcarraldo” przyjęli polecenie.

– To mam go zdjąć czy nie? – spytał Shader.

– Poczekaj, zaraz powiem, co masz zrobić...

Aidan wpatrywał się w zmieniającego co chwilę kurs „Ajaxa”. „Harald II” próbował naśladować jego ruchy, aby znajdować się jak najbardziej za niszczycielem, utrudniając celowanie okrętom cesarskim, ale widać było doskonale, że kapitan większej jednostki realizuje schemat unikowy numer siedem tylko w ogólnych zarysach. Ale to, co robił, naprawdę z czymś się kojarzyło Samuelsowi.

– Wiem! – wykrzyknął nagle, sprawiając, że Martinez i Farlan spojrzeli na niego ze zdziwieniem.

Kapitan „Ajaxa” musiał rozpoczynać karierę jako myśliwiec. I to pewnie w tym samym czasie, co Aidan. Kto wie, może się kiedyś zetknęli w walce kołowej podczas jakichś zmagania? W każdym razie niszczyciel część manewrów unikowych wykonywał bardziej właśnie jak ciężki myśliwiec, a nie średniej wielkości jednostka wojenna.

– Robert, uważaj. Kiedy ci dam znać, będziesz miał pięć lub sześć sekund do czasu, kiedy bandyta odejdzie około trzy stopnie w prawo i półtora w dół. Potem przesunie się jeszcze pół stopnia w prawo i wzniesie o jeden. Spróbuj go wtedy sięgnąć laserami i plazmą jednocześnie. Zerwij mu osłony, jeśli zdołasz.

– Z kinetycznych też mu przywalić? – spytał porucznik.

– Nie. Chcę go mieć z gołą dupą, ale w całości.

– Tak jest!

– Już! – krzyknął Aidan. – Namierzaj.

Shader nie pytał więcej o nic, zresztą nie było na to czasu. Musiał otworzyć ogień dwukrotnie, z ćwierćsekundowym i półsekundowym wyprzedzeniem, żeby pokryć ostrzałem rejon spodziewanej pozycji wrogiego okrętu.

Aidan nie pomylił się. „Ajax” wykonał manewr w prawo, chociaż nie o trzy, lecz o dwa i trzy czwarte stopnia, a potem poszedł ku dołowi.

– Poprawka! – zawołał kapitan, wysyłając natychmiast obliczoną wcześniej na wszelki wypadek korektę do komputera artylerii. Przypuszczał, że to zbędne, bo Shader na pewno sam uwzględnił drobne odchylenia. To był w końcu najlepszy oficer artyleryjski, jakiego znał.

Ledwie niszczyciel Republiki wszedł na kolejną pozycję, dosięgły go dwa promienie laserów średniej mocy, a zaraz potem kula plazmy rozplynęła się po osłabionych już tarczach, powodując przeciążenie systemów zasilania obrony. Wokół ikony „Ajaxa” seledynowy okrąg, oznaczający gotowość tarcz, zbladł, zrobił się przejrzyste biały.

– Farlan, oświetlenie kod zero.

– Tak jest, kod zero.

Aidan oczywiście nie mógł tego widzieć, ale „Sirene” zapaliła wszystkie zewnętrzne lampy

w kolorze karmazynowym. Taki sygnał oznaczał dla przeciwnika „poddaj się lub zginiesz”.

Po dwóch sekundach na wielkim ekranie przedstawiającym zbliżenie „Ajaxa” pojawiła się świetlna odpowiedź. Niszczyciel znieruchomiał i zapalił żółte reflektory.

– Proszę o przerwanie ognia – zameldował Farlan.

Aidan już chciał odpowiedzieć: „Widzę przecież”, ale ugryzł się w język. Łącznościowiec działał zgodnie z procedurami, miał obowiązek przekazać tę informację dowódcy głosowo.

– Co z „Haraldem II”? – spytał Aidan.

– Mam informację z „Greese”, że dziesięć sekund temu trafili fregatę w dysze głównych silników napędu relatywistycznego. Został im tylko nadświatlny, zapalili sygnalizację zawieszenia ognia.

– Raport o stanie „Santorino”? – dopytywał dalej Samuels.

– Otrzymałem wiadomość od kapitana Morena. Nie mają możliwości uruchomić głównego napędu. Powstrzymali koziołkowanie silnikami manewrowymi, ale zbliżają się do bariery, na której się zatrzymaliśmy.

– Kapitanie – odezwał się Martinez – mam wiadomość z sekcji skanerów. Wszystko wskazuje na to, że ta bariera zwiększyła nieco rozmiary. Wraz z ostatnim przyrostem masy tego czegoś za nią.

– Kolejny meldunek z „Santorino” – poinformował Farlan. – Kapitan Moreno prosi o bezpośredni kontakt.

– Dawaj go!

Po chwili rozległ się spokojny głos dowódcy fregaty:

– Samuels? Mamy tu mały problem, kurwa. Uszkodzeniu uległy jebane generatory grawitacyjne.

– A konkretnie? – zaniepokoił się Aidan.

– A konkretnie, nie można ich za chuja wyłączyć. Promieniowanie wzrasta, kondensatory mają przecieki energii, obawiam się, że w tych warunkach antymateria może ulec destabilizacji i rozpiardolić cały mój kram.

Aidan zaklął w duchu.

– Odrzućcie całą sekcję napędu nadświatlnego, kapitanie – polecił.

– Na razie staramy się to jeszcze latać.

– Wiecie, że nikt nie weźmie was na hol, jeśli okręt będzie groził eksplozją. Ani mechaniczny, ani elektromagnetyczny.

– Wiem, Samuels – potwierdził wciąż spokojnym głosem Moreno. – Jak mówię, staramy się to jakoś połatać, chociaż jest trudno, o ile nie beznadziejnie. Dalej niż ta bariera nie polecimy, w razie czego odrzucę napęd i wtedy nas zdejmiecie.

Aidan sprawdził, jaka jest odległość „Santorino” od niewidzialnej przeszkody. Z tą prędkością zatrzymają się na niej za jakieś trzydzieści pięć minut.

– Rób, jak uważasz, Gaspar. – Samuels zacisnął zęby, żeby nie zakląć. Cholerny uparciuch, jednak rozumiał go. Odrzucenie kondensatorów i generatorów grawitacyjnych czyniło z okrętu niewiele wartą skorupę. – Ale jeśli zrobi się niebezpiecznie, wywalaj ten cholerny napęd. Budżet floty Jego Cesarskiej Mości jakoś zniesie ten cios.

– Ale ja mogę nie znieść niezadowolenia kwatermistrzostwa – mruknął Moreno. – Dobrze, muszę tutaj wszystkiego dopilnować. Bez odbioru – pożegnał się starym, od dawna nieużywanym oficjalnie zwrotem.

– Trzymaj się – rzucił jeszcze Aidan, zanim połączenie zostało przerwane.

Skupił się na wyświetlaczu taktycznym. „Ajax”, podobnie jak pozostałe okręty Republiki, nie poruszał się, pozadelikatnymi korekcjami położenia wciąż jeszcze miał szczątkowe przyspieszenie, którego nie zdążył zupełnie wyhamować.

– Odbój alarmu bojowego piątego stopnia – rozkazał Samuels. – Przejść na stopień trzeci.

– Nie za wcześnie na trzeci stopień, panie kapitanie? – spytał ostrożnie Farlan.

– Oczywiście, że za wcześnie – odparł Aidan. – Ale muszę porozmawiać z dowódcą tamtej grupy. Powyżej trzeciego stopnia jakakolwiek komunikacja werbalna z wrogiem jest niemożliwa, prawda?

Farlan pokiwał głową. A potem spojrzął na swój panel, wstukał coś na klawiaturze i powiedział:

– Sierżant Bosquito pyta, czy ma ogłosić stan gotowości grupy abordażowej.

– Daj go na ekran.

Na wyświetlaczu ukazała się surowa, pobrużdżona twarz Lorenza Bosquita, dowódcy oddziału abordażowego. Pluton, którym dowodził podczas akcji, składał się z ochotników dobranych spośród załogi. Na okrętach nigdy nie brakowało chętnych do takiej roboty. Uczestnicy abordażu mogli bowiem liczyć na nieco większy udział w zyskach z pryżu. Bosquito szkolił ich w walce bronią białą, jak również wręcz i uczył strzelać z broni plazmowej, laserowej i zwykłej palnej, bardzo przydatnej podczas bezpośredniej walki, poręcznej i w miarę bezpiecznej dla urządzeń zdobywanego okrętu z uwagi na stosowaną specjalną amunicję.

– Panie kapitanie, melduję się.

– Sierżancie, w chwili obecnej nie planuję działań abordażowych... – Aidan zauważył, że przez twarz podoficera przemknął cień zawodu, i uśmiechnął się lekko. Na każdym okręcie dowódca grupy abordażowej zasadniczo nudził się jak mops, dlatego kiedy już przychodziło do działania, starał się za wszelką cenę wykazać. – Jednak nie mogę wykluczyć konieczności ich zastosowania w zaistniałych okolicznościach. Dlatego proszę trzymać ludzi w pogotowiu, zgodnie z grafiką wacht.

– Tak jest, zrozumiałem. Trzymać oddział w pogotowiu. Zgodnie z grafiką wacht.

Sformułowanie „zgodnie z grafiką wacht” oznaczało, że sierżant miał do dyspozycji tylko tych, którzy właśnie nie pełnili służby, żeby nie zakłócać bez potrzeby funkcjonowania okrętu. W sytuacjach nadzwyczajnych regulamin dopuszczał możliwość zebrania grupy bojowej poza grafiką. Działo się to podczas zajmowania szczególnie niebezpiecznych jednostek, na których spodziewano się wyjątkowo silnego oporu. Wówczas Lorenzo formował oddział z najlepiej wyszkolonych marynarzy, których sam do takiego komanda wcześniej wyznaczał. Wtedy na wakujące stanowiska wchodziłi ludzie z wolnych wacht. Zapewne sierżant wolałby mieć na pokładzie stały wyszkolony oddział w rodzaju piechoty morskiej, jednak na okrętach średnich i mniejszych nie utrzymywano takich formacji. Zresztą prawdziwa piechota morska służyła nie tylko do abordażu, ale wykonywała również działania desantowe na planetach lub stacjach kosmicznych.

– Nawiązałeś już łączność z „Hornblowerem”? – spytał Aidan.

– Tak jest. Zgłasza się kapitan Bernhardt.

– Daj go na boczne holo taktyczne.

Aidan z ulgą zdjął z ucha bazkom, który przez cały czas akcji wpijał mu się w małżowinę.

– Co to było, kapitanie? – spytał dowódcę niszczyciela Republiki.

– Co mam odpowiedzieć? – Bernhardt na małym hologramie wzruszył lekko ramionami. – Idioci. U was też pewnie tacy się zdarzają.

– Jak najbardziej. Tylko, wybaczy pan, nigdy bym się z takim składem nie zgodził lecieć.

– Nawet gdyby dostał pan bezpośredni rozkaz od swojego komodora? – spytał z przekąsem Bernhardt.

– No tak – mruknął Aidan. – W każdym razie dziękuję, że nie mieszał się pan do tego pożałowania godnego incydentu.

– Nie ma za co. Prawdę mówiąc, sam bym chętnie przypieprzył temu durniowi, kapitanowi „Haralda”. Jak mu tam... Nieważne. Niedawno objął dowodzenie, jakiś pociotek admirała.

„Wszędzie chyba wygląda to tak samo” – pomyślał Aidan. „Kumoterstwo i układziki”.

– Z kolei dowódca „Ajaxa” to niedowarzony gówniarz. Waleczny, dzielny, ale jeszcze głupi. To ja powinienem podziękować, że posłuchał pan mojej prośby i nie kazał pokroić gnojka na plasterki, kiedy mu spadły tarcze.

– Gdyby zaatakował nas jeszcze któryś okręt, na pewno bym się nie wahał użyć działa kinetycznego albo głównego lasera promieni X.

Przez chwilę panowało milczenie.

– Obawiam się, że nasi dowódcy nie będą zadowoleni ani z takiego załatwienia sprawy, ani z naszych pogawędek po bitwie, nie uważa pan, kapitanie? – odezwał się wreszcie Aidan, wypowiadając na głos nurtujące go wątpliwości.

– Z całą pewnością. – Bernhardt znów wzruszył ramionami. – Tylko wydaje mi się, że to tam – wykonał nieokreślony ruch dłonią – jest o wiele groźniejsze niż gniew wyższych oficerów.

– Pan też tak to widzi? – spytał Aidan.

– A czy inaczej ryzykowałbym spotkanie z trzema niszczycielami i fregatą wroga?

„No tak, muszę być cholernie nie w formie, skoro zadaję takie pytania”.

Aidan spojrział na ekran przedstawiający „Santorino”. Fregata dryfowała w stronę bariery, ale na szczęście jej lot już się całkiem ustabilizował. Na wyświetlaczu taktycznym przesuwają się informacje o uszkodzeniach i stanie napraw. Generatory grawitacyjne wciąż były w opłakanym stanie, następował w nich wypływ energii. Jednak promieniowanie jak na razie jeszcze nie zagrażało zdrowiu i życiu załogi.

– Niech pan mi powie, kapitanie Samuels, jak zorientował się pan tak precyzyjnie w manewrach „Ajaxa”? Obserwowałem to wszystko, może nie na zimno, ale zawsze z boku. Widziałem, że pana artylerzysta wyczekał ze strzałami, jakby miał pewność, gdzie znajdzie się okręt.

– Myśliwiec – wymamrotał Aidan, który właśnie myślał o zupełnie czymś innym.

– Słucham? – nie zrozumiał Bernhardt. – Co pan powiedział?

– Myśliwiec – powtórzył głośniejszym głosem dowódca „Sirene”. – Ten gość prowadził łajbę jak pilot myśliwca. Według starego schematu, obowiązującego w waszej flocie z piętnaście lat temu. Widziałem nieraz taki manewr, tyle że wykonywany o wiele mniejszą jednostką. Sam tak czasem robię. To kapitalny sposób na zmylenie przeciwnika. Oczywiście jeśli nie ma doświadczenia z walki kołowej.

– Rozumiem. – Republikanin pokiwał głową. – Pan też zaczynał karierę jako pilot myśliwca.

– Byłem nawet dowódcą eskadry.

– No to wyczuł pan naszego przyjaciela doskonale. Tak, on też służył jako myśliwiec. Tyle że jest od pana parę lat młodszy.

Zamilkł na chwilę, a potem powiedział:

– Kapitanie Samuels, jeśli mamy przestrzegać prawa wojennego, to te dwa okręty powinny stanowić pański przyz. Mógłby pan nawet zażądać wzięcia ich na hol.

– Nie ma pan innych problemów? – ofuknął go Aidan. – Niech nasi szefowie dogadują się co do spraw formalnych. Jeśli w ogóle zechcą o tym gadać. Ja tam się będę modlił, żeby mi dupy nie urwali, nie chce mi się nawet myśleć o podziale łupów. Zresztą według naszego prawa dziewięćdziesiąt procent wartości zdobyczy i tak należy do admiralicji. U was prawo do przyzu jest chyba nieco inne.

– Było – uściślił Bernhardt. – Jeszcze kilka lat temu państwo brało połowę. Ale od niedawna haracz wynosi osiemdziesiąt pięć procent.

– Koszty wojny – mruknął Aidan. – Biorą już forszę, skąd tylko się da. No dobrze. – Odetchnął, spojrział prosto w oczy małej postaci na zapasowym taktycznym holo. – Musimy

coś wreszcie ustalić. Ale najpierw chciałbym zadbać o moją fregatę. Połączę się z panem za dwadzieścia minut. Pan też zresztą musi zadbać o uszkodzone okręty.

– Oczywiście. Do usłyszenia, kapitanie Samuels.

Aidan znów popatrzył na „Santorino”. Na razie okręt nie nadawał się do wzięcia na hol. Nie w momencie, kiedy wyciek energii nie został jeszcze opanowany. Jeśli tak dalej pójdzie, Gaspar będzie musiał odrzucić ten cholerny nabój.

*

„Fitzcarraldo”, zgodnie z poleceniem Samuela, podążał za uszkodzoną fregatą w odległości tysiąca kilometrów. Okręt dryfował w stronę niewidzialnej bariery. Kiedy się na niej zatrzyma, łatwiej będzie założyć hol mechaniczny. O elektromagnetycznym Guardado nawet nie myślał. Nie w sytuacji wycieku energetycznego i nie w pobliżu tego nierozpoznanego, niewidocznego cholerstwa. Długie lata służby nauczyły go ostrożności. Ryzyko należy podejmować tylko wtedy, kiedy jest ono absolutnie niezbędne bądź wkalkulowane w działania operacyjne. Nigdy nie wrywał się naprzód w czasie walk, wolał działać kontratakami niż typowo ofensywnie. Jak na dowódcę niszczyciela, był to nietypowy zestaw cech, a jednak wiceadmirał uważał go za znakomitego kapitana, dlatego wyznaczył właśnie Guardada do tej grupy. Zapewne liczył na to, że zrównoważony oficer będzie w stanie powstrzymać lub przynajmniej stonować temperamenty Samuela i Bergera.

Do niedawna dowódca „Fitzcarraldo” uważał Aidana za narwańca, gotowego rzucić się na oślep w wir walki, o Amandzie miał zresztą podobne mniemanie. Potwierdzało tę opinię to, co widział podczas dwóch ostatnich walk z grupą zadaniową Republiki. Jednak od chwili wyruszenia na ten rekonesans musiał zrewidować swoje poglądy. Samuels zrobił wszystko, aby uniknąć walki w sytuacji, kiedy doprawdy nie należało jej podejmować. Miał przy tym wsparcie pani kapitan „Greese”. Jedynie Moreno wykazywał tendencje do brawury, ale też dowódca fregaty powinien być nieco bardziej pieprznięty niż szef większej jednostki.

W dodatku Guardado zdawał sobie sprawę, ile Samuels ryzykuje. Ten cholerny drań podjął na własną rękę rozmowy z wrogiem. A to mogło się smutno dla niego skończyć, gdyby coś nie wyszło.

– Kapitanie Moreno – wywołał dowódcę fregaty na łączu głosowym.

– Jestem, kapitanie Guardado – odezwał się natychmiast Gaspar.

– Do bariery zostało pięć minut.

– Wiem – odparł dowódca „Santorino”. – Kiedy się zatrzymamy, ocenię ostatecznie stan generatorów grawitacyjnych i zdecyduję, co dalej.

– Niech pan też przygotuje od razu haki i liny cumownicze. Gdy tylko będzie pan gotowy, wyślę wahadłowiec techniczny, żeby wykonał połączenia.

– Nawet jeśli odrzucę napęd czasoprzestrzenny?

– Nawet wtedy zastosujemy hol bezpośredni. Odciągnę „Santorino” na przynajmniej minutę świetlną i dopiero zaczniemy kombinować z połączeniem elektromagnetycznym.

– Jasne.

– Następny kontakt... – Guardado spojrział na zegar odliczający czas do punktu zero – za trzy minuty.

– Za trzy minuty – potwierdził Moreno. – Koniec przekazu.

Guardado nie miał przez najbliższe sto osiemdziesiąt sekund nic do roboty. Skupił się na bocznym ekranie, pokazującym zbliżenie tego rosnącego za barierą obiektu. Wyglądał jak kula o nierównej powierzchni, zupełnie jakby dziecko bawiło się pobrudzoną białą plasteliną, próbując ubłoconymi, niewprawnymi rączkami uformować doskonały kształt mimo totalnego sprzeciwu materii. Odczyty skanerów wciąż były niejasne, a tak naprawdę żadne. Oprogramowanie nie potrafiło porównać tego czegoś z czymkolwiek, co komputery miały w

zasobach informacyjnych. Wiadomo już było przynajmniej, że to na sto procent nie jakaś nieznana postać antimaterii.

Kapitan „Fitzcarraldo” miał dwie pasje – astrofizykę i mechanikę kwantową. Z przyjemnością myślał czasem o tym, że chyba tylko on z całej średniej kadry oficerskiej we flocie cesarskiej rozumie dość dokładnie zasady funkcjonowania komunikatorów splątaniowych i gdyby tylko miał z czego, potrafiłby takie urządzenie sam skleić. Inna rzecz, że dostęp do takich materiałów był zastrzeżony wyłącznie dla ściśle kontrolowanych agend imperium. Administratorzy Jego Cesarskiej Wysokości zasłaniaли się kosztami, ale kapitan Guardado doskonale wiedział, że substancja subkrystaliczna, w której umieszczano pary kwantów, wcale nie była aż tak droga. Podobnie jak urządzenia służące do utrzymania cząsteczek na miejscu. Ale jeśli państwo chce na coś mieć monopol, bardzo trudno przebić się przez gąszcz uregulowań, zarówno prawnych, jak i gospodarczych.

– Czym jesteś? – wymruczał kapitan, patrząc na obraz rosnącego obiektu.

Miał wrażenie, że tajemnica ciemnej energii i ciemnej materii we wszechświecie jest zaledwie dziecięcą zagadką w porównaniu z tym, co obserwował. Na maksymalnym zbliżeniu nie potrafił odróżnić żadnych cech charakterystycznych powierzchni. Wszystko było rozmyte, zupełnie jakby miał do czynienia z przyspieszonym tysiące razy obrazem procesów zachodzących w gwiazdzie. Ale przecież to nie mogła być gwiazda. Temperatura powierzchni, zgodnie z odczytami, wynosiła siedemdziesiąt kelwinów, a zatem było to poniżej granicy skraplania się azotu. Oczywiście o ile wynikiem skanowania można było w ogóle wierzyć. Nikt przecież nie wiedział, czym jest bariera otaczająca obiekt. Ba, jeszcze niedawno nikt nie mógł stwierdzić jej istnienia!

– Dolot do punktu zero za czterdzieści sekund – poinformował nawigator.

– Łączność z kapitanem „Santorino”.

– Nawiązana.

Na ekranie pojawiła się ikona połączenia, ale Guardado nie odzywał się, nie chcąc przeszkadzać Morenowi.

– Odliczanie głosowe – zarządził.

– Dwadzieścia osiem... dwadzieścia siedem... – rozległ się bezbarwny głos komputera.

Guardado patrzył uważnie. Ciekawe, czy fregata zatrzyma się nagle, czy ta bariera wyhamuje ją powoli, czy też niejako się ugnie. Pociski zostały zastopowane w ułamku sekundy, ale okręt był o wiele masywniejszy i posiadał o wiele większą energię kinetyczną, nawet jeśli leciał bardzo powoli. Nie mieli możliwości zaobserwować, w jaki sposób sami zostali wyhamowani, kiedy wyrwało ich z bąbla zwiniętej czasoprzestrzeni. No i nie można porównywać tych dwóch przypadków, bo reakcja bariery mogła być skrajnie różna dla prędkości relatywistycznych i nadświetlnych.

– Piętnaście... czternaście...

– Zaraz się zatrzymamy – powiedział Moreno.

– Kazał pan włączyć wszystkie skanery?

– Pasywne i aktywne – potwierdził dowódca fregaty. – Transmisja na kanale siedem-dwa.

Guardado zamilkł. Wprawdzie mieli już jakieś doświadczenie, jeśli chodzi o tę barierę, ale zawsze to budziło emocje. Gdyby tylko „Santorino” dysponował którymkolwiek z napędów. Gdyby tylko można go wziąć na hol wcześniej...

– Cztery... trzy...

Zaraz ruch okrętu zostanie zatrzymany. Wtedy naprawione już w części prawoburtowe silniki korekcyjne pomogą w manewrowaniu przy łączeniu lin holowniczych.

– Jeden... zero... Punkt zero osiągnięty – oznajmił wreszcie komputer.

– Ożeż kurwa – wyszeptał znad swojej konsoli łącznościowiec. – Ale syf...

Kapitan „Fitzcarraldo” musiał się zgodzić z tym poglądem podwładnego. Sam lepiej by tego

nie wyraził.

OBCY ŚWIAT

– Co tam się stało?! – Wiceadmirał potrząsnął głową w wyrazie niedowierzania.

– Już mamy oczyszczony przekaz z kamer niszczyciela „Greese”, który nie brał pełnego udziału w akcji, ubezpieczał „Sirene” i „Fitzcarraldo” poinformował oficer łączności.

– To na co czekasz, durniu? Dawaj to na główny ekran!

W centralnym punkcie mostka pojawił się obraz holograficzny. Wszelkie odgłosy w pomieszczeniu ucichły, wszyscy skupili się na sensacyjnym wręcz obrazie sprzed ponad czterech godzin. Nagły atak fregaty i niszczyciela Republiki wywołał szmer oburzenia, który natychmiast ucichł, kiedy okazało się, że formacja okrętów cesarskich z miejsca odpowiedziała ogniem, zupełnie jakby dowódca nie został zaskoczony na dłużej niż ułamek sekundy. Lecz ten czas wystarczył, by „Santorino” stracił napędy, trafiony zmasowanym ogniem dwóch jednostek. A potem wszystko potoczyło się błyskawicznie. „Sirene” wraz z „Fitzcarraldo” wzięła agresywne okręty w kleszczowy ostrzał. W ciągu dwudziestu pięciu sekund starcie zakończyło się.

– Samuels najwyraźniej przewidywał, że republikanie mogą zdradzić – zauważył nawigator.

– Tak to w każdym razie wygląda.

– W ogóle nie powinien podejmować rozmów z tymi psami – wycedził przez zęby łącznościowiec.

– A ty co byś zrobił na jego miejscu? – spytał zaczepnym tonem nawigator.

– Dostał rozkaz rozpoznać to gównno...

– Od tego są regulaminy... – zaczął oficer łączności, ale przerwało mu gniewne warknięcie Romera:

– A to co, klub dyskusyjny?! Obaj macie po dwie służby biblioteczne!

Oficerowie natychmiast umilkli. Służba biblioteczna była bodaj najnudniejszą rzeczą na okręcie. Zasadniczo tym miejscem opiekował się oficer kulturalnooświatowy, ale zaglądał do pomieszczenia tylko wtedy, gdy ktoś chciał skorzystać ze zbiorów. Czyli praktycznie nigdy. Zupełnie nikt tam nie przychodził, za to obowiązywała kompletna cisza, zakaz korzystania z komputerów i innych elektronicznych udogodnień. Ktoś kiedyś doszedł do idiotycznego wniosku, że książki dobrze wpływają na morale załogi i psychikę poszczególnych marynarzy. Klasyczne książki – papierowe lub drukowane na imitującej papier folii, a nie zawarte w wygodnych czytnikach. W czasach, kiedy każdy członek załogi dysponował własnym sprzętem służącym do zabijania wolnego czasu, dostępem do wszelkich zasobów elektronicznych wszystkich bibliotek świata, w tym filmów, gier i seansów interaktywnych, takie miejsce stanowiło po prostu ciężkie nieporozumienie.

Jednak tradycja to tradycja. A Romero był bodaj jedynym człowiekiem na pancerniku, który sporadycznie wypożyczał jakieś książki. Lubił dotyk realnych stron, a nie tylko ich obrazu, ale było to wyłącznie dziwactwo. W każdym razie, kiedy chciał dopiec któremuś z oficerów, a nie istniały podstawy, by pakować delikwenta do ancla, używał biblioteki jako formy dość dotkliwej kary. Dwanaście godzin nudy wydawało się gorsze niż areszt. No i nie trzeba było wypełniać stosu papierów. Służbę poza kolejnością w jakimkolwiek miejscu okrętu traktowano jako formę upomnienia za drobniejsze wykroczenia i dowódca nie musiał składać raportów.

– Wolałbym czyścić sracz przy bosmańskiej mesie. – Nawigator nie wytrzymał, wymamrotał to do siebie pod nosem. Ale wiceadmirał miał doskonały słuch.

– Trzy dni biblioteki. Ktoś chce jeszcze coś powiedzieć?

Naturalnie odpowiedziało mu milczenie. Romero spojrzął na Lermę, który zdawał się nie zwracać uwagi na incydent.

– Co pan o tym sądzi, Ekscelencjo?

– Szczerze mówiąc, nie chciałbym spędzić trzech dni w bibliotece, admirale. Muszę się zgodzić z naszym młodym kolegą nawigatorem w kwestii większej atrakcyjności czyszczenia toalety w kwaterach bosmańskich.

– Na żarty się panu zebrało – prychnął Romero. – A ja poważnie pytam.

– Zanim odpowiem, zobaczmy najpierw jeszcze, co zdarzyło się później. Z fregatą. Raport tekstowy to nie to samo, co przekaz wizualny. Niech przewiną te dwadzieścia dziewięć minut, kiedy nic się nie działo.

Wiceadmirał nie musiał przekazywać polecenia. Łącznościowiec słyszał doskonale życzenie dostojnika i już przesunął przekaz o żądany czas.

„Santorino” pozostało do osiągnięcia wyliczonej na bieżąco granicy pięć sekund. Na przetworzonym już przez służbę łączności filmie bariera została zaznaczona jako mglista, biaława część ogromnej sfery. Na dole biegły sekundy do punktu zero, w którym fregata powinna wyhamować.

Kiedy pojawiło się zero, prędkość uszkodzonego okrętu rzeczywiście zaczęła się zmniejszać. Jednak „Santorino” nie zatrzymał się. Na dole holoe ekranu przepływał zapis rozmów prowadzonych między „Fitzcarraldo” a fregatą, ale wiceadmirał nie zwracał na nie uwagi. „Santorino” płynął w głąb nieprzenikalnej do tej pory bariery. Romero odniósł wrażenie, że jego kurs nieco się zmienił.

– Nawigator, wyznacz nową trajektorię fregaty, zgodnie z koordynatami z przekazu.

Odpowiedź nadeszła po kilkunastu sekundach.

– Kurs jeden-siedem-trzy.

– A wersja dla mniej rozgarniętych? – spytał niecierpliwie Lerma.

– „Santorino” kieruje się prosto na ten obcy obiekt. Wygląda to tak, jak gdyby znalazł się w mocnej studni grawitacyjnej.

– Niech pan popatrzy, admirale – powiedział z napięciem w głosie łącznościowiec. – Odczyty przepływu energii...

– Niech to diabli!

Rząd cyferek z pomarańczowego stał się wściekle czerwony. Przeciekające kondensatory generatorów grawitacji w ciągu kilku sekund wspięły się na sam szczyt dopuszczalnych wpływów. Wyglądało to, jakby nagle otrzymały dodatkowy, niewyobrażalnie potężny zastrzyk mocy.

– Odrzuć to! – wykrzyknął nawigator, nie panując nad sobą, jakby nie zdawał sobie sprawy, że patrzy na obraz sprzed kilkunastu godzin i co się miało stać, to już się stało.

Na przekazie kapitan „Santorino” jakby go usłyszał. W zbliżeniu z kamer „Fitzcarraldo” pojawiły się błękitne iskry, a potem żółtobiały poblask plazmy. Dysze awaryjne zadziałały, cały zespół maszynowy oddzielił się od fregaty i pomknął w lewo.

Część kamer skupiła się na oddalającym się module silników grawitacyjnych, a część na okręcie, który stał się teraz zwykłą jednostką o napędzie relatywistycznym. A i to poważnie uszkodzonym.

Maszyny grawitacyjne oddalały się z pełną mocą od okrętu, a przepływy energii i wycieku wzrastały do poziomów astronomicznych. W zasadzie powinny eksplodować już dawno, tuż po odstrzeleniu, a może nawet tuż przed, musiał tutaj jednak działać jakiś dodatkowy czynnik.

Romero patrzył na rozwój wypadków szeroko otwartymi ze zdumienia oczami. Lecz mniej go interesował los odłączonego napędu, a bardziej to, co działo się z „Santorino”. Bo fregata dopiero teraz zaczęła wyraźnie wytracać szybkość. Zupełnie jakby brak uszkodzonych

silników spowodował, że zaczęły na nią oddziaływać jakieś siły.

Ale także napęd przypomniał o swoim istnieniu. Odrzucony moduł przesuwał się w lewo od fregaty, a jednocześnie podążał w stronę nierozpoznanego obiektu. Romero bez słowa wstukał polecenie i pojawiła się błękitna kreska trajektorii lotu modułu, tworząca spłaszczoną hiperbolę.

– Eksplozja – ostrzegł oficer łączności.

Holoekran pociemniał, kiedy zadziałały filtry, zapobiegające oślepieniu patrzących. Moduł silników grawitacyjnych zamienił się w jaskrawą kulę ognia, rozszerzającą się błyskawicznie. Wiceadmirał odruchowo spojrzął na wskaźniki promieniowania, ale w tej chwili wskazywały wartości minimalne. Zupełnie jakby za barierą coś pochłaniało całą energię. Nawet siłę potężnego wybuchu, bo rozszerzająca się kula plazmy nagle zaczęła zmniejszać się i gasnąć. Całkiem jak gdyby ulegała wchłonięciu. Po chwili pozostała po niej tylko niewyraźna poświata, przypominająca kłębiącą się mgłę.

– Co to, do cholery, było? – spytał osłupiały Romero.

Oczywiście nie usłyszał odpowiedzi. Wszyscy obecni na mostku milczeli, wpatrzeni w obraz. A tam „Santorino” wyhamował zupełnie i znieruchomiał, zawieszony w przestrzeni.

– Teraz może już mnie pan zapytać, co o tym sądzę, admirale – odezwał się inkwizytor.

– Słucham, Ekscelencjo. Co pan o tym sądzi?

– Do ciężkiej, nagłej cholery, nie mam pojęcia!

– Jest jeszcze coś, panie admirale – oznajmił oficer łączności. – Mam meldunek z sekcji badawczej.

– Dawaj go na ekran.

– To meldunek głosowy.

– To rzuć na głośnik!

– Panie admirale – odezwał się niski, lekko chrapliwy głos szefa sekcji naukowej – mamy nowe, niepokojące odczyty.

– Słucham – sapnął zrezygnowany Romero.

– Z fregatą „Santorino” dzieje się coś dziwnego.

Wiceadmirał pomyślał, że jeśli w ciągu następnych kilku minut usłyszy informację o czymś zupełnie zwyczajnym i wytłumaczalnym, wypije z radości cały zapas alkoholu, przeznaczonego dla oficerów na specjalne okazje.

Ale na razie taka przyjemność raczej mu nie groziła.

*

– Jest przy samej granicy – zameldował podporucznik Riccardo Adane, siedzący przy konsoli łączności.

Od chwili eksplozji odrzuconego modułu napędu grawitacyjnego minęły już trzy wachty i niebawem miała skończyć się kolejna. Aidan przez ten czas nie schodził z mostka, drzemał w fotelu, ale reszta obsady dyżurowała zgodnie z harmonogramem. Wprowadzili nawet niszczyciel w rotację, żeby uzyskać chociaż odrobinę ciężenia, znacznie ułatwiającego załodze codzienne funkcjonowanie, chociaż przy wciąż trwającym alarmie bojowym trzeciego stopnia okręt powinien być w pełni dyspozycji do walki. Aidan uznał jednak, że nie warto męczyć ludzi bez potrzeby. Tylko maszynownia i artyleria czuwały zgodnie z procedurą alarmową, żeby zapewnić możliwość natychmiastowego odejścia z zagrożonego rejonu lub podjęcia walki w razie niebezpieczeństwa. Tyle tylko, że nikt nie potrafiłby teraz powiedzieć, co mogłoby stanowić zagrożenie.

– Nagrywać wszystko, kamery i wszystkie inne rejestratory w stronę „Santorino”. Nadać mu aldisem taki komunikat:

czekamy po tej stronie stop trzymamy kciuki stop przygotuj hol mechaniczny i elektromagnetyczny stop od razu po przejściu przejmie cie fitzcarraldo stop potwierdz wiadomosc koniec przekazu

– Zrobione – powiedział po chwili Riccardo, a po następnych kilkunastu sekundach dodał:
– „Santorino” potwierdził odebranie wiadomości.

Musieli posługiwać się najbardziej bodaj prymitywnym środkiem przekazywania wiadomości. Poniżej tego była chyba tylko sygnalizacja chorągiewkami, z oczywistych przyczyn niemożliwa w przestrzeni kosmicznej. Bariera nie przepuszczała fal radiowych – ani krótkich, ani ultrakrótkich, ani nawet najwyższych zakresów. Wydawało się, że mogą przez nią przenikać tylko promienie w świetle widzialnym, a i to nie w pełni spektrum. Jak jest po tamtej stronie, wiedzieli tylko z lakonicznych siłą rzeczy meldunków aldisem, napływających z fregaty. A po tamtej stronie było – krótko rzecz ujmując trochę nijak. Jednak coś tam udało się ustalić. Skanery „Santorino” rejestrowały szum tła i tutaj nastąpiło pewne odkrycie – wszechobecne promieniowanie kosmiczne, pozostałość po Wielkim Wybuchu, miało po tamtej stronie nieco inną częstotliwość. Niższą. To było naprawdę dziwne. Poza tym obiekt okazał się nieco jaśniejszy, co z pewnością miało związek z selektywną przepuszczalnością promieniowania niewidzialnej przeszkody. Co jednak dziwniejsze, przyrządy fregaty nie mogły określić widma promieniowania obiektu, całkiem jakby został zbudowany z najzupełniej nieznannej materii. Jakoś tam promieniował, to było pewne, bo lśnił delikatnie własnym światłem, ale skanery i analizatory okazały się kompletnie bezradne.

No i jego oddziaływanie na uszkodzony okręt. To budziło chyba największe zdumienie. „Santorino” najpierw wyhamował, a potem zaczął się zbliżać z powrotem do bariery. Zupełnie jakby studnia grawitacyjna działać mogła w przeciwnym kierunku. Ruch był początkowo tak delikatny, że prawie niezauważalny, ale przyrządy nie mogły się mylić. A na pewno nie na wszystkich bez wyjątku okrętach obserwujących rozbitka.

– „Hornblower” do pana – poinformował łącznościowiec.

– Samuels, słucham.

– Kapitanie, czy nie powinniśmy podlecieć trochę bliżej? – spytał Bernhardt. – Może będą potrzebować dodatkowego wsparcia.

– Nie zgadzam się – odparł natychmiast Aidan. – Dokładnie przeanalizowałem sytuację. Nie mamy pewności, co się stanie, kiedy „Santorino” dotrze do bariery z tamtej strony. Wystarczy, że ryzykuje „Fitzcarraldo”.

– To ja powinienem wysłać tam któregoś z moich – mruknął dowódca niszczyciela Republiki. – W końcu moi durnie narobili tego pasztetu.

– Jasne. – Aidan zaśmiał się z przymusem. – A potem będzie się nazywało, że zezwoliłem zbliżyć się obcej jednostce, żeby zebrała materiały wywiadowcze przy bezpośrednim kontakcie.

Bernhardt pokiwał głową.

– Widzę, że ci na górze fundują wam taką samą paranoję jak u nas.

– Jest wojna. – Samuels wzruszył ramionami. – Trudno się dziwić.

– W sumie racja. Ciekawe, co teraz się dzieje tam. – Bernhardt wskazał kciukiem przez ramię. – Po tym, jak dotarły nasze meldunki i przekazy.

– Pewnie mają piekło. Narady, konsultacje, połączenia alarmowe ze sztabem głównym...

– I zrzucanie odpowiedzialności na cudze barki – dokończył republikanin. – Jak znam życie, idzie psioczenie w dół. Na koniec może się okazać, że pełna odpowiedzialność spoczywa na naszych barkach.

„Po cholere w ogóle prowadzić wojnę, jeżeli po obu stronach frontu wygląda to wszystko prawie identycznie?” – pomyślał ze złością Aidan. „Chociaż może właśnie dlatego nie potrafimy się dogadać. Nie, nie my, chwileczkę. Nasi władcy”.

Jakoś potrafił znaleźć wspólny język z przeciwnikiem, z którym już przecież krzyżował ostrze. Ale to nastąpiło w obliczu nieznanego zagrożenia. Gdyby spotkali się w innych okolicznościach, zażarta walka byłaby nieunikniona.

– Czekamy na razie – powiedział z westchnieniem. – Zobaczymy, co się stanie. I czy w ogóle coś się stanie. Mam nadzieję, że ta bariera jest przynajmniej półprzepuszczalna.

– Nie przeszkadzam w takim razie. W każdej chwili jesteśmy gotowi pomóc.

– Dziękuję, kapitanie.

Rozłączył się. Na głównym ekranie „Santorino” dryfował w stronę oczekującego go w odległości około tysiąca pięciuset kilometrów od bariery niszczyciela. To „około” wynikało z faktu, że niewidzialna sfera powiększała się sukcesywnie, kalkulatory obliczały tylko jej przypuszczalne rozmiary, obarczone błędem wynoszącym dwa promile.

– Panie kapitanie – znów odezwał się podporucznik znad konsoli łączności – kapelan chce z panem mówić.

– Kto? – spytał z niedowierzaniem Aidan.

– Kapelan – powtórzył Riccardo. – Sygnalizuje, że sprawa jest pilna.

– Trzeźwy jest chociaż? – spytał podejrzliwie kapitan.

– Wszystko na to wskazuje.

– W takim razie, jeśli tak bardzo chce rozmawiać, niech się tutaj pofatyguje osobiście. – Widząc zaskoczenie na twarzy oficera, uznał za stosowne wyjaśnić: – Nie życzę sobie, żeby blokował mi bez potrzeby chociażby jedną, nawet mało ważną linię.

Podporucznik uśmiechnął się pod nosem, a potem przekazał duchownemu wiadomość.

Kapelan porucznik Giancarlo Lens zjawił się po niecałych dwóch minutach. Rzeczywiście był trzeźwy, ale jego zboląta mina świadczyła dobitnie, że nie uważał tego za powód do wielkiej radości.

– Czego chcesz, kapelanie? – spytał oschle kapitan. – Mamy tu niezły pasztet, więc lepiej by było, żeby sprawa była naprawdę poważna.

– Bo jest – zahuczał duchowny. Miał głęboki, przyjemny, choć lekko zachrypnięty głos. Aidan powiedział mu kiedyś, że jeśli po śmierci nie trafi do piekła za swoje zamiłowanie do alkoholu i portowych dziewczyn, to tylko dlatego, że Bóg będzie chciał go umieścić w którymś z chórów. – To sprawa zbawienia duszy nieszczęsnych owieczek...

– Możesz przestać pieprzyć i powiedzieć po ludzku, o co ci chodzi? Nie mam czasu na twoje górnołotne pitolenie.

Kapelan zamilkł, urażony, ale zaraz odezwał się, wiedząc, że cierpliwość Aidana niebawem się skończy.

– Wiem, co się stało...

– A to coś nowego. – Dowódca nie mógł sobie darować złości. – Bo zazwyczaj nie masz pojęcia, co się dzieje na pokładzie i w najbliższej przestrzeni. Więcej, nie wiesz nawet, co dzieje się z twoimi szanownymi zwłokami. Ale kiedyś wezmę się do ciebie, ojcie, nasz przewodniku duchowy, i odnajdę wszystkie kryjówki, w których chowasz gorzałę.

Kapelan zadarł dumnie nos.

– Tak się składa, że mam zaświadczenie lekarskie, które stanowi, że posiadam naturalnie podwyższoną zawartość alkoholu w organizmie i jest to u mnie stan normalny.

– Ja rozumiem, że można mieć dziesiątą część promila, dwie, trzy dziesiąte z przyczyn naturalnych. Ale nie trzy promile na okrągło!

– To potwarz i pomówienia, na które nie zamierzam odpowiadać.

Gdyby to było możliwe, duchowny zadarłby głowę jeszcze wyżej. Ale nie było. W każdym razie Aidan sobie tego nie wyobrażał.

– Pewnie, że nie zamierzasz. Ale skoro już raczyłeś wypełznąć z tej pijackiej nory, *padre*, mów wreszcie, czego chcesz.

O mały włos byłby dodał „i zjeżdżaj”, ale się pohamował. Nie powinien nazbyt upokarzać przy załodze ojca duchownego okrętu. Nawet przy sceptycznie do niego nastawionych oficerach.

– Chciałbym udzielić załodze „Santorino” ostatniego namaszczenia wypalił kapelan.

Aidana w pierwszej chwili zatkało.

– Co powiedziałaś, kapelanu? – wykrztusił wreszcie. – Co chcesz zrobić?

– Udzielić załodze „Santorino” ostatniego namaszczenia.

Cała obsada mostka wytrzeszczyła na księdza oczy.

– A to niby czemu? – spytał Aidan z całą uprzejmością, na jaką było go w tej chwili stać.

– Albowiem okręt znalazł się w śmiertelnym niebezpieczeństwie, w obliczu nieznanego...

Aidan potrząsnął głową, jakby chciał zrzucić z siebie jakiś niewidzialny, przeszkadzający mu woal.

– Oni nie wybierają się na tamten świat – powiedział. – A ostatnie namaszczenie...

– Ostatniego namaszczenia udziela się nie tylko tuż przed zgonem przerwał kapitanowi duchowny.

– Wiem, kapelanie. Udziela się go często niejako na wszelki wypadek. Ale w sformułowaniu „ostatnie namaszczenie” jest coś deprymującego, nie sądzisz?

– Niemniej łaska Pana Boga...

– Dobra, nie małpuj już. Jeśli będą chcieli, ich kapelan udzieli im posługi. I to nawet bezpośrednio, a nie na odległość.

– Ich kapelan został na stacji. Zachorował tuż przed wyruszeniem i nie było czasu go nikim zastąpić.

– A na co zachorował? – spytał Aidan.

– Grypa czy coś w tym rodzaju. W każdym razie coś zakaźnego.

Aidan już miał na końcu języka uwagę, że grypa na szczęście nie grozi *padre* Giancarlovi, bo wszystkie zarazki muszą zginąć od pełnego uduchowienia oddechu, ale znów zmilczał.

– Uważam, że marynarzom na tej fregacie należy się wsparcie religijne – upierał się kapelan.

– No dobrze. Ale może najpierw zapytamy ich o zdanie. Riccardo, nadaj zapytanie do „Santorino”, czy życzą sobie ostatniego namaszczenia.

Łącznościowiec wstukał szybko pytanie. Na zewnątrz reflektor zaczął migać, przekazując komunikat alfabetem Morse'a. Odpowiedź nadeszła bardzo szybko. Aidan patrzył, jak łącznościowiec tłumy śmiech, odczytując wiadomość.

– Daj mi to na osobisty – zarządził Aidan. A kiedy tekst wyświetlił się na jego panelu, zwrócił się do kapelana: – Masz tu, *padre*, dość treściwie opisane, co możesz sobie namaścić i gdzie później to wsadzić.

Kapelan poczerwieniał, śledząc rząd liter układających się w mało uprzejmą wypowiedź.

– Powiniennem o tym zawiadomić inkwizytora – wymamrotał.

– To zawiadamiaj. – Aidan prychnął pogardliwie. – A teraz, skoro jak sam widzisz, nikt nie chce twoich usług, idź do siebie. Mamy tu ważniejsze sprawy na głowie, niż współczuć ci krnąbrnych owieczek.

Początkowo Giancarlo spowodował, że kapitan oderwał myśli od zawilgości i niejasności całej sytuacji, ale po wspomnieniu o donosie duchowny zaczął dowódcę drażnić. Też mu się trafił katabas. Znał paru kapelanów, z reguły byli to ludzie do rany przyłóż, aczkolwiek podlegali ludzkim słabościom, ale ten alkoholik stanowił niechlubny wyjątek. Chociaż... Z tego, co słyszał, takich wyjątków było we flocie cesarskiej znacznie więcej. No cóż, ludzie to zawsze tylko ludzie.

– Kapitanie – odezwał się nawigator – zgodnie z obliczeniami „Santorino” dotrze do bariery za osiemdziesiąt sekund.

Aidan skupił się na obrazie fregaty, przekazywanym przez „Fitzcarraldo”.

*

– No to mamy niezły pasztet – powiedział w zadumie Edgar Guardado.

– Pasztet? – Aidan skrzywił się. – To niedopowiedzenie roku. Mamy tutaj wielkie, cuchnące gównno.

– I nawet więcej – wtrąciła się Amanda.

Bernhardt, uczestniczący w rozmowie kapitanów wszystkich jednostek z wyjątkiem „Ajaxa” i „Haralda II”, nie odezwał się. W zamyśleniu wpatrywał się gdzieś w przestrzeń, a Samuels domyślał się, że dowódca „Hornblowera” obserwuje nieruchomą fregatę. Zbliżyli się wszyscy do stróżującego „Fitzcarraldo”, aby móc rozmawiać na bieżąco, ale także zeskanować dokładnie całą przestrzeń wokół uszkodzonego okrętu. Bariera wbrew nadziejom Aidana okazała się nieprzepuszczalna z obu stron i „Santorino” tkwił bez ruchu, przypominając bezradną muchę rozpląszczoną na szybie.

– Jakies pomysły? – spytał Samuels. – Ale bardzo proszę o coś konstruktywnego.

– Wygląda na to – zaczął nieśpiesznie dowódca „Fitzcarraldo” – że mamy do czynienia z czymś mocno osobliwym.

– Nie mów! – zawołała z drwiną Amanda. – Jakoś nikt do tej pory tego nie zauważył!

– Przestań. – Guardado strzepnął ręką. Na hologramie jego dłoń rozmazała się przy tym gwałtownym geście. – Daj mi skończyć. Obiecuję, że będę się starał mówić zwięźle. Zacznę od pytania: widzieliście, jak zareagowała ta sfera, kiedy dotarła do niej fregata z wyciekami silników grawitacyjnych?

– Miałeś nie przedłużać – zauważyła Amanda. – Każdy to widział. Wyobraź sobie, że „Santorino” bez przerwy jest obserwowany i każdy ma go na zbliżeniu na głównym ekranie.

– Nie o to mi chodzi. Czy przejrzełiście później zapis poklatkowo?

– Nie miałem do tego głowy – mruknął Aidan.

Pozostali nie odpowiedzieli.

– A ja obejrzałem. Bardzo dokładnie. Nie wiem, nie mam pewności, ale odnoszę wrażenie, że ta bariera jest zarówno twarda jak hartowane szkło, jak i elastyczna.

– To sprzeczność – zaprotestował Bernhardt.

– No właśnie. Sprzeczność – potwierdził Guardado. – Tutaj wszystko jest sprzecznością, chciałbym zauważyć. Z tą rosnącą materią włącznie, a może przede wszystkim.

– Nie zapominajmy o znaczącym ubytku antymaterii po uderzeniu w nią, skoro już o dziwnych rzeczach mowa – dorzucił kapitan „Hornblowera”.

– Na razie skupiłbym się jednak na tym, w jaki sposób „Santorino” przebił się na drugą stronę. Zupełnie jakby wyciek z generatorów otworzył mu drogę. Przynajmniej na chwilę, bo potem, jak wszyscy doskonale pamiętamy, moduł eksplodował, a okręt przyparło do bariery z tamtej strony. To mnie zastanawia. Pole siłowe działa nieco inaczej.

– Przede wszystkim można je bez problemów namierzyć – wtrącił Roderick Brown, kapitan korwety „Anakonda”. – No i zwykła sfera energetyczna nie jest jednakowo nieprzepuszczalna z obu stron.

– A skąd pan wie, że ta jest jednakowo nieprzepuszczalna? – spytał Guardado.

Brown milczał przez dłuższą chwilę, zanim odpowiedział:

– No, cholera, nie wiem. Ale z jakiegoś powodu tak założyłem.

– I może mieć pan rację – zauważył Aidan. – Ale może się pan też mylić. Na tym właśnie polega zderzenie z takim nieznanym i nierozpoznanym zjawiskiem. Człowiek może powiedzieć tylko jedno, cytując Sokratesa: wiem, że nic nie wiem. Tylko że Sokrates wyrażał tę myśl w ramach jednak jakoś pojmowalnego świata. A my tu mamy do czynienia z czymś, co wydaje się kompletnie obce.

– No, no – mruknął z podziwem dowódca „Fitzcarraldo”. – Właśnie miałem coś takiego powiedzieć, podsumowując wywód.

– A zatem przepraszam, że pana uprzedziłem – zaśmiał się krótko Samuels. – Niech pan mówi dalej, kapitanie Guardado.

– Jest jeszcze coś, co mogło wam umknąć – podjął Edgar. – Kiedy prowadziłem z „Santorino” wymianę informacji, odpowiedzi stamtąd nadchodziły albo zbyt szybko, jak na dzielącą nas odległość, albo zbyt późno. To drugie by mnie tak nie zaniepokoiło, bo mógłbym wnioskować, że gra tutaj rolę czynnik ludzki, ale te zbyt szybkie są zastanawiające. Oczywiście chodzi mi o czas przed tym, zanim ruch fregaty ustał. Początkowo sam nie zwróciłem na to uwagi, byłem zbyt zaabsorbowany wydarzeniami, ale mój oficer łączności po przeanalizowaniu przekazów zameldował mi o tym fakcie. To nie są dramatycznie wielkie różnice czasowe, najwyżej półsekundowe, góra osiemdziesiąt setnych, ale są.

– Jest pan tego pewien, kapitanie? Nie nastąpił błąd pomiaru? – Bernhardt potrząsnął głową.

– Na pewno. Zanim przyjąłem to do wiadomości, kazałem wszystko dziesięć razy dokładnie sprawdzić.

Przez chwilę panowało milczenie.

– Cholera jasna – odezwała się w końcu Amanda. – Tylko co to może znaczyć?

– Wszystko – odparł Guardado. – A zarazem nic szczególnego. Tak to już bywa.

– Nie wygląda mi to na coś, co bym określił mianem „nic szczególnego” zauważył Aidan. – Spowolnienie i przyspieszenie światła, bo przecież na to wychodzi, musi o czymś świadczyć. Wiemy, że przez barierę nie przechodzą fale elektromagnetyczne w pewnych przedziałach długości. Pytanie, czy w tamtej przestrzeni rozchodzą się one na zasadach identycznych z obowiązującymi w normalnej przestrzeni.

Nawet na przekazie holograficznym było widać w oczach kapitana „Fitzcarraldo” coś w rodzaju uznania.

– Pomyślałem o tym samym, sir – powiedział. – Ale tego nie możemy rozstrzygnąć bez gruntownych badań. To, co nam komunikuje „Santorino”, nie jest wiele warte. Zresztą większość skanerów, kamer i sensorów u nich nie działa. Czego nie stracili po trafieniu przez republikanów, to załatwił im bliski wybuch modułu napędowego.

– Gruntownych badań? – prychnęła Amanda. – A jak niby mielibyśmy je przeprowadzić?

– To już nie nasz ból głowy. – Guardado wzruszył ramionami. – Od tego są naukowcy. A mnie nasuwają się jeszcze inne hipotezy. Wcale nie wykluczam, że fale o pewnych długościach nie rozchodzą się w tamtym ośrodku. Ale może to być też kwestia... hm... – zaciął się na chwilę, jakby słowa nie chciały mu przejść przez gardło. – To może być kwestia struktury czasoprzestrzeni, od której oddziela nas bariera...

Kapitanowie przez chwilę trawili to, co usłyszeli. Pierwszy odezwał się Bernhardt:

– Pan zdaje sobie sprawę, co by to oznaczało?

– Jakoś tam sobie zdaję. Ale chyba dość mgliście. – Guardado westchnął ciężko. – Wiem, co pan ma na myśli. Inna struktura czasoprzestrzeni może oznaczać inną fizykę. Wręcz inną materię. Tak, to ryzykowna, a nawet karkołomna hipoteza, ale każdą trzeba brać pod uwagę.

– Zgoda. Dopóki się jej nie zweryfikuje, musimy się liczyć z najróżniejszymi możliwościami. – Kapitan „Hornblowera” zapatrzył się na chwilę przed siebie. – Zastanawia mnie, dlaczego „Santorino” nie wpadł w studnię grawitacyjną, a jeśli nawet nie, to dlaczego tak szybko wyhamował i zaczął lecieć w drugą stronę. Czyżby tamtejsza grawitacja miała wartość przeciwną do naszej? Ale to by oznaczało, że materia ma najzupełniej egzotyczną strukturę z naszego punktu widzenia.

Guardado pokiwał głową. Kapitan Floty Republiki był nie w ciemność bity, szybko formułował wnioski.

– Nie możemy tego wykluczyć. Ale jest też możliwe, że jeśli za barierą panują inne zasady rządzące czasoprzestrzenią, w naturalny sposób środowisko może chcieć się pozbyć obcego obiektu.

– Wypycha go? – spytał Roderick Brown. – Ale bariera jest nieprzekraczalna w obie strony...

– Nie wiemy nawet, czy istnieje coś takiego, jak konkretna bariera – przerwał mu Guardado. – Na razie jest to niemożliwe do zbadania. Jeśli dobrze rozumię...

Nie dokończył myśli. Na wszystkich jednostkach zabrzmiał ostry sygnał alarmu.

– Co się dzieje? – Samuels spojrział na łącznościowca.

– Wiadomość z „Santorino”. – Farlan popatrzył na Aidana wielkimi ze zdumienia oczami. – Coś się tam dzieje.

– Dawaj na główny!

Po sekundzie na wyświetlaczu pojawił się komunikat:

umieramy stop przyczyna nieznana stop ludzie upadają i konają w ciągu kilku sekund stop nie żyje czterdzieści procent załogi stop zegnajcie koniec przekazu

Aidan przełknął głośno ślinę.

– Alarm piątego stopnia! – rozkazał.

Natychmiast zniknęły wszystkie hologramy, łączność z okrętami wrogiej floty została zerwana.

– Nie! Odwołuję! – powiedział Aidan. – Alarm trzeciego stopnia, chcę mieć kontakt głosowy z republikanami. Chorąży, nadaj do „Santorino” taką wiadomość:

trzymajcie się stop melduj o sytuacji na bieżąco stop postaramy się pomóc koniec przekazu

– Nadałem, jest potwierdzenie odbioru – zameldował Farlan. – Kapitan Bernhardt do pana.

– Dawaj.

– Kapitanie Samuels. Wyrazy współczucia.

– Nie teraz! – warknął Aidan. – Na razie ktoś tam jeszcze żyje!

– Ale co pan zamierza? Forsować to cholerstwo?

– Żeby pan wiedział! Spróbuję, tylko to mi jeszcze zostało.

– Nie zamierzam pana od tego odwozić, chociaż uważam, że to bardzo nierozsądne. Powodzenia. Będziemy czekać w pogotowiu.

Aidan przerwał połączenie, nie żegnając się.

– Norman, nadaj do nich, że lecimy. Ten sam komunikat do grupy.

„Trzymaj się, skubańcu! Zrobię wszystko, żeby cię z tego wyciągnąć...”

– Wiesz, że to zupełne szaleństwo? – zgłosiła się Amanda. – Narażasz okręt i ludzi.

– Spadaj, ślicznotko – warknął. – To jednostka wojenna. Od tego jest, żeby się narażać!

*

– Ekscelencjo, mamy pierwsze sensowne ustalenia, czy raczej na razie tylko hipotezy – oznajmił Romero na widok wchodzącego na mostek inkwizytora. – To znaczy mam nadzieję, że są jakoś tam sensowne, bo nie miałem czasu konkretnie się w to zagłębiać, a ten ich naukowy żargon...

Wskazał przybyłemu wolny fotel na miejscu przeznaczonym dla admirała, gdyby ten kiedykolwiek postanowił uczynić z pancernika swój okręt flagowy. Wyposażenie było identyczne jak na stanowisku kapitana. W zasadzie Lerma miał do tego miejsca święte prawo. I jemu, i każdemu innemu wielkiemu inkwizytorowi przebywającemu na jakiegokolwiek jednostce wojennej przysługiwały uprawnienia takie, jak admirałowi floty, choć nie posiadał stopnia wojskowego. Na szczęście ten dostojnik nie miał wielkich ambicji wtrącania się w

sprawy dowodzenia grupą okrętów. Oczywiście wiceadmirał, jako głównodowodzący zespołu zadaniowego, miałby możliwość blokować i zmieniać decyzje don Sebastiana, ale wiązałoby się to później z pisaniem mnóstwa raportów i komisją śledczą, z której uparty dowódca mógłby nie wyjść z czystym kontem.

– Nie trzeba. – Inkwizytor pokręcił głową. – Wystarczy mi moje zwykłe miejsce.

Zajął boczny fotel, po czym spojrzał na wiceadmirała.

– Nie chcę teraz dokładnie studiować raportów. Proszę wezwać tutaj szefa ekipy naukowej, wolę bezpośrednio z nim porozmawiać.

– Jak pan sobie życzy.

Konradmirał doktor Ruben Cassan pojawił się po kilku minutach, podczas których Lerma czytał podstawowe informacje na podręcznym wyświetlaczu.

– Panie admirale, Ekscelencjo – przywitał się naukowiec. – Chcieli mnie panowie widzieć.

– Konkretnie, chciał don Sebastian – wyjaśnił Romero.

– Tak, konkretnie ja – powiedział Lerma. – Rzuciłem okiem na pańskie raporty, ale muszę powiedzieć, że niewiele mi mówią.

– Nie rozumiem, Wasza Ekscelencjo. Przecież staraliśmy się dość jasno wyłuszczyć...

– Tak, „staraliście się” to dobre określenie. Wybacz pan, doktorze, nie należę do najgłupszych ze znanych mi ludzi, ale z tego, co widzę w raporcie, wynika, że coś tam przypuszczacie, ale jeszcze bardziej, niż przypuszczacie, wątpicie, czy wasze przypuszczenia są słuszne. Co więcej, dopuszczacie możliwość, że sytuacja wygląda *ipso facto* zupełnie inaczej, niż wynika z waszych hipotez, ustaleń czy jak to nazwać. Bo nawet i takich określeń jak teoria czy hipoteza obawiacie się używać bardziej zdecydowanie.

– Ekscelencjo – Cassan wyglądał na urażonego – mając tak wątpie podstawy, nie jesteśmy w stanie sformułować nic, co by nosiło chociaż znamiona sądów kategorycznych...

– Proszę nie opowiadać takich rzeczy – przerwał mu inkwizytor. – Gdzie byłaby dzisiaj nauka, gdyby pańscy koledzy z dawnych epok chcieli opierać się tylko na stuprocentowo pewnych wynikach badań? Gdyby nie wykazywali odrobiny szaleństwa? A czasem więcej niż odrobiny.

– Pragnę zauważyć, Ekscelencjo – powiedział powoli naukowiec, wyraźnie coraz bardziej poirytowany – że nie dysponujemy materiałem, który nadawałby się do interpretacji choćby w jednej dziesiątej tak jak wyniki innych badań. Nawet w jednym procencie. Nie jesteśmy w laboratoriach gdzieś w bezpiecznym interiorze imperium. Mamy tutaj nieznanne zjawisko, a w dodatku przed samym nosem wrogą flotę. To nie sprzyja...

– Myśleniu? – wysyczał Lerma, pochylając się do przodu. Przelotnie pomyślał, że na niszczycielu nie mógłby sobie pozwolić na taki ruch, tam podczas alarmu nawet trzeciego stopnia byłby ściśle przypięty pasami do fotela. – Chce pan powiedzieć, że naukowcy nie potrafią myśleć, jeśli nie mają komfortowych warunków? To po co wlecemy was w przestrzeń? Po co stworzyliśmy korpus naukowy w ramach Marynarki Wojennej, którego utrzymanie kosztuje tyle, że można by za to zbudować flotyllę nowoczesnych krążowników? Stajemy w obliczu nieznanego, a pan chce mi powiedzieć, że nie potraficie robić tego, za co się wam płaci? Czyli myśleć?

Naukowiec poczerwieniał.

– Nie to miałem...

– Nieważne – Lerma znów mu przerwał. – Proszę skończyć z tym całym asekuranctwem i powiedzieć szczerze, co pan o tym wszystkim sądzi. Szczerze, podkreślam. Nie jest pan na posiedzeniu rady wydziału, nikt nie będzie tu pana wyszydzał ani próbował wygryźć ze stanowiska.

Cassan odetchnął głęboko. Lerma zdawał sobie sprawę, że gdyby nie chroniła go godność inkwizytora, naukowiec z pewnością dałby upust złości. Uśmiechnął się w duchu. Podrażniona

duma i urażona ambicja? Bardzo dobrze. Niektórzy o wiele lepiej funkcjonują w warunkach takiego stresu.

– Co chciałby pan usłyszeć, Ekscelencjo? – głos kontradmirała brzmiał nieco głucho, wciąż słysząc w nim było nutki złości.

– Wszystko, co tylko pan może powiedzieć. Co pan już wie, co przypuszcza i co tylko przyjdzie panu jeszcze do głowy w trakcie naszej miłej pogawędki.

Naukowiec milczał, zbierając myśli, zerknął na mały ekran, na którym wiceadmirał wyświetlił raport sekcji badawczej.

– No cóż... Z tego, co zdołaliśmy zebrać sami i wniosując z przekazów uzyskanych od grupy zwiadowczej, mogę jedno stwierdzić z całą pewnością. Mamy do czynienia z obiektem, czy raczej całym zjawiskiem astronomicznym, z jakim ludzkość nie miała jeszcze styczności. Mówię o zjawisku astronomicznym, bo tak powinniśmy to coś traktować od chwili, kiedy stwierdzono istnienie jakiejś sferycznej zapewne przeszkody, związanej najprawdopodobniej z niezidentyfikowanym ciałem niebieskim w centrum.

– Tak, to wiemy na pewno – przytaknął uprzejmie Lerma. – Ale to znaczy...

– Że właściwie nadal nic nie wiemy – wpadł mu w słowo naukowiec. – Zgadza się. Jest także pewne, że to coś zatrzymuje tachiony. A może je wchłania lub odbija... Nie, przepraszam, odbijać nie może, bo wtedy docierałaby do czujników fala zwrotna. Znamy także rozmiar bariery, możemy ekstrapolować wyniki dotyczące jej wielkości dzięki danym od grupy kapitana Samuela. Ale podchodząc do sprawy z naukową uczciwością, nie mamy prawa ogłaszać, że jesteśmy pewni nawet tak prostych obliczeń, bo nie istnieją gwarancje, że zjawisko rozwinię się zgodnie z przewidywaniami. A zatem znów...

– Właściwie nadal nic nie wiemy – teraz inkwizytor wszedł w słowo szefowi sekcji badawczej. – Uzgodnijmy jedno, doktorze. Jak pan powiedział na samym początku, mamy zbyt mało danych, aby cokolwiek stwierdzić na pewno. A jak się okazuje, nawet jeśli coś wiemy z całą pewnością, to w chwili obecnej na wiele się nam przydać nie może. Nie ma sensu tego powtarzać. Tak samo jak nie widzę celu w takiej formie raportu. – Machnął lekceważąco ręką w stronę wyświetlacza. – Obliczenia, cyferki, ekstrapolacje, wszystko to można wcisnąć psu pod ogon. Mnie interesują wprawdzie wnioski, ale niechże pan wykaże chociaż odrobinę fantazji! Mamy do czynienia z czymś nieznanym, więc naprawdę nie istnieją głupie hipotezy. Chyba że ktoś będzie się silił na zbytnią mądrość. Czy to może być na przykład jakaś zdegenerowana materia, powodująca zwyrodnienie przestrzeni? A może to zwyrodniała przestrzeń sprawiła, że materia zmutowała do niespotykanych do tej pory form?

Naukowiec spojrział na inkwizytora zaskoczony.

– Bierzymy pod uwagę taką możliwość – rzekł powoli. – Ale jestem zdziwiony, że Wasza Ekscelencja również ma podobną intuicję.

– Wam się wydaje, że inkwizytor, a jeszcze w dodatku wielki inkwizytor to ktoś na kształt ogromnego, krwiożerczego pająka, który czyha na wasze niewinne duszyczki. Ale wyobraź sobie, doktorze, że czasem zdarza nam się myśleć. I że posiadamy nawet jakieś takie wykształcenie. Ja na przykład jestem astrofizykiem, może nie najwybitniejszym, nawet nie średnim, ale wnioski, do których doszedłem, nie powinny dziwić. To niejako automatyczne.

– Rozumiem. – Cassan skłonił się lekko. – A zatem tę hipotezę mamy załatwioną. Inna stanowi, że to nie żadne wynaturzenie struktury przestrzeni i materii, ale coś, co jest zwyczajnym zjawiskiem w kosmosie, które po prostu czekało na odkrycie.

– To akurat wydaje się dość głupie – wtrącił Romero.

– I słusznie – odpowiedział naukowiec, uprzedzając o ułamek sekundy ripostę inkwizytora. – To najślabsza i najmniej wiarygodna hipoteza. Ale i takie rozwiązanie należy brać pod uwagę. Jeden z moich ludzi próbował zmierzyć się z koncepcją działalności obcej cywilizacji. Ale ponieważ nigdy dotąd nie trafiliśmy na jakikolwiek ślad takowej, odsuwam ją na bok do

chwili, kiedy uzyskamy najmniejsze choćby potwierdzenie.

– I tak wydaje mi się to lepsze od pomysłu, że to tam jest jakąś normą – zauważył Lerma. – Ale proszę dalej.

– Oczywiście pojawił się pomysł, że to sprawka Republiki, ale umarł w chwili, kiedy okazało się, że oni wiedzą równie mało jak my. Natomiast bardzo interesującą hipotezę wysunął mój asystent. Mianowicie poddał myśl, że to lokalne zawirowanie, związane z jakimś innym, niezauważonym jeszcze przez nas zjawiskiem, zniekształcającym nie tyle samą przestrzeń, co naruszającym jej strukturę i powodującym coś w rodzaju napięcia powierzchniowego, do którego przebicia trzeba o wiele więcej energii niż ta, jaką dysponujemy na co dzień. To o tyle interesujące, że wycieki z generatorów grawitacyjnych umożliwiły przejście przez przeszkodę uszkodzonej fregacie, a można to spokojnie uznać za odmienną formę energii niż zazwyczaj używana.

– Jeśli faktycznie właśnie o to chodziło – wyraził wątpliwość don Sebastian.

– Nikt nie powiedział, że to wyciek otworzył drogę na drugą stronę. Mogło to być cokolwiek, co pojawiło się przy okazji.

– Myślę, że możemy jednak założyć, iż to kwestia niekontrolowanego przepływu mocy w module napędowym. Wówczas powinniśmy również przyjąć, że nie jesteśmy w stanie w ogóle określić, z czego i jak zbudowany jest rosnący obiekt w środku, ponieważ napięcie zaburza wszelkie odczyty.

– Nie powiem, że to się trzyma kupy, ale o to rzeczywiście trudno przy obecnym stanie wiedzy. Faktycznie, całkiem interesująca idea. Ciekawy umysł ma ten pana asystent. Tylko jedno w tym wszystkim nie pasuje. Materia w środku rośnie. Tego nie wyjaśni żadne zwichrowane napięcie powierzchniowe czasoprzestrzeni. Chyba że to właśnie ona przenosi materię z jakiegoś innego, nawet bardzo oddalonego miejsca.

– Znakomicie! – Kontradmirał aż klasnął w ręce, zapominając, że rozmawia z wysokim urzędnikiem, i zaczynając traktować go jak drugiego naukowca. – Właśnie tak to Andrea wyjaśnił! Dokładnie w ten sam sposób. Doprawdy, całkiem niezłe... – zamilkł, nieco skonfundowany własnym entuzjazmem, a potem dodał: – Wasza Ekscelencjo. Proszę o wybaczenie, ale...

Lerma powstrzymał go gestem ręki.

– Właśnie o to mi chodziło. Żeby popuścić wodze fantazji. Opracowaliście jeszcze jakieś równie interesujące teorie? Bo ta ma pewną poważną dziurę...

– Tak, tachiony – podchwycił Cassan. – Choćby nie wiadomo jak pokręcona i zniekształcona przestrzeń, choćby nie wiadomo jakie było to napięcie powierzchniowe, tachiony powinny się pojawić. Uwięzić je może tylko szczelne zawinięcie czasoprzestrzeni, ale i to nigdy nie jest na stałe, po rozwinięciu cząsteczki uwalniają się. A tutaj nie mamy do czynienia ze zjawiskiem pokrewnym pęcherzowi napędu grawitacyjnego. To naprawdę dziwne i niepokojące.

Zapadła cisza, w której słychać było tylko szum urządzeń. Przerwał ją wreszcie wiceadmirał:

– I na tym koniec? Nie ma więcej pomysłów?

– Są, oczywiście, na pewno dziesiątki. – Doktor wzruszył ramionami. – Ale te, które opracowaliśmy, nic nie wnoszą do sprawy...

Zamilkł, a Lerma śledził go spod zmrużonych powiek.

– Niech pan mówi – zachęcił zaskakująco łagodnie. – Ktoś na coś jeszcze wpadł?

– Tak – rzekł naukowiec, krzywiąc się z niechęcią. – Jest jeszcze jedna hipoteza, która to wszystko uwzględnia, chociaż w istocie rzeczy jest bardziej karkołomna niż którakolwiek inna.

– Proszę ją jednak przedstawić – głos inkwizytora zadźwięczał rozkazem.

– Wyjaśniałaby ona zarówno istnienie bariery – zaczął kontradmirał z ociąganiem – jak i dziwne odczyty materii, a także ten lokalny zanik tachionów. Ale... No dobrze – westchnął ciężko, widząc, że Lerma znów otwiera usta, żeby go popędzić. – To mogłoby pochodzić w ogóle nie z naszej czasoprzestrzeni. To znaczy nie z naszego wszechświata – wyrzucił z siebie szybko, jakby chciał się pozbyć jakiegoś ciężaru.

Jednak inkwizytor nie wydawał się poruszony czy zdumiony taką koncepcją.

– Mówi pan, że mamy do czynienia z przenikaniem do nas wszechświata równoległego? To interesujące. W innym uniwersum mogą panować odmienne warunki, inne prawa fizyki, a co za tym idzie, inna czasoprzestrzeń i struktura zjawisk materialnych. A zatem istnieje możliwość, że tachiony, wpadając tam, podlegają zupełnie innym oddziaływaniom niż u nas. Może ulegają destrukcji, a może przechodzą w wariantywny stan? Albo w ogóle wpadają do tamtego wszechświata i podróżują dalej...

– Właśnie. Ale to by oznaczało, że bariera jest dla nich przenikalna. Co, oczywiście, nie nam w tej chwili i tak nie wyjaśnia. Równie dobrze mogą w niej więznąć i tylko tyle. Albo aż tyle, bo jak dotąd nie udało nam się okiełznać i zatrzymać tych piekielnych cząstek.

– Cholera jasna – mruknął Romero. – Wprawdzie jeszcze nie ogarniam wszystkich implikacji czegoś takiego, ale nie podoba mi się to zupełnie.

Lerma odchylił się na oparcie fotela, przymknął oczy. Wszystko było jeszcze niewyraźne, jeszcze nie do końca możliwe, ale miał złe przeczucia. Jeśli ostatnia hipoteza okaże się prawdziwa... Nawet nie chciał o tym myśleć.

– Kto wpadł na ten szalony pomysł? – spytał cicho. – Kto ma na tyle zwichrowany umysł?

Otworzył oczy, spojrzał na kontradmirała. Naukowiec nie odwrócił wzroku, patrzył wręcz wyzywająco.

– Ja, Ekscelencjo – odparł – mam tak pokręcony mózg.

– Gratuluję. – Na twarzy inkwizytora pojawił się taki grymas, jakby chciał jednocześnie się uśmiechnąć i wykrzywić ze złością. – Szczerze gratuluję. I muszę z prawdziwą przykrością zakomunikować, że takie wyjaśnienie najbardziej do mnie trafia. Co więcej, sam właśnie coś podobnego podejrzewałem. A to znaczy, że jestem tak samo pokrzywiony umysłowo jak pan, doktorze.

Cassan najpierw wzruszył ramionami, a potem rozłożył ręce w geście przeproszającej bezradności.

– Mogę wyrazić tylko swoje ubolewanie, Ekscelencjo.

– Bardziej niż stan mojego umysłu boli mnie jednak fakt, że chyba będziemy musieli podjąć rozmowy z przeciwnikiem, doktorze. Wydaje mi się, że obie strony potrzebują zawieszenia broni.

*

– Alarm piątego stopnia – padł rozkaz.

Cała załoga była przypięta pasami do foteli, a niszczyciel gnał z prędkością osiemdziesięciu procent światła prosto na nieruchomą fregatę. Kompensatory grawitacyjne pracowały pełną mocą. Zatoczyli spory łuk, żeby się rozpędzić, a teraz pozostawało tylko czekać. Oczywiście Aidan nie był na tyle szalony, żeby ryzykować zderzenie z „Santorino”, dlatego Diego obliczył poprawkę, dzięki której w razie przerwania bariery mieli minąć rozbitka o włos. Ale z daleka wyglądało to, jakby pędzili na czołowe zderzenie. Z bliska zresztą też.

– Shader, środki ogniowe zabezpieczone?

– Wszystko rozbrojone – nadeszła natychmiast odpowiedź. – Bez obaw.

Kapitan nie zamierzał ryzykować jakichkolwiek niekontrolowanych fajerwerków. To było najgorsze – ta nieświadomość, co się wydarzy, gdy uderzą w barierę. Wolałby prowadzić teraz pojedynek artyleryjski z ciężkim krążownikiem albo nawet monitorem. Wtedy

przynajmniej z grubsza wiadomo, czego się można spodziewać.

– Diego, zaprogramowałaś komp?

– Zrobione, panie szyper.

– Potem od razu przejdź na ręczne.

– Rozumie się... To znaczy tak jest, sir – poprawił się natychmiast podporucznik.

Podczas alarmu najwyższego stopnia każde słowo było nie tylko nagrywane, ale również mogło być później analizowane przez specjalną komisję. Aidan darował sobie uwagę, że chłopak wygłosił do tej pory co najmniej dwadzieścia nieregulaminowych kwestii. To nie miało znaczenia.

To nigdy nie miało znaczenia.

Liczyło się tylko, czy przeżyją najbliższe minuty, nic więcej – jak zawsze podczas akcji bojowej. Ta może nie była typowo bojowa, ale mogła stwarzać nawet większe niebezpieczeństwo dla całej załogi.

„Już widzę, jak mi góra podziękuje za ten rajd” – pomyślał. „Jeśli przetrwamy”.

To, co zaplanował, nie było czystym szaleństwem. W innych warunkach manewr nie budziłby wątpliwości. Zwykłe odwrócenie jednostki o sto osiemdziesiąt stopni. Przy niektórych schematach unikowych robiło się to nawet kilka razy. Jednak nigdy tuż przed czymś, co by stanowiło przeszkodę.

– Farlan, zapytaj „Santorino” o sytuację.

– Tak jest.

To nie miało większego sensu, bo przy prędkości ośmiu dziesiątych c światło wyprzedzało ich zaledwie o parę sekund, a odpowiedź mogła nadejść już w chwili, kiedy odwrócą się tyłem do bariery. Aidan chciał jednak, żeby chorąży miał zajęcie. Callahan szepnął mu na prywatnym kanale, że na „Santorino” służy przyjaciel Normana. Kapitan wyobrażał sobie, co chłopak teraz musiał czuć, wiedząc, że tam wszyscy umierają. Nie, nie wyobrażał sobie – wiedział. Przecież przeżył coś podobnego podczas bitwy w Vargas, kiedy oberwał okręt Amandy.

– Piętnaście sekund – powiedział Diego. Nie miał teraz nic do roboty, bo tak szybki i precyzyjny manewr musiał wykonać mózg nawigacyjny, więc sam odliczał na głos.

Aidan wstrzymał oddech. Jeśli dadzą radę przebić barierę, będą musieli działać najszybciej jak się tylko da. Hol mechaniczny maszyny założą w jakieś dziesięć minut, a potem... Potem dopiero się przekonają, czy można cokolwiek więcej zrobić. I czy będzie dla kogo.

– Zero! – wykrzyknął Martinez.

Niszczyciel odwrócił się w ciągu pół sekundy, Aidan poczuł ucisk w żołądku i łaskotanie w łędźwiach.

„Zupełnie jak w myśliwcu. I to lekkim...”

Wszystkie systemy napędu relatywistycznego i kondensatory grawitacyjne wspięły się na same szczyty możliwości. Aidan podejrzewał nawet, że gdyby zobaczył wykresy, sięgałyby daleko ponad przewidziane granice.

Nagle wszystko ucichło. „Czyżbyśmy przeszli na drugą stronę?” W tej myśli nadzieja mieszała się z obawą. Chciałby znaleźć się obok „Santorino”, a jednocześnie bał się, że nawet jeśli się uda, nie będzie możliwości powrotu. A na pewno możliwości powrotu razem.

– Nie potwierdzili odebrania wiadomości.

Głos Farlana dobiegał jakby z wielkiej oddali, z drugiej strony świata? A może życia?

– Stoimy – oznajmił zaraz potem Martinez.

Aidan otworzył oczy. Dopiero teraz zdał sobie sprawę, że przez ostatnie kilkanaście sekund mocno zaciskał powieki.

– Nie udało się?

– Nie, panie szyper. Nie wyszło. Zatrzymało nas, zupełnie jak poprzednio. Jakbyśmy

nosem przyłożyli w ścianę. Koniec akcji.

– „Santorino” nie odpowiada? – Aidan zwrócił się do łącznościowca.

– Nie, sir. Nie potwierdzili wiadomości, nie reagują na sygnał wywoławczy. Pewnie wszyscy już... – głos mu się lekko załamał i zamilkł.

– Pewnie tak – powiedział Aidan.

Patrzył przez chwilę na ściągniętą smutkiem twarz chorążego. Każdy marynarz traci kogoś bliskiego w przestrzeni – w bitwie albo zwykłej misji. Ból zawsze jest ten sam. No chyba że nie ma się nikogo bliskiego, jak ten sukinkot Basil Kendorf. Z pewnością nigdy po nikim nie płakał, ale też i po nim nikt nie uroni łzy.

– Chief – Aidan wywołał Naalnisha – co z maszynami?

– Nic, kapitanie. Żadnych poważnych usterek. Tylko...

– Co znowu? – spytał z rezygnacją Samuels.

– Nie mamy już w ogóle antymaterii. Ani nanograma. Pojemnik w siłowni jest pusty jak mój durny indiański łeb!

– Przecież nie używaliśmy napędu czasoprzestrzennego!

– No właśnie. Nic już z tego nie rozumiem.

– Pociesz się, że nie jesteś sam.

– To wielkie gówno, nie pocieszenie, sir.

– Wiem.

Aidan rozejrzał się po mostku.

– Norman, nadaj do naszych, co się stało. I wyślij komunikat na „Numancię”. Niech ktoś tu po nas może przyleci, na przykład Sułtan. Inaczej będziemy wracać z relatywistyczną, a to potrwa.

– Tak jest.

– I połącz mnie z kapitanem Bernhardtem. Muszę się wygadać i puścić parę porządnych bluzgów. Do Amandy mi nie wypada kłać aż tak ordynarnie, jak bym miał ochotę, Guardado przyjmie to co najwyżej z filozoficznym politowaniem, a jedyny dowódca, który by mi chętnie wtórował, został z drugiej strony. Martwy.

– Tak jest. Kapitan Bernhardt na linii, sir – zameldował po chwili Farlan. Opóźnienie dwie sekundy.

Aidan spojrział na hologram. I nagle odechciało mu się rzucać mięsem.

– Kapitanie – powiedział zmęczonym, zrezygnowanym głosem – ma pan może whiskey?

Czekał na odpowiedź sześć sekund. Republikanin był pewnie mocno zaskoczony pytaniem.

– Mam jakąś butelczynę, kapitanie Samuels.

– A nie napiłby się pan?

Tym razem odpowiedź nadeszła od razu, po czterech sekundach.

– Napić się dwudziestopięcioletniej whiskey z wrogiem? Z człowiekiem, za którego głowę wyznaczono u nas sowitą nagrodę? Napić się, łamiąc wszelkie paragrafy i regulaminy? Ryzykując po powrocie komisję dyscyplinarną? Napić się w obliczu tego pierdolonego, nieznanego obiektu kosmicznego z przyległościami? Co za pytanie, kapitanie Samuels! Jak najbardziej i z największą przyjemnością. Pozostaje tylko pytanie: u mnie czy u pana?

– Ani u mnie, ani u pana. – Aidan uśmiechnął się blade. – Spotkamy się u Amandy. Jak ją znam, powinna mieć sympatyczny zapasik rumu. Prawdziwego, pędzonego według starych karaibskich receptur, a nie tej lury, którą kupujecie od przemytników.

– Jasne. Zaraz każę przygotować wahadłowiec.

– Do zobaczenia.

SPIS TREŚCI

1. Sieć powiązań
2. Nic osobistego
3. Wątpliwości
4. Huragan
5. Na celowniku
6. Spokój w oku cyklonu
7. Tajemnice, tajemnice...
8. Prawo masy
9. Oczekiwanie
10. Wróg czy przyjaciel
11. Obcy świat

The logo for Bevitore, featuring the word "Bevitore" in a white serif font centered within a dark red rectangular background.